

ZESZYT STO SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
2009

ZESZYT STO SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

2009

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 548

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0216-5

Éditeur: ASSOCIATION INSTITUT LITTÉRAIRE KULTURA
91 av. de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Imprimé en France

Anna Zofia CICHOCKA

«TRZEBA WYTWORZYĆ ISKRĘ...»
KRAJ W DYSKUSJI GIEDROYC–MIEROSZEWSKI,
1959-1973*

Obserwując pospieszne likwidowanie resztek „Października” w Polsce Jerzy Giedroyc doszedł na początku 1959 r. do wniosku, że *próba zbyt bezpośredniego wzięcia udziału w życiu krajowym się nie udała. Musimy więc – pisał do Juliusza Mieroszewskiego – wrócić do dawnego dystansu a przede wszystkim odbudowy mitu naszych możliwości czy siły*¹. Dla realizacji owego planu, za niezbędne uznał Redaktor budowanie kontaktów międzynarodowych z jednej strony, z drugiej zaś – kontynuowanie taktyki, łączącej próby atakowania reżymu komunistycznego i aktywizacji społeczeństwa w Polsce.

* Zmieniona i uzupełniona wersja IV rozdziału rozprawy doktorskiej *Relacje między paryską «Kulturą» a krajem (1947-1973)*, obronionej w listopadzie 2008 r. na Wydziale Nauk Historycznych i Pedagogicznych Uniwersytetu Wrocławskiego. Tytuł nawiązuje do zdania z listu J. Giedroyca do J. Mieroszewskiego z 27 I 1965 r. Por. A. Z. Cichocka, «Na zimno kalkulowana rewolucja». «Kultura» i kraj 1957-1958, „Zeszyty Historyczne” 2009, z. 167, s. 3-72.

1. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 21 III 1959. Wszystkie cytaty (podane kursywą), jeżeli nie zaznaczono inaczej, pochodzą z korespondencji przechowywanej w Archiwum Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte.

Korekta taktyki nie oznaczała jednak zmiany strategii „Kultury”, polegającej na popieraniu każdego projektu, który zmierzałby, w miarę możliwości, do ewolucyjnych przemian w bloku wschodnim, a w tych ramach – do stopniowej poprawy pozycji Polski na zewnątrz oraz poszerzania sfer wolności wewnątrz². Za spełniający powyższe przesłanki, w ówczesnych warunkach, uznawała Redakcja (obok postulatów neutralizacji i demilitaryzacji Europy środkowowschodniej) w dalszym ciągu rewizjonizm w skali wschodnioeuropejskiej.

W ujęciu Mieroszewskiego koncepcja ta (stałe doprecyzowywana) zyskała w owym okresie wymiar walki nie tylko o niepodległość narodów zniewolonych, ale i zmagania o zatrzymanie ich w europejskim kręgu cywilizacyjnym. Zwalczając dogmatyzm komunistycznej ideologii, prąd ten nie tylko godził w fundament sowieckiego imperializmu, ale i starał się wprowadzić ją w *łożysko* opartej na wielopoglądowości *europejskiej kultury*.

Walkę ową podejmowali nie tylko marksiści. *W naszym zrozumieniu* – stwierdzał publicysta (w oparciu, jak twierdził, o wnioski wyciągnięte z dziesiątków rozmów z Polakami z kraju), – [...] *rewizjonistami są wszyscy ci, którzy mówią: «socjalizm – tak, dogmatyzm doktrynalny – nie. Socjalistyczna droga do uprzemysłowienia – tak, satelicka zależność od Rosji – nie. Solidarność narodów o ustroju socjalistycznym – tak, ideologiczny ‘Watykan’ na Kremlu – nie. Marksizm jako doktryna równouprawniona w ramach wielopoglądowej kultury społecznej – tak, marksizm religia państwowa – nie»*. [...] *Rewizjonistami w Polsce są ludowcy, socjaliści, chrześcijańscy demokraci, katolicy – wszyscy z wyjątkiem Komitetu Centralnego PZPR*³.

Powyższa konstatacja była rzecz jasna zabiegiem retorycznym, a nie diagnozą (jako taka mieściłaby się bowiem w sferze pobożnych życzeń). Wraz z upływem kolejnych miesięcy od Października '56, wysuwana przez Zespół „Kultury” ocena postawy pogrążającego się w marazmie społeczeństwa w kraju, w którym reżym sterował powoli na powrót ku *bierutowym wzorom*⁴, była bowiem coraz bardziej pesymistyczna.

2. J. Mieroszewski, *Spór*, „Kultura” [„K”] 1959, nr 3, s. 81.

3. *Ibidem*, s. 77-82; por. też J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 8 I 1959.

4. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 17 XI 1959.

Najgorsze jest w tej chwili straszne kłopoty wszystkich i coraz bardziej przestawianie się na akcję zawodową czy też robienie takiej czy innej kariery – pisał Redaktor. [...] *Ta apatia i odwrócenie się inteligencji od polityki jest dla nas najgroźniejsze. Trzeba będzie pomyśleć, w jaki sposób pobudzać ich i utrzymać się w centrum zainteresowania jak dotychczas*⁵. Obserwacje Giedroycia potwierdzał w rozmowie z nim filozof Paweł Beylin, według którego – jak relacjonował – w kraju panowało *kompletne zniechęcenie, apatia. Ludzie dziś myślą o «podniesieniu stopy życiowej», domku, telewizji czy wyjeździe zagranicę i chcą by im dać spokój*. Beylin stwierdzał ponadto, powołując się także na ocenę Leszka Kołakowskiego i Stefana Ossowskiego, że koncepcja stworzenia rewizjonistycznego ośrodka emigracyjnego była błędna, ponieważ sami rewizjoniści nie czuli się na siłach, by stanąć na czele prądu międzynarodowego, a poza tym obawiali się odcięcia od kraju. Ossowski miał stwierdzić, że marzy, by „Kultura” mu nie dokuczała i nie kompromitowała. Życzenia w podobnym tonie wyrażali również Jan Kott i Paweł Hertz, związani z grupą skupioną wokół rozwiązanego właśnie miesięcznika „Europa”, o której zresztą Giedroyc miał zdanie jak najgorsze⁶. Opinie krajowców nie przekonały jednak Redaktora. Postanowił co prawda (czysto taktycznie), wyciszyć ideę ośrodka rewizjonistycznego na łamach pisma (*ta koncepcja raz rzucona – instruował Mieroszewskiego – niech dojrze- wa*)⁷, jednocześnie deklarował jednak: *myślę, że trzeba nadal stawiać na rewizjonizm i dolewać oliwy do nie istniejącego, ale przyszedłszy ognia [...]. Mechanika wypadków jest taka, że będą musieli przyjść do nas*⁸. Ogień ów zapłonąć miał w chwili radykalnego zaostrenia się sytuacji w Polsce, do którego, zdaniem Giedroycia, bieg wypadków wiódł nieuchronnie (a czemu zaprzeczała większość z jego krajowych rozmówców)⁹. Co więcej, rolę paryskiego ośrodka, w zamierzeniu Redaktora, miało być nadal podsycanie (wszelkimi metodami) rewizjonistycznego płomienia nie tylko w skali polskiej, ale i wschodnioeuropejskiej¹⁰. Zespół „Kultury”

5. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 4 III 1959.

6. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 21 III 1959 i 6 I 1959.

7. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 6 I 1959.

8. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 21 III 1959.

9. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 6 I 1959.

10. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, [...] X 1959.

wyrażał przy tym przekonanie, że koniunkturę dla renesansu rewizjonizmu w Polsce (a poprzez nią – w całym bloku komunistycznym) stwarzała koegzystencja¹¹. Jak stwierdzał Giedroyc: *Okres ten trzeba wykorzystać nie dla łudzenia się à la Deutscher czy Kennan, co może się skończyć nową Jaltą, ale [...] w sposób umiejętny, by jak dotąd odosobniony eksperyment polski, stał się ogólnoblokowym. Jest to bardzo trudne, ale możliwe, gdyż symptomy przemian i ewolucji można zaobserwować. To jest jedyna droga na chwilę dzisiejszą. Ale by to miało szanse powodzenia, musi nastąpić generalna «zmiana warty»: nowi ludzie, nowe metody. [...] tylko my mamy pewne szanse. Dziś na Blok sow. można oddziaływać jedynie via Polska. Na Polskę z Zachodu właściwie tylko my mamy wpływ¹². Taktyka ta, do której sformułowania na łamach „Kultury” przywiązywał Giedroyc dużą wagę¹³ (pisał: *Może się stać, że w tym przelotowym momencie, my będziemy jedyni, którzy będą mieli koncepcję manewru tak jak to było w roku 56-tym¹⁴*), wyłożona została przez Mieroszewskiego w artykule *W matni koegzystencji*¹⁵. Został on skonstruowany wokół tezy, że na dłuższą metę koegzystencja i utrwalenie pokoju (nawet jeśli ówczesnie były – a były – jedynie ze strony sowieckiej zmianą taktyki¹⁶), wyrzucić musiały o wiele większy *formatywny wpływ* na świat komunistyczny niż zachodni, a źródłem tego zjawiska były immanentne cechy komunizmu, jako systemu zamkniętego – ewolucja komunizmu była zatem sprawą przesądzoną. W epoce atomowej, której *ojcowie-fundatorzy* marksizmu-leninizmu nie przewidzieli, rewolucyjna doktryna, obliczona na zwycięstwo modelu sowieckiego w skali uniwersalnej (nierealne na drodze ewolucyjnej), stawała się kompletnym anachronizmem. Bomba atomowa „grała” przeciwko rewolucji komunistycznej. Wobec nierealności wojny, czerwony „mesjanizm” (skojarzony tu z „mesjanizmem” rosyjskim) skazany*

11. Por.: J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 4 i 14 X 1959.

12. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 6 X 1959.

13. Artykuł programowy, dotyczący tej kwestii, ukazał się w numerze listopadowym jako pierwszy i został zapowiedziany na jego okładce.

14. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 6 X 1959.

15. J. Mieroszewski, *W matni koegzystencji*, „K” 1959, nr 11.

16. W tym miejscu stosował Mieroszewski trafnie swoje ulubione porównanie do katolicyzmu: *Gdyby kościół rzymski zrezygnował z misji zdobycia wszystkich ludów świata dla swojej wiary, przestałby być kościołem katolickim.*

był na *zwietrzenie i spróchnienie na cmentarzysku Historii. Komunizm* [jako ruch rewolucyjny – AC] – *stoi i upada swoim uniwersalizmem*. Pokojowe współistnienie z kapitalizmem, stojąc w całkowitej sprzeczności z doktryną, wikało ją w wewnętrzne konflikty i w konsekwencji musiało doprowadzić w przyszłości wiele z jej kardynalnych zasad do bankructwa, a tym samym, do wewnętrznych przemian systemu, jaki się na niej opierał, zwłaszcza że *ideologiczny uniwersalizm komunizmu* stanowił nie tylko *sprężynę agresywnej polityki Sowietów na zewnątrz*, lecz był także *źródłem dynamiki wewnętrznej rozbudowy*. Jedyńm sposobem na wydobyć się z matni kompromitujących sprzeczności, była daleko posunięta rewizja doktryny komunistycznej. Na marginesie zauważyć należy, że postulowana przez Mieroszewskiego „rewizja” (przyjęcie zasady wielopoglądowości oraz przekształcenie się komunizmu w system społeczno-gospodarczy) oznaczałaby nie tyle przewartościowanie, co jego likwidację. Tak czy inaczej, operacji owej – jak twierdził – nie byłiby w stanie dokonać *starzy zawodowi komuniści typu Chruszczowa lub Gomułki*, którzy *utracili zdolność konfrontowania swoich poglądów z nowymi faktami i nowymi informacjami*. *Pokolenie rewolucyjnych komunistów* – pisał – [...] *do końca będzie się wzdrygać przed wyciągnięciem oczywistych wniosków z tej oczywistej sytuacji. Chruszczow do śmierci będzie zapewniał Amerykanów, że ich wnuki będą komunistami*. Gomułka z kolei, jak twierdził Mieroszewski, *okazał się miernotą i nie dorósł do sytuacji* (lub, jak pisał Giedroyc, po prostu od początku miał ograniczone cele, poza które nie zamierzał nigdy wyjść). Tak zarysowane okoliczności stawały się wyzwaniem, po pierwsze, dla marksistowskich intelektualistów-rewizjonistów (*Ci, którzy pogrzebali rewizjonistów i rewizjonizm* – orzekł Mieroszewski – *nieco się pospieszyli*), a po drugie – dla Polski, jako rewizjonistycznego centrum, mającego za sobą doświadczenie „Października”. Ponieważ wypracowanie przez Wschód i Zachód *pokojoyej polityki cywilizowanego współistnienia* byłoby możliwe tylko poprzez ewolucję całego bloku sowieckiego po linii polskiego modelu, miała ona szansę przyczynić się do rozładowania napięcia międzynarodowego, pogłębiając swój wpływ na państwa komunistyczne¹⁷.

17. J. Mieroszewski, *W matni...* J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 19 XI 1959.

W tym punkcie Giedroyc wysuwał tezę (którą, podkreślał, należało straszyć zarówno Zachód – dla zmobilizowania go do wypracowania odpowiedniej polityki, np. wynegocjowania statusu neutralnego w Europie – jak i komunistów, a także społeczeństwo w kraju), że alternatywą dla wskazanego wyżej sprzężenia zwrotnego „ewolucja-koegzystencja” był niebezpieczny wybuch (na większą jednak skalę niż w 1956 r., bo w całym bloku satelickim) nowych „Poznani”, tzn., wg niego, zamieszek o charakterze ściśle ekonomicznym, które zresztą, w warunkach systemu komunistycznego, nabierały charakteru politycznego. Przejściowa i częściowa liberalizacja, obecnie wycofywana, nie tylko społeczeństwu nie wystarczyła, ale spowodowała wzrost apetytów materialnych, niemożliwych do zaspokojenia bez wdrożenia przemian. *Niebezpieczeństwo dziś tkwi w tym – pisał – że prądy rewizjonistyczne zmieniły swój charakter i są masowe. To nie idzie o garstkę intelektualistów, których łatwo nastraszyć i u których wybitna nawet inteligencja nie idzie w parze ani z charakterem, odwagą czy myśleniem politycznym. Dzisiaj wszyscy chcą żywiotowo poprawienia stopy życiowej. Lepiej żyć, lepiej jeść, dochrapać się domku. Dziś ludzie nie dadzą sobie wyrwać befsztyka czy też kotleta schabowego. Drugą rzeczą nie do wytępienia jest fakt, że ludzie przyzwyczaili się do mówienia bez strachu. [...] Dziś chęć życia jak człowiek staje się żywiotowa, tym bardziej, że ciągle się łudzi społeczeństwa, obiecując im już raj za parę lat (prześcigniemy Amerykę w sześćdziesiątym którymś roku w masle, mięsie etc.). Takie dopin-gowanie jest na krótką metę. Po piatiletkach, po poprzednim okresie, ludzie nie będą czekali na raj. Stalin był mądrzejszy, bo nie obiecywał rajów na jutro. I dodawał: Ludzie mają politykę w nosie, chcą za wszelką cenę lepiej żyć, już, zaraz i to jest bardziej niebezpieczne i bardziej grozi wybuchem niż propaganda ideologiczna. Ostatecznie bolszewicy w 17 roku zwyciężyli, eksploatując proste slogany: pokój, ziemia a nie dlatego, że mówili o Marksie.* Poprawa sytuacji w bloku wschodnim (do której zresztą warunki miała stworzyć jego neutralizacja¹⁸ oraz rozsądny opór społeczeństwa) była zatem warunkiem *sine qua non* zapobieżenia niebezpiecznym zarówno dla USA, jak i ZSRS procesom oraz stabilizacji współistnienia. W szerszym ujęciu – zarysowujące się

18. Por. A. Z. Cichocka, «Na zimno kalkulowana rewolucja»..., s. 13.

perspektywy odprężenia międzynarodowego, mogły stworzyć szansę na urzeczywistnienie frazesu o Polsce, jako *pomoście między Wschodem a Zachodem*, które byłoby możliwe w razie pełnej restauracji polskiego „Października” (czego warunkiem była *generalna zmiana warty w kraju: grabarze Października winni odejść*) oraz (w razie sukcesu liberalizacji w Polsce) nadania mu znamion powszechnego ruchu ewolucyjnego (upowszechnienie polskiego modelu) w całym imperium sowieckim¹⁹.

Na koncepcję *«Październik polski jako model dla całej Europy satelickiej»* zareagował m.in. Adam Schaff, który (jak dowiedział się Mieroszewski od Leopolda Łabędzia) uważał, że *to marzenia ściętej głowy. Nasz projekt – komentował stanowisko filozofa Londyńczyk – jest oczywiście mało realny w Polsce i w partii musieliby być inni ludzie niż takie ciepłe piwa jak Schaff*²⁰.

Nie była to jedyna krytyczna ocena o paryskim miesięczniku, jaka dotarła do jego Redakcji z kraju na przełomie lat 50-tych i 60-tych. Podczas spotkania w Londynie ze Zbigniewem Bronclem, Melchior Wańkowicz (któremu „Kultura” zarzucała oportunizm) miał stwierdzić, że *Giedroyc to jest rzadki człowiek, który ma doskonałą analizę sytuacji i świetną syntezę. Bieda polega tylko na tym, że analiza opiera się na faktach a synteza na rojeniach*²¹. Redaktor z kolei otrzymał anonimową informację z warszawskich kół intelektualnych, że autorytet „Kultury” zaczął spadać z *zastraszającą szybkością* nawet w najbardziej liberalnych kołach literackich, co spowodowane było m.in. bardzo źle przyjętą tam sprawą Marka Hłaski oraz bezkompromisowymi ocenami postaw intelektualistów krajowych, wysuwanymi przez Mieroszewskiego²².

Co do tych ostatnich to faktem jest, że Redakcja, chcąc podtrzymać opór literatów wobec zaostrzających się represji i cenzury oraz przełamać będącą reżymowi na rękę apatię, bardzo mocno piętnowała postawy oportunistyczne²³. *Nie można odno-*

19. J. Mieroszewski, *W matni...*, s. 3-11; J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 17 XI 1959; J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 14 i 19 XI 1959; J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 12 IV 1959; por. też: J. Mieroszewski *Dwie «Algierie», „K”* 1960, nr 1-2, s. 132-141.

20. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 10 XII 1959.

21. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 3 I 1961.

22. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 29 V 1959.

23. Por. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 22 II 1959.

*sić się z pobłażaniem do niepotrzebnego oportunistu [...] intelektualistów w kraju. Trzeba bardzo uważnie wyważać, co oni muszą i mogą robić czy pisać, ale to nie może być usprawiedliwieniem swinienia się*²⁴.

W ramach owej taktyki mieściło się m.in. ogłoszenie w majowym numerze pisma z 1959 roku kontrkonkursu na utwór literacki, związany z działalnością milicji oraz służby bezpieczeństwa (w tej wersji – w skali całego bloku wschodniego), będące odpowiedzią na rocznicową inicjatywę MSW, o której komunikat zamieściła z kolei lutowa „Twórczość”²⁵. Pociągnięcie to, nazwane przez Mieroszewskiego *klasycznym uderzeniem w szczękę*, którego reżym „Kulturze” nie wybaczy, miało na celu zadanie poważnego ciosu bezpieczeństwu oraz *wykończeniu* Jarosława Iwaszkiewicza – ówczesnego kandydata na prezesa ZG ZLP, którego wybór uważał Giedroyc za klęskę literatury, reprezentowanej przez Marię Dąbrowską i Antoniego Słonimskiego. *Ten kompromis – oceniał już po fakcie – nie uratuje życia literacko-wydawniczego od represji, gdyż wynikają one z generalnej linii Gomułki: oszczędności i jego niechęci do inteligencji. Zamiast pozwolić przyjść zmianie warty marksistowskiej, by pokazała, co może zrobić, ułatwiają im sytuację, biorąc współodpowiedzialność*²⁶. Na zagranie „Kultury” z furią zareagował Konstanty A. Jeleński (a nieprzychylnie Czesław Miłosz oraz Marian Pankowski), zarzucający jej gnębienie jedyne go odważnego i na poziomie pisma w Polsce. Według Broncia z kolei konkurs podrywał zaufanie do „Kultury”, jako pisma *autentycznie lewicowego*. Narastający konflikt z Jeleńskim, który negatywnie odnosił się także do obliczonej na inne (poza Polską), państwa bloku wschodniego akcji wydawniczej, po raz kolejny ustawił naprzeciwko siebie po pierwsze – dwie różne postawy emigrantów wobec kraju: pomoc oraz unikająca zadrażnień z reżymem współpraca z krajem („nie narażać”), czy też szeroko zakrojona polityka, obliczona nie tylko na cele doraźne (bieżące wsparcie), ale i długofalowe (w dalekiej perspektywie – niepodległość), a po drugie – odmienne pojmowanie lewicowości.

24. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 7 IV 1961.

25. Redakcja, *Ogłaszamy konkurs literacki*, „K” 1959, nr 5, s. 3-4.

26. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 15 IV 1959; J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 19 IV 1959; J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 9 XII 1959.

Zaniepokojony reakcją współpracowników, Giedroyc uznał je za objaw nie tylko słabości i braku konsekwencji, ale narastającego *rozbrojenia* emigracji «postępowej» w ogóle. *Jedni są kupieni* – stwierdzał – (*Pankowski, którego książki wydają w Kraju*) a *Kot i Miłosz zdecydowanie odrzucają antykomunizm*. W swoim czasie obaj wysyłali depesze protestacyjne prze[ciw] straceniu Rosenbergów mimo, że im nie tylko ja, ale szereg ludzi, autentycznych *ex-komunistów* [...] odradzało. Obaj uważają *de Gaulle'a* za *faszystę*, natomiast *bezpieka* jest «tabu» jako że *komunizm, Gomułka etc.*

Echa dyskusji z Jeleńskim, którego Mieroszewski nazwał z kolei złośliwie *wielkim lewicowcem* na *grubej amerykańskiej pensji* (w przeciwieństwie do niego samego – «reakcjonisty» w *obszarpanych spodniach*), traktującym odprężenie bardziej dosłownie niż Chruszczow, zawierał artykuł *Kłeska urodzaju*, który poruszał kwestię roli zachodniej lewicy intelektualnej²⁷ oraz definiował problem antykomunizmu.

Publicysta wychodził od tezy, że na ewolucję w imperium sowieckim można było wpływać wyłącznie z Zachodu. Taktykę, z jaką należało podjąć wyzwanie komunizmu, wyznaczała jego natura, jako systemu uniwersalnego, mającego oczywiste ambicje globalne. Polegać miała więc ona na stworzeniu własnego, zachodniego systemu o światowym zasięgu i priorytetach. Baza dla takiej formacji nie mógłby stać się antykomunizm. Pojmowany *demokratycznie* (i z takim „Kultura” swoją postawę utożsamiała) był i *nigdy nie powinien być niczym więcej, jak poczuciem solidarności, łączącej przeciwników komunizmu, a więc ludzi o różnych przekonaniach politycznych*. Systemem natomiast, stanowiącym przeciwwagę dla komunizmu, mógł stać się antykomunizm (jako doktryna negatywna) za cenę stotalizowania i przekształcenia się w *faszizm*, w lustrzane odbicie komunizmu, którego byt warunkowałoby istnienie *wroga* i zorganizowanej przeciwko niemu masowej nienawiści. Alternatywą dla przedstawionej wyżej dość... abstrakcyjnej jednak wizji, miał być system mię-

27. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 19 IV 1959; J. Giedroyc do Z. Broncl, 15 IV 1959; Z. Broncl do J. Giedroycia, 3 VI 1959; J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 9 XII i 2 V 1959; J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 20 XII i 29 IV 1959, 17 X i 1 II 1960, J. Mieroszewski do J. Giedroycia, [IX/X] 1961.

dzynarodowy, oparty na niekomunistycznej koncepcji, wypracowanej przez socjalistów, jedynych przygotowanych do wysunięcia programu uniwersalnego. *Gdyby w świecie północnoatlantycznym – przekonywał – rozwijały się dynamiczne, nowoczesne partie socjalistyczne, gdyby na arenie światowej szły ze sobą o lepsze dwie formy socjalizmu – wówczas nadzieja na «Październik» w imperium sowieckim miałyby rzeczowe podstawy. Koegzystencja oznaczałaby wtedy ścieranie się dwóch uniwersalnych koncepcji i każdy sukces socjalizmu zachodniego, stanowiłby rzeczywistą klęskę socjalizmu wschodniego. Jako, że wielkie syntezy są zawsze wynikiem zderzenia się i starcia formacji antagonistycznych, proces ów doprowadziłby ostatecznie do „Października” w skali światowej, a globalny cel (tzn. zwycięstwo nad komunizmem w walce, w której stawką był cały świat) zostałyby osiągnięty.*

Zachód nie był jednakże przygotowany do roli inicjatora i katalizatora przemian w bloku wschodnim. Brak teorii systemu uniwersalnego był w dużej mierze konsekwencją kryzysu socjalizmu, stanowiącego z kolei pochodną uwiadu intelektualnej lewicy. To intelektualiści właśnie, a nie robotnicy (których *horyzont ideologiczny* nie wychodził poza ramy związków zawodowych), byli rdzeniem socjalizmu. Tymczasem sparaliżowani zostali oni *«siłą fatalną»* komunizmu, która jednym przełamała kręgosłup w *młynach stalinizmu*, a innych uwięziła w bezkrytycznej fascynacji. Ci pierwsi, *wyjąłowieni, rozczarowani i raz na zawsze pozbawieni złudzeń*, byli w większości wypadków [...] *straceni dla sprawy socjalizmu*, dla tych drugich – w zestawieniu z *«nową wiarą»*, socjalizm utracił swą intelektualną atrakcyjność²⁸.

Dla wyjścia z zapaści (której objawem była m.in. utrata popularności), zachodnie partie socjalistyczne winny były dokonać rewizji własnych anachronicznych tez i opracować nowy program, wolny od dogmatyki i ortodoksji, który zawierałby odpowiedź na współczesne problemy. W artykule *Czy socjalizm jest jeszcze potrzebny?* Mieroszewski zakładał (na podstawie obserwacji sytuacji w Wielkiej Brytanii), że w dobie rewolucji technologicznej na Zachodzie, socjalizm nie mógł osiągnąć swego celu nadrzędnego, tzn. zniesienia wyzysku oraz ustanowienia sprawiedliwego ładu społecznego, stosując dotychczasowe instru-

28. J. Mieroszewski, *Kłęska urodzaju*, „K” 1960, nr 3, s. 94-101.

menty (takie jak np. nacjonalizacja, prowadząca, jak wykazał eksperyment sowiecki, jedynie do niekontrolowanych, autorytarnych rządów monopartii) czy tezy, podniesione do rangi nie-wzruszalnego dogmatu. Dynamiczna polityka socjalizmu, jeśli miał być on polityką właśnie a nie *ewangelią zamierającego kościoła*, musiała wziąć pod uwagę realia, takie jak współczesne przemiany strukturalno-socjalne, sprzyjające rozkwitowi kapitalizmu, który czekał dopiero na swój *złoty okres*. Wielkim zadaniem socjalizmu (potrzebnego jak nigdy dotąd), była nie likwidacja kapitalizmu na Zachodzie, czy komunizmu na Wschodzie (w obu przypadkach niemożliwa bez interwencji z zewnątrz), ale ich humanizacja, m.in. poprzez poddanie społecznej kontroli, która w dalszej perspektywie doprowadziłaby do wspomnianego ujednolicenia systemów²⁹.

Przedstawione rozważania dopełniały lansowaną ówczesnie przez „Kulturę” koncepcję reaktywacji i upowszechnienia „Października”.

Na marginesie warto zauważyć, że Giedroyc, spierając się z Jeleńskim nie tyle – jak chce Andrzej S. Kowalczyk – nie dostrzegał, że *to właśnie Jeleński jest prawdziwym lewicowcem w ówczesnym rozumieniu tego określenia na Zachodzie*³⁰, co aż zanedbato zdawał sobie z tego sprawę. Z niepokojem przyglądał się wykazywanej przez ową „prawdziwą lewicę” politycznej ślepoty czy hipokryzji, która, przykładowo, atakowanie UB kazała nazywać aktem „reakcyjnym”, a wojska i policji w Algierii – „lewicowym”³¹, określając je zupełnym zatraceniem zmysłu rzeczywistości i jakiegokolwiek *pionu*³². Polemiką z taką postawą był artykuł *Sumienie i atomy*, w którym Mieroszewski deklarował: *Faktywym mistykom komunizmu [...], moralistom, doradzającym jednostronne rozbrojenie, intelektualnym anarchistom, nawołującym do dezercji – przeciwstawić musimy chłodny, zrównoważony racjonalizm*³³.

29. J. Mieroszewski, *Czy socjalizm jest jeszcze potrzebny?*, „K” 1959, nr 12, s. 61-69.

30. Por. M. Grochowska, *Jerzy Giedroyc. Do Polski ze snu*, Warszawa 2009, s. 421.

31. Por. J. Giedroyc do Z. Bronclá, 16 VI 1969.

32. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 6 X 1960.

33. J. Mieroszewski, *Sumienie i atomy*, „K” 1960, nr 12, s. 56.

Użyta jako argument w sporze z Redaktorami informacja Jeleńskiego o utracie przez „Kulturę”, na skutek katastrofalnej polityki oraz radykalnego obniżenia poziomu, wszystkich wpływów oraz ruinie jej pozycji w kraju³⁴, nie znajdowała, jak się wydaje, potwierdzenia.

O ile pewne koła literackie faktycznie przyjęły konkurs milicyjny z *niesmakiem*, to np. Jerzy Kornacki i Helena Boguszewska dziękowali za niego *dostłownie ze łzami*. Pozytywnie wyrażać się o nim miały również Maria Dąbrowska i Anna Kowalska oraz studenci z UW³⁵. Giedroycia ucieszyła ponadto wiadomość, że wśród krakowskich studentów każdy z numerów „Kultury” był *dostłownie zaczytywany aż do kompletnego starcia papieru*³⁶, a także *masowo* nadsyłane z kraju, zwłaszcza od młodzieży, żądania wytycznych, szczególnie że z tym właśnie pokoleniem (*bardzo, jak oceniał, trzeźwym i praktycznym, ale też w jakiś sposób «szukającym»*) wiązał duże nadzieje³⁷. Popularność wśród młodych potwierdzali informatorzy Mieroszewskiego, który stwierdzał: *Uważam to za nasz największy sukces – żeśmy umieli zainteresować w Kraju młodych*³⁸. *Nie możemy patrzeć na całość sytuacji w Polsce – wnioskował z powyższego publicysta – oczami literackiej «sytuacji» w W-wie. Pozycja «Kultury» – odkąd usztynwiliśmy się trochę – rośnie w kołach intelektualnych w Kraju*³⁹.

Potwierdzeniem tej konstatacji były informacje (pochodzące m.in. od Artura Sandauera, Słonimskiego, Stanisława Cate-Mackiewicza czy Stanisława Stommy, czyli niekoniecznie entuzjastów pisma), z których wynikało, że pomimo zastrzegających się restrykcji stosowanych przeciwko „Kulturze” przez reżym (z których najbardziej spektakularnym była sprawa Anny Rewskiej-Szarzyńskiej, mająca na celu ostrzeżenie krajowców przed kontaktami z Maisons-Laffitte), jej rola była większa niż w „Październiku”. Paryski miesięcznik nigdy wcześniej, jak twierdzono, nie miał takiego autorytetu w kraju jak wówczas, a decydenci (w tym członkowie KC) studiowali go podobno *jak*

34. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 20 XII 1959.

35. J. Giedroyc do Z. Broncl, 16 VI 1959.

36. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 14 III 1960.

37. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 21 III 1959, 26 I 1961.

38. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 11 IX 1960.

39. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 29 IV 1959.

*biblię*⁴⁰, ucząc się jej niemal na pamięć, coraz bardziej ją jednocześnie zwalczając, jako *główny ośrodek rewizjonizmu*, którego kardynalnym, choć ukrytym celem było szerzenie rewizjonizmu w ZSRS⁴¹. Pojawił się i taki głos, że „Kultura” wywiera większy wpływ na komunistów, niż na bezpartyjnych⁴². W środowisku „Tygodnika Powszechnego” doskonałe wrażenie zrobiło bezkompromisowe stanowisko „Kultury” w sprawie Niemiec⁴³ (które, nawiasem mówiąc, streścić można jako walkę o uznanie polskiej granicy zachodniej, co storpedowałoby jeden z głównych propagandowych sloganów komunistycznych władz, służący legitymizacji systemu).

Swego rodzaju plebiscytem popularności „Kultury” była też lawina gości z kraju, odwiedzających redakcję. W połowie 1959 r., relacjonował Giedroyc Anieli Mieczysławskiej: *U nas nieprawdopodobny zjazd ludzi z kraju [...]. Prawie, że śpią na podłogach. Bardzo przyjemnie i pożytecznie ale można zwariować no i trudno pracować. Na szczęście skręciłem sobie dość boleśnie mięsień w nodze, więc mogę spokojnie zamykać się w pokoju i jakoś się izolować*⁴⁴, a Mieroszewski „uskarżał się” na *zamaglowanie Polusami z Kraju*, którym musiał rozdać doszczętnie wszystkie, jakie posiadał, pozycje wydane przez Instytut Literacki (wśród których największą popularnością cieszyły się książki Dżilasa)⁴⁵. Jednocześnie ubolewał Giedroyc, że wśród *garnących się do „Kultury”* przyjezdnych, nie było w owym czasie członków partii⁴⁶.

Kolejne miesiące nie napawały optymizmem w kwestii rewizjonistycznej. Pod koniec roku 1960 Giedroyc stwierdził, że *rewizjonizm właściwie w Polsce leży. Sami rewizjoniści, jak Leszek Kołakowski, odżegnują się od tego z nie ukrywanym lękiem. [...] Rewizjonistów rzeczywiście nie ma i opieram to nie na relacjach Kisielewskich czy Mackiewiczów, ale na kontaktach z samymi rewiz-*

40. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 14 III 14 IX 1960; J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 24 IV i 28 XI 1960.

41. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 3 i 5 IV 1961.

42. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 24 VIII 1959.

43. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 14 III i 14 IX 1960; J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 24 IV i 28 XI 1960 oraz 24 VIII 1959.

44. J. Giedroyc do A. Mieczysławskiej, 19 IX 1959.

45. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 11 IX 1959.

46. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 4 IX 1960.

zjonistami jak Kołakowski, Strzelecki etc. To znaczy są rewizjonistami mimo woli. W ten sposób i Schaff jest rewizjonistą. Jakkolwiek wyłazi ze skóry, by być prawowierny dla Moskwy, jest rewizjonistą i jest pod stałym ostrzałem⁴⁷. W związku z powyższym, Redaktor niechętnie odniósł się do napisanego przez Mieroszewskiego artykułu (przeznaczonego, w zamierzeniu autora, *na kraj*), w którym postulował budowanie koegzystencji na linii Wschód-Zachód poprzez porozumienie marksistów z obu stron „żelaznej kurtyny” – tzn. przez Nową Lewicę oraz rewizjonistów⁴⁸, uznając go za dobry, ale, jako dotyczący problemu, który w kraju bardzo przycichł i nie wywoływał dawnych namietności – *nie na czasie*⁴⁹. Mieroszewski, nie podzielający stanowiska Giedroycia, przekonywał: rewizjoniści są – i my musimy w nich inwestować, ponieważ nikt na Zachodzie tego ani nie rozumie, ani nie robi, a nawet jeżeli ich nie ma [...] to musimy ich zrobić⁵⁰. Postanawiając na pewien czas dać spokój tematyce rewizjonistycznej na łamach „Kultury”, nie rezygnował Redaktor ze starań, zmierzających ku wspomnianemu przez Londyńczyka wykreowaniu rewizjonistów, i to w skali nie tylko polskiej. Służyć miała temu dokumentacja problemu (np. antologia *Węgry* czy książka Adama Ciołkosza o Róży Luksemburg)⁵¹.

Docierające do Maisons-Laffitte informacje o apatii i poczuciu beznadziejności, w jakim pogrążali się nie tylko rewizjoniści, ale i całe środowisko intelektualne i inteligenckie, podpowiadały Giedroyciowi skoncentrowanie się na polityce globalnej. Redaktor wyrażał pogląd, że to ona, a zwłaszcza fakt upadku autorytetu Zachodu (głównie USA) w bloku wschodnim, był głównym powodem owego *generalnego okłapnięcia*. *Sprawa wydaje się przegrana* – pisał – *i wszyscy chcą «przycupnięcia»*⁵². W okresie tym *idée fixe* Redaktora stało się wykorzystanie w rozgrywce między Wschodem a Zachodem procesów dekolonizacyjnych. Wiązało się to z przekonaniem, że afroazjatyckie ruchy niepod-

47. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 2 i 6 X 1960.

48. J. Mieroszewski, *List na adres w Warszawie*, „K” 1960, nr 12, s. 68.

49. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 6 X 1960.

50. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 3 X 1960.

51. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 6 X 1960.

52. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 2 X 1960.

ległociowe były potencjalnym sprzymierzeńcem narodów „skolonizowanych” przez ZSRS (w którym widział początki analogicznego fermentu, co w byłych imperiach kolonialnych)⁵³ – oraz dostrzeżeniem możliwości odwrócenia ostrza jednego z ulubionych argumentów propagandy komunistycznej (a także mającej „klapkę” na lewym oku zachodniej lewicy) i skierowania go przeciwko imperializmowi sowieckiemu. Przecistawienie komunizmowi programu o charakterze globalnym, polegającego na aktywnym popieraniu tendencji wolnościowych oraz upowszechnianiu demokracji w świecie, stworzyłoby nie tylko zapórę przeciwko niemu, ale i odbudowało autorytet USA⁵⁴. Nie poprzestając na tym, rozważał on projekty rozwiązania polskich problemów wewnętrznych (nadprodukcja inteligencji) poprzez wykorzystanie możliwości, jakie stwarzały afrykańskie braki kadrowe), pisząc nawet o możliwościach powstałych dla *polskiej ekspansji gospodarczej w Afryce* oraz konieczności propagowania w niej idei demokratycznego i wielorasowego społeczeństwa⁵⁵ (choć przeciwko forsowaniu pomysłu organizowania w Afryce przez Polaków „czarnego harcerstwa” zaprotestował nawet Mieroszewski)⁵⁶.

Z przedstawioną wyżej koncepcją, korespondowały dwie inne, głoszące, że do walki z ZSRS potrzebny jest wspólny front wszystkich narodów wchodzących w jego skład, z narodem rosyjskim włącznie⁵⁷, oraz że na ewolucję bloku sowieckiego oddziaływać trzeba aktywnie i można to robić jedynie za pośrednictwem Polski, a na wstępie – „Kultury”. Jak przekonywał Giedroyc – *tylko my możemy to robić gdyż mamy sytuację w Polsce a jednocześnie już mamy kontakty własne*⁵⁸. *Żeby rzeczywiście coś zrobić na odcinku wsch. europejskim i stworzyć sobie pozycję – dawał – musimy w tej chwili maksymalnie bluffować i robić szum na odcinku międzynarodowym.* Instrumentem służącym do reali-

53. Redaktor, *Zbrodnia i wnioski*, „K” 1961, nr 3, s. 3-4.

54. J. Mieroszewski, *Ameryka i świat*, „K” 1961, nr 1-2, s. 8, 9, 12.

55. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 5 IX 1960; Redaktor, *Zbrodnia...*, 3-4.

56. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 21 X 1960 i 25 II 1961; J. Mieroszewski do J. Giedroycia, [II/III] 1961.

57. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 23 I 1961 i 16 X 1959.

58. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 16 X 1959.

zacji owej „misji”, ale i wzmocnienia pozycji samej „Kultury”, była prowadzona przez Instytut Literacki akcja wydawnicza, w tym zwłaszcza publikacja napływających z ZSRS sensacyjnych rękopisów, czemu starano się nadać jak największy rozgłos⁵⁹. W tych ramach mieściło się także wydanie rosyjskiego numeru miesięcznika (1960), będącego w założeniu próbą stworzenia platformy dla rosyjskich rewizjonistów, co w dalszym etapie doprowadzić miało, w sprzyjających okolicznościach, do upowszechnienia „Października” w skali wschodnioeuropejskiej⁶⁰. Redakcja, zdając sobie sprawę z tego, że warunkiem niezbędnym jakiegokolwiek wpływu była zmiana klimatu w stosunkach polsko-rosyjskich, lansowała koncepcję dialogu polsko-rosyjskiego, prowadzonego – wbrew tradycjom endeckim – nie z reżymem, ale, na gruncie idei samostanowienia narodów, ze społeczeństwem.

Niebezpieczną przeciwwagę dla powyższych pomysłów upatrywał Redaktor w szerzącej się, jego zdaniem, w kraju *konceptcji kapitulacyjnej* wobec ZSRS, w czym *ponurą rolę* odgrywać miał *przyjaciel Kisielew*⁶¹. Ze stanowiskiem Stefana Kisielewskiego polemizował Mieroszewski. Przekonując o jego szkodliwości, nazywał szkołą *determinizmu geopolitycznego*, stanowiącą odmianę lojalizmu z okresu zaborów, tyle że bardziej jeszcze ugodowego, bo za „sojusz” z ZSRS godzącą się płacić prawem narodu do własnej *modły życia*. *Wprzęganie myśli katolickiej do tej roboty [...] – przekonywał – jest przejawem tępoty i oportunistycznego pewnych kół inteligencji w kraju. Doktryna geopolitycznego lojalizmu* prowadziła bowiem do rozbrojenia nastrojów opozycyjnych w społeczeństwie. Wyjałowiona z wszelkiej inicjatywy i nie przyjazna, ale wiernopoddańcza koncepcja krajowych „pozytywistów”, nie mogła wydać się atrakcyjna narodom ZSRS, a tym samym spełnić podstawowego postulatu „Kultury”, tzn. stać się katalizatorem przemian w regionie⁶².

59. A. Terc (A. Siniawskij), *Sąd idzie. Co to jest realizm socjalistyczny?*, Paryż 1959; A. Terc (A. Siniawskij), *Opowieści fantastyczne*, I. Iwanow (A. Remizow), *Czy istnieje życie na Marsie?* A. Terc (A. Siniawskij), *Fantastyczskie powieści*, I. Iwanow (A. Remizow), *Jest li życie na Marsie?* Paryż 1961; J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 11 XI 1959.

60. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 5 I 1960.

61. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 31 III 1961.

62. J. Mieroszewski, *Oni i my*, „K” 1961, nr 12, s. 5-13.

Zwalczaniu szkodliwych, zdaniem „Kultury”, tendencji w kraju służyła, obok polemiki ze wspomnianą orientacją polityczną, ostra krytyka postawy inteligencji w ogóle. Straciła ona, twierdził Mieroszewski, poczucie misji i kierunku, czego objawem był brak choćby prób wykorzystania istniejącego w PRL marginesu dla *naporu*, jednego z trzech, przypomnijmy, czynników (obok sytuacji zewnętrznej oraz fermentu w partii) warunkujących wskrzeszenie pod polskim przywództwem „Października”, o którego konieczności (w każdym razie w skali polskiej) przekonana była zresztą znakomita większość odwiedzających Redakcję krajowców⁶³.

Odpowiadając na zadane na łamach „Kierunków” prowokacyjne pytanie Cata-Mackiewicza: *skoro odrzucacie koncepcję «państwa na obczyźnie» – dlaczego nie wracacie do kraju?*, Mieroszewski pisał: *Jedną z zasadniczych przyczyn, które spowodowały, że [...] nie wróciliśmy do kraju jest nie tyle brak opozycji, ale jej całkowita impotencja. Gdyby w Polsce istniała opozycja, choćby z najskromniejszym, ale z konkretnym programem politycznym – gdyby wywierała wpływ nawet za tę cenę, że od czasu do czasu jakiś opozycyjny działacz lądowałby nie w – tu dostało się Zawieyskiemu – Radzie Państwa ale w więzieniu, wówczas obowiązkiem naszym byłoby wrócić*⁶⁴. W takich okolicznościach „Kulturze” przypadała rola aktywnej, choć działającej poza krajem opozycji, mającej do zaproponowania alternatywny *trzeci program*, pomiędzy polityką akomodacji prozachodnią i prosowiecką (zarówno w wydaniu komunistycznym, jak i niekomunistycznym)⁶⁵.

Jako szczególnie szkodliwą w tamtym okresie wskazywała piórem Mieroszewskiego „Kultura” współpracę z PAX-em, którego ideologię charakteryzował publicysta jako *totalistyczną*, nazywając *klasycznym faszyzmem, który przyjął czerwoną barwę ochronną*⁶⁶. Pisanie w „Kierunkach” np. nazywał Mieroszewski *najobrzydliwszym z wszystkich możliwych kompromisów*, polegają-

63. J. Mieroszewski, *Polski «nowy, wspaniały świat»*, „K” 1961, nr 3, s. 129; Londyńczyk, *Kronika angielska*, „K” 1961, nr 11, s. 117; J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 17 XI 1959.

64. J. Mieroszewski, *Oni...*, s. 4, 8 i 13.

65. Por. J. Mieroszewski, *Dwadzieścia lat później*, „K” 1959, nr 1-2.

66. Londyńczyk, *Kronika angielska*, „K” 1961, nr 9, s. 113.

cym na zgłoszeniu akcesu do gorszego nawet od ustroju komunistycznego polskiego «nowego, wspaniałego świata», najbardziej zakłamej utopii, jaka kiedykolwiek istniała. W świecie tym miała miejsce idylliczna synteza popisów stalinowskiej drętwej mowy oraz licytacji wazeliniarstwa pod adresem Sowietów Piaseckiego z opowieściami konserwatystów o Franciszku Józefie: «Przebudowa socjalistyczna», «Świadomość socjalistyczna», «sojusz z Sowietami», «zwycięstwo obozu socjalistycznego» – a wokół tego stado żubrów, przeżuwające zeszłowieczne siano. W owym licencjonowanym kabarecie führera Piaseckiego swoje nazwiska i przeszłość sprzedawali przedwojenni «ludzie z towarzystwa». Występując w oryginalnych kostiumach [...] z epoki dwudziestolecia, udając, że w Warszawie nic się nie zmieniło – jak gdyby w Belwederze mieszkał nadal starszy pan w siwym marszałkowskim mundurze – firmowali orwellowską niemal maskaradę, utrzymując złudzenie wolności słowa dla wszystkich. W zamian za zezwolenie dokończenia życia w pozorach dnia wczorajszego, gotowi byli zaakceptować rewolucję jutrzejszą⁶⁷.

Kolejne ataki na PAX były odpowiedzią na swego rodzaju „zamówienie społeczne”, składane przez Polaków z kraju. By *bić w PAX w każdym numerze* sugerowała np. Mieroszewskiemu Aniela Steinsbergowa⁶⁸. Obok podobnych postulatów pojawiły się i pretensje Cata-Mackiewicza, że „Kultura”, atakując swego czasu Bolesława Piaseckiego nie tylko jako agenta, ale rewizjonistę⁶⁹ (co miało zrobić ponoć wielkie wrażenie na Gomułce), mocno osłabiła jego pozycję. Redakcja uznała ten dowód wpływu za jeden ze swoich większych sukcesów⁷⁰. Wydaje się, że, choć na łamach pisma wygrało nieprzejednane w tej sprawie stanowisko Londyńczyka, podejście samego Giedroycia było bardziej stonowane. *PAX jest niewątpliwie przeciwnikiem, którego należy zwalczać – przekonywał – ale trzeba to robić z pewnym umiarem i obiektywizmem. [...] Jedną z rzeczy, których należy unikać, to traktowania go jako agenta. Piaseckiego nie można w takie*

67. J. Mieroszewski, *Polski «nowy...»*, s. 121-124.

68. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 2 IX 1960, J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 3 i 5 IV 1961.

69. Por.: J. Mieroszewski, «*Rewizjoniści*» których popiera Moskwa, „K” 1958, nr 12.

70. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 3 i 5 IV 1961.

ramki zamknąć, gdyż niewątpliwie nie jest zwykłym agentem wywiadu⁷¹. Raziła także Redaktora charakteryzująca poświęcone temu tematowi artykuły Mieroszewskiego *niepotrzebna agresywność personalna*⁷² (dla której celem stał się zwłaszcza Wańkowicz i Cat). *Nie należę do ludzi* – pisał w tym czasie do Jerzego Stempowskiego – *w czambuł potępiających PAX*⁷³.



Gdy zniknęli ze sceny rewizjoniści, pozostała pustka, której nikt nie wypełnił⁷⁴ – pisał Mieroszewski na początku 1961 r. Wydarzenia kolejnych miesięcy przyniosły jednak pewne nadzieje na ponowne ożywienie tej stawki⁷⁵.

25 lipca 1961 roku, parę miesięcy po przyjeździe do Francji, zatelefonował do Maisons-Laffitte z prośbą o pomoc, ciężko chory Andrzej Stawar. Giedroycia osobiście nie znał wcześniej ale wyrażał się o nim z wielkim uznaniem (twierdząc, że wzbudza w nim zaufanie), podobnie jak i o „Kulturze”, jako o piśmie doskonale i z wielkim talentem redagowanym, a także o publicystyce Mieroszewskiego. Nie nawiązywał z nim jednak wcześniej kontaktu, obawiając się, że mogłoby to zostać odczytane jako znak zerwania z Polską⁷⁶. Mieszkańcy domu „Kultury” opiekowali się nim aż do śmierci, która nastąpiła 5 sierpnia w szpitalu w Saint-Germain⁷⁷. Jerzy Kornacki, będący z nim w bliskich stosunkach, miał później powtórzyć jego słowa, że *pragnie umrzeć na wolności*⁷⁸. Urnę z prochami Stawara sprowadzono do Polski, pochowano, z oficjalnymi honorami, w Alei Zasłużonych na Powązkach. Jarosław Iwaszkiewicz, który odmówił wygłoszenia przemowy na pogrzebie, mógł

71. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 4 IX 1960.

72. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 7 II 1961.

73. J. Giedroyc do J. Stempowskiego, 31 VII 1960, w: J. Giedroyc, J. Stempowski, *Listy 1946-1969*, oprac. A. S. Kowalczyk, Warszawa 1998, cz. 2, s. 128.

74. J. Mieroszewski, *Polski «nowy...»*, s. 129.

75. Por. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 2 VIII 1961.

76. S. Vincenz do J. Giedroycia, 26 VIII 1961.

77. J. Giedroyc do S. Vincenza, 6 VIII 1961.

78. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, Biuro Udostępniania [AIPN BU] 01251/437; mf: 3100/3-10, Notatka dot. Kornackiego Jerzego, 25 IX 1961, k. 155-156.

mieć później powody do satysfakcji...⁷⁹. W prasie ukazała się w tym czasie seria sławiących Stawara artykułów, powstał nawet klub krytyki literackiej jego imienia. Stawara traktowano, jako jednego z czołowych intelektualistów komunistycznych. Aż do połowy września utrzymał Giedroyc w tajemnicy, że Stawar podarował mu rękopis swojej ostatniej książki, nie mogącej ukazać się w PRL, a którą kończył pod Paryżem⁸⁰. Wtedy to ujrzały światło dzienne *Pisma ostatnie*, wydane (po odcyfrowaniu niemal nieczytelnego tekstu) przez Instytut Literacki jako XVIII tom *Dokumentów*, do którego przedmowę napisał Stempowski-Hostowiec.

Książkę Stawara określił Giedroyc jako *ostatnią książkę marksistowską*. Oceniał: *Świetna i odkrywczą analiza i... żałosne wnioski. Żałosne nie dlatego, że już mu nie starczyło sił czy inteligencji ale dlatego, że nie miał odwagi na przekreślenie marksizmu*⁸¹. Interesująca jest pewna rozbieżność pomiędzy tezami książki a wspomnieniem Giedroycia, przywołanym w *Autobiografii na cztery ręce*. Dotyczyło ono jego dyskusji ze Stawarem (określonym przez Giedroycia mianem trockisty), w których miał on przekonywać Redaktora o jego błędnym (bo bardzo krytycznym) stosunku do trockizmu⁸². Tymczasem z *Pism* nie wynika jakaś szczególna inklinacja autora do tego nurtu, wręcz przeciwnie – wskazywał on na pokrewieństwo Lenina, Trockiego i Stalina, między którymi antagonizmy, jak twierdził słusznie, sprowadzały się faktycznie do walki o władzę, a nie koncepcji jej sprawowania⁸³.

Tak czy inaczej, do *Pism ostatnich* przywiązywał Redaktor ogromną wagę, mając nadzieję, że nie tylko z siłą *bomby atomowej* uderzy w niczego nie spodziewający się reżym, ale także zainspiruje młodzież rewizjonistyczną oraz stanie się przedmiotem wewnętrznych dyskusji w partii i wpłynie tym samym poważnie na jej poglądy i ewolucję, w wyniku której skłoni się ona ku

79. Por.: J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 12 XI 1961.

80. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 17 IX 1961; J. Giedroyc do S. Vincenza, 6 VIII 1961; J. Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, oprac. K. Pomian, Warszawa 1999, s. 211; AIPN BU 01251/437, mf: 3100/3-10, Doniesienie agenturalne z dnia 4 X 1961 roku, 6 X 1961 (źródło „Słobudzki”), k. 159.

81. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 22 IX 1961.

82. J. Giedroyc, *Autobiografia...*, s. 211.

83. Por.: A. Stawar, *Pisma ostatnie*, z przedmową P. Hostowca, „Biblioteka «Kultury»”, t. 67, Paryż 1961.

paryskiemu ośrodkowi⁸⁴. W tym kontekście nazwisko autora przedmowy nie było przypadkowe. *Dla mnie – tłumaczył Giedroyc – znaczenie Hostowca polega nie jako asekuracji przed zarzutami kryptokomunistów ale jako wielkiego autorytetu w Polsce. Jego nazwisko utrudni Warszawie potraktowanie wydarzenia Stawar w ramach «zimnej wojny» i połajanki⁸⁵. Liczył również, że „testament” Stawara wywrze wrażenie na komunistach zachodnich, oraz rozważał, w celu rozszerzenia owego wpływu na Wschód, wydanie go po rosyjsku⁸⁶. Dla wzmocnienia ewentualnego efektu międzynarodowego planował ponadto opublikować książkę poświęconą Stawarowi, w której znalazłyby się teksty osób z nim związanych, tzn. np. Izaaka Deutschera, Aleksandra Wata, Bernarda Singera oraz Władysława Broniewskiego. *Jest to – wyjaśniał Mieroszewskiemu – stawka psychologiczna, że Broniewski, który był niesłychanie blisko Stawara i uważał za jedyną chyba dla siebie autorytet, gotów zbuntować się i napisać⁸⁷. [...] Mam nadzieję [...] – pisał Giedroyc – że cała ta akcja, która kosztowała mnie dużo nerwów i zdrowia, zrobi z nas centralny ośrodek, przynajmniej dla kraju a kto wie czy nie dla Zw. Sowieckiego⁸⁸. Dla Mieroszewskiego wydanie tej książki, będące logiczną konsekwencją stanowiska zajętego w stosunku do „Po prostu”, wyrażającego się w tezie, że z niezależną polską myślą marksistowską [można] się porozumieć, było zapoczątkowaniem budowy legendy polskiego marksizmu, które dla partii mogło być bardziej niebezpieczne niż cokolwiek innego, nawet jeśli tekst ten stanowił jedynie dokument historyczny, a nie polemikę ze współczesnością. Było ono ponadto świadectwem siły „Kultury”. Pisał – *jest to oficjalnym uznaniem nas jako alternatywy. Jest tylko Polska Ludowa i Maisons Laffitte – poza tym nie ma nic, niczego i nikogo⁸⁹. Na łamach „Kultury” Mieroszewski ponadto ostrożnie sugerował, że sprawa Stawara mogła przełamać dotychczasowe fiasko koncepcji emigracji „marksistowskiej”⁹⁰.***

84. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 17 IX 1961.

85. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 22 IX 1961.

86. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 17 IX 1961.

87. *Ibidem*; J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 18 IX 1961.

88. *Ibidem*.

89. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 19 IX 1961.

90. Londyńczyk, *Kronika angielska*, „K” 1961, nr 11, s. 119.

Wydanie *Pism ostatnich*, zawierających w przedmowie fotokopię listu, w którym autor solidaryzował się z „Kulturą”, wzbudziło w kraju niemałą sensację – wściekłość i rozgoryczenie w kołach partyjnych i rządowych⁹¹ (*Starewicz⁹² podobno chodzi po ścianie z rozpacz...* – miał stwierdzić Jan Zakrzewski z PAP-u)⁹³ oraz konsternację w środowisku intelektualnym, w którym wysnuwano różne sprzeczne interpretacje (a przynajmniej tak wynika ze złożonego policji politycznej raportu Kazimierza Koźniewskiego – „33”): że człowiek oszołomiony chorobą i lekami nie wiedział co czyni; że nie mogąc się wypowiedzieć w pełni w Polsce chciał zachować dla potomności swe prace zasadnicze, tzn. te o charakterze politycznym, zwłaszcza że miał zawsze ambicje polityczne, a nie literackie; że był rozgoryczony brakiem zgody na wydawanie proponowanego przez niego miesięcznika; że to, co zrobił, oznaczało zerwanie z krajem, albo przeciwnie – uczynił to jedynie w obliczu śmierci i pod jej warunkiem⁹⁴. Mieczysław Rakowski stwierdził „odkrywczo” w kontekście *nieprzyjemnej* sprawy Stawara, który postąpił, jego zdaniem, *niezbyt ładnie, że tego rodzaju manifestacja* nie ułatwi sytuacji intelektualistom, na których w kraju *patrzy się niezbyt chętnym okiem*⁹⁵. Ta zawierająca eufemistyczne określenie gomułkowskiej awersji do intelektualistów „przepowiednia” miała się niebawem ziścić.

Na aktywizację rewizjonizmu w Polsce wpłynąć miało także, jak planował Giedroyc, wydanie książki Aleksandra Hertzsa.

U podłoża wydania studium o roli Żydów w kulturze polskiej, napisanego przez wybitnego socjologa, leżał motyw polityczny. Jego publikacja miała być – jak chciał Giedroyc – *próbą inspirowania Żydów w Polsce (przede wszystkim partyjnych), że walka z antysemityzmem sowieckim (narastającym) i antysemityzmem polskim, inspirowanym przez Sowiety, może być jedynie sku-*

91. AIPN BU 01251/437, mf: 3100/3-10, Serwis nasłuchu Polskiego Radia z dnia 5 X 1961, W. Europa, g. 21:10, *Panorama Dnia*, Tadeusz Olszyński [T. Nowakowski], *Sprawa Kornackiego i Rudzińskiej*, s. 163-165.

92. Artur Starewicz – kierownik biura prasy w KC PZPR.

93. AIPN BU 01251/437, mf: 3100/3-10, Doniesienie agenturalne z dnia 4 X 1961 roku, 6 X 1961 (źródło „Słobudzki”), k. 159.

94. AIPN BU 01251/437; mf: 3100/3-10, Doniesienie „33”, k. 169-170.

95. M. F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1958-1962*, t. 1, Warszawa 1998, s. 307.

teczna, jeżeli zaczęła aktywniej działać jako rewizjoniści⁹⁶. Problem ten poruszał autor we wstępie, pisząc o Żydach odgrywających wybitną rolę w ruchu rewizjonistycznym, będącym, jako *bunt rozumu i uczucia przeciwko załganiu, obłudzie oficjalnej doktryny*, największą ze wszystkich groźbą dla komunizmu, który jako narzędzia w walce z nim używał, między innymi „antysemityzmu”⁹⁷. Kładąc nacisk na „sprawę żydowską” chciał Giedroyc doprowadzić do tego, by Żydzi w kraju uznali zespół „Kultury” za jedynych obrońców oraz zaczęli z nim tajnie, ale aktywniej współpracować. Niezależnie od tego Giedroyc projektował wydanie dotyczącej stosunków polsko-żydowskich antologii przeznaczonej dla Żydów amerykańskich, która miała przeciwdziałać narastającemu wśród nich gwałtownemu antypolonizmowi⁹⁸.



Nasilające się od 1958 r. ataki reżymu przeciwko „Kulturze”, których celem zasadniczym było przecięcie nici łączących ją z krajem, a w konsekwencji – likwidacja jej wpływów, mieściły się w logice walki o zawrócenie polskich intelektualistów z „rewizjonistycznych” i *burżuazyjno-liberalnych* (czyli po prostu zachodnich) *ideowych rozdroży*, po których, jak stwierdził Gomułka, błakali się zmierzając niechybnie ku *zaprzaństwu*⁹⁹.

Ledwo umilkły echa sprawy Rewskiej, doszło do kolejnych aresztowań, które były wynikiem prowadzonego nieprzerwanie „rozpracowywania” krajowych kontaktów „Kultury” przez SB¹⁰⁰. Zatrzymanie Anny Rudzińskiej, a zwłaszcza Kornackiego w 1961 r., łączono w środowisku warszawskim z paryskim ośrodkiem. Mówiono np. (jak wynikało z kolejnego raportu Koź-

96. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 17 VI 1961.

97. A. Hertz, *Żydzi w kulturze polskiej*, Warszawa 2004, s. 22-24.

98. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 17 VI 1961.

99. A. Bikont, J. Szczęsna, *Lawina i kamienie. Pisarze wobec komunizmu*, Warszawa 2006, s. 309.

100. M. Ptasieńska-Wójcik, *Inwigilacja Instytutu Literackiego przez Służbę Bezpieczeństwa w czasach Gomułki*, w: *Aparat bezpieczeństwa wobec emigracji politycznej i Polonii*, red. R. Terlecki, Warszawa 2005, s. 130-135; J. Siedlecka, *Obława. Losy pisarzy represjonowanych*, Warszawa 2005, s. 167-211.

niewskiego), że władze stały się „nerwowe” po sprawie Stawara i przedsięwzięły kroki w celu przecięcia i skompromitowania kontaktów z „Kulturą”¹⁰¹. Zniszczeniu paryskiego miesięcznika służyć miało także m.in. utworzenie, na przełomie maja i czerwca 1963 r., nowego tygodnika społeczno-kulturalnego, który zastąpił „Przegląd Kulturalny” i „Nową Kulturę”. Jediną interesującą rzeczą w nowym organie (nazwanym przy innej okazji przez Gustawa Herlinga-Grudzińskiego *najżałośniejszym piśmkiem jakie kiedykolwiek ukazywało się w języku polskim*¹⁰²) był tytuł – „Kultura” – którego dobór był oczywistą „dywersją” wymierzoną w paryski miesięcznik i tak to zresztą zostało przez Giedroycia odczytane¹⁰³.

Warszawski tygodnik (poświęcający w późniejszym okresie wiele miejsca na anty-„Kulturowe” ataki propagandowe), w którego pierwszym numerze stwierdzano, że powstał po to, by wziąć udział w walce z *reakcyjną ideologią płynącą [...] różnymi kanałami z tamtego kapitalistycznego świata*, w której *front* przebiegać miał także przez obszar kultury¹⁰⁴ (czyli, mówiąc wprost, w celu odcinania Polski od wpływów Zachodu), był jednym z instrumentów polityki kierownictwa PZPR, sformułowanej ostatecznie na XIII plenum KC. W obradach, których przedmiotem był referat Gomułki *O aktualnych problemach ideologicznej pracy partii*, większość mówców wypowiedziała się za zaostrzeniem kursu politycznego. W myśl zasady, że koegzystencja nie może oznaczać ideologicznego zawieszenia broni, wystąpiono z atakami na nastawione na kraj narzędzia „ideologicznej dywersji”¹⁰⁵. Przemówienie Gomułki Giedroyc uznał za *dziwne połączenie* – jak powtarzał za Czapskim¹⁰⁶ – *Chruszczowa, Żdanowa i Orzeszko-*

101. AIPN BU 01251/437; mf: 3100/3-10, Notatka dot. Kornackiego Jerzego, 25 września 1961, k. 155-156.

102. G. Herling-Grudziński, *Memoriał trzydziestu czterech*, „K” 1964, nr 5, s. 6.

103. Por.: J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 28 V 1963.

104. Archiwum Akt Nowych, Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej [AAN KC PZPR] (Wydział Kultury) 237/XIX-221, Ocena tygodnika „Kultura”, 18 VII 1966; *Od Redakcji*, „Kultura”, 16 VI 1963, nr 1.

105. W. Gomułka, *O aktualnych problemach ideologicznej pracy partii*, w: W. Gomułka, *O naszej partii*, Warszawa 1968, s. 494-573.

106. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, po 17 VI 1963.

wej, a przede wszystkim za wyraźne zamknięcie etapu października. Wynikiem XIII plenum – oceniał – jest stworzenie świętej zgody wewnątrzpartyjnej, rozgrywek puławian z partyzantami za cenę wzięcia za mordę społeczeństwa. Ta święta zgoda jest nieszczerą i zaklejona. Przypomina poprzednie «zgody» sowiecko-chińskie i prawdopodobnie spotka ją ten sam los, tj. stała i raczej coraz szybsze przyspieszenie rozłamu i erozja partii¹⁰⁷. Mieroszewski nie dostrzegał zaś w referacie I sekretarza niczego sensacyjnego ani nowego, poza przyznaniem, jak interpretował atak na rewizjonistyczne teorie¹⁰⁸, że rewizjonizm jest nadal w Polsce zagadnieniem istotnym¹⁰⁹. *To jest – pisał – usankcjonowanie zmian już dokonanych. Najpierw dokręcono śrubę a dopiero po fakcie usiłuje się to umotywować. [...] mowa jest słaba i robi wrażenie starej, zatartej płyty. Gomułce daleko do Żdanowa. On ma typową nienawiść pół-inteligenta do panów intelektualistów. Dla nich, intelektualizm może być tylko burżuazyjny i zachodni – innego nie ma*¹¹⁰.

Najistotniejszym wnioskiem wyciągniętym przez Giedroycia z XIII Plenum było przekonanie o pogłębianej dodatkowo kryzysem gospodarczym słabości i bezradności partii. *Zresztą co to jest partia poza policją i Biurem Polit[tycznym]? To też ludzie zgubieni, bez wiary szukający jakiegoś wyjścia* – pisał. Taki stan rzeczy otwierał – jego zdaniem – szansę na stawienie przez społeczeństwo oporu, który musiał być połączony z wysunięciem konkretnego programu¹¹¹. Program taki nie istniał, należało go więc wypracować w toku dyskusji, której zorganizowanie Redaktor rozważał¹¹². Za jedno z ważniejszych zagadnień uważał problem robotniczy, najślabszy – jego zdaniem – punkt nie tylko reżymu, ale i inteligencji¹¹³. Analizując sytuację w kraju konstatawał, że ta *najbardziej niezadowolona i najbardziej wroga ustrojowi* warstwa, która pozbawiona była własnych liderów (których nie zdołała, z braku czasu oraz możliwości, wysunąć), została w dodatku zdradzona przez inteligencję, i to zarówno krajową, jak i emi-

107. *Ibidem*.

108. Por.: W. Gomułka, *O naszej partii*, Warszawa 1968, s. 527-534.

109. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 17 VI 1963.

110. *Ibidem*.

111. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, po 17 VI 1963.

112. *Ibidem*.

113. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, IX 1963.

gracyjną (PPS – która straciła łączność z żywym społeczeństwem, Radio Wolna Europa – stawiająca przede wszystkim na wieś). *Oderwanie się inteligencji od mas robotniczych* – twierdził Redaktor – *nie było nigdy tak ostre chyba jak teraz*. Należało zatem, uważał, *bardzo ostro zwrócić uwagę inteligencji na konieczność nawiązania kontaktu i współpracy oraz nie bać się zachęcać robotników do walki, strajków o poprawę warunków materialnych, samorząd w związkach zawodowych czy wyjazdy za granicę (przy których „państwo komunistyczne” zupełnie ich pomijało*¹¹⁴). *Jeżeli ludzie dziś nie walczą, nawet tacy którzy mieliby ochotę – utrzymywał – to nie dlatego, że się boją opresji etc. Oni się boją potępienia ze strony tzw. społeczeństwa, w imieniu neopozytywizmu etc. Jestem przekonany, że gdyby np. taki strajk pielęgniarzek był przez nas tu rozdmuchany, to mielibyśmy i dalsze strajki. [...] Ma się rozumieć, będzie z miejsca zarzut, że wskazujemy palcem, prowokujemy prewencyjne represje ale nie ma innej drogi, tak jak nie było innej drogi, gdyśmy pisali o rewizjonistach*¹¹⁵.



Wiadomość o powstaniu „Kultury” warszawskiej dodatkowo zmobilizowała Giedroycia do przyspieszenia wydania przygotowywanej już wcześniej książki Witolda Jedlickiego (*Klub Krzywego Koła*), która – na co liczył – uderzyłaby w reżym znieznacka, z siłą *bomby atomowej*¹¹⁶, wzmagając dodatkowo efekt wywołany nieco wcześniej artykułem *Chamy i Żydzi*, a opublikowanym w ostatnim numerze „Kultury” roku 1962.

Jedlicki, po likwidacji KKK (którego zarządu był od kwietnia 1961 r. członkiem), i po emigracji do Izraela, zwrócił się listownie do Giedroycia – w imieniu (co podkreślał) *przyjaciół z kierowniczej grupy Klubu Krzywego Koła* – z prośbą o ułatwienie publikacji (najpierw, w miarę możliwości, w mniej „kompromitujących” obcojęzycznych pismach o charakterze akademickim, a dopiero w następnym etapie w *organach najbardziej przez władze nielubianych*, jak „Kultura” czy RWE) artykułów o historii

114. *Ibidem*; J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 13 VIII 1963.

115. *Ibidem*.

116. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 28 V 1963.

Klubu oraz związanych z nim zagadnieniach politycznych i kulturalnych, obliczonych na czytelnika międzynarodowego oraz polskiego (emigracyjnego i krajowego). Jedlicki prosił także Redaktora o radę oraz pomoc w urzędzeniu się za granicą (co warunkowało zresztą do pewnego stopnia przyspieszenie pracy nad owymi tekstami)¹¹⁷. Giedroyc zareagował z entuzjazmem, dostrzegając w nawiązanym kontakcie spory potencjał polityczny.

Sam artykuł uznał Giedroyc za *naprawdę niezwykle sensacyjny*. Po pierwsze, jako napisany przez „mandatariusza” Klubu Krzywego Koła, odzwierciedlał on poglądy tej organizacji, z którą nadal (od czasów „październikowych”) wiązał Redaktor pewne (ostrożne, ale jednak) nadzieje. Po drugie, zawierając w wielu wypadkach trafne (choć i w pewnych punktach kontrowersyjne) oceny i analizy rzucał on, jego zdaniem, ciekawe światło na stosunki wewnętrzne w partii, kulisy „Października”, a także ówczesną sytuację polityczną¹¹⁸. Mieroszewski nie podzielał entuzjazmu Giedroycia wobec *Chamów i Żydów*. Uznał co prawda artykuł za dobrze napisany i interesujący, ale nie na tyle, by zalansować go (na czym zależało bardzo Redaktorowi, zarówno ze względów politycznych, jak i „ludzkich”¹¹⁹) w prasie światowej. *To nie jest* – jak stwierdził – *«news»*. *Nie ma żadnych nowych faktów. To jest interpretacja Października i to nie nowa [...]* – *myśmy sami wielokrotnie dawali właśnie taką a nie inną interpretację Października*. – *Na to by ktoś na Zachodzie zajmował się polskim przewrotem, który odbył się 6 lat temu – trzeba wyjechać z nowymi faktami. [...] dla pism brytyjskich «news» to są anty-stalinowskie wiersze i łagiernickie opowiadania – drukowane na zlecenie Chruszczowa w prasie sowieckiej*. – *Trzeba by dać nie tylko nowe ale sensacyjne fakty by z tym konkurować*. – *A Jedlicki pisze jak on sobie «wyobraża», że odbyła się rozmowa Chruszczowa z Gomułką*. – *Co sobie p. Jedlicki «wyobraża» to nie jest «news» dla prasy brytyjskiej*¹²⁰. Co bardziej istotne, Londyńczyk wyrażał

117. W. Jedlicki do J. Giedroycia, 11 VIII 1962.

118. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 16 XI 1962; J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 4 I 1963.

119. Jedlicki był wówczas w bardzo ciężkiej sytuacji życiowej i Giedroyc szukał sposobów na zdobycie dla niego pomocy.

120. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 4 XII 1962; J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 13 XI 1963.

przekonanie, że artykuł, mimo że w zamierzeniu Redakcji nie został opublikowany jako wyraz jej poglądów¹²¹, wprowadzał wśród czytelników „Kultury” zamęt w sprawie jej „popaźdiernikowej” linii „krajowej”. *Jedlicki w pewnych kołach wywołał wrażenie, stwierdzał, że trąbimy na odwrót i lada chwila ogłosimy samokrytykę [...]*¹²². Nie zgadzając się z tym stanowiskiem Giedroyc odnotowywał tymczasem szeroki i pozytywny oddźwięk, jaki *Chamy i Żydy* wzbudziły w krajowych środowiskach intelektualnych oraz inteligenckich (*tam też jest głośno i pozytywnie*), a nawet partyjnych, o czym dowiadywał się m.in. od Słonimskiego czy Dąbrowskiej, przebywających we Francji w okresie świątecznym dziennikarzy krajowych, a także Józefa Bergera i Aleksandra Weissberga-Cybulskiego, którzy mieli *telefony od swych przyjaciół partyjnych z Warszawy (mówili «pod kwiatkiem» swoje wrażenia, bardzo pozytywne*¹²³). W kraju aż trzeszczy od tego artykułu¹²⁴ – pisał. *Nie ma dnia żebym nie miał jakichś relacji z najróżniejszych środowisk. To nam daje pewien kapitał nie tylko wydawniczy, ale również polityczny*¹²⁵.

Artykuł Jedlickiego znalazł się następnie w wydanej w 1963 roku książce o Klubie Krzywego Koła. Omawiając tę pozycję w *Kronice angielskiej* nazwał ją Mieroszewski *wymowniejszym aktem oskarżenia pod adresem komunizmu niż «Zniewolony umysł» Miłosza. Garść młodych ludzi przetkana donosicielami – o czym wiedzieli, uważając to za naturalny porządek rzeczy – wykorzystuje z dużą odwagą «odwilże» i «pododwilże» wynikłe z walk na szczytach – by z uporem choć bez nadziei, rozbijając «tabu», oswabdzając myśl i uczyć wolności słowa – relacjonował Londyńczyk, by stwierdzić: Jedlicki jest zbyt krótko na Zachodzie – w znacznym stopniu sam jest produktem Polski komunistycznej – i pisząc omawianą książkę nie zdawał sobie w pełni sprawy z potworności atmosfery, którą wiernie i na gorąco sportretował*¹²⁶. Poza łamami „Kultury”, choć uważał *Klub...* za sensacyjny i pełen pasji, odnosił się jednak do niego dość sceptycznie. *Gdyby to nie była nasza książka*

121. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 12 XII 1962.

122. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 31 XII 1962.

123. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 4 I 1963 oraz 12 XII 1962.

124. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 12 XII 1962.

125. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 4 I 1963.

126. Londyńczyk, *Kronika angielska*, „K” 1963, nr 7-8, s. 146.

– pisał do Giedroycia – *objechałbym faceta za to i owo*. Mieroszewski krytykował autora m.in. za zbyt stronnice i tendencyjne potraktowanie problemu katolicyzmu w Polsce. Porównywanie «*Osservatore Romano*» z «*Völkischer Beobachter*» (naczelny organ Hitlera!) jest lekką przesadą – stwierdził. Kardynał Wyszyński jest kardynałem i ten tytuł mu się należy. Jedlicki pisze o nim stale *per Wyszyński*. Początkowo nie wiedziałem o jakiego Wyszyńskiego chodzi. Twierdzenie, że Kościół w Polsce zajmuje się tylko skrobankami i nie jest żadną opozycyjną siłą – jest oczywistą bzdurą. Poza tym – jak się samemu jest Żydem – nie wolno pisać o Kościele w sposób obraźliwy i nieuprzejmy. Ponieważ sam nie uważam się za ortodoksyjnego katolika – staram się pisać o Kościele w sposób maksymalnie uprzejmy. Gdyby katolik-Polak napisał coś podobnego o judaizmie – to by go okrzykli jako antysemitę. Na emigracji to robi fatalne wrażenie i z KKK nie ma absolutnie nic wspólnego. A to jest tylko woda na [...] tych wszystkich, którzy uważają, że «*Kultura*» jest antyreligijna, antykatolicka itd. Najistotniejszy jednak wysuwany przez Mieroszewskiego zarzut był natury politycznej. Książka Jedlickiego ujawniała – jego zdaniem – przerażającą jałowość polityczną KKK i brak choćby cienia programu. Ta cała «*demokracja producentów*» – przekonywał – doprowadzona do swych logicznych konsekwencji wiodłaby do faszystowskiego modelu korporacyjnego. Demokracja może być tylko polityczno-parlamentarna. Wszelka inna «*demokracja*» prowadzi albo do faszyzmu, albo do komunizmu¹²⁷. To samo, ale bardziej ogólnie wyraził w *Kronice angielskiej* pisząc: *Potencjał intelektualny to za mało. Ośrodek intelektualny – jak Krzywe Koło – musi być mobilizatorem siły społecznej. By stać się ośrodkiem siły trzeba mieć program polityczno społeczny*. Programu takiego nie mógł zastąpić radykalizm, odrzucający zarówno «*staroświecką*» demokrację, jak i komunizm¹²⁸. Podkreślenie potrzeby programu korespondowało ze wspomnianym wcześniej poglądem Redaktora.

Wydanie *Klubu...* było częścią szerszej zakrojonego zamysłu politycznego. Giedroyc liczył na to, że Jedlicki (po którym wiele sobie obiecywał i któremu usiłował załatwić stypendium w USA) założy wraz z Andrzejem Brzeskim (byłym działaczem KKK,

127. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 7 VI 1963.

128. Londyńczyk, *Kronika angielska*, „K” 1963, nr 7-8, s. 146.

przebywającym od dwóch lat w Ameryce) nowy Klub Krzywego Koła, skupiający młodych naukowców wschodnioeuropejskich na uniwersytetach amerykańskich. Przedsięwzięcie to (wraz z książką) wywołać miało rezonans w Polsce oraz zmobilizować i skupić dawnych członków KKK. *To powinno dać nam zupełnie poważne zaplecze. [...] Ma się rozumieć «Kultura» byłaby w cieniu – przekonywał Mieroszewskiego*¹²⁹.

Odpowiedzią władz była zmasowana kampania propagandowa, rozpoczęta przez *Soldatenzeitung*, jak wedle jednego z dowcipów krajowych brzmieć miała popularna nazwa warszawskiej „Kultury”, którą Redaktorzy uznali za wielką reklamę dla swego pisma¹³⁰, jaką należało maksymalnie zdyskontować.



Pierwszą od początku popaździernikowej „normalizacji” nadzieję na przełamanie w społeczeństwie krajowym nastrojów, które Herling-Grudziński określił jako (*w najlepszym razie*) *opozycyjność pasywną, bądź swoistą malaise indyferentyzmu i zrezygnowanego cynizmu od którego krok tylko do oportunistu*¹³¹ oraz zmobilizowanie go do oporu¹³² przyniósł List 34. Wskutek narastających wokół wydarzeń, które wymknęły się spod kontroli, a zwłaszcza wiecu poparcia, jaki odbył się na będącym ostoją rewizjonistów Uniwersytecie Warszawskim, list ów, który zresztą uznał Giedroyc za bardzo słaby¹³³, postanowił wykorzystać Redaktor do *ZROBIENIA z tego małego października* oraz *buntowania młodych* w kraju, a także środowisk literackich w całym bloku wschodnim. Uważał, że, zważywszy na pewne rozluźnienie sytuacji w ZSRS, zaistniała po temu doskonała koniunktura. *Jasne, że Chr[uszców] mając rozgrywkę z Chinami nie będzie sobie stwarzał dodatkowych frontów walki i nie będzie chciał robić*

129. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 28 V oraz 4 VI 1963; J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 3 XI 1962.

130. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 31 XII 1963. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 10 I 1964.

131. G. Herling-Grudziński, *Memoriał...*, s. 5.

132. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 4 IV 1964.

133. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 31 III, 2 IV, 26 III oraz 3 IV 1964.

*złego wrażenia na Zachodzie – pisał. Jeśli uda się zorganizować ten bunt i ludzi usztywnić, to rezultaty mogą być nieoczekiwane*¹³⁴.

Wysunięte na łamach „Kultury” piórem Herlinga-Grudzińskiego i Londyńczyka hasła *permanentnego oporu*, jako jedynej skutecznej walki w «ustroju złagodzonej dyktatury» (tzn. *dyktatury która musiała zaniechać uciekania się do fizycznych środków represji, do Wielkiego Cienia Strachu i do wulgarnej korupcji*)¹³⁵ oraz konieczności poszukiwania dla niej sojuszników wśród młodych intelektualistów, członków partii oraz rewizjonistów¹³⁶ nie znajdowały żadnego oddźwięku. Niewiele czasu upłynęło, jak Giedroyc załamywał ręce nad kontrprotestem – *Białą Górą polskiej inteligencji, pogrzebaniem tradycji i głównej funkcji społecznej – obrony kulturalnych wartości*¹³⁷.

Finał protestu 34-ech, który, jak stwierdził Mieroszewski, *rozlał się po kościach*, a także analiza sytuacji w Związku Sowieckim przywiodły go do wniosku, że w państwie komunistycznym rewolucję robić mogą tylko komuniści, a opozycja działać może legalnie tylko od wewnątrz – tzn. w ramach partii. *Tak czy owak – utrzymywał – wszyscy kolaborują. Lecz bezpartyjni kolaborują na warunkach pańszczyźnianych chłopów – pozbawieni jakichkolwiek praw politycznych*. Dlatego też wszyscy polscy pisarze i intelektualiści winni wstąpić do partii, aby nadać jej nowy ton. *Bo w końcu – przekonywał – nie decyduje doktryna – tylko ludzie, którzy ją interpretują. Jeżeli interpretacje pozostawia się w rękach takich panów jak Kliszko i Gomułka – rezultaty są wiadome*. Tymczasem PZPR, traktowana była, jego zdaniem, jak sanacja: *Wszyscy na niej psy wieszają ale nikt palcem nie kiwnie by ją zmienić*¹³⁸. Z tym dość kontrowersyjnym wnioskiem Giedroyc zgodził się w pełni, stojąc na stanowisku (przy czym przywoływał przykład II RP), że nie tylko w ustroju komunistycznym opozycja realnie działać może tylko na marginesach obozu rządowego. Dlatego też największym błędem trzydziestu czterech było niezaangażowanie do swojej akcji ludzi partyjnych

134. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 20 IV 1964.

135. G. Herling-Grudziński, *Memoriał...*, s. 5-7.

136. Londyńczyk, *Kronika angielska*, „K” 1964, nr 5, s. 69-70; J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 8 IV 1964.

137. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 29 V 1964.

138. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 20 V 1964.

i młodych. Zalecał przy tym ujęcie (w przygotowywanym przez Londyńczyka artykule) wspólnych wniosków w ten sposób, by z jednej strony zachęcić opozycję krajową do działania, lecz z drugiej nie zbudować parawanu dla tych, którzy do partii chcieliby wstąpić z czystego oportunistu¹³⁹.

Rozwijając myśl zawartą w liście do Giedroycia Mieroszewski stwierdzał, powołując się na przykład Kościoła katolickiego, że systemy zamknięte, oparte na dogmatycznej doktrynie są, dzięki czynnikowi „ludzkiemu”, zdolne do ewolucji. Jednakże reform w nich nie mógł dokonać nikt z zewnątrz, bo wpływy zewnętrzne mogły być jedynie pośrednie. Podobny mechanizm rządził komunizmem, co wykazały dotychczasowe przemiany w bloku wschodnim (czy to XX Zjazd KPZS, czy rewolucja węgierska, a nawet schizma chińska). Ciśnienie komunistycznej dyktatury w Polsce nie zrodziło natomiast ani wielkich marksistów, ani apostatów, wyprodukowało natomiast miliony gorliwych kolaborantów, nie mających żadnego wpływu na działalność PZPR. Kolaboracja jednak – stwierdzał Mieroszewski – to *polska droga do nikąd*. Należało zastąpić ją albo permanentnym oporem, albo wniknięciem w organizację partyjną, by móc od wewnątrz zrobić w niej wyłom, wpływać na jej ewolucję. Podając przy tym przykład PAX-u dochodził do dość zaskakującego wniosku, że o ile jako organizacja nie komunistyczna, lecz prokomunistyczna spełnia on rolę negatywną, to jako legalna opozycja światopoglądowa w ramach partii komunistycznej ta organizacja *komunistów nie-materialistów* spełniałaby *rolę pozytywną i postępową* [podkreślenie w tekście]. Pisał ponadto Londyńczyk, że ujemnym efektem klęski „Października” był fakt (nie będący regułą w bloku sowieckim) wystąpienia z PZPR wielu ludzi wybitnych i wejścia w ich miejsce *elementów najmniej wartościowych – budzących niechęć wśród zdrowego odłamu społeczeństwa*. W rezultacie krajem rządziła grupa *karierowiczów, «zamordystów», pół-inteligentów*, niereprezentatywna w sensie politycznym, intelektualnym ani moralnym. Ludzie młodzi i zdolni, podkreślał, byli poza partią¹⁴⁰.

139. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 29 V 1964.

140. Londyńczyk, *Kronika angielska*, „K” 1964, nr 7-8.

Kolejną okazję do zaangażowania się w sprawy krajowe dostrzegł Giedroyc w zbliżających się wyborach do sejmu i rad narodowych, których temat rozważał w korespondencji z Mieroszewskim na przestrzeni kilku miesięcy, poczynawszy od końca 1964 roku, uznając je wówczas za *sprawę nr 1*¹⁴¹. W wyborach upatrywał Redaktor szansę na realizację dwóch istotnych spraw.

Po pierwsze uważał, że należy je potraktować jako *rachunek sumienia za okres październikowy*. Nawet atrapa wyborów, jakie odbywały się w PRL (co do czego, rzecz jasna, złudzeń Redaktor nie miał – każde bardziej swobodne wybory doprowadzić musiałyby do *miażdżącej klęski i bankructwa* partii) mogła stać się formą masowego zademonstrowania przez społeczeństwo swego niezadowolenia z działań reżymu. Giedroyc (podobnie jak w r. 1956) wysunąć chciał hasło: *głosować – tak, ale ze skreśleniami*, co w praktyce oznaczać miało wskazanie tych czołowych działaczy PZPR, którzy odpowiedzialni byli za odejście od „Października” i ciężką sytuację gospodarczą. Takie, jedyne realne w ówczesnych polskich warunkach „referendum”, pokazałoby władzom faktyczne stanowisko Polaków. *I to też będzie dużo* – wyjaśniał Redaktor – *bo mam wrażenie, że oni są tak odizolowani od społeczeństwa, opierając się jedynie na wazelinarskich raportach, że to może być zawienny szok. A w każdym razie pierwszy dzwonek alarmowy*¹⁴².

Po drugie, wybory dawały sposobność do wysunięcia *programu «minimum»*, jakiego winno domagać się społeczeństwo oraz *oświecona* część partii. W jego projekcie postulował Giedroyc: reformę ordynacji wyborczej na wzór jugosłowiański (co miało być krokiem w kierunku demokratyzacji, choćby tylko wewnątrzpartyjnej), autonomię w dziedzinie samorządowej (wolne wybory do rad narodowych), liberalizację na odcinku kulturalnym, zbliżenie do Zachodu oraz zasadnicze reformy gospodarcze, w tym: opracowanie konkretnego programu rolnego, decentralizację przemysłu, prywatyzację rzemiosła, drobnego handlu i usług, położenie nacisku na opiekę socjalną oraz ulgi podatkowe, stabilizację waluty poprzez niezbędne przystąpienie

141. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 24 XI 1964 i 12 I 1965.

142. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 2, 8 i 13 XII 1964, 1 II 1965, 29 I 1965.

Polski do odpowiednich organizacji międzynarodowych, liberalizację międzynarodowej wymiany kulturalnej oraz swobodę emigracji. Propozycje te uważał za realne, jako że były one już częściowo realizowane w innych krajach bloku sowieckiego¹⁴³.

Redaktor miał nadzieję, że takie postawienie sprawy na łamach „Kultury” *naprawdę* wpłynie na sytuację w Polsce¹⁴⁴, poprzez przełamanie ogarniającej coraz bardziej społeczeństwo (i niezwykle groźnej dla niego samego) apatii, bierności i demoralizacji, o których wnioskował m.in. z licznie reprezentowanego przez odwiedzających go Polaków z kraju stanowiska, że *nic robić nie można i robić nie należy. Trzeba – przekonywał – wytworzyć pewną iskrę, która by to wszystko obudziła, dała ludziom sens pracy i życia. Coś co przypominało by pierwsze dwa lata po zakończonej wojnie albo leninowski NEP (ma się rozumieć dopasowany zarówno do zmienionej sytuacji historycznej i terenowej: Polska nie jest Rosją). Postawienie sprawy w ten sposób [...] zrobiłoby duże wrażenie i mogłoby trafić do przekonania nie tylko społeczeństwu ale młodszymi rocznikami partyjnym*. Dla przekonania tych ostatnich zapewne wspomniany program sformułowany miał być jak najmniej „zimnowojennie”¹⁴⁵. Giedroyc liczył nawet, że projektowana przez niego akcja „wyborcza” mogłaby doprowadzić do wstrząsu, a następnie – nowego „Października” (do którego dążyć należało, jego zdaniem, *za wszelką cenę*)¹⁴⁶.

Kwestia ta nabrała dla Redaktora jeszcze jednego – taktycznego – wymiaru, gdy dowiedział się, że Jan Nowak-Jeziorański zamierza zająć w tej sprawie inne stanowisko: *z innych stron wiem, że Amerykanie zajmują to samo stanowisko «progomułkowskie». A my musimy w tej chwili pchać do bardzo zimno wy kalkulowanej rozgrywki*¹⁴⁷.

Mieroszewski, zgadzając się z wysuniętym przez Giedroycia postulatem dążenia ku modelowi jugosłowiańskiemu, stwierdzał, że – w zastanej sytuacji – ani nie było go komu realizować, ani

143. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 12 i 27 I 1965, 8 XII 1964, 24 XI 1964.

144. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 18 I 1965.

145. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 27 I 1965, 24 II 1965, 13 II 1965.

146. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 1 II 1965 i 24 II 1965.

147. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 12 I 1965.

społeczeństwo nie mogło się jego realizacji od Gomułki domagać. Dlatego też kardynalnym celem taktycznym „Kultury” winno być odtworzenie „liberalnego” skrzydła partii na wzór jugosłowiański, poprzez wprowadzenie do niej rewizjonistów i postępowców. *Ci ludzie dziś na pustyni – stwierdzał – muszą wrócić i objąć część kluczowych stanowisk.* Realizacja tego punktu była warunkiem *sine qua non* przebudowy ustroju („titoizacji”). Pisał: *Najpierw musimy mieć konia, który ten wóz pociągnie.* Zdobycie owego „konia” stałoby się realne, gdyby pod naciskiem społeczeństwa wprowadzona została „październikowa” ordynacja wyborcza, co umożliwiłoby wejście do Sejmu, do aparatu partyjnego i do rządu „postępowcom”, dla których wybory mogły stać się impulsem do scalenia i zorganizowania się. *Konsolidacja grupy postępowej – stwierdzał – jest podstawowym «A» w ruchu reformy*¹⁴⁸.

Giedroyc w tym kontekście wysuwał tezę, że czynnikiem konsolidującym (nie tyle zorganizowanej grupy „postępowej” w partii, bo jej nie było, ale poszczególnych ludzi *kompletnie zagubionych*) mógłby być proponowany przez niego «*mały program*». *Tego sami nie potrafią stworzyć. Naszym głównym zadaniem – deklarował – jest zapładnianie myśleniem politycznym tych ludzi tak strasznie głupich i prowincjonalnych*¹⁴⁹.

Na marginesie warto wspomnieć, że niski poziom umysłowy członków PZPR uważał Giedroyc za niezwykle istotny czynnik kształtujący ówczesną sytuację w PRL. *Nieszczęściem partii polskiej – pisał – nie jest komunizm tylko [jej] prymitywizm i ćwierćinteligencja [...]. To nie jest dowód ale wystarczy porównać kwalifikacje i stopień wykształcenia członków polskiego KC a sowieckiego. [...] Dotyczy to zarówno grupy Gomułki jak poszczególnych frakcji. Partyzanci chcieliby naśladować G. Deya¹⁵⁰ ale brak im inteligencji i wyobraźni tego faceta. Puławianie chcieliby grać na inteligencji i na liberalizmie ale nie mają ani koncepcji, ani odwagi i cała ich działalność polega na inspirowaniu opinii zachodniej o rosnącym antysemityzmie partyzantów. Nie należy bagatelizować tego zagadnienia ale nie należy go wyolbrzymiać jedynie dla-*

148. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 30 I 1965 i 5 XII 1964.

149. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 1 i 24 II 1965.

150. Gheorghe Gheorghiu-Dej, szef Komunistycznej Partii Rumunii (1944-1965).

tego, że znajduje to echo wśród publicystów zachodnich bardzo wyczulonych na ten temat. Nawet w Moskwie znajduje się na odcinku gosp. Liberman a w Polsce: tchórzliwy oportunistą Lange albo blagier Bobrowski¹⁵¹.

Problem „wyborczy” poruszony został na łamach „Kultury” przez Mieroszewskiego w artykule *Wybór i wybory*, który był wynikiem dyskusji między dwoma Redaktorami oraz kompromisem między ich stanowiskami¹⁵².



Okazją do podsumowania przez „Kulturę” wypracowywanych w pierwszej połowie lat 60-tych koncepcji politycznych dały asumpt uroczystości milenijne. Giedroycowi zależało, aby artykuł milenijny zamieszczony został w numerze czerwcowym, co miało mieć wymiar taktyczny. Po pierwsze, miał on trafić do kraju przed obchodami państwowymi, a po drugie, chciał Redaktor uniknąć wrażenia, że „Kultura” akceptuje termin wyznaczony przez Gomułę, a nie przez kardynała Wyszyńskiego. Jak pisał, *obaj są katastrofalni dla tej biednej polski, ale Wyszyński jest mniejszym złem, choć i tępakiem à la Gomułka*¹⁵³. Artykuł ten jednak (*Tysiąc lat i co dalej*) ukazał się z opóźnieniem z powodu pewnej niezgodności, jaka miała miejsce w samym Zespole. Ostatecznie podtrzymywała w nim Redakcja sformułowaną na początku dziesięciolecia koncepcję Polski jako tej, która miała rozpocząć i kierować ewolucją w „Rosji” i doprowadzić ten kraj do Europy. Do roli *klucza do Rosji* predestynowało Polskę, jak twierdził Giedroyc, istniejące nią w Rosji zainteresowanie. Pisał: *ostatecznie kto dziś istnieje w Rosji: Polska. Polska Kołakowskiego, a nawet Schaffa, Polska malarstwa, filmu, socjologii etc. i my. [...] Nie chcę wyolbrzymiać tych spraw i wiem lepiej niż inni jaka w tym wszystkim jest rola przypadku, ale również wiem, że tylko wszystkie roczniki «Kultury» są w redakcji «Nowego Mira» [...] a nie innych pism. [...] To co teraz możemy zrobić jest ogromną grą. Ogromną w skali nie tylko «Kultury», ale*

151. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 29 I 1965.

152. J. Mieroszewski, *Wybór i wybory*, „K” 1965, nr 3, s. 3-5.

153. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 22 III 1966 i 14 IX 1965.

*światowej i chyba nie wpadam w megalomanię. Szans jest diablo mało, ale dopóki jest choć jedna szansa trzeba to próbować. Tym bardziej, że nie ma innego wyjścia, innej drogi*¹⁵⁴.

Przeorientowanie polskiej misji na Wschodzie nabierało szczególnego znaczenia w obliczu narastania procesów drażących sowieckie imperium „kolonialne”. Mieroszewski stawiał tezę, że w bloku wschodnim istniał ferment narodowościowy, a nie ideologiczny. Wspomnieć należy, że tłem dla sformułowania tej teorii było usamodzielnianie się Rumunii, gdzie owej emancypacji towarzyszyła liberalizacja stosunków wewnętrznych oraz nawiązywanie relacji z Zachodem. Przykład rumuński doprowadził Londyńczyka do wniosku, że możliwości wywalczenia pewnego stopnia niezależności w przypadku państwa satelickiego mieli tylko przywódcy i partie komunistyczne. Walcząc o cele narodowe, zarówno w aspekcie politycznym jak i gospodarczym, mieli szansę na zdobycie poparcia całego społeczeństwa i umocnienie swojej pozycji wobec Związku Sowieckiego, a następnie podjęcie programu reform wewnętrznych. „Poprawna” postawa ideologiczna powodowała, że Moskwa nie mogła lekceważyć ich postulatów. Model rumuński przeciwstawiał doświadczeniom węgierskim z roku 1956, kiedy to „kontrewolucja” sprowadziła na kraj katastrofę. Mieroszewski twierdził, że rewolucja czy powstanie jako metoda zdobycia niepodległości miałyby szansę na sukces jedynie wówczas, gdyby działało na zasadzie naczyń połączonych, to znaczy jeśli odbywałoby się w kilku państwach satelickich jednocześnie. Równocześnie jednak przekonywał, że synchronizacja masowych ruchów była niezwykle trudna. Dlatego to uwięziony sukcesem model rumuński stanowić winien przykład dla innych. Mieroszewski był przekonany, że znajdzie on naśladowców, czego urzeczywistnienie jednak związane było z przemianą pokoleń wśród przywódców komunistycznych. Podsumowując zatem – dynamitem mającym rozsadzić imperium miał być nacjonal-komunizm. Jego tryumf miał nie tylko spowodować uniezależnienie się państw satelickich od dyrektyw Moskwy, ale również wyrzucić dominujący wpływ na rozwój sytuacji wewnętrznej w ZSRS, trawionym już teraz problemem niepokojów narodowościowych. Kwestią związaną z tym zagadnieniem było unieza-

154. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 6 i 9 V 1966.

leżnienie się Niemiec, wobec których, jak twierdził Mieroszewski, Sowietom musieli wcześniej lub później wypracować nową politykę bezpieczeństwa. W tak zarysowanej sytuacji, kiedy decentralizacja i dekolonizacja imperium była sprawa przesądzona, zaniechanie reorientacji polityki sowieckiej (rosyjskiej, jak pisał publicysta) prowadziło ZSRS nieuchronnie do katastrofy, przed którą ochronić mogła go tylko „europeizacja”. W procesie tym Polacy mieli odegrać ogromną rolę jako ci, którzy przełamując rosyjski kompleks antyzachodni przekonać mieli Rosjan, że przebudowa mocarstwa, choć całkowicie sprzeczna z rosyjską tradycją, nie ma być wymierzona przeciwko Rosji. Tym samym wziąć mieli czynny udział w przebudowie europejskiego Wschodu. Polityka ta adresowana była do pokolenia członków partii, mającego zastąpić stalinistów. Winno ono zrozumieć, że Polska jest kluczem Rosji do Europy, bez którego nie zbudują trwałego systemu bezpieczeństwa, równoważącego Niemcy¹⁵⁵. Czy oznaczało to, że „Kultura” zrezygnowała z projektów rewizjonistycznych na rzecz nacjonal-komunistycznych, jak stwierdził Janusz Korek (nazywając w dodatku to stanowisko Redakcji *opcją «prawicową»*)¹⁵⁶? Mieroszewski skłaniał się do poglądu, że główną siłą, która rozłoży monolit komunistyczny, będzie nacjonalizm, a nie rewizjonizm ideologiczny, argumentując, że: *Za Kurokiem stoi 400 czy 500 osób – za Ceausescu stoją dziś wszyscy Rumuni. W republikach środkowo-azjatyckich może Pan zawsze liczyć na nacjonalistów, lecz nie na Leszków Kołakowskich. Dana partia im bardziej staje się niezależna od Moskwy – tym bardziej staje się zależna od własnego społeczeństwa, co w dalszej perspektywie musi się wyrazić liberalizacją*¹⁵⁷. Giedroyc odpowiadał: *Ma Pan rację doceniając znaczenie nacjonalizmu, ale bardzo bym się bał by przeceniać. Musimy tu bardzo ważyć każde słowo, gdyż o ile należy popierać tendencje nacjonalistyczne w Związku Sowieckim (myślę o narodowościach związku), o tyle Polska może odegrać swoją historyczną rolę właśnie nie będąc nacjonalistyczną*¹⁵⁸. Giedroyc upatrywał sojuszników w nie-

155. J. Mieroszewski, *Tysiąc lat i co dalej?*, „K” 1966, nr 7-9, s. 3-9.

156. J. Korek, *Paradoksy paryskiej «Kultury»*. Ewolucja myśli politycznej w latach 1947-1980, Stockholm 1998, s. 345-346.

157. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 30 V 1966.

158. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 19 IV 1965 oraz J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 23 IV 1965.

nacjonalistycznej inteligencji rosyjskiej. Zgadzając się z Mieroszewskim, że rewizjonizm nie spełnił pokładanych w nim przez „Kulturę” nadziei, uważał jednak, że nie należy go ostatecznie wyrzucać za burtę. Wiązało się to z szerszą refleksją na temat historycznej roli lewicy w Polsce. *W naszym kraju – pisał Redaktor – rządzi inteligencja, rządzi jej znikoma mniejszość: to jest inteligencja radykalna czy lewicowa. Tak było zawsze, w każdym razie od końca w. XVIII i nie zanoszą na zmianę. Prawie całe społeczeństwo jest nacjonalistyczne, «endeckie», ale zawsze przegrywało. I teraz, gdy wyrosły pokolenia w tym ustroju, to będzie jeszcze silniejsze. Kuroń i Modzelewski nie byli katolikami, b. ONRowcami etc. To są dzieci komunistów i sami się uważają za komunistów*¹⁵⁹. W konsekwencji tej polemiki „pożegnanie się” „Kultury” z koncepcją rewizjonistyczną zostało złagodzone asekuuracyjnym twierdzeniem, że rewizjoniści co prawda nie mogli liczyć na masowy oddźwięk w krajach satelickich, ale odegrać mieli *kapitałną* rolę przede wszystkim w samym ZSRS¹⁶⁰. Zdanie to było streszczeniem poglądu Mieroszewskiego, który uważał, że ewolucja jest procesem przebiegającym etapami. Przewidywał, że w etapie pierwszym narodowi-komuniści zdobędą niezależność, likwidując mit jedności ruchu komunistycznego. Wykreują tym samym sytuację (etap II), w której kluczową rolę odegrają rewizjoniści¹⁶¹. Trzeba zaznaczyć jednak, że odbyte w następnych miesiącach dyskusje z krajowcami przywiodły go do wniosku, iż rewizjonizm się jednak zdezaktualizował. Rozumiał to w tym sensie, że żadna z form rewizjonistycznych nie mogła być w pełni zrealizowana bez uprzednich zmian w strukturze ustroju¹⁶². Mieroszewski wierzył co prawda, że partie komunistyczne w dawnych krajach satelickich uzależnią się od społeczeństwa, nie widział natomiast szansy na renesans demokracji parlamentarnej w tych krajach. Rządzić miały w nich zliberalizowane partie komunistyczne, z których każda miała mieć prawe i lewe skrzydło. Jak pisał: *Nowoczesna gospodarka planowanie i technologia wyłączają permanentne wiecowanie trzydziestu partii w sejmie – jak*

159. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 3 VI 1966.

160. J. Mieroszewski, *Tysiąc lat...*, s. 6.

161. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 6 VI 1966.

162. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 27 VII 1966.

to było w Polsce przed zamachem majowym. Baza decyduje o nadbudowie. Baza gospodarcza uległa zmianie i powrót do politycznej, wielopartyjnej nadbudowy nie jest możliwy¹⁶³. Jak widać, zdarzało się i Mieroszewskiemu ulegać mistyce marksistowskiej. Giedroyc zgadzał się z Mieroszewskim, że powrót do demokracji parlamentarnej typu zachodniego w Europie Wschodniej był utopią, zwłaszcza że – jak twierdził na podstawie obserwacji sytuacji we Francji po śmierci De Gaulle’a – ustroj ten przeżył się już także na Zachodzie. Uważał, że jeśli rozwój wydarzeń na Wschodzie odbędzie się według scenariusza ewolucyjnego (choć nie wykluczał i rewolucji), dojdzie do *różniczkowania w samej partii*¹⁶⁴. W przeciwieństwie do Londyńczyka uważał je jednak nie za koniec, ale początek procesu, który mógł doprowadzić do utworzenia, obok partii komunistycznej, także stronnictwa chrześcijańskiej demokracji (ale żadnego innego), zważywszy na odrodzenie się warstwy drobnomieszczańskiej¹⁶⁵.

Z przedstawionych powyżej rozważań płynie wniosek, że teza Korka o porzuceniu przez Zespół „Kultury” rachuby na rewizjonizm nie jest prawdziwa. Koncepcja rewizjonistyczna pozostała w tle, podobnie jak w roku 1955, z koncepcjami neutralizacyjnymi koegzystowały (choć raczej w zakulisowych rozważaniach Redaktorów niż na łamach pisma) plany „brygad międzynarodowych”. W roku 1963 natomiast obok dotychczas propagowanego ewolucjonizmu pojawiły się, żywione zwłaszcza przez Giedroycia (Mieroszewski był bardziej sceptyczny), nadzieje (choć nie pozbawione obaw) na rewolucję¹⁶⁶.



Giedroyc już od jakiegoś czasu był przekonany¹⁶⁷, że zarówno w Polsce, jak i w Związku Sowieckim narasta rewolucja, której przypisywał o wiele większe prawdopodobieństwo niż ewolu-

163. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 6 VI 1966.

164. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 8 VI 1966.

165. *Ibidem*.

166. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 3 VIII 1966 oraz J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 31 VII 1966.

167. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 6 i 24 V 1963 oraz 11 XII 1965.

cji przewidywanej przez Mieroszewskiego. Źródłem rewolucyjnych nastrojów było, jak twierdził, stałe pogarszanie się stopy życiowej ludności oraz złagodzenie terroru, co ułatwiało ferment, na który składały się przede wszystkim wystąpienia młodzieży komunistycznej (*List otwarty do partii* Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego). Owe rewolucyjne środowiska kontrastowały nie tylko z pokoleniem „Kołakowskich”, które było kompletnie wypalone, ale i z resztą społeczeństwa, które – jak sądził Giedroyc – zniechęcone i bierne, reagowało jedynie ślepo (jak w 1956 roku w Poznaniu) na bodźce ekonomiczne. Redaktor uważał, że przewidywane przez niego wstrząsy groziły nieobliczalnymi konsekwencjami, dlatego, dążąc do ewolucji, należało nie tylko być przygotowanym na wystąpienia rewolucyjne, ale tendencjami takimi się *opiekować. Jest w tym stanowisku pozorna nie logiczność* – pisał – *ale musimy grać na kilku fortepianach*¹⁶⁸.

Na tym tle doszło do ponownego rozdźwięku między Giedroyciem a Mieroszewskim, co doprowadziło do zanegowania przez Redaktora kolejnego już artykułu publicysty. Rozbieżność ta dotyczyła przewidywań charakteru przemian w bloku komunistycznym. Mieroszewski nie odrzucał całkowicie możliwości wybuchu rewolucji w bloku wschodnim, jednakże za o wiele bardziej prawdopodobną uważał ewolucję. Opinię swoją opierał na analizie wielu rozmów, jakie przeprowadził z odwiedzającymi go krajowcami, a także przychodzącej z Polski korespondencji. Na podstawie tych źródeł wnioskował, że na żadną eksplozję się nie zanoszą. *Będzie przewrót – przekonywał – to postaramy się być na szczycie fali. Tutaj wszyscy (Anders, Ciotkosz, itd.) oczekują przewrotu z godziny na godzinę. To są starsi panowie, którym się spieszy. Chcieliby za swojego życia doczekać się konkretnych przemian. Niestety wydaje mi się, że to byłoby zbyt piękne, aby miało być prawdziwe*¹⁶⁹. Na co Giedroyc odpisał nieco urażony: *Nie jestem starszym panem z białej emigracji, oczekującym nieistniejących przewrotów, ale od dawna widzę narastające siły i dążenia rewolucyjne*¹⁷⁰.

Przekonanie Redaktora związane było m.in. z wystąpieniem

168. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 31 VII 1966 i 9 III 1966.

169. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 3 VIII 1966.

170. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 10 VIII 1966.

J. Kuronia i K. Modzelewskiego. Wbrew temu, co pisał Mieroszewski w *Kronice angielskiej*, w której zarzucał on młodym komunistom uprzedzenia do emigracji, powodowane jej „reakcyjnością” (na co Giedroyc zareagował zresztą bez entuzjazmu), udało się Redaktorowi nawiązać z nimi kontakty już wcześniej¹⁷¹. W październiku 1964 Redaktor spotkał się w Paryżu z Adamem Michnikiem, którego określił jako *bardzo ciekawego komunistę-rewolucjonistę*, stale czytającego „Kulturę”, w której otrzymywaniu *dzieci arystokracji partyjnej* problemów nie miały. *Niewątpliwie to musi być dość wąskie i elitarne grono ale kontakt ten – przewidywał – może dla nas być niezmiernie ważnym*¹⁷².

W lipcu 1966 r. dostał kopię *Listu otwartego...*, który od razu postanowił wydrukować jako broszurę¹⁷³. Dodatkowym argumentem przemawiającym za narastaniem dążeń rewolucyjnych były napływające z kraju informacje świadczące, jego zdaniem, o tym, że głos Kuronia i Modzelewskiego nie był odosobniony, ale był głosem grupy, która się rozwijała. Dowodu na tę tezę upatrywał Redaktor w demonstracjach, jakie miały miejsce w 1966 roku w czasie obchodów pierwszomajowych, a także w rozmowach, jakie przeprowadził z młodymi przedstawicielami środowisk katolickich. Przybyli oni na Zachód przy okazji zjazdu Pax Romana w Lyonie i informowali o tendencjach nurtujących Kluby Inteligencji Katolickiej, „Więź” oraz „Znak”. Jak pisał Giedroyc, *Otwarcie mi mówili o swoim zagubieniu i szukaniu kontaktu z młodymi komunistami typu Kuroń i Modzelewski*. Podobne tendencje dostrzegał także w innych krajach obozu komunistycznego, czego dowodem był choćby przykład Mihajlo Michajlova¹⁷⁴. Przekonywał Mieroszewskiego, że informacje, które otrzymał od młodzieży katolickiej, były bardziej miarodajne niż te, na które on się powoływał. *Należy bardzo ostrożnie selekcjonować zwierzenia krajowców – perswadował. My widzimy w większości wypadków starszych panów, «profitariuszy» albo średnie pokolenie, politycznie wypalone. Całą naszą siłą jest stawka*

171. *Ibidem*; por. J. Mieroszewski, *Kronika angielska*, „K” 1966, nr 5; por. też J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 7 IV 1966 i J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 14 IV 1966.

172. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 6 X 1964.

173. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 11 IV 1965.

174. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 10 VIII 1966.

na młodzież¹⁷⁵. Jakie zatem w tak zarysowanej sytuacji stanowisko miała zająć „Kultura”? Giedroyc nie chciał w pełni angażować się po stronie owych rosnących nastrojów rewolucyjnych, a jedynie zaistnieć w świadomości aktywnego politycznie pokolenia. Uważał natomiast, że Mieroszewski poprzez używanie terminów zbyt kategoriycznych, jak np. kontrrewolucja (którą Giedroyc uznał za sztancę narzuconą przez komunistów), angażował za dużo „Kulturę” po jednej ze stron¹⁷⁶. Pomimo tych rozbieżności obaj Redaktorzy przychylnie zareagowali na memoriał Kuronia i Modzelewskiego. Giedroycia dokument ten pozytywnie zaskoczył, w szczególności zaś punkt stanowiący o konieczności rewolucji¹⁷⁷. Mieroszewski natomiast uznał go za *niesamowitą sensację polityczną*¹⁷⁸ i pierwszy od lat program alternatywny, który przewyższał zawierające jedynie analizę krytyczną, a pozbawione postulatów pozytywnych teksty Jugosłowian – *Nową klasę* Džilasa, czy pisma Michajlova. *Faceci rehabilitują tę polityczną pustynię jaką jest od 1956 – Polska Gomułki* – pisał z entuzjazmem. *List otwarty...* był, jego zdaniem, potwierdzeniem teorii ewolucjonizmu, a zwłaszcza tezy, że *«wielka przemiana» musi wyjść od marksistów*¹⁷⁹. Pozytywne przyjęcie przez Zespół „Kultury” memoriału nie oznaczało, by Redaktorzy zgadzali się z jego tezami. Mieroszewski miał poważne zastrzeżenia do proponowanego przez jego autorów rozwiązania kwestii robotniczej. O ile zgadzał się z postulatem utworzenia rad robotniczych w fabrykach, to propozycję Centralnej Rady Delegatów jako najwyższego organu administracji i zarządu gospodarki narodowej nazywał słusznie nonsensem. *Faceci* – pisał publicysta – *powtarzają utopię Lenina. Robotnik wyluskany z fabryki i przeniesiony do Centralnej Rady Delegatów (mającej decydować o gospodarce w skali państwowej) – robotnik taki przestaje być robotnikiem i staje się pół-inteligentem. Gomułka dopóki pracował w rafinerii w Krośnie był robotnikiem – dziś jest pół inteligentem, który niczego nie rozumie*¹⁸⁰. Londyńczyk uzasadniał, że robotnicy zdobywając

175. *Ibidem*.

176. *Ibidem*.

177. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 22 VII 1966.

178. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 14 VIII 1966.

179. *Ibidem*.

180. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 17 VIII 1966.

władzę – ponieważ nie mają wykształcenia by rządzić – wcześniej czy później wydają się w ręce biurokratów, którzy biorą ich za łeb. Zawsze tak było i zawsze tak będzie. Jediną skuteczną ochroną przed wyzyskiem, czy to ze strony państwa czy kapitalistów, są potężne związki zawodowe. Rządzić i administrować muszą ci, którzy mają do tego przygotowanie fachowe. To leży w interesie tak robotników, jak i wszystkich innych warstw. Natomiast sprawiedliwy podział dochodu narodowego zapewnić może klasie robotniczej – nie dyktatura robotników nad robotnikami, lecz niezależne związki zawodowe dysponujące prawem do strajku. To jest możliwe w ustroju, nie tylko socjalistycznym, ale i demokratycznym¹⁸¹.

Po tej linii szła również krytyka zawarta w *Kronice angielskiej*¹⁸², w której program Kuronia i Modzelewskiego przedstawiony został jako platforma do dyskusji. Z punktu widzenia Giedroycia natomiast pozytywna strona owego elaboratu była niesłychanie naiwna i nieżyciowa¹⁸³. Gdyby dziś Modzelewski został Gomutką – pisał wręcz – to byłby świetnym dzierżymordą. [...] oni nie są pewni swych postulatów i szukają bardzo nawet rozpaczliwie czegoś nowego¹⁸⁴. Redaktor zgadzał się jedynie z postulatem zinstytucjonalizowania związków zawodowych czy spółdzielczego ruchu tak, by ich przedstawiciele mieli zapewniony udział zarówno w rządzie, jak i ciałach ustawodawczych¹⁸⁵. W kwestii analizy przedstawionej przez młodych komunistów był mniejszym niż Mieroszewski entuzjastą, a memoriał traktował nade wszystko jako ogromny ładunek wybuchowy podłożony pod ustrój¹⁸⁶. Aby ów efekt „pirotechniczny” wzmocnić, starał się, aby miał on jak najszerszy zasięg światowy. Zastanawiał się m.in. nad możliwością inspirowania demonstracji na Zachodzie w obronie Kuronia i Modzelewskiego (zwłaszcza że propozycje takie padały). Miałyby one być organizowane przez obcokrajowców, ponieważ szans na zmobilizowanie Polaków nie dostrzegał¹⁸⁷. Zresztą byłoby to i tak niepożądane ze względów taktycznych, ponieważ

181. *Ibidem*.

182. J. Mieroszewski, *Kronika angielska*, „K” 1966, nr 9.

183. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 24 VIII 1966.

184. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 27 I 1968.

185. *Ibidem*.

186. *Ibidem*.

187. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 4 IX 1966.

dostarczałoby reżymowi możliwość operowania argumentem „emigranta faszysty”. *Dla nas, jak twierdził Giedroyc, jest bardzo ważne by utrwaląć naszą markę lewicową, bo polska opozycja na zachodzie jest coraz bardziej utożsamiana z Wyszyńskim*¹⁸⁸. Mieroszewski natomiast rozważał zorganizowanie zagranicznego komitetu rewolucyjnego, uznając przy tym, że nie mógłby on powstać na nazbyt naiwnej, jego zdaniem, platformie rewolucyjnej Kuronia i Modzelewskiego, a jedynie takiego rewolucyjnego ugrupowania krajowego (gdyby takie w ogóle powstało), z którym „Kultura” mogłaby się *bez zastrzeżeń solidaryzować*¹⁸⁹.

List otwarty..., co odnotował Giedroyc w korespondencji z Mieroszewskim, powodował coraz większe poruszenie, choć raczej z powodu jego sensacyjnej otoczki, niż samego programu. Redaktor zarejestrował tylko jedną negatywną reakcję: Tyrmand miał stwierdzić, że dokument ów nie będzie miał większego znaczenia, jako że młodzi ludzie mieli już dosyć *drętwej mowy marksistowskiej*. Giedroyc uważał, że niedocenywanie *Listu...* wynikało z niezrozumienia faktu, że w ustrojach totalitarnych opozycja narasta i może narastać jedynie na marginesie obozu rządzącego. Podobnie jak Mieroszewski liczył, że z czasem powstanie w kraju rewolucyjne ugrupowanie, z którym „Kultura” mogłaby się solidaryzować, oraz dla którego wysuwałaby propozycje programowe¹⁹⁰. Londyńczyk natomiast pisał: *My możemy wysuwać sugestie, możemy swobodnie te sprawy dyskutować – lecz nie możemy dla młodych ludzi w kraju fabrykować gotowej rewolucyjnej platformy. Choćby była najgenialniejszą to by jej nie przyjęli tylko dlatego, że jest zredagowana na emigracji przez ludzi, którzy trzydzieści lat temu wyjechali z Polski*¹⁹¹. Już wtedy uważał Mieroszewski za konieczne rozpoczęcie dyskusji na temat modelu przyszłego ustroju, jaki przyjąć mogłaby partia opozycyjna. Miałby to być ustrój demokratyczny, który *chroniłby socjalizm przed chadecją z Wyszyńskim na czele*. Zgadzając się co do konieczności stworzenia platformy rewolucji Giedroyc uznał pogląd Mieroszewskiego dotyczący chadecji i Wyszyńskiego za przesadny, ponieważ, jak pisał, *też nie ma żadnego programu, a już specjalnie w sprawach*

188. *Ibidem*.

189. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 7 IX 1966.

190. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 27 VIII 1966.

191. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 7 IX 1966.

*socjalno-gospodarczych. Jeśli go coś interesuje, to raczej chłop, który jest podporą Kościoła, ale przeciwko robotnikowi nie pójdzie*¹⁹².

Propagując koncepcję Kuronia i Modzelewskiego jako zwiastuna programów alternatywnych, Instytut Literacki wydał jednocześnie w jednej broszurze dwa inne „programy alternatywne”, które pojawiły się ówczesnie w kraju, a których realizacja byłaby wysoce niepożądana. We wstępie, jakim zostały one opatrzone, Mieroszewski wyjaśniał, że manifest podziemny Komunistycznej Partii Polski oraz *Wytyczne ideowo polityczne Stowarzyszenia PAX* zestawione zostały nieprzypadkowo. Kazimierz Mijal i Piasecki, pomimo występujących między nimi różnic, spotykali się na kilku płaszczyznach – jako komunistyczni *«schizmatycy»*, polityczni bankruci, przeciwnicy polskiego „Października” oraz wielopoglądowości (której brak musiał zawsze prowadzić do totalitaryzmu, reprezentującego *najbardziej konserwatywne i reakcyjne poglądy*)¹⁹³.

Wiadomości, jakie napływały do Zespołu „Kultury” z kraju, zdawały się potwierdzać słuszność programu paryskiego ośrodka. W związku ze „stawką” na młode pokolenie, szczególną wagę przywiązywała Redakcja do ocen przedstawicieli wywodzących się z tego właśnie środowiska. Nie dziwi zatem satysfakcja, z jaką witano choćby takie opinie, jak te relacjonowane przez historyka (prawdopodobnie Włodzimierza T. Kowalskiego), którego Mieroszewski uznał za najciekawszego z, jak się wyraził, *powodzi facetów krajowych*. Powiedział on m.in., powołując się na opinie swojego środowiska, że pierwszy stopień doktora nauk politycznych¹⁹⁴ powinien zostać przyznany Giedroycowi, którego ceniono szczególnie za koncepcję zbliżenia polsko-rosyjskiego na „europejskich” warunkach¹⁹⁵. Ówczesne młode pokolenie widziało w „Kulturze” nie tylko najlepsze polskie pismo, lecz również *«szkołę politycznego myślenia»*¹⁹⁶. Konstanty Łubieński spotkawszy się z Mieroszewskim twierdził, że „Kultura” najwyżej była ceniona wśród niepartyjnych komunistów, czyli takich, którzy wstąpiliby do partii – gdyby partia przyjęła choć w części

192. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 12 IX 1966.

193. *Schizmy*, wstęp J. Mieroszewskiego, Paryż 1966, s. 7-9.

194. Uchwałą sejmu wtedy właśnie zaczęto doktoraty takie nadawać.

195. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 3 I 1967.

196. *Ibidem*.

proponowany przez Redakcję program reform¹⁹⁷. Głosy pozytywne napływały także z innych stron. Mieroszewski relacjonował rozmowę z naukowcem z Krakowa, reprezentującym średnie pokolenie. Był on *okśniony* teorią ewolucjonizmu i twierdził, że waga tej teorii polega na tym, że o ile rewolucjoniści tacy jak Kuroń i Modzelewski stanowią w Polsce znikomą mniejszość, to pod ewolucjonizmem sformułowanim przez „Kulturę” podpisywać się miała *znakomita większość inteligencji*¹⁹⁸. Wydaje się, że Mieroszewski, nie będąc do końca przekonany do rewolucyjnych projektów Giedroycia, nadal poszukiwał, szczególnie w tak liczących się dla Redaktora głosach krajowców, argumentów dla poparcia swojej tezy. Proponował przy tym wznowienie *Ewolucjonizmu* – książki zawierającej zbiór jego artykułów, będących wykładnią wspomnianej teorii. Giedroyc odpowiadał: *Niestety nie mogę myśleć o ponownym wydaniu «Ewolucjonizmu». To byłaby kompletnie deficytowa impreza gdyż na emigracji to nie pójdzie. Trzeba niewątpliwie kłaść nacisk na ewolucjonizm ale nie możemy bagatelizować elementu rewolucyjnego nie tylko dlatego, że on istnieje, ale że na ten element dwudziestolatków mamy i możemy mieć stosunkowo największy wpływ. Zwolennikami ewolucjonizmu są w pierwszym rzędzie tzw. młode kadry, które nas się boją*¹⁹⁹. Dlatego też w kolejnych miesiącach Redaktor naciskał na to, by ryzykować i z uporem pisać o narastających elementach rewolucyjnych w Zw. Sow., podkreślając (nawet z przesadą), że dziś Moskwa góruje w tym nad Warszawą. Musimy w ten sposób – przekonywał – pobudzić apatyczność Polaków. Zresztą jest w tym dużo prawdy: np. ostatnio rękopisy sowieckie sypią się na Zachodzie jak z rękawa. W samych Włoszech w najbliższym czasie wyjść ma ok. piętnastu. Tu musimy być konsekwentni i ta teza w pewnym stopniu robi nas atrakcyjnym²⁰⁰.

Odpowiedzią, jakiej udzielił reżym na nową teorię „Kultury”, były wzmożone ataki propagandowe, w których za wszelką cenę chciano ją skompromitować, łącząc z CIA. Powoływano się przy tym – *chytrze*, jak stwierdził Redaktor²⁰¹ – na prasę ame-

197. *Ibidem*.

198. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, [II/III] 1967.

199. *Ibidem*; J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 3 III 1967.

200. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 18 V 1967.

201. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 10 III 1967.

rykańską, która podała informację, że Kongres Wolności Kultury korzystał z subwencji CIA. „Kulturę” zatem przedstawiano jako pismo Kongresu. Wiadomości na ten temat pojawiały się kolejno w polskim radio, „Polityce” oraz „Szpilkach”. Wyjątkowo Giedroyc postanowił złamać dotychczasową zasadę *nieodpowiadania na inwektywy*, tym razem jednak zamieszczone zostało w *Kronice angielskiej*²⁰² sprostowanie, w którym Zespół „Kultury” odżegnywał się od jakichkolwiek powiązań organizacyjnych czy finansowych z KWK. Podkreślano także przy tej okazji (ale nie napastliwie) zasadnicze różnice poglądowe zachodzące między „Kulturą” a tą amerykańską instytucją. Jak uzasadniał Giedroyc: *Myszę, że ton kurtuazyjny jest wskazany właśnie dlatego, że stosunki są złe*²⁰³.

●

Narastające wrzenie w bloku sowieckim coraz bardziej utwierdzało Giedroycia w przekonaniu, że sytuacja jest *wybuchowa*, a Europa Wschodnia znalazła się u progu gwałtownych przemian²⁰⁴. Potwierdzały to wiadomości napływające zarówno z ZSRS (Redaktor utrzymywał nieliczne, ale dość, jego zdaniem, istotne kontakty z Rosjanami z „tamtej strony”) jak i z Polski. Rozmowy z przybywającymi wówczas do Maisons-Laffitte krajowcami, których w tym okresie (pomimo panującej wówczas, a wywołanej represjami atmosfery strachu) Redaktor widywał średnio ośmiu do dziewięciu tygodniowo, w tym, jak określił, *bardzo ważnymi*, relacja Iwaszkiewicza, jaka dotarła do niego pośrednio, a także informacje otrzymywane regularnie od będących z nim w kontakcie korespondentów „New York Times’a” czy „Le Monde”, dały obraz zaistniałych w Polsce okoliczności jako kryzysowych. Strajki, pogorszenie stopy życiowej, nasilający się ferment wśród młodzieży i intelektualistów, walki frakcyjne w partii skłaniały do poszukiwania analogii z rokiem 1956. W tej „przed-październikowej” koniunkturze „Kultura”, znalazłszy się, jak stwierdził, na *zasadniczym zakręcie*, winna jak najszybciej

202. J. Mieroszewski, *Kronika angielska*, „K” 1967, nr 4.

203. *Ibidem*.

204. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 20 I oraz 7 II 1968.

wypracować nowy program i taktykę postępowania, tak by nie być, jak w „Październiku”, zaskoczoną przez wypadki²⁰⁵. Koncepcji alternatywnej nie miał tymczasem nikt – ani będący w *proszku* rewizjoniści, ani *skostniały* aparat partyjny, nastawiony jedynie na utrzymanie (czy – w przypadku frakcji – zdobycie) władzy. Przyszły plan musiał, jego zdaniem, uwzględnić dwa istotne punkty: rewolucję i problem niemiecki.

Obawiając się przerodzenia wybuchających wówczas w Europie Wschodniej strajków robotniczych w ślepy, motywowany wyłącznie ekonomicznie, wybuch, wiązał Giedroyc jednocześnie nadzieje z nurtującymi państwa tego regionu procesami rewolucyjnymi (napięciami, zachodzącymi wśród młodzieży i inteligencji rosyjskiej, ukraińskiej, czeskiej, węgierskiej). Uważał, że należy je akcentować jako dające jedyną realną szansę na zmianę koniunktury w bloku komunistycznym²⁰⁶. Polecając Mieroszewskiemu na początku lutego 1968 r. połączenie propagowania ewolucji z wskazywaniem na prawdopodobieństwo (czy nawet nieuniknioność) rewolucji²⁰⁷, parę dni później niekonsekwentnie wskazywał na konieczność zatuszowania ewolucjonizmu, który już swą – bardzo pożyteczną, jak utrzymywał – rolę odegrał. *Koniec próbom «ulepszania» ustroju komunistycznego* – pisał – *koniec życzliwego i z taryfą ulgową naszego stosunku do rewizjonistów* [...]. Przewidując rewolucję Redaktor chciał, aby, wysuwając tę sprawę jako pierwszy, stał się Zespół „Kultury” prekursorem wypadków, gdyż, jak zawsze uważał, jako jedyny jest on w stanie się tego podjąć. *Młodzież w kraju w tej chwili wyłącznie patrzy na nas* – przekonywał. Utrzymywał przy tym, że zadaniu temu nie mogła sprostać RWE, nie tylko zważywszy na politykę amerykańską wobec Europy Wschodniej (a raczej jej brak), ale i na przyjęcie przez Nowaka-Jeziorańskiego „opcji” na Kościół (na kardynała Wyszyńskiego) oraz wieś, na której się on opierał. Giedroyc nie wykluczał takiego rozwoju wypadków, w którym zarówno USA, jak i polska hierarchia stanęłyby na stanowisku utrzymania *status quo*, zwłaszcza że, jak oceniał, dążenia kardynała ograniczały się do zagadnień związanych ze statu-

205. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 13 oraz 20 II 1969.

206. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 7 II 1968.

207. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 9 II 1968.

sem Kościoła i religii w PRL, i na tej płaszczyźnie był zawsze gotowy na kompromis z komunistycznym *establishmentem*, z którym był zresztą, w pewnym sensie, związany²⁰⁸.

W tak zarysowanej sytuacji niezbędne było wzmocnienie pozycji samej „Kultury”, czemu służyć miała m.in. przygotowywana właśnie antologia „Kultury” w języku angielskim²⁰⁹.

Drugim niezwykle istotnym czynnikiem, na który zwracał uwagę, było zagadnienie stosunków polsko-niemieckich. Do Redaktora docierały informacje (m.in. za pośrednictwem J. Iwaszkiewicza), że polityka PRL, charakteryzująca się wówczas wyciszaniem wszelkich akcentów antysowieckich oraz nasiloną propagandą przeciwko NRF, budowana była na przekonaniu o toczących się poufnych rozmowach między Bonn a Moskwą i zmierzała do uniemożliwienia choćby próby normalizacji stosunków z Niemcami. Giedroyc uważał, że należy odpowiedzieć na to podkreślając niebezpieczeństwo „czerwonych Prus”²¹⁰.

Do omówionym powyżej projektów Redaktora Mieroszewski odniósł się sceptycznie. Uważał, że nadchodzące z Polski informacje o sytuacji „przed-październikowej” należało traktować *z wielką ostrożnością*, zwłaszcza że np. wieści o zbliżających się przetasowaniach w peerelowskich władzach krążyły na emigracji i nie znajdowały potwierdzenia od kilku już lat. Przytaczał przy tym obserwacje znajomego emigranta, odwiedzającego Polskę dość często, który miał stwierdzić, że *dramat polega na tym, że w Polsce nikt nie wierzy w żadne zmiany. [...] Na to by w kraju nastąpiły jakieś zmiany trzeba wpierw ludzi przekonać, że zmiany są możliwe*. Ponadto twierdził Mieroszewski: *odważni ludzie są bardziej skłonni do akcji – jak strajk, manifestacja, awantury na uniwersytecie – niż do myślenia. Ci, co myślą – nie są odważni*²¹¹. Zgadzając się z Giedroyciem, że winni stać się prekursorami i *zrobić krok naprzód*, był zdania, że powinni to zrobić (unikając kolejnej radykalnej wolty, której nie uzasadniały żadne wydarzenia czy to w Polsce, czy w ZSRS) w ramach koncepcji, z którą byli identyfikowani, tzn. ewolucjonizmu. Mieroszewski sprzeciwiał się wyłącznej stawce na rewolucję, która mogła nigdy nie

208. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 13 II 1968.

209. *Ibidem*.

210. *Ibidem*.

211. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 14 II 1968.

nadejść. Swoje wątpliwości w tym względzie uzasadniał tezą, że warunkiem rewolucji w Polsce był program alternatywny wobec komunistycznego, który nie został sformułowany ani przez Kuronia i Modzelewskiego, ani przez rewizjonistów, ani przez żadne inne środowisko. W takich okolicznościach ewentualny „drugi Październik” musiałby się skończyć dokładnie tak, jak pierwszy. W Związku Sowieckim z kolei – dowodził – istniało tylko państwo i naród, społeczeństwo natomiast zaczynało się dopiero, w procesie fermentu i krystalizacji opinii publicznej – formować. Ponieważ bazą rewolucji ustrojowej było społeczeństwo (jako że rewolucja to *świadomość społeczna wydobyta na powierzchnię*), do rewolucji w ZSRS było daleko. Dlatego też, przekonywał, „Kultura” winna ewolucję i rewolucję traktować równolegle²¹². W przekonaniu tym utwierdziły Mieroszewskiego dodatkowo wydarzenia w Czechosłowacji. *Byłoby [...] szaleństwem z naszej strony – pisał do Giedroycia – tuszować naszą teorię polityczną w chwili gdy w jednym z krajów wschodnioeuropejskich zaczyna przeradzać się w rzeczywistość. To, co się dzieje w Czechosłowacji, stanowi potwierdzenie słuszności założeń «ewolucjonizmu». Rewolucja na Węgrzech skończyła się klęską – «ewolucja» w Czechosłowacji kto wie czy nie przyniesie częściowego zwycięstwa. W każdym wypadku przemiany w Czechosłowacji dowodzą, że odpisywanie «ewolucjonizmu» na straty byłoby przedwczesne*²¹³. Trafności propagowania wariantu ewolucyjnego potwierdził jego zdaniem także... Gomułka w swoim przemówieniu marcowym, w którym nie tylko przypisywał „Kulturze” inspiracyjną rolę w krajowym fermentie, ale i „polemizował” z finansowanym przez wywiad amerykański Mieroszewskim, jako z *najbardziej reprezentacyjnym przedstawicielem [...] prymitywnego antysowietyzmu i jego teorią europeizacji Rosji*²¹⁴. *Ma Pan [...] dowód – przekonywał Giedroycia Mieroszewski – że mój «ewolucjonizm» nie jest taki głupi. Gomułka nie cytował ani moich artykułów niemieckich, ani dotyczących zagadnień międzynarodowych à la Tyrmand – tylko uznał za groźne artykuły «ewolucyjne» –*

212. *Ibidem*.

213. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 3 III 1968.

214. W. Gomułka, *Stanowisko Partii – zgodne z wolą narodu*. Przemówienie wygłoszone na spotkaniu z warszawskim aktywnym partyjnym 19 marca 1968, Warszawa 1968, s. 29-30.

mówiące o przebudowie komunizmu – Związku Sowieckiego²¹⁵.

W będącym owocem tych rozważań artykule *Ewolucja czy rewolucja* uwzględniał także i wariant rewolucyjny, wydaje się jednak, że był to raczej kompromis ze stanowiskiem Redaktora, niż wyraz własnych przekonań Mieroszewskiego²¹⁶. Oceniając artykuł Mieroszewskiego, Giedroyc zgadzał się w pełni z zawartą w nim oceną sytuacji. Nieporozumienie między nimi polegało na tym, że Mieroszewski, broniąc z *zapątem* ewolucjonizmu, nie doceniał przewidywanego przez Redaktora niebezpieczeństwa. Jeżeli ostatnio kładę nacisk na rewolucję – wyjaśniał – to nie dlatego, że uważam to nagle za idealne rozwiązanie czy mam jakiś program tej rewolucji, ale jedynie dlatego, że ta rewolucja nadchodzi. [...] bezprogramowa, bez żadnej koncepcji i dlatego trzeba z jednej strony zastanowić się nad tą możliwością a z drugiej strony zwracać uwagę na niebezpieczeństwo. I tu apelować trzeba nie tylko do przyjaciół «K» w kraju, by się nad tym problemem zastanowili, ale również trzeba zwracać uwagę Zachodowi, że taka możliwość wybuchu istnieje. Pan te obawy bagatelizuje, bo w tych sprawach Pan mało siedzi. Natomiast siedząc w tych sprawach więcej niż po uszy, w rozmowach i kontaktach z ludźmi z kraju i Rosji, widzę coraz bardziej rosnące niebezpieczeństwo wyrażające się w tym, że «niech się coś zmieni, niech trzaśnie, obojętne dla kogo, i przez kogo, byle się coś zmieniło»²¹⁷. Wobec tego, że cierpliwość społeczeństwa w Polsce zaczęła się wyczerpywać, trudno było nadal oczekiwać „odgórných” przemian. Giedroyc uważał, że winno się wystosować swego rodzaju ultimatum do władz PRL, zawierające stwierdzenie, że *opozycja (a z nią «Kultura») nie da się przygwoździć na wieki wieków do ewolucjonizmu wypranego z wszelkiej treści. Albo nadacie mu jakiś realny sens, albo...* Takie postawienie sprawy pozwoliłoby „Kulturze” na łagodne przejście od koncepcji ewolucjonizmu do rewolucji, którą należało podsycać²¹⁸. Z czasem taki punkt widzenia przyjął także Mieroszewski, zwłaszcza że bieg wydarzeń w Europie zdawał się przyznawać rację Redaktorowi. Giedroyc z nadzieją obserwował ów *kryzys epoki, kruszenia się starych, tradycyjnych*

215. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 25 III 1968.

216. *Ibidem*.

217. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 5 III 1968.

218. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 2 III 1968.

form i szukania po omacku nowych. Hasła młodzieży zachodnio-europejskiej pragnął *transplantować* do kraju w celu ożywienia rewolty polskich studentów, dostrzegając w autentycznie, jak oceniał, skrajnie lewicowym ruchu, ogarniającym całą Europę, szansę dla bloku wschodniego. *To może być – pisał – ten punkt Archimedes*²¹⁹. Wydaje się, że pewne obawy, jakie Giedroyc żywił w związku ze zbliżającą się rewolucją, tłumiła fascynacja²²⁰.

Chcąc odegrać rolę we włączeniu młodej polskiej rewolucji w nurt zachodnioeuropejski, był Redaktor przeciwny eksponowaniu na łamach pisma hasła obalenia komunizmu, które określił Mieroszewski jako *credo «Kultury»*²²¹, uznając, że w ówczesnej sytuacji kłaść nacisk należy na *drugi etap* – tzn. komunizm demokratyczny²²². W praktyce dążenie to przejawiało się w nawiązywaniu kontaktów z nową emigracją, którą zaktualizowały wydarzenia marcowe. Odświeżenie zagadnienia nurtującego Giedroycia od końca lat 40-tych skłoniło go do zastanowienia się nad taktyką mającą na celu związanie z „Kulturą” oraz *wykorzystanie* ludzi, którzy w fali *exodusu* przybywali wówczas z Polski²²³. Problem ów pojawił się jednak już nieco wcześniej. Na początku 1968 roku Redaktor w największej tajemnicy informował swojego najbliższego „ideowego” współpracownika o przekazanej mu propozycji wydawania *własnego sztandarowego pisma* o zasięgu, w założeniu inicjatorów, nie tylko polskim lub użyczenia samodzielnego działu w „Kulturze”, która wyszła od przedstawicieli *dość licznych grup i koteryjek* studenckich (mających ponoć kontakty ze studentami w Moskwie oraz Pradze), określanych przez niego jako *prawdziwe kłębownisko żmij, których łączy właściwie tylko negatywny stosunek do rzeczywistości i wspólne pochodzenie ideologiczne ale nic więcej*²²⁴. Niezależnie od dość sceptycznego oglądu ideowego oblicza owych środowisk, których „wysłannik” miał wyemigrować na stałe na Zachód i redagować

219. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 14 V 1968.

220. Pobrzmiwała ona także w rozmowie, jaką przeprowadziła z Redaktorem B. Toruńczyk – zob. *Rozmowy w Maisons-Laffitte 1981*, Warszawa 2006, s. 56.

221. J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 16 IV 1968.

222. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 19 IV 1968.

223. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 8 III 1969.

224. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 27 I 1968.

wspomniane pismo (czy całkowicie autonomiczny dział), Giedroyc udzielił im odpowiedzi pozytywnej uznając, że, jak stwierdził: *to jest b. ciekawe i to może nam ogromnie rozszerzyć zakres naszego działania i dać nam ciężar gatunkowy [...]*²²⁵. Koncepcja ta nie doszła do skutku, zamiast tego Maisons-Laffitte zaczęło tonąć w powodzi tekstów wysyłanych zarówno przez nowych emigrantów (jak stwierdził Giedroyc, w znakomitej większości grafomanów z *niezmiernie wysokim mniemaniem o sobie*, wyrażając tym niemniej nadzieję, że uda mu się „skroić” *interesującą ekipę 5-8 ludzi*²²⁶), jak i nade wszystko z kraju²²⁷. To ostatnie było namacalnym efektem nawiązywania przez Redaktora na przełomie lat 1968/1969 relacji (*via* Czechosłowacja) i współpracy z tymi grupami studenckimi, które – jak pisał – *nie uległy rozgromowi i zaczynały pomału wychodzić z prostracji po-marcowej*²²⁸. Miał tu zapewne na myśli m.in. i środowisko, z którym związany był towarzysz Marek Głogockowski, Adam Winkler oraz Maciej Kozłowski. Będąc inicjatorem nawiązania kontaktu z „Kulturą”, zamierzał Kozłowski (jak to później wyjaśnił²²⁹) stworzyć *ośrodek młodej inteligencji emigracyjnej*, którego celem byłoby (wedle jego zamierzeń) oddziaływanie na kraj (*posianie fermentu w umysłach ludzkich*) w kierunku liberalizacji stosunków społeczno-politycznych, tzn. realizacji hasła budowy „socjalizmu z ludzką twarzą”²³⁰. Jako że rozmowy z Giedroyciem utwierdziły go w przekonaniu, że skuteczność owego oddziaływania uzależniona była od likwidacji zróżnicowania postaw „klasy” robotniczej i inteligencji, szczególnie poprzez podniesienie wiedzy tej ostatniej o robotniczych problemach, jednym z

225. *Ibidem*.

226. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 3 III 1969.

227. Por. np.: J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 11 I 1969.

228. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 18 I 1969.

229. Pomimo dość specyficznych okoliczności, w jakich padły te słowa (wyjaśnienia oskarżonego w drugim dniu rozprawy, będącej częścią tzw. procesu „Taterników”), wydają się one jednak dość w tym wypadku miarodajne.

230. Kozłowski nazywał siebie zwolennikiem socjalizmu, którego podstawy określono w kwietniu 1968 w Czechosłowacji. Program ten nazwał najwybitniejszym osiągnięciem międzynarodowego komunizmu w okresie powojennym; AIPN 0204/23 t. 16, Informacja nr 4/70, II 1970, k. 189.

wysuwanych przez niego postulatów stało się nawiązanie ścisłej współpracy między zaangażowaną lewicą akademicką a załogami zakładów pracy²³¹. Relacje z tymi środowiskami nie pozbawione były pewnych zastrzeżeń po obu stronach. „Kultura”, biorąc cały czas pod uwagę możliwość prowokacji, musiała jednocześnie przełamać nieufność młodzieży. *Ci młodzi – konstatował Giedroyc – odziedziczyli po ojcach w dużym stopniu sekciarski sposób myślenia, my zawsze jesteśmy dla nich «nieczyści» a przy tym jakkolwiek wiedzą sporo o «Kulturze», to jednak numery pisma docierają z trudem i nieregularnie tak, że trudno by byli zbyt dobrze zorientowani w naszej pracy*²³². Tym niemniej wiązał z nimi szeroko zakrojone plany polityczne, w których ewentualnej realizacji liczył na pomoc czechosłowacką: *Sytuacja tam [w Czechosłowacji] robi się coraz bardziej napięta i rewolucyjna. To może być europejski Wietnam, właściwie niemożliwy do likwidacji czotgami, dopóki trwa ta zdumiewająca jedność studentów czy w ogóle świata intelektualnego z robotnikami. Chciałbym, by trwało to najdłużej. Nie idzie o «zarażający przykład» ale chciałbym doprowadzić by mogła powstać w Pradze czy Bratysławie mała komórka polska (z kraju), która miałaby możność swobodniejszego działania niż w Polsce i korzystała z pomocy i doświadczenia studentów czeskich*²³³. Jednocześnie powracał Redaktor do swojej dawnej koncepcji międzynarodowego ośrodka rewizjonistycznego na Zachodzie (mieszczącego się tym razem np. we Włoszech), firmowanego przez Zygmunta Baumana i Kołakowskiego (z którymi starał się w tej sprawie skontaktować). *My – przekonywał – przebrać się za komunistów nie możemy a taki ośrodek dyskretnie przez [nas] manewrowany ogromnie by rozszerzył nasze możliwości*²³⁴. Parę miesięcy później wydawało się, że zarysowany powyżej projekt czechosłowackiego «Piemontu»²³⁵ był na dobrej drodze ku realizacji, zarówno w zakresie „montowania” na tamtejszym terenie kolportażu do Polski, jak i nawiązywania współpracy z organizacjami studentów czeskich oraz słowackich, której rozszerzenie starał się Giedroyc spowodować wysyłając „dele-

231. AIPN 0204/23 t. 16, Informacja nr 4/70, II 1970, k. 187.

232. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 18 I 1969.

233. *Ibidem*.

234. *Ibidem*.

235. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 1 IV 1969.

gata” (Kozłowskiego) na konferencję polsko-czeską, jaka odbyć się miała 4 kwietnia w Pradze, oraz „intrygując” zwołanie poufnej konferencji studentów wschodnio-europejskich w Jugosławii²³⁶. Celem tych zabiegów było nawiązanie kontaktów z lewicową młodzieżą krajów bloku wschodniego oraz sformułowanie wspólnego programu działania i stworzenia „międzynarodowej młodzieżówki” z krajów Europy Wschodniej²³⁷. Niestety, nie dane było Redaktorowi trwać dłużej w stanie *umiarkowanego optymizmu*²³⁸. Wydanie dwóch tomów dokumentów „marcowych”²³⁹, tak jak przewidywał, zrobiło duże wrażenie w kraju, a także przyspieszyło *procesy wśród młodzieży*²⁴⁰, choć treść, jaka wypełniła to oczekiwanie, okazała się zgoła odmienna od jego intencji. *Jestem bardzo niespokojny* – pisał Giedroyc w czerwcu 1969 r. do Mieroszewskiego – *bo mój «kurier», który poszedł do kraju via Czechy, nie wrócił a powinien być od trzech dni*²⁴¹. Był to pierwszy symptom rozpoczęcia największej kampanii przeciwko „Kulturze”, na jaką zdobyły się władze komunistyczne, znanej później jako proces Tatarników²⁴². Rezygnując z rozważanego początkowo wariantu, w którym brano pod uwagę postawienie Giedroycia przed sądem z oskarżeniem o działalność skierowaną przeciwko PRL (szpiegostwo)²⁴³, zdecydowano się na

236. *Ibidem*; W Czechosłowacji zorganizowano cztery punkty przetrzutowe, w tym dwa przez Tatry. W omawianym okresie otrzymać one miały od Instytutu Literackiego ok. 500 tomów swoich wydawnictw.

237. AIPN 0204/23 t. 16, Informacja nr 4/70, II 1970, k. 188 oraz Informacja Nr 5/70, k. 191.

238. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 1 IV 1969.

239. *Wydarzenia marcowe 1968*, Paryż 1969 oraz *Polskie przedwiosnie. Dokumentów marcowych t. II. Czechosłowacja*, Paryż 1969.

240. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 10 II 1969.

241. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 9 VI 1969.

242. Więcej na ten temat w: B. Kaliski, *Sprawa tatarników. Przerzut od Giedroycia*, „Karta” 2004, nr 40, s. 99-131; J. Karpiński, *Taternictwo nizinne*, Lublin 2002.

243. AAN KC PZPR LI/64, Pismo Prokuratora Generalnego PRL do Kierownika Wydziału Administracyjnego KC PZPR Stanisława Kani, 25 IX 1969; AAN KC KZPR LI/64, Notatka dotycząca propozycji w zakresie merytorycznego załatwienia śledztwa w sprawie przeciwko Maciejowi Kozłowskiemu i innym, 22 września 1969; AIPN 0582/20 t. 8, Pismo z-cy dyrektora BŚ MSW do zastępcy prokuratora generalnego PRL, k. 268.

zaaranżowanie procesu politycznego „emisariuszy” „Kultury”, wspieranego ogromną machiną propagandową, mającego na celu zdemaskowanie agenturalnej działalności paryskiego ośrodka (w czym dużą rolę odgrywał niezawodny Janusz Kolczyński, powołany jako... biegły sądowy) oraz jego organizatorskiej roli w *zakresie inspirowania środowisk rewizjonistycznych w PRL*, i CSRS²⁴⁴.

Efektem owych przedsięwzięć była, jak stwierdził Jacques Semelin, wielka reklama dla pisma oraz wydatne podniesienie jego prestiżu nie tylko w Polsce, ale i innych krajach Europy Wschodniej²⁴⁵. „Wysiłki” władz docenił także Giedroyc obwieszczając ostatecznie swoje *totalne zwycięstwo*²⁴⁶.



Wydarzenia 1968 r. kazały ostatecznie pożegnać się „Kulturze” z koncepcją rewizjonizmu, w tym rewizjonistycznej emigracji. Od początku istnienia „Kultury” Giedroyc liczył na to, że powstanie na Zachodzie nowa emigracja, która, będąc pod jego wpływem, wytworzy nową koncepcję dla Polski. W emigracji pomarcowej nie dostrzegł jednak ostatecznie realizacji swoich oczekiwań. *Nie ma co ukrywać – pisał – że likwidacja grupy puławskiej, wydarzenia marcowe i «nowa emigracja» praktycznie zlikwidowała młodych marksistów czy rewizjonistów. Ta młodzież rewizjonistyczna znalazła się poza krajem i na skutek zarówno poprzedniej izolacji jak braku odwagi czy z innych powodów nie potrafiła stworzyć na emigracji ośrodka politycznego. Obawiam się, że na taki ośrodek jest już za późno jeśli idzie o jego rezonans w kraju: natura nie lubi próżni. Powstają tam nowe formacje dość zbliżające się do jakiegoś katolicyzmu (contra hierarchia i contra istniejące ośrodki o nastawieniu lewicowo-radykalnym). Popularność samego Kołakowskiego kolosalnie spada – ludzie po prostu o nim zapominają. W warunkach polskich od dawna każdy rocznik akademicki to praktycznie nowe pokolenie. W sumie żałuję bo wśród*

244. AAN KC PZPR LI/22 (Wydział Administracyjny KC PZPR), Notatka w sprawie procesu sądowego przeciwko grupie osób współdziałających z paryską „Kulturą”, XII 1969.

245. J. Semelin, *Wolność w eterze*, Lublin 1999, s. 193.

246. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 5 IV 1970.

rewizjonistów było szereg ludzi b. utalentowanych. Wśród nich znajdziemy napewno dużą rezerwę nowych współpracowników ale obawiam się, że trzeba przestać liczyć, że stworzą oni ośrodek polityczny. Zresztą trzeba się liczyć z faktem że w tych kołach jest ciągle duża nieufność wobec nas: my jesteśmy «dobrymi poganami». Praktycznie biorąc jest z ich strony stosunek użytkowy bo ostatecznie poza nami nic nie ma²⁴⁷. W okresie tym od rewizjonizmu odżegnywać zaczęli się i dawni rewizjoniści, jak np. Kołakowski (nazwany przez Giedroycia *Hamletem polskiego marksizmu*), jako od nieporozumienia czy wielkich złudzeń²⁴⁸. Nie spełniły się wówczas także rachuby Giedroycia na stworzenie alternatywy liberalnej w partii, jakie wiązał z Władysławem Bieńkowskim²⁴⁹.

Oceniając sytuację międzynarodową początku lat 70-tych Redaktor konstatował, że ówczesna polityka amerykańska była jednoznaczna z utwierdzeniem Jałty i ostatecznym odpisaniem państw zniewolonych na straty. Zaniepokojony zarówno tymi polskimi koncepcjami politycznymi, które opierały się nadal na bezkrytycznej wierze w Zachód, jak i tymi (głównie endeckimi, które, zdaniem Giedroycia dominowały w myśleniu zarówno kraju, jak i emigracji²⁵⁰) idącymi na ugodę z *establishmentem* sowieckim, pisał: *Musimy teraz systematycznie i z uporem wbijać ludziom w głowę, że możemy liczyć jedynie na własne siły, że – nawet b. ostrożnie kalkulując – mamy pewne atuty w ręku*²⁵¹. Możliwości rozbicia imperium sowieckiego Giedroyc dostrzegał na dwóch płaszczyznach. Po pierwsze – w *aktywnym włączaniu się do wszystkich ruchów opozycyjnych czy rewolucyjnych stale rosnących na obszarze bloku wschodniego*. Wymaga to jednak – stwierdzał – *wyjścia z prowincjonalności, ze zrezygnowania z tępego nacjonalizmu, pogardy do otaczających sąsiadów z narodem rosyj-*

247. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 22 VIII 1970.

248. P. Kende, *Budapeszt-Praga-Warszawa*, „K” 1978, nr 1-2, s. 11, O roku 1968 jako kresie rewizjonizmu, por.: A. Michnik, *Szanse polskiej demokracji*, Londyn 1984, s. 79. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 27 VIII 1970.

249. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 20 XII 1969.

250. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 24 II 1972; Koncepcja „wschodnia” „Kultury” wykuwała się w pewnej mierze w polemice z tą opcją polityczną; por. np.: J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 22 IV 1973.

251. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 31 V 1972; por. też: J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 18 V 1972.

skim na czele. Jest to o tyle ważne, że ruchy odśrodkowe w Zw. Sowieckim bazują na skrajnym nacjonalizmie: nienawiść do komunizmu, nienawiść do Rosji. Grozi to jakimś nowym nazizmem. Podobne procesy zachodzą dziś i w Polsce. Po drugie (konsekwentnie, bo od pierwszej połowy lat 50-tych) – w ruchach socjalnych wśród robotników. Pisał: *Robotników dziś w Polsce i w całym bloku obchodzą jedynie sprawy bytowe a nie problematyka polityczna. Niestety, inteligencja nadal od robotników się odcina, nie ma ani ochoty, ani zamiaru, by te ruchy wyposażać pomatu i ostrożnie w politykę, tak jak to robił Piłsudski i PPS na początku XX wieku*²⁵². Wydarzenia grudniowe 1970 mógł uznać Giedroyc za częściowe potwierdzenie swoich prognoz. Myśl polityczna „Kultury” (ze słynną koncepcją ULB włącznie) kształtowała się ówczesnie w ramach powyższych wytycznych²⁵³.



Marzec 1968 r. oraz interwencja w Czechosłowacji były wstrząsem dla młodych komunistów. Pod jego wpływem zaczęli oni odchodzić od marksizmu, dokonywali także reorientacji poglądu na kwestię polskiej suwerenności oraz tradycji niepodległościowej²⁵⁴. Opcja „lewicowa” „Kultury”, rozumiana jako stawka na komunistycznych „odszczępieńców” działających na marginesach władzy, rozбивała się więc o rzeczywistość. Szybciej niż w bloku wschodnim, komunizm rozpadał się w głowach jego dawnych wyznawców. Redaktor zdawał sobie z tego sprawę: *W Polsce jest jeden fakt w każdym razie wśród młodzieży i na to mam dziesiątki potwierdzeń. Cała młodzież z wyjątkiem może 10% karierowiczów jest gwałtownie antykomunistyczna. Represje moczarskie i exodus «syjonistów» praktycznie zlikwidował rewizjonizm i nadzieje na «poprawienie» komunizmu. Ruch lewicowy przeżywa kryzys [...]. Z tej dotychczasowej naszej stawki musimy zrezygnować a jedynie wpływać by tendencje nie przerodziły się w nowy ONR. Jednym słowem znów jesteśmy w sytuacji, która wymaga od nas pły-*

252. J. Giedroyc do J. Microszewskiego, 31 V 1972.

253. *Ibidem*.

254. Por. np. Bartłomiej [A. Michnik], *Cienie zapomnianych przodków*, „K” 1975, nr 5; J. Kuroń, *Autobiografia*, Warszawa 2009, s. 336-337.

nięcia pod prąd²⁵⁵.

Pojawiające się w późniejszym okresie pomysły Giedroycia, a to o potrzebie flirtu z eurokomunizmem, a to o *hodowaniu formacji* w kompartii, dla wygrywania jej w rozmowach w osłabionym w przyszłości sowieckim *establishmentem*²⁵⁶, były zawieszane w próżni i nie przybrały formy programu²⁵⁷.

Za symboliczne odejście od owych rachub uznać można zamieszczony w pierwszym numerze roku 1973 artykuł Mieroszewskiego *Kordian i cham*²⁵⁸. Wspominał w nim o swoim spotkaniu z „młodym człowiekiem z kraju”, który ofiarował mu miniaturowego orzełka na szpilce – orzełka w koronie. Publicysta ze zdumieniem odkrył, że młode pokolenie w Polsce pasjonuje się II RP, od której „Kultura” odzęgnywała się, przekonując przez lata o nieodwracalnych przemianach, jakich nowa rzeczywistość dokonała także w świadomości społecznej. Rozmowy z Romualdem Szeremietiewem (bo to on był owym krajowcem) przywiódły publicystę do szerszej refleksji na temat polskiej inteligencji. Renesans Polski przedwojennej, będący efektem zakłamania komunistycznej propagandy, dotoczył, jego zdaniem, wyłącznie pogrobowców inteligenckiej formacji poszlacheckiej (z której zresztą sam się wywodził). Grupa ta, reprezentująca pewien poziom (jak „Więź”, „Tygodnik Powszechny”), była w kraju oderwana od rzeczywistości, bo zawieszona w próżni kulturalnej. Kulturę poszlachecką, wyniszczoną w czasie II wojny światowej i dobitą sowietyzacją (która odcięła ją od jej naturalnych źródeł zachodnich), zastąpiła plebejska i małomieszczańska (tak jak i narzucające ją „sfery” panujące) „kultura socjalistyczna”, nie mająca nic wspólnego ani z socjalizmem, ani z kulturą. Tym samym aktywna idea niepodległościowa, mająca dawniej swe intelektualne zaplecze w kulturze poszlacheckiej, została go całkowicie pozbawiona i wyparta przez „ideę przetrwania”²⁵⁹. Zadaniem, jakie wyznaczyła sobie w tej sytuacji „Kultura”, było przywrócenie wiary w odzyskanie niepodległości i wypracowanie

255. J. Giedroyc do J. Mieroszewskiego, 31 V 1970; por. też J. Giedroyc do B. Heydenkorna, 14 VIII 1972.

256. J. Giedroyc do A. Micewskiego, 20 i 24 VII 1980.

257. J. Giedroyc do L. Ungera, 10 I 1977.

258. J. Mieroszewski, *Kordian i cham*, „K” 1973, nr 1-2.

259. *Ibidem*; J. Mieroszewski do J. Giedroycia, 28 VIII i 10 IX 1972.

dróg do tego wiodących. W latach 70-tych „Kultura” deklaro-
wała swoje wsparcie dla rodzących się w społeczeństwie krajo-
wym ugrupowań opozycyjnych, należących do różnych opcji ide-
owych, licząc jednocześnie na aktywizację robotników. Nie ozna-
cza to wcale, że lewica (rozumiana szeroko jako laickie czynniki
polityczne) nie pozostała jej najbliższa²⁶⁰.

Anna Zofia CICHOCKA

260. B. Toruńczyk, *Rozmowy...*, s. 60-61.

Jan SKÓRZYŃSKI

DOJRZEWANIE. U ŹRÓDEŁ OPOZYCJI DEMOKRATYCZNEJ

Zorganizowana, świadoma swych celów opozycja drugiej połowy lat 70. nie narodziła się z dnia na dzień. Powstanie KOR poprzedziło uformowanie się kilku niezależnych środowisk, które szukały własnego miejsca na politycznej mapie PRL i wyrazistej tożsamości. To opozycyjne dojrzwanie objęło zwłaszcza młodzież z pierwszych powojennych roczników, dla której wydarzenia Marca '68 i Grudnia '70 stanowiły najważniejszą lekcję pogładową o istocie systemu. Podstawowe pytanie dla tej generacji brzmiało: jak odruch niezgody i buntu przełożyć na systematyczne przeciwstawianie się komunizmowi. Od etycznego sprzeciwu do politycznego programu – taka była droga przebyta w latach pogrudniowych przez grupy Adama Michnika, Antoniego Macierewicza i Bogdana Borusewicza.

Na początku dekady spontaniczne postawy antykomunistyczne zaczęły przybierać kształt bardziej zorganizowany w niezależnych od siebie kręgach marcowych komandosów, harcerzy z „Czarnej Jedyńki”, młodzieży z Klubu Inteligencji Katolickiej oraz grupy studentów KUL.

Komandosi: reaktywacja

Komandosi tworzyli najbardziej czynną przed Marcem część

młodzieżowej opozycji. Wywodzący się przeważnie z domów komunistycznych, wychowani przez Jacka Kuronia w drużynach walterowskich, krytykowali sposób sprawowania władzy w PRL z punktu widzenia lewicy marksistowskiej. Ich opozycja oznaczała niezgodę na realny socjalizm w imię socjalizmu idealnego. „Szukaliśmy recepty na «prawdziwy socjalizm», studiowaliśmy Marksa, nie lubiliśmy konserwatyzmu i Kościoła. Na studenckich wiecach śpiewaliśmy *Międzynarodówkę*...” – taki portret swego środowiska kreślił Adam Michnik (rocznik 1946) w dwudziestą rocznicę Marca¹. Jego grupa przeszła jednak w latach sześćdziesiątych istotną ewolucję ideową, w czym bez wątpienia pomogły milicyjne areszty i sprawy dyscyplinarne, z pomocą których władze próbowały utemperować zbuntowane dzieci systemu. Nazywani jeszcze na początku dekady „raczkującymi rewizjonistami”, w 1968 roku wystąpili przeciw dyktaturze PZPR i kłamstwu komunistycznej prasy, w obronie autonomii uniwersytetów i wolności słowa. A także w obronie kultury narodowej, protestując pod pomnikiem Adama Mickiewicza w Warszawie przeciwko zdjęciu spektaklu *Dziadów* ze sceny Teatru Narodowego.

Następny etap swojego ideowego dojrzewania przeżyli w peerelowskich więzieniach. Gdy je opuszczali, byli już pozbawieni rewizjonistycznych złudzeń. „Przestaliśmy być dysydentami marksistowskimi, staliśmy się opozycjonistami antytotalitarnymi” – oceniał po latach Michnik². Zadecydował o tym nie tylko szok Marca – brutalność milicji i ohydna, antysemicka kampania władz, ale także zduszenie Wiosny Praskiej przez czołgi Układu Warszawskiego.

Choć politycznie i życiowo mocno poturbowani, komandosi nie opuszczali rąk, nie rezygnowali z manifestowania swoich przekonań. Taki był, obok solidarności z uwięzionymi kolegami, sens asystowania na korytarzach sądowych (na sale rozpraw zazwyczaj nie wpuszczano) podczas procesów politycznych. Zimą 1970 roku przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie toczył się proces tzw. taterników – grupy osób oskarżonych o przemyt

1. A. Michnik, *Diabeł naszego czasu. Publicystyka z lat 1985-1994*, Warszawa 1995, s. 103.

2. *Ibidem*, s. 410.

przez Tatry literatury emigracyjnej i o współpracę z paryską „Kulturą”. W czasie rozprawy do sądu przychodzili m. in. Bogusława Blajfer, Teresa Bogucka, Seweryn Blumsztajn, Jan Lityński, Adam Michnik, Andrzej Seweryn, Aleksander Smolar i Barbara Toruńczyk. SB odnotowała też obecność Janusza Szpotańskiego i Jana Józefa Lipskiego. 14 lutego 1970 r. Michnik wywołał spore poruszenie, wykrzykując pod salą rozpraw do milicjantów: „Gdzie są głoszone przez was swobody obywatelskie?” i „Niedługo skończy się wasze panowanie”³. Został za to ukarany grzywną.

Bezpieka bacznie przyglądała się ledwo co wypuszczonym z więzienia komandosom. Młodzi ludzie spotykają się i dyskutują na tematy polityczne, „przedstawiając w niewłaściwym świetle stosunki panujące w naszym kraju” – odnotowała SB. Pod szczególnym nadzorem był Adam Michnik, który pracował w zakładach im. Róży Luksemburg. W miejscu pracy zachowuje się poprawnie, ale przerwy wykorzystuje na dyskusje polityczne z robotnikami – oceniano. „Przy sprzyjających okolicznościach istnieje możliwość włączenia się Michnika w otwarte wystąpienia przeciwko Partii i Rządowi PRL” – przestrzegał swoich przełożonych inspektor Robert Peters⁴.

Teresa Bogucka zbierała dokumenty protestów robotniczych z Grudnia 1970, przepisując ulotki i przekazując je na Zachód. Latem 1971 roku wpadły jej w ręce taśmy z nagraniem ze spotkania Edwarda Gierka ze strajkującym stoczniovcami Szczecina. Spisała je i z pomocą Adama Michnika wysłała do „Kultury”. Jerzy Giedroyc natychmiast wydał ten cenny dokument w książce *Rewolta szczecińska i jej znaczenie*⁵.

Ta akcja była w jakimś sensie odkupieniem bierności inteligentkich kręgów opozycyjnych wobec krwawej rozprawy z robotniczym protestem na Wybrzeżu⁶. Środowiska intelektualne

3. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej [AIPN] 0248/134, t. 1, Notatka, [II 1970], k. 19-21.

4. *Ibidem*.

5. *Rewolta szczecińska i jej znaczenie*, oprac. E. Wacowska, Paryż 1971. Por. K. Duniec, *Teresa Bogucka*, w: *Opozycja w PRL. Słownik biograficzny 1956-89*, red. J. Skórzyński, P. Sowiński, M. Strasz, t. 3, Warszawa 2006, s. 42-43. A. Michnik, *op.cit.*, s. 409.

6. „Kiedy w grudniu 1970 strzelano do zbuntowanych robotników

próbował jeszcze w grudniu 1970 roku zmobilizować Jan Józef Lipski. Namawiał wówczas Marię Ossowską do założenia „komitetu protestu i pomocy dla poszkodowanych”. Ale uczona nie bardzo uwierzyła w jego informacje o tym, co się dzieje na Wybrzeżu. Inicjatywa spaliła na panewce⁷.

O poczuciu winy wspominał Jacek Kuroń, choć w dniach grudniowych siedział jeszcze w więzieniu: „Myśmy mieli katka pogrudniowego. Katz mój i Karola [Modzelewskiego] to było trochę bicie się w cudze piersi (bo byliśmy w więzieniu), ale uważaliśmy, że oni spieprzyli tę całą historię. Skoro był ruch robotniczy, należało natychmiast rozpocząć rewindykację inteligencją, bez której nie ma mowy o procesie demokratyzacji. Tymczasem proces demokratyzacji się załamał, bo inteligencja milczała. Myśleliśmy więc, że tym razem przy pierwszym wybuchu robotniczym trzeba dać głos”⁸.

Na początku lat siedemdziesiątych okazji do takich wystąpień nie było, ale bezpieka wołała trzymać rękę na pulsie i nie spuszczała z oczu głównych animatorów opozycji⁹. Dotyczyło to m.in. Jana Józefa Lipskiego. „Od dwóch dni poddawany jestem – nie po raz pierwszy – stałej i ostantacyjnej inwigilacji ze stro-

Gdańska, Gdyni i Elbląga, inteligenci zachowali milczenie – pisał historyk Krzysztof Pomian, przed rokiem 1968 rewizjonista, a później emigrant i bliski współpracownik „Kultury”. – [...] Wśród tych którzy mogli wówczas zabrać głos, lecz milczeli – jak ja – wielu jest takich, co uważają, że nie spełnili swego obowiązku, wbrew próbom nadania ich milczeniu pozorów zasadności. To utajone poczucie winy było zapewne jedną z przyczyn niemal natychmiastowej reakcji intelektualistów na wypadki z 25 czerwca [1976 r. – przyp. JS]”. K. Pomian, *Wymiary polskiego konfliktu 1956-1981*, Londyn 1985, s. 95.

7. Lipski wspominał o tym podczas spotkania rodzinnego 16 I 1977, AIPN 0204/1421, t. 6, Meldunek operacyjny, 20 I 1977, k. 38-40.

8. *NiepoKORni: rozmowy o Komitecie Obrony Robotników. Relacje członków i współpracowników Komitetu Obrony Robotników zebrane w 1981 roku przez Andrzeja Friszke i Andrzeja Paczkowskiego*, red. M. Okoński, współpraca M. Szklarczyk; przypisy A. Friszke, Kraków 2008, s. 162. Adam Michnik wspomina o nieudanej próbie zorganizowania po Grudniu, wraz z Janem Józefem Lipskim, listu intelektualistów solidaryzujących się z robotnikami. Por. A. Michnik, J. Tischner, J. Żakowski, *Między Panem a plebanem*, Kraków 1995, s. 192.

9. W maju 1972 roku Karpińskiego, Lityńskiego i Michnika prewencyjnie osadzono w areszcie przed wizytą prezydenta USA R. Nixona w Polsce, „Kultura” 1972, nr 7/298-8/299, s. 232.

ny władz tzw. bezpieczeństwa. Polega to m.in. na nieustannym jeżdżeniu za mną 2 Mercedesów. Co prawda nie rozumiem potrzeby takiej troskliwości, nie mniej jednak uprzejmie proszę, jako podatnik i obywatel, o zastąpienie kosztownych, wielolitrażowych i importowanych z kraju kapitalistycznego (NRF) wozów – tańszymi wozami krajowymi lub przynajmniej wozami produkowanymi przez któreś z państw obozu socjalistycznego” – skarżył się półżartem Lipski w piśmie z 3 XII 1971 roku do ministra kultury Józefa Teichmy¹⁰.

Tezy o nadziei

Środowisko marcowe ożywiło się po wyjściu z więzienia – we wrześniu 1971 – Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego. Dawni komandosi i ich nieco starsi mentorzy spotykali się regularnie, dyskutując o sytuacji politycznej, nowych książkach i o krążących w odpisach tekstach z pism emigracyjnych – „Kultury” i „Aneksu”¹¹. Jacek Kuroń nazywał to „kospirowaniem w celu wspólnego nicnierobienia”¹². Jednak bezpieka potraktowała sprawę zakazanych lektur nader poważnie. Sporządziła listę czterestu osób, dobrze zaopatrzonych w literaturę emigracyjną i pożyczających ją znajomym. Obok Adama Michnika i Jana Lityńskiego figurowali na niej ludzie tak różni, jak Jakub Karpiński, Stefan Kisielewski, Antoni Libera, Edward Lipiński,

10. Rękopis tego pisma znalazłem w Kolekcji Jacka Kuronia, przechowywanej w Archiwum Ośrodka „Karta”. Identyczne listy Lipski wysłał m.in. do E. Gierka, F. Szlachcica, prezydium Rady Ministrów, KC PZPR, „Życia Warszawy”, „Polityki” i „Trybuny Ludu”. AIPN 0204/1421, t. 8, Notatka biograficzna J. J. Lipskiego, XI 1976, k. 86.

11. „W stosunkowo krótkim czasie wokół J. Kuronia, K. Modzelewskiego i A. Michnika ponownie skupiła się czołówka aktywu b. komandosów w składzie: J. Lityński, B. Toruńczyk, S. Blumsztajn, B. Blajfer, J. Karpiński, S. Kretkowski – oceniała SB. – W okresie tym działalność b. komandosów sprowadzała się do organizowania okolicznościowych spotkań w celu komentowania bieżących wydarzeń i prowadzenia dyskusji politycznych (samokształcenia), kolportowania literatury bezdebitowej o treści antysocjalistycznej (głównie „Kultura)”, AIPN, mkf. 01224/1948, t. 14, Informacja, 10 VII 1975, k. 90-105.

12. A. Michnik, J. Tischner, J. Żakowski, *op.cit.*, s. 196.

Karol Małcużyński, Wiktor Woroszyński, Stefan Żółkiewski, a nawet szef stalinowskiej bezpieki Stanisław Radkiewicz, którego córki miały pożyczać książki Michnikowi. Według dokładnych wyliczeń SB korzystało z tych księgozbiorów 26 osób – m.in. Seweryn Blumsztajn, Teresa Bogucka, Zbigniew Herbert, Agnieszka Holland, Stanisław Krajewski, Marcin Król, Jerzy Markuszewski, Marek Nowakowski, Andrzej Seweryn, Krzysztof Śliwiński, Kazimierz Wóycicki.

Komandosi naciskali, aby nie zatrzymywać książek na dłużej, szybko przekazywać je innym i starać się o to, by przekraczały zamknięty krąg wciąż tych samych czytelników. W jakiejś mierze to się udało. Obieg książek zbójcejskich wykraczał poza Warszawę. Łódzkie środowisko dawnego Ruchu (Jacek Bierezin, Joanna Szczęsna i inni) w emigracyjne nowości zaopatrywał Lityński. Do Stanisława Barańczaka i jego przyjaciół w Poznaniu książki trafiały od Michnika¹³.

Szybko pojawiły się pomysły, by od czytania przejść do pisania i rozpowszechniania nieprawomyślnych tekstów. Już pod koniec 1971 roku zaczęto myśleć o uruchomieniu w Polsce *samizdatu*, o czym w rozmowach z komandosami mówił świeżo wypuszczony z więzienia Jacek Kuroń. Źródłem tekstów miały być kółka samokształceniowe, których uczestnicy przygotowywaliby pisemne opracowania wybranych tematów. Przepisywane na maszynie, przechodziłyby z rąk do rąk, do dalszego powielania i kolportowania. Autor *Listu otwartego* uważał, że teksty te powinny być podpisywane¹⁴. Grupa opozycyjna powinna też być przy-

13. Największe zainteresowanie budziły następujące tytuły: A. Sołżenicyn – *Krąg pierwszy*, *Oddział chorych na raka*, B. Lewicki – *Terror i rewolucja*, K. Orłoś – *Cudowna melina*, L. Kołakowski – *Obecność mitu*, oraz książki W. Bieńkowskiego, C. Miłosza, G. Herlinga-Grudzińskiego, J. Mieroszewskiego, tom *Rewolta szczecińska i jej znaczenie*. AIPN, mkf. 01224/1948, t. 16, Notatka dot. antykomunistycznej literatury i jej kolportażu w polskim środowisku pomarcowym, 22 XII 1973, k. 19-27.

14. AIPN 01224/1948, t. 2, Doniesienie TW „Ludwik” nt. dyskusji w grupie komandosów po zwolnieniu Kuronia i Modzelewskiego, [XII 1971], k. 19-24. Pierwsze przykłady polskiego *samizdatu* to tomiki poetyckie J. Kornhausera i R. Krynickiego, wydane w nakładzie kilkudziesięciu egzemplarzy w 1973 r. AIPN, mkf. 01224/1948, t. 16, Notatka dot. antykomunistycznej literatury i jej kolportażu w polskim środowisku pomarcowym, 22 XII 1973, k. 19-27.

gotowana do wystąpień publicznych w momentach kryzysu społecznego, spełniając rolę politycznej „straży pożarnej”¹⁵.

Według informacji SB, Kuroń już wtedy myślał też o skupieniu wszystkich, którzy są przeciwni systemowi w ruchu, „którego naczelną ideą będzie stworzenie systemu wielopartyjnego”¹⁶. W lutym 1972 roku o programie dla opozycji dyskutowali Jakub Karpiński, Jan Lityński, Karol Modzelewski, Adam Michnik. Mówiono o marazmie w środowiskach twórczych i potrzebie istnienia „opozycji intelektualnej”. „Co to znaczy lewica i czy program, jaki chcemy mieć, będzie zgodny z sensem słowa lewica”? – pytał Modzelewski. Zaproponował przeanalizowanie współczesnej mapy ideologiczno-światopoglądowej. Postanowiono na kolejnych spotkaniach przedyskutować czynniki zmian systemu socjalistycznego, a także omówić teksty Władysława Bieńkowskiego, Zygmunta Bauman’a i Leszka Kołakowskiego¹⁷.

Właśnie Kołakowski wyznaczył nowe pole dyskusji o sytuacji w kraju i szansach na zmiany w swoich *Tezach o nadziei i beznadziejności*. Artykuł ukazał się w czerwcowym numerze „Kultury” w 1971 roku¹⁸. Znakomity filozof, jeden z dawnych rewizjonistów, duchowy mistrz komandosów, stawiał w nim pytania o naturę systemu komunistycznego i o szanse na jego ewolucję. Sowiecki model socjalizmu oceniał jako skierowany przeciw społeczeństwu despotyzm, ale kwestionował przekonanie, że owa „socjalistyczna forma niewoli” nie poddaje się żadnym częściowym reformom, lecz może być usunięta tylko w wyniku gwałtownego przewrotu. Owszem – twierdził – stanowisko reformistyczne jest złudzeniem, jeśli buduje go nadzieja na dobrą wolę komunistów. Ale to nie przekreśla „idei czynnego oporu wyzyskującego sprzeczności przyrodzone systemu”¹⁹.

15. AIPN 0204/1417, t. 2, Doniesienie TW „Ludwika”, 25 XI 1971, k. 22.

16. AIPN 01224/1948, t. 2, Notatka nt. Wiktora Góreckiego, 10 XI 1971, k. 28.

17. AIPN 01224/1948, t. 3, Notatka o spotkaniu komandosów, 21 II 1972, k. 48-49. AIPN 0204/1417, t. 3, Notatka służbowa, 21 II 1972, k. 48.

18. L. Kołakowski, *Tezy o nadziei i beznadziejności*, „Kultura” 1971, nr 6/285, s. 3-21.

19. *Ibidem*, w: L. Kołakowski, *Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań*, Londyn 1984, s. 290.

Filozof przestrzegał, że zasada niereformowalności komunizmu może służyć jako rozgrzeszenie dla tchórzostwa i kooperacji ze złem. „Okoliczność, że duża część polskiej inteligencji dała sobie wmówić przekonanie o całkowitej nieplastyczności haniebnego systemu, w którym żyje, jest zapewne w znacznym stopniu odpowiedzialna za pożałowania godną bierność, jaką okazała ta warstwa w chwili dramatycznego natarcia, które podjęli robotnicy polscy w grudniu 1970 roku”²⁰. Kołakowski przeciwstawiał się takiej bierności i wzywał do wywierania stałej presji na rządzących, co mogło doprowadzić do częściowych zmian na lepsze. System bowiem może się zmieniać „w duchu zgodnym z potrzebami społeczeństwa wyłącznie pod tegoż społeczeństwa naciskiem”²¹.

Autor *Tez o nadziei...* nie sformułował jeszcze programu opozycji, ale utorował do niego drogę. Tekst Leszka Kołakowskiego przekonywał o sensowności oporu i budził do aktywności w trudnym momencie pogrudniowej zapaści. Dawny rewizjonista ostatecznie rozstawał się z marksistowskimi złudzeniami, lecz zachęcał rozbite w Marcu środowiska niezależne do nieopuszczania rąk, do podjęcia prób wpłynięcia na rzeczywistość PRL – tym razem jednak nie od wewnątrz, ale z zewnątrz systemu. Myślenie to, jak się okazało, miało wielką przyszłość.

W obronie politycznych

Na razie najważniejsza była pomoc więźniom politycznym i ich rodzinom, zbiórka pieniędzy, wynajdywanie adwokatów. Okazje do wystąpień na forum publicznym stworzyły procesy członków tajnego Ruchu, aresztowanych jeszcze przed Grudniem, oraz braci Jerzego i Ryszarda Kowalczyków, którzy w październiku 1971 roku wysadzili w powietrze pustą aulę Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, gdzie miała się odbyć akademія ku czci MO i SB.

Sprawą Ruchu zainteresował się Jacek Kuroń wkrótce po wyjściu z więzienia. Kontakt został nawiązany trochę przypad-

20. *Ibidem*, s. 298.

21. *Ibidem*, s. 299.

kowo – przez żony. „Do Gajki [Grażyny Kuroniowej – JS] do poradni przysła pracować Ulka Czumowa, żona Andrzeja – wspominał Kuroń. – Okazało się, że ona z trojgiem dzieci jest zupełnie bez pomocy i samotna, że w ogóle nikt ludziom z Ruchu nie pomaga”²². Zorganizowano więc pomoc dla rodzin skazanych członków organizacji²³. Obok Kuronia i kręgu komandosów brali w tym udział Jan Olszewski i Jan Józef Lipski, który od połowy lat 60. prowadził środowiskową kasę zapomogową. Jej podstawowy fundusz tworzyły darowizny wielu prywatnych osób oraz wsparcie z Duszpasterstwa Miłosierdzia. W 1974 roku dołączyły się do tego pieniądze (8 tys. dolarów) zapisane przez Melchiora Wańkowicza w testamencie na pomoc ludziom, którzy z powodów politycznych nie mogli dostać pracy lub trafili do więzienia²⁴. Lipski, mimo wrodzonej wady serca, nieustraszenie „przedreptywał Warszawę z krańca na kraniec z chlebaczkami”²⁵, prowadząc tę opozycyjną filantropię.

Wiosną 1975 roku Kuroń, Lipski i Olszewski planowali powołać specjalny komitet do spraw pomocy finansowej osobom represjonowanym z powodu działalności opozycyjnej i ich rodzinom. 15 maja bezpieka podsłuchiwała ich rozmowę na ten temat. Ponieważ okres był politycznie spokojny, trzech opozycjonistów myśleli o uruchomieniu stypendiów dla niepokornych twórców²⁶. Olszewski proponował jednak zamrożenie pewnej sumy

22. Zainteresowanie Kuroniów skazanymi członkami Ruchu i spotkanie G. Kuroń z U. Czumą „niedaleko przystanku kolejowego Powiśle” odnotowała SB w 1973 r. AIPN 01224/1948, t. 4, Notatka, 30 IV 1973, k. 25.

23. 7 tys. zł na rzecz Marka W. Niesiołowskiego zebrali G. i J. Kuroniowie, S. Blumsztajn, T. Bogucka. AIPN 01224/1948, t. 3, Notatka o działaniach grupy komandosów, 4 II 1972, k. 54-55.

24. Wańkowicz przez wiele lat pomagał finansowo ludziom przesładowanym przez władze PRL. Mówił o tym Lipski na pogrzebie pisarza, który zgromadził ok. 1500 osób. AIPN 0204/1421, t. 4, Notatka dot. pogrzebu M. Wańkowicza, 20 IX 1974, k. 271-273.

25. J. Kuroń, *Wiara i wino. Do i od komunizmu*, Londyn 1989, s. 359-360. SB „doceniała” tę działalność Lipskiego – w 1974 r. postanowiono kontrolować korespondencję i zainstalować podsłuch w jego mieszkaniu. AIPN 0204/1421, t. 4, Kierunkowy plan przedsięwzięć operacyjnych do sprawy operacyjnego rozpracowania dot. Jana Józefa Lipskiego, 9 X 1974, k. 23-30.

26. Przewidywano pomoc dla: R. Krynickiego, A. Krauze, A. Szczy-

jako żelaznego zapasu na cięższe czasy²⁷. Oprócz pieniędzy od Wańkowicza na fundusz składać się miały środki od emigracji londyńskiej. Bezpiecze udało się jednak zablokować przekazywanie tych pieniędzy do kraju i projekt nie został zrealizowany²⁸.

Interwencja w sprawie uwięzionych najczęściej przybierała postać listu podpisanego przez ludzi o głośnych nazwiskach, takich, z którymi władze się liczyły – pisarzy i naukowców. Wzór postępowania stworzył List 34 z marca 1964 roku, w którym luminarze polskiej kultury protestowali przeciw zaostreniu cenzury, domagając się prawa do krytyki i rzetelnej informacji. List do ministra sprawiedliwości w obronie członków Ruchu powstał jeszcze przed procesem – w październiku 1971 roku, ale wysłano go 10 listopada. Rzeczą zorganizował Jacek Kuroń wraz z grupą komandosów: Teresą Bogucką, Janem Lityńskim i Adamem Michnikiem. List napisali Zbigniew Herbert, Wiktor Woroszyński i Jacek Bocheński²⁹. W zbieranie podpisów najmocniej zaangażował się Woroszyński³⁰. Apel podpisało 17 pisarzy³¹. Natomiast Edward Lipiński, Antoni Słonimski i Melchior Wańkowicz obserwowali przebieg procesu na sali sądowej, co było ważnym znakiem solidarności z oskarżonymi.

Mimo apelu intelektualistów przywódcy Ruchu zostali skazani na bardzo wysokie wyroki – Andrzej Czuma i Stefan Niesiołowski dostali po siedem lat więzienia. W kwietniu 1972 roku rozprawie rewizyjnej w Sądzie Najwyższym asystowali Zbigniew Herbert, Mieczysław Jastrun, Antoni Słonimski i Wiktor Woroszyński.

piorskiego, J. Bierzina, A. Michnika, J. Kuronia, W. Narojka, B. Blajfer, braci Kowalczyków, A. Czumy i E. Morgiewicza. AIPN 0204/1421, t. 4, 17 V 1975, k. 298-299.

27. AIPN BU 0222/1460, t. 3, Notatka, 23 VI 1982, k. 59-60.

28. AIPN 0204/1405, t. 2, Informacja operacyjna, 8 IX 1976, k. 19-20.

29. G. Majchrzak, *W obronie działaczy Ruchu*, „Rzeczpospolita” 2007, nr 257.

30. A. Krajewski, *Między współpracą a oporem. Twórcy kultury wobec systemu politycznego PRL (1975-1980)*, Warszawa 2004, s. 381-383.

31. Poza autorami także Jerzy Andrzejewski, Kazimierz Brandys, Andrzej Braun, Witold Dąbrowski, Jerzy Ficowski, Mieczysław Jastrun, Anna Kamińska, Andrzej Kijowski, Tadeusz Konwicki, Igor Newerly, Marek Nowakowski, Agnieszka Osiecka, Jarosław M. Rymkiewicz, Władysław Terlecki.

szylski. Na sali był również przedstawiciel katolickiego miesięcznika „Więź”³². Dwa lata później za członkami Ruchu ujęli się w piśmie do władz kardynałowie Stefan Wyszyński i Karol Wojtyła. Wiosną 1974 roku z prośbą o ich ułaskawienie przy okazji XXX-lecia PRL wystąpiła ponownie grupa pisarzy i naukowców³³. Pomysłodawcą był Jan Olszewski, który 28 lutego projekt przedstawił Anieli Steinsbergowej i Ludwikowi Cohnowi. Tekst konsultowano z Antonim Słonimskim i Janem Józefem Lipskim. O podpisy zamierzano prosić w pierwszej kolejności sygnatariuszy Listu 34³⁴. Podpisy zbierał Adam Michnik. W maju list z 11 podpisami przesłano do Rady Państwa.

W sprawie Ruchu interweniował także u Edwarda Gierka osobiście Edward Lipiński, znany ekonomista, nestor polskiej lewicy i członek PZPR. Ostatecznie uwieczonych zwolniono we wrześniu 1974 – tuż przed wizytą Gierka w Stanach Zjednoczonych, gdzie przywódca PRL chciał się zaprezentować bez kompromitującego bagażu więźniów politycznych³⁵.

Akcja w obronie braci Kowalczyków przebiegała nieco inaczej. Sporą trudnością było nawiązanie kontaktu z ich rodziną. Dokonał tego Krzysztof Śliwiński z warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, który z referencjami od jednego z biskupów dotarł do proboszcza w rodzinnej miejscowości braci – Rząśniku, koło Pułtusza. Proboszcz polecił go rodzinie Kowalczyków, do której dzięki temu można było dotrzeć z pomocą prawną i materialną. Jednocześnie środowiska opozycyjne prowadziły szeroką zbiórkę podpisów pod petycją do Sejmu o złagodzenie wyroków. Bogusława Blajfer pojechała nawet w tym

32. Broniący oskarżonych W. Bittner na argument prokuratury, że Polska Ludowa dała im wykształcenie i światopogląd odpowiedział, że w takim razie można też oskarżyć Lenina, który wykształcenie i światopogląd otrzymał wszak od caratu. Por. „Kultura” 1972, nr 6/297, s. 148-149.

33. Sygnatariuszami Listu 11 byli: E. Lipiński, A. Słonimski, J. Kielanowski, Z. Herbert, K. Estreicher, W. Bartoszewski, T. Konwicki, M. Ossowska, J. Strzelecki, J. Strykowski, S. Żółkiewski. AIPN BU 0222/1460, t. 6, Meldunek operacyjny, 18 X 1974, k. 3.

34. AIPN BU 0222/1460, t. 2, Plan przedsięwzięć operacyjnych wobec J. Olszewskiego, 12 III 1974, k. 129-130.

35. A. Friszke, *Opozycja polityczna w PRL 1945-1980*, Londyn 1994, s. 302.

celu do rodzinnej wsi braci Kowalczyków, gdzie dzięki pomocy wójta udało jej się pozyskać kilkadziesiąt podpisów³⁶.

Decyzja podjęcia zbiorowej akcji okazała się słuszna – petycję podpisało około 6 tysięcy ludzi. Ta wielka mobilizacja przyniosła efekt jedynie częściowy. W styczniu 1973 roku Rada Państwa PRL zamieniła Jerzemu Kowalczykowi karę śmierci na dożywocie. Wyrok Ryszarda – 25 lat – pozostał bez zmian³⁷.

Obok wystąpień publicznych, w małych grupach toczyła się w tych latach dyskusja o programie opozycji. W czerwcu 1974 roku u Śliwińskiego rozmawiali o tym Kuroń, Michnik i o. Jacek Salij. Punktem wyjścia dyskusji był projekt artykułu programowego, który chciano opublikować w „Kulturze”. Ton nadawał Kuroń, który twierdził, że opozycja nie może uznawać ustroju PRL, tak jak to czyniły ugrupowania katolików świeckich. Podstawową sferą działania opozycji powinno być kształtowanie niszczonego przez totalitaryzm więzi społecznych i swobodnego obiegu myśli wśród elit. Unikając zakładania organizacji, działalność ta winna jednak obejmować różne środowiska i łączyć myśl krajową i emigracyjną. Wraz z Michnikiem Kuroń zamierzał opisać ewolucję stanowiska ludzi lewicy wobec Kościoła³⁸. Planowano również nawiązanie bliższych kontaktów ze środowiskiem Ruchu³⁹.

Jesienią 1974 roku w Warszawie gościł Stefan Niesiołowski w towarzystwie Joanny Szczęsnej, która go wprowadziła w środowisko stołecznej opozycji. Kombatantem Ruchu zajęli się dawni komandosi: Bogusława Blajfer i Jan Lityński, oferując mu nocleg i ułatwiając kontakty z Andrzejem Czumą, Jakubem Karpińskim, Jackiem Kuroniem, Janem Józefem Lipskim, Emilem Morgiewiczem i Wiktorem Woroszyłskim⁴⁰.

36. AIPN 01224/1948, t. 6, Informacja o B. Blajfer, 18 XII 1975, k. 5.

37. Por. J. R. Sielezin, *Jerzy Kowalczyk; Ryszard Kowalczyk*, w: *Opozycja w PRL. Słownik...*, t. 3, s. 148-151.

38. AIPN 01224/1948, t. 5, Informacja operacyjna, 31 XII 1974, k. 1-2.

39. AIPN, mkf. 01224/1948, t. 18, Meldunek operacyjny, 7 XII 1974, k. 7.

40. AIPN 01224/1948, t. 6, Informacja o pobycie S. Niesiołowskiego w Warszawie i jego dyskusjach z J. Kuroniem, 11 I 1975, k. 112-114.

23 października o doświadczeniach Ruchu Niesiołowski dyskutował z gronem komandosów: Blumsztajnem, Kurońiem, Teresą Bogucką, Barbarą Toruńczyk. Kuroń wypowiadał się przeciw tajnym organizacjom. Rzeczą istotną jest bowiem szerzenie myśli opozycyjnej, a tego nie da się robić w konspiracji. Co najważniejsze, należy działać zgodnie z prawem, gdyż opozycja może funkcjonować w ramach prawa obowiązującego w PRL. „Można działać, a oni [SB] muszą te prawa łamać, aby cię uderzyć – mówił. – To jest nasza siła”. Niesiołowski nie został przekonany. Bronił nawet gwałtownych sposobów „obalenia totalitarnej dyktatury i przywrócenia narodowi wolności”, mówił o wyjściu na ulicę, „tak jak w grudniu [1970], ale ostrzej i konsekwentniej”. Kuroń jednak był stanowczo przeciwny przemocy, w tym wysadzania pomników. W zamian proponował akcje symboliczne, jak na przykład pomalowanie na czerwono rąk Dzierżyńskiego na warszawskim monumencie⁴¹.

Dyskusja zakończyła się chyba bez konkluzji, ale ujawniła różnice między komandosami szukającymi możliwości opozycji w granicach prawa, co doprowadzi do powstania KOR, a grupami nastawionymi bardziej radykalnie, odrzucającymi PRL z całym dobrodziejstwem inwentarza, które w przyszłości utworzą Nurt Niepodległościowy.

W grudniu 1974 roku 15 intelektualistów – z Bocheńskim, Herbertem, Kijowskim, Konwickim, Lipińskim, Słonimskim, Woroszyńskim i ks. Zięją – wystosowało jeszcze jeden list w sprawach publicznych. Adresatem pisma był minister kultury. Tym razem chodziło o los Polaków w ZSRR, zagwarantowanie im kontaktu z krajem, ułatwienie wyjazdów oraz opiekę w sferze kultury, oświaty i religii. Podpisy zbierał Adam Michnik. 29 XI 1974 został zatrzymany przez milicję z apelem sygnowanym już 15 nazwiskami. Podczas przesłuchania próbował ubić targ z SB – zaproponował, że jeśli mu oddadzą oba skonfiskowane egzemplarze i wypuszczą, to nie będzie już zbierał więcej podpisów. Bezpieka nie dała się nabrać. Michnik spędził dobę w areszcie⁴².

41. AIPN 01224/1948, t. 6, Informacja o spotkaniu J. Kurońa, S. Niesiołowskiego i in., 30 IX 1975, k. 15-16.

42. AIPN 0248/134, t. 1, Informacja z przebiegu rozmowy ostrzegawczej przeprowadzonej z A. Michnikiem w dniu 29 listopada 1974 r., 30 XI 1974, k. 52-53.

Manifestacją solidarności z rosyjskimi dysydentami były gratulacje dla Andrieja Sacharowa, który 9 X 1975 roku otrzymał pokojową Nagrodę Nobla. O wysłaniu specjalnego telegramu z tej okazji zdecydowano w gronie dawnych komandosów trzy dni później. Mieli go sygnować jedynie ci przedstawiciele środowiska, którzy nie byli narażeni na sankcje administracyjne – wyrzucenie z pracy lub relegowanie z uczelni. Ostatecznie dokument podpisali Barbara Toruńczyk, Seweryn Blumsztajn, Jacek Kuroń, Adam Michnik i Jan Lityński. Ten krótki tekst warto przytoczyć w całości: „Z okazji Nagrody Nobla przekazujemy Panu wyrazy podziwu i solidarności. Pańska nieugięta walka o prawa człowieka jest dla nas zachętą i wzorem. Pański stosunek do kwestii polskiej pozwala nam wierzyć w świętą sprawę braterstwa narodów. Przyjaciele Polacy”⁴³. Treść telegramu Michnik przekazał 15 października przez telefon z mieszkania Kuronia Giedroyciowi. Redaktor „Kultury” miał przekazać treść depeszy żonie Sacharowa⁴⁴.

«Gromada»

Petycję w obronie Kowalczyków podpisali między innymi Antoni Macierewicz i jego koledzy. Na początku lat siedemdziesiątych budowali oni odrębne środowisko opozycyjne w Warszawie – niezwiązane z dawnymi walterowcami i rewizjonistami. Powstało wokół 1. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej im. Romualda Traugutta, zwanej od koloru chust „Czarną Jedyneką”, działającej przy liceum im. Tadeusza Reytana. Jej komendantami na przełomie lat 60. i 70. byli Antoni Macierewicz (rocznik 1948) i Piotr Naimski (rocznik 1951). Zarówno w liceum, jak w drużynie panował klimat sprzeciwu wobec PRL; starano się kontynuować przedwojenne tradycje harcerskie. „Jedynkę” cechowało specyficzne podejście: klasycznymi metodami harcerskimi pró-

43. AIPN 0248/134, t. 1, Informacja dot. przekazania telegramu dla A. Sacharowa przesłanego przez b. komandosów do Jerzego Giedroycia, 22 X 1975 r., k. 126-127.

44. AIPN 01224/1948, t. 6, Informacja dot. telegramu komandosów do A. Sacharowa, 28 X 1975, k. 8-9. Tekst ukazał się w „Kulturze” 1975, nr 11/338, s. 150, telegram podaję za notatką SB, która się nieco różni od wersji wydrukowanej.

bowano prowadzić pracę „historyczno-społeczno-polityczną”. Młodzież zajmowała się więc badaniem mniejszości etnicznych na Dolnym Śląsku albo poszukiwaniem kombatanów WiN⁴⁵. „Chodziło nam o to – wspomina Macierewicz – żeby młodzi ludzie poznawali własny kraj, zrobili mapę historyczno-etniczną Polski, tzn. co się stało po 45-tym roku. O odnalezienie ludzi z organizacji działających po 44-45 roku, o ich losy. Na tej podstawie rozmawialiśmy o tym, co to był WiN, co to było UPA, na tym przerabialiśmy historię polityczną ostatniego ćwierćwiecza”⁴⁶.

W 1969 roku będący już na studiach instruktorzy „Czarnej Jedyńki” – Andrzej Celiński, Janusz Kijowski, Antoni Macierewicz i Piotr Naimski – założyli „Gromadę Włóczęgów”, krąg starszoharcerski, który był także dyskusyjnym klubem politycznym. „Gromadę” współtworzyli Marek Barański, Wojciech Onyszkiewicz i Andrzej Rosner, których Macierewicz poznał na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, a także Dariusz Kupiecki z Wydziału Matematyki. Później dołączyli młodszy wychowankowie „Jedyńki” – Urszula Doroszevska, Ludwik Dorn, Wojciech Fałkowski i Marcin Gugulski.

Chodziło nie tylko to, by prowadzić intelektualne i polityczne poszukiwania, ale o to, by po prostu być razem. „Wynikało to także z odczuwanego przez nas po Marcu osamotnienia i strachu. Ludzie chcieli być w kupie, chcieli mieć jakąś własną bazę” – opowiada Macierewicz, który udział w strajkach marcowych opłacił kilkumiesięcznym więzieniem⁴⁷. Na spotkania

45. „Zarówno na obozach letnich, jak i na zimowiskach, a także podczas kilkudniowych majowych biwaków, organizowaliśmy akcje społeczne pozwalające poznać mniejszości narodowe, służyć pomocą biednym środowiskom wiejskim, zobaczyć rzeczywiste problemy odwiedzanych regionów. Polegało to na wywiadach środowiskowych podczas długich biwaków i obozów na temat przesiedlonych na ziemie zachodnie Ukraińców, żyjących tam Polaków, często repatriantów z Kresów Wschodnich, także wydrzeń z okresu okupacji i okresu PRL (historia oddziału «Ognia» na Podhalu, akcja «Wisła» [...]). W. Fałkowski, «Czarna Jedyńka». *Niezależna drużyna harcerska w PRL*, „Biuletyn IPN” 2006 nr 8-9 (67-68), s. 122.

46. Relacja Antoniego Macierewicza udzielona Andrzejowi Friszke i Andrzejowi Paczkowskiemu w 1981 r.

47. Siedział w tej samej celi, co Jakub Karpiński. T. Bochwic, *Antoni Macierewicz*, w: *Opozycja w PRL, Słownik...*, t. 1, Warszawa 2000, s. 219-222.

„Gromady” zapraszano ludzi z rozmaitych środowisk – weterana harcerstwa Aleksandra Kamińskiego, redaktora naczelnego „Więzi” Tadeusza Mazowieckiego, socjologa Jana Strzeleckiego. O młodej poezji mówili Jacek Bierezin i Witold Sułkowski, o historii myśli konserwatywnej Marcin Król, o drużynach walterskich Seweryn Blumsztajn⁴⁸.

Wysłuchano także relacji świadka wydarzeń grudniowych na Wybrzeżu – Tomasza Wołka. Właśnie wtedy grupa podjęła pierwszą akcję publiczną, rozprowadzając ulotki „w stylu – jak relacjonuje Macierewicz – marcowym, tzn. żadnej polityki, dużo moralności, dużo uczuć”. 19 XII 1970 roku roznosili je na Starym Mieście Naimski z Krzysztofem Łączyńskim. Harcerze z „Jedynki” organizowali też oddawanie krwi z myślą o rannych robotnikach. Pamięć grudniowej rewolty była dla tego środowiska szczególnie ważna. 31 X 1971 roku na murze cmentarza powązkowskiego Ludwik Dorn, 17-letni wówczas uczeń „Reytana” wymalował napis: „Chwała robotnikom pomordowanym w grudniu 1970 roku”. Napis nie przetrwał długo, ale mówiła o nim Wolna Europa⁴⁹.

W pierwszej połowie dekady spotkania „Gromady” odbywały się co kilka tygodni. Dzięki raportom SB wiemy nieco więcej o niektórych z nich⁵⁰. 3 IV 1971 roku w Pyrach, w mieszkaniu Ewy Sobolewskiej, rozmawiano o sytuacji inteligencji katolickiej w Polsce. Referat na ten temat wygłosił student historii UW Ludwik Stomma, syn Stanisława, znanego działacza ruchu „Znak” i posła na Sejm. Organizatorem spotkania, w którym uczestniczyło kilkanaście osób, był Piotr Naimski. 6 listo-

48. A. Friszke, *Kształtowanie się opozycji przedsolidarnościowej 1968-1980*, maszynopis pracy doktorskiej obronionej w 1994 r. w Instytucie Studiów Politycznych PAN w Warszawie.

49. C. Łazarewicz, *Trzeci Kaczyński*, „Przekrój” 2005, nr 38.

50. Bezpieka przystąpiła na dobre do „rozpracowania operacyjnego” środowiska „Gromady” już po powstaniu KOR. 30 X 1976 „założono sprawę operacyjnego sprawdzenia” „Przyjaciele”, dotyczącą około 100-osobowej grupy „osób wywodzących się z b. wychowanków Liceum Ogólnokształcącego im. T. Reytana”, która „podjęła współdziałanie z Komitetem Obrony Robotników w zakresie ustalenia osób represjonowanych za udział w zajściach w dniu 25.06.1976 r., udzielania im pomocy itp.”; 11 II 1977 przekwalifikowano tę sprawę na „rozpracowanie operacyjne” kryptonim „Kibice”. AIPN 0247/205, Meldunek operacyjny, 30 sierpnia 1979, k. 77.

pada tegoż roku w Zalesiu Dolnym pod Warszawą, w letnim domu dziadka Urszuli Doroszewskiej, profesora Witolda Doroszewskiego, autora monumentalnego *Słownika Języka Polskiego*, Marek Barański i Antoni Macierewicz mówili o relacjach między inteligencją a robotnikami.

11 XII 1971 członkowie „Gromady” zebrali się, znowu w Zalesiu, wyjątkowo licznie. Wśród 31 osób – w większości studentów i pracowników naukowych uczelni warszawskich – byli Barański, Doroszeńska, Bronisław Komorowski, Łączyński, Macierewicz, Naimski, Wojciech Onyszkiewicz⁵¹. O społecznych propozycjach Kościoła mówił ks. Jerzy Chowańczak z warszawskiej parafii świętego Michała. W pewnym momencie Janusz Kijowski, który przewodniczył zebraniu, zaproponował uczczenie minutą ciszy „pamięć pomordowanych w rewolucji na Wybrzeżu w 1970 roku”.

Tego było już za wiele – spotkanie rozbiła Służba Bezpieczeństwa⁵².

„Pojedynczo brali nas do różnych pokoi i tam [robili] krótkie przesłuchanie. Później samochodem odwozili do pociągu. Niektórych wybierali do przesłuchania. Byłem wyznaczony jako pierwszy do [pałacu] Mostowskich [siedziba Komendy Stołecznej MO – JS] na poniedziałek” – wspomina Marek Barański. W komendzie próbowano namówić go na współpracę. Barański zaczynał właśnie pracować na Wydziale Historycznym UW. „O, historia... Nas to bardzo interesuje. Czy mógłby pan nas informować co tam się dzieje?” – zapytał esbek. Świeżo upieczony asystent odpowiedział: „Ja zajmuję się średniowieczem. Jak będzie jakaś konferencja na tematy średniowieczne, to oczywiście panów zawiadomię.” „Ale nas nie interesuje średniowiecze tylko historia najnowsza” – usłyszał. „No niestety, mnie nie interesuje” – odparł Barański i na tym próby „werbunku” się zakończyły⁵³.

Dalsze zebrania „Gromady” zostały zakazane. Przed likwi-

51. AIPN 0247/205, Wykaz uczestników spotkania „Gromady” w dniu 11.12.1971 roku, k. 165-167.

52. AIPN 0247/205, Meldunek operacyjny 004484/76, 28 XI 1976, k. 16.

53. Relacja Marka Barańskiego udzielona Urszuli Doroszewskiej w 2006 r.

dadzą grupę uratował podobno Andrzej Werblan, jeden z głównych ideologów PZPR, którego córka była w drużynie. „Powiedział, że on nas ratuje, drużyna nie zostanie rozwiązana tylko dlatego, że on by chciał, żeby jego córka wychowała się w porządnej, katolickiej, patriotycznej drużynie” – wspominał Macierewicz⁵⁴.

Dla wielu uczestników niezależnego harcerstwa milicyjna obława w Zalesiu i przesłuchania, jakie po niej nastąpiły, były pierwszym kontaktem z policyjnym ramieniem władzy. Przykład, jak się należy w takich wypadkach zachować, dał Piotr Naimski, ówczesny komendant szczepu. Przewieziony do Komendy Stołecznej MO w Pałacu Mostowskich i przesłuchiwany przez Służbę Bezpieczeństwa, kategorycznie odmówił odpowiedzi⁵⁵. Ta postawa niewdawania się z esbekami w jakiejkolwiek rozmowy czy kontakty stanie się w latach późniejszych opozycyjną normą – wtedy była jeszcze wyjątkiem.

Mimo akcji SB, która miała zastraszyć i zidentyfikować członków „Gromady”, spotkania odbywały się nadal. Według bezpieki, ich głównym organizatorem był Naimski. W marcu 1973 roku, w Pyrach Barański mówił o „faszyzmie jako ustroju totalitarnym”. „Następnie trwała dyskusja, w której wystąpiło szereg wrogich akcentów w odniesieniu do naszego ustroju” – zapisał esbek na podstawie relacji jednej z uczestniczek. Obecnych było 40 osób. Na kolejne spotkanie, które miało miejsce jesienią 1973 w Zalesiu Górnym, przyszło jeszcze więcej. Temat: „Postawy inteligencji w PRL”. Mówiono o „zbyt kompromisowych postawach młodej inteligencji, akceptującej na zasadzie wygodnictwa różne nieprawidłowości w PRL”. Na jednym ze spotkań w 1974 roku analizowano w gronie 60 osób „funkcjonowanie propagandy w PRL”. Rzeczą omówił Janusz Kijowski, wówczas student Szkoły Filmowej w Łodzi. „W dyskusji, tak jak na poprzednich spotkaniach, atakowano politykę PZPR, twierdząc, że zmierza ona do otumanienia ludzi” – zanotował funkcjonariusz⁵⁶.

Jaki był skład społeczny grupy, która wychodząc od trady-

54. Relacja Antoniego Macierewicza...

55. Zob. T. Bochwic, *Piotr Naimski*, w: *Opozycja w PRL. Słownik...*, t. 3, s. 204-206.

56. AIPN 0247/205, Notatka służbowa, 5 I 1977 r., k. 140-141.

cyjnego harcerstwa przerodziła się w niezależny klub polityczny? W miarę dokładny obraz zawdzięczamy starszemu inspektorowi Lechowi Wicherkiewiczowi z Wydziału III Komendy Stołecznej MO. Z jego analizy możemy się dowiedzieć, że połowę spośród 183 odnotowanych uczestników „Gromady” stanowili studenci, głównie Uniwersytetu Warszawskiego. Pracowników naukowych było 25, a uczniów szkół średnich – 21. Reszta to pracownicy innych zakładów i nigdzie niepracujący (8). Większość pochodziła z rodzin inteligentnych. Osób wywodzących się ze środowiska robotniczego i chłopskiego nie było. „Przyczyną zaangażowania się właśnie niektórych członków «Gromady» w antysocjalistyczną działalność jest fakt, że takie osoby, jak A. Macierewicz, P. Naimski, W. Onyszkiewicz oraz M. Barański wywodzą się z drużyny «Czarna Jedyńka»” – stwierdził na koniec inspektor Wicherkiewicz. „Wykorzystali oni swe naturalne kontakty w tym środowisku usiłując zaktywizować je do szkodliwej i wrogiej działalności”⁵⁷. Wygląda na to, że usiłowania te zakończyły się sukcesem.

KIK – drugie pokolenie

Klub Inteligencji Katolickiej był jednym z paradoksów życia publicznego w komunistycznej Polsce. Utworzony na fali Października '56 działał najzupełniej oficjalnie, a jego przedstawiciele w ramach ruchu Znak brali udział w strukturach faszadowej demokracji PRL. Ale swoje przedsięwzięcia programowe i formacyjne prowadził w sposób niezależny – nie kłaniając się ani doktrynie marksistowsko-leninowskiej, ani dogmatowi o kierowniczej roli PZPR.

Eksperyment z obecnością w sejmie skończył się po Marcu, gdy posłowie Znak przeciwstawili się brutalnej rozprawie z kontestującą młodzieżą⁵⁸. W latach siedemdziesiątych w war-

57. Inspektor Wicherkiewicz przeprowadził wprawdzie swoją analizę dopiero w styczniu 1977 r., ale dotyczyła ona osób zaangażowanych w działaniach „Gromady” przez poprzednie lata, co najmniej od 1971 r. AI PN 0247/205, Analiza operacyjna sprawy operacyjnego sprawdzenia krypt. „Przyjaciele”, 21 I 1977, k. 40-44.

58. Po Grudniu 1970 Mazowiecki proponował powołanie specjalnej komisji sejmowej dla zbadania działań MO i wojska na Wybrzeżu. W re-

szawskim KIK, kierowanym m.in. przez Bohdana Cywińskiego, Tadeusza Mazowieckiego i Andrzeja Wielowieyskiego, przybierały na sile postawy opozycyjne wobec komunizmu. Znalazło to odbicie w pracy wychowawczej, która należała do podstawowych sfer działania klubu. Prowadząc otwarte debaty nad stanem kraju, wydając miesięcznik „Więź”, a przede wszystkim kształtując młodzież w duchu wolności i kultury chrześcijańskiej klub z ulicy Kopernika stał się trzecią – obok środowiska komandosów i harcerskiej „Gromady” – pepiniarą młodej opozycji.

Najważniejszym miejscem formowania się nowego pokolenia członków Klubu stała się Sekcja Kultury, która skupiała około 100 osób. Na początku dekady kierowali nią Wojciech Arkuszewski (rocznik 1948), Jan Tomasz Lipski (rocznik 1953), Wojciech Ostrowski (rocznik 1949) i Krzysztof Śliwiński (rocznik 1940). Sekcja zbierała się co czwartek w sali klasztoru oo. Dominikanów na ulicy Freta, pod skrzydłami Jacka Salija. Spotkania, na które zapraszano też ludzi spoza KIK, dotyczyły, obok spraw religijnych czy duchowych, także kwestii społecznych i politycznych. Stefan Kisielewski opisał w *Dziennikach* swoje spotkanie z klubową młodzieżą na Freta w lutym 1972 roku, podczas którego opowiadał o politycznych inicjatywach katolików po wojnie⁵⁹. W listopadzie 1973 r. w Sekcji Kultury miało miejsce polemiczne starcie między Adamem Michnikiem i Janem Strzeleckim, któremu ten pierwszy zarzucił niezdecydowanie i unikanie zajmowania stanowiska w ważnych sprawach politycznych⁶⁰. Na Freta przychodzili też Teresa Bogucka, Jacek Kuroń i Jan Lityński.

Gośćmi sekcji byli m.in. Jerzy Jedlicki, Antoni Słonimski i Leszek Moczulski⁶¹. Na spotkaniu o PSL Władysław Bartoszew-

zultacie został skreślony z listy poselskiej w kolejnych wyborach i autentyczny ruch Znak reprezentował w Sejmie do 1976 roku już tylko Stomma.

59. S. Kisielewski, *Dzienniki*, Warszawa 1996, s. 635.

60. AIPN 01224/1948, t. 4, Doniesienie o spotkaniu w Sekcji Kultury KIK, 27 XI 1973, k. 5-6.

61. Andrzej Friszke przytacza tematy dyskusji z roku 1974: o wartości tradycji z Bohdanem Cywińskim, o kryzysie ideologii z Tadeuszem Mazowieckim i Janem Strzeleckim, o propagandzie ze Stanisławem Barańczakiem, o postawach młodzieży z Ireneuszem Krzezińskim. A. Friszke, *Oaza na Kopernika. Klub Inteligencji Katolickiej 1956-1989*, Warszawa 1997, s. 145-147.

ski zaprezentował, według bezpieki, „pogląd, jakoby komuniści w Polsce w sposób nielegalny przejęli władzę”⁶². Wydarzeniem było spotkanie z Jean-Marie Domenach w 1975 r. Redaktor miesięcznika francuskich katolików „Esprit” mówił m.in. o Sołżenicynie i wydany w Francji *Archipelagu Gułag*.

W lutym 1976 r. odczyt na temat Edwarda Abramowskiego wygłosił Jan Józef Lipski. Opozycyjny wolnomysliciel dowodził, że komuniści zerwali z tradycją humanistycznej lewicy, dokonując gwałtownego skoku z kapitalizmu do socjalizmu. W ten sposób narodziła się dyktatura partyjnej biurokracji, w której każdy odruch demokratyczny jest tłumiony przez policję. „Według oceny tajnych współpracowników J. J. Lipski odpowiednio dobierając cytaty i sformułowania zaczerpnięte z dzieł Abramowskiego, dążył do przekonania uczestników spotkania, że wprowadzenie ustroju socjalistycznego w Polsce było akcją komunistów nie liczących się z gotowością narodu do przyjęcia takiej ideologii, a ustrój socjalistyczny został narzucony siłą [...]” – odnotował płk Jankiewicz, naczelnik wydziału II Departamentu IV MSW⁶³. Z przekonaniem kikowskiej młodzieży do tej tezy prelegent nie miał, jak się zdaje, trudności.

Bez wątpienia Sekcja Kultury była w owych latach jednym z najciekawszych miejsc formacyjnych w Warszawie. O „przebudzeniu młodzieży kikowskiej, która ostatnio kieruje się w lewo” mówił Adam Michnik w czerwcu 1973 r. jednemu z warszawskich literatów. „Cały KIK to ludzie wybitni” – przekonywał swego rozmówcę i namawiał do publikowania w „Więzi”⁶⁴.

Zagrożenie, jakie się tworzyło na ulicy Freta, nie umknęło uwadze bezpieki. Sekcja Kultury KIK została objęta „sprawą operacyjnego sprawdzenia” kryptonim „Cisza” przez Departament IV MSW. Niepokój budziły zwłaszcza związki z komandosami⁶⁵.

62. AIPN 0204/1949, t. 1, Notatka służbowa dot. Wojciecha Ostrowskiego, 13 VII 1976, k. 84-85.

63. AIPN 0204/1421, t. 4, Informacja, [III 1976], k. 338-339.

64. AIPN 01224/1948, t. 4, Notatka o rozmowie z A. Michnikiem, 27 VI 1973, k. 13-14.

65. Informacja na temat planu pracy polityczno-operacyjnej Wydziału II Departamentu IV MSW na lata 1972-1973, w: *Plany pracy Departamentu IV MSW na lata 1971-1979*, oprac. M. Biełaszko, A. K. Piekarska, P. Tomasik, C. Wilanowski, Warszawa 2007, s. 27.

Operacja „Cisza” była prowadzona przez całą dekadę. W planie pracy na lata 1974-1975 podkreślano styczność klubowej młodzieży „z grupami rewizjonistycznymi i syjonistycznymi”, a Krzysztofowi Śliwińskiemu, jako inspiratorowi wrogiej działalności politycznej, założono indywidualną „sprawę operacyjnego rozpracowania”⁶⁶. W następnych latach spośród animatorów Sekcji Kultury osobne działania SB podjęła wobec szefa Sekcji Wojciecha Ostrowskiego, któremu założono w mieszkaniu podsłuch, a także Jana Tomasza Lipskiego i Kazimierza Wóycickiego (rocznik 1949)⁶⁷.

Wóycicki wziął udział w proteście przeciwko ujednoliceniu organizacji młodzieżowych zarządzanemu przez ekipę Gierka w 1972 roku. Był, wraz z Konradem Bielińskim (rocznik 1949), animatorem Klubu Matematyka funkcjonującego na Wydziale Matematyki Uniwersytetu Warszawskiego. Klub organizował spotkania z niezależnie myślącymi intelektualistami: Cywińskim, Lipińskim, Mazowieckim. Chodził tam też Ostrowski, który jako student ekonomii pomógł sprowadzić na spotkanie profesora Edwarda Lipińskiego⁶⁸. Gdy partia ujawniła zamiar powołania nowej organizacji i zlikwidowania dotychczasowego Związku Studentów Polskich, młodzi matematycy ogłosili własny projekt. Na walnym zebraniu wydziału przegłosowali, z pomocą Stefana Kawalca i Sergiusza Kowalskiego z niższych lat, rezolucję sprzeciwiającą się planom władz. W marcu 1973 roku podczas zjazdu ZSP Bieliński wraz z kilkoma innymi delegatami UW głosował przeciw połączeniu ze Związkiem Młodzieży Socjalistycznej. Nie powstrzymało to procesu glajchszaltowania organizacji młodzieżowych, ale było ważną próbą dla grupy osób, które w kilka lat później mocno zaangażują się w działania opozycji⁶⁹. Jedni, jak Kazimierz Wóycicki i Stefan Kawalec, trafią do kręgu Antoniego Macierewicza, inni, jak Konrad Bieliński i

66. Informacja na temat głównych zadań i planów pracy Wydziału II Departamentu IV MSW na lata 1974-1975, w: *Plany pracy...*, s. 95-96.

67. Informacja na temat planów pracy Wydziału II Departamentu IV MSW na lata 1978-1979, w: *Plany pracy...*, s. 268-269.

68. Relacja Wojciecha Ostrowskiego udzielona autorowi w 2008 r.

69. Zob. P. Sowiński, *Konrad Bieliński*, w: *Opozycja w PRL. Słownik...*, t. 2, Warszawa 2002, s. 38-40; A. Friszke, *Kazimierz Wóycicki*, w: *Opozycja w PRL. Słownik...*, t. 1, s. 389-390.

Sergiusz Kowalski, zbliżają się do dawnych komandosów.

Ci ostatni nawiązywali coraz bliższe kontakty z młodymi katolikami z KIK. Bezpieka odnotowała spotkanie obu grup, jakie odbyło się w połowie listopada 1971 r. Tematem dyskusji prowadzonej przez Jana Tomasza Lipskiego było miejsce inteligencji w Polsce współczesnej. Komandosów reprezentowała m.in. Teresa Bogucka. Obie strony przypadły sobie do gustu i postanowiono spotkać się ponownie. Referat o antysemityzmie mieli przygotować marcowcy⁷⁰.

Stały, także towarzyski kontakt z komandosami utrzymywał Krzysztof Śliwiński. Począwszy od 1972 roku z jego inspiracji kikowska młodzież podjęła własnoręczne porządkowanie Cmentarza Żydowskiego w Warszawie (co SB uznała zapewne za owe kontakty ze „syjonistami”). W klubie nazywano to „obozem na kirkucie”. Odbywał się on zawsze w ostatnim tygodniu czerwca, a ostatniego dnia uczestnicy mieli wspólną kolację u siostr Zmartwychwstanek na Żoliborzu. Przy okazji prowadzono organizowane przez Wojciecha Ostrowskiego i Pawła Śpiewaka dyskusje na wokół tematu: Polacy-Żydzi. Jednym z gości był nieznanzy jeszcze wówczas szerzej Marek Edelman.

Do inicjatywy porządkowania Cmentarza Żydowskiego przyłączyło się wiele osób ze środowiska komandosów, którzy zaczęli również bywać na spotkaniach u Dominikanów.

Pośrednikami między tymi dwoma kręgami byli Śliwiński i Teresa Bogucka, weteranka Marca należąca jednocześnie do KIK. „Środowisko pomarcowe było bardzo zwarte, obolałe, ale coraz bardziej otwarte na kontakty z nami – rówieśnikami reprezentującymi typ katolicyzmu otwartego i myślenia o Polsce w formule otwartej, a nie zamkniętej” – opowiada Ostrowski⁷¹. I wspomina kikowski obóz w Pewli zimą 1972/73, gdzie poznał między innymi Seweryna Blumsztajna. Również inni młodzi opozycjoniści jeździli na te obozy w następnych latach⁷².

70. AIPN 01224/1948, Notatka nt. spotkania KIK z komandosami, 10 XII 1971, k. 10.

71. Relacja Wojciecha Ostrowskiego...

72. Por. A. Friszke, *Kształtowanie się opozycji...* Na te same obozy przyjeżdżali także z Gdańska Grzegorz Grzelak, Maciej Grzywaczewski, Aleksander Hall – późniejsi działacze ROPCiO i RMP. Zob. P. Zaremba, *Młodość polacy. Historia Ruchu Młodej Polski*, Gdańsk 2000, s. 38-39.

W zimowisku zorganizowanym przez Sekcję Kultury na przełomie roku 1974/75 wzięło udział ok. 70 osób z całej Polski. Obok kikowców – Arkuszelewskiego, Lipskiego, Ostrowskiego, Rafała Zakrzewskiego – do Pewli przyjechali komandosi – Sławomir Kretkowski, Zofia Winawer, a także Doroszeńska z „Czarnej Jedyńki”⁷³. Obóz miał charakter seminarium z referatami i, dyskusją na temat kryzysu tradycyjnych wartości i zerwania więzi społecznych. Więzi te zamierzano odbudowywać poprzez tworzenie małych grup przyjacielskich, zdolnych przeciwstawić się „zniewalającym strukturom społecznym”. Podstawą do dyskusji był, m.in., tekst Jacka Kuronia pt. *W świecie zagrożonych wartości*, który odczytano, nie ujawniając publicznie nazwiska autora. W tekście była mowa o potrzebie „wielonurtowego” i „pluralistycznego” ruchu społecznego na rzecz udziału całego społeczeństwa w opracowywaniu „planu życia społecznego”, oraz w rządzeniu. Nie można biernie czekać – twierdził autor. „Już dzisiaj można i trzeba taki ruch tworzyć, jako małe grupy ludzi myślących”⁷⁴.

Zimowisko Sekcji Kultury SB oceniła jak najgorzej. W oczach bezpieki był to po prostu obóz szkoleniowy antyustrojowej opozycji. „Referaty wyraźnie mówiły o potrzebie bronięcia zagrożonej wartości a przede wszystkim wolności – analizował porucznik Badowski z Departamentu IV MSW. – Wskazywanie na potrzebę tworzenia małych grup ludzi myślących dawało odpowiedź, co należy robić w warunkach ustroju socjalistycznego, aby nie dać się zniewolić sloganem propagandowym Państwa i poprzez dyskusje i rozpamiętywanie powiększyć ilość ludzi niezadowolonych z systemu, który zabija wszelkie wartości ludzkie, łącznie z takimi fundamentalnymi jak wolność człowieka”⁷⁵.

Seminaria domowe

Na podobne tematy dyskutowano już w tym gronie od

73. AIPN 01224/1948, t. 6, Wykaz uczestników obozu zimowego zorganizowanego w dniach 27 XII 1974 r. do 21 I 1975 r. w Domu KIK-u w Pewli Małej, 7 I 1975, k. 89-92.

74. AIPN 01224/1948, t. 6, Tekst referatu J. Kuronia pt. „W świecie zagrożonych wartości”, [1974], k. 93-102.

75. AIPN 01224/1948, t. 6, Informacja dot. przebiegu zimowiska zorganizowanego przez Sekcję Kultury KIK, k. 85-88.

dawna. Wiosną 1973 r. młodzi kikowcy, dawni komandosi i kontestatorzy z Wydziału Matematyki znaleźli się razem na domowym seminarium u Aleksandra Małachowskiego. Jego tematem była polska myśl lewicowa. „To była kolejna płaszczyzna integracji środowiska, które się już znało – wspomina Ostrowski. – Pamiętam te wspólne długie podróże autobusem do Międzyzlesia, gdzie mieszkał Małachowski”. Gośćmi tych spotkań byli: Jakub Karpiński, Edward Lipiński, Jan Józef Lipski, Jan Strzelecki. W owych latach życie intelektualno-towarzyskie w Warszawie, prowadzone poza nurtem oficjalnym, było dość intensywne. Antoniego Macierewicza Ostrowski poznał z kolei w domu Kazimierza Wóycickiego i jego żony Ireny, gdzie także odbywały się debaty na tematy polityczne. Jeszcze inne seminaryjne spotkania prowadził Jacek Kuroń. Na jedno z nich, w domu Elżbiety Barszczewskiej w Powsinie, Ostrowski trafił w lutym 1974 roku. Spotkał tam również Stefana Kawalca, Sergiusza Kowalskiego, Stanisława Krajewskiego, Jana Tomasza Lipskiego i Zofię Winawer⁷⁶. Z Adamem Michnikiem zetknął się z kolei, gdy ten zbierał podpisy pod Listem 15.

Z wolna okazywało się, że młodych katolików i komandosów, wywodzących się ze środowiska obojętnego lub wręcz wrogiego religii, więcej łączy niż dzieli.

Wszystkie trzy warszawskie środowiska kształtującej się na nowo po Grudniu opozycji – komandosi, harcerze z „Gromady” i młodzi kikowcy – spotkały się w latach 1974/75 na domowym seminarium historycznym. Było ono poświęcone dylematom analizie polskiej myśli politycznej lat 1944-49. Seminarium zbierało się w różnych domach, m.in. u Jana Józefa Lipskiego. Trudno sobie wyobrazić bardziej naturalne miejsce takiego spotkania niż mieszkanie Lipskich na ulicy Konopczyńskiego, położone nieopodal siedziby KIK. Gospodarz świetnie znał wiele osób z tych środowisk, a jego syn, Jan Tomasz, był animatorem Sekcji Kultury. Tematem seminarium była powojenna historia Polski, którą badano na podstawie lektury prasy, pamiętników i

76. AIPN 01224/1948, t. 5, Notatka o zebraniu w willi E. Barszczewskiej z udziałem J. Kuronia, 7 III 1974, k. 55-56. Według SB, omawiano tekst S. Krajewskiego i K. Bielińskiego na temat opozycji. AIPN 01224/1948, t. 5, Notatka, 3 III 1974, k. 60.

rozmów ze świadkami wydarzeń (m.in. W. Bartoszewskim, W. Bieńkowskim, A. Osóbką-Morawskim). Chodziło o to, by wiedzę czerpać ze źródeł, a nie z zakłamanych peerelowskich opracowań.

W owym tyleż historycznym, co politycznym przedsięwzięciu brali udział: Arkuszewski, Lipski, Ostrowski, Małgorzata Piotrowska, Wóycicki i Henryk Wujec z KIK-u, komandosi – Bogucka (która należała też do KIK), Blumsztajn, Lityński, Michnik i Toruńczyk, oraz Celiński, Dorn i Macierewicz z „Gromady”. Przychodzili także młodzi matematycy – Kawalec i Kowalski⁷⁷. Do spotkań przygotowywano się nader starannie. „W dniu 27 kwietnia [1975] odbyło się następne spotkanie przygotowawcze [do rozmowy] z Kisielewskim i Turowiczem z KIK-u. [...] Od strony organizacyjnej odpowiedzialnymi za spotkanie byli – Celiński, Blumsztajn, Arkuszewski i J. T. Lipski. Dyskusja trwała od 19.00 do 1.00 w nocy – odnotowała SB. – Podzielono role: i tak J. T. Lipski zobowiązany został do usystematyzowania pytań natury ideologicznej, Arkuszewski przedstawi pytania dot. problemów literackich w omawianym okresie. Uzgodniono, że postawione będą takie pytania, jak: przebieg rozmów między komunistami a Kościołem w latach 1946-49, stosunek Kisielewskiego do kościoła po uprzednim zacytowaniu jego wypowiedzi z tego okresu, tj.: «Kościół i katolicyzm są jedyną siłą zdolną odrodzić naród polski moralnie i politycznie» oraz charakterystyka rozwoju kultury w Polsce z uwzględnieniem socrealizmu”⁷⁸.

„Seminarium odegrało bardzo ważną rolę, ponieważ była to pierwsza wspólna działalność tych różnych środowisk” – wspomina Arkuszewski⁷⁹. „Pozwoliło to tej grupie poznać się i scentementować, i potem wiele osób, które włączyły się do działania, wzięło się właśnie stąd” – twierdzi inny uczestnik tych spotkań, Henryk Wujec⁸⁰. Naturalna wspólnota pokoleniowa, doświad-

77. A. Friszke, *Kształtowanie się opozycji...*

78. AIPN 01224/1948, t. 6, Informacja nt. wspólnego seminarium historycznego grupy młodzieży z KIK i komandosów, 8 VI 1975, k. 38-40.

79. Relacja Wojciecha Arkuszewskiego dla Andrzeja Friszke i Andrzeja Paczkowskiego z 1981 r.

80. *NiepoKORni...*, s. 235.

czenie Marca '68, w który byli zaangażowani nie tylko komandosi, ale także Macierewicz z „Czarnej Jedyńki”, Śliwiński i Wujec z KIK, krytyczny stosunek do PRL i wreszcie podjęte razem samokształcenie – wszystko to torowało drogę do wspólnych działań opozycyjnych w niedalekiej przyszłości. Ich zapowiedzią było nabożeństwo „ku czci poległych w wypadkach grudniowych w 1970 r.” odprawione 20 XII 1975 roku w kościele oo. Paulinów. Udział w nim wzięli zarówno ludzie z kręgu walterowców, jak i Sekcji Kultury – Blajfer, Blumsztajn, Kuroń, Lipski, Michnik, Szczęsna, Winawer, Wóycicki i inni⁸¹.

Niezależne samokształcenie stanowiło najważniejszą płaszczyznę działań opozycyjnych pierwszej połowy lat 70. Kluby dyskusyjne i seminaria, które rozkwitły w tym czasie, obejmowały dużą grupę (zapewne kilkuset) młodych ludzi, szukających nieocenzurowanej wiedzy o przeszłości i współczesności. Organizowane w ramach legalnych instytucji (Sekcja Kultury KIK, Klub Matematyka na UW), w kręgach niezależnych („Gromada”) bądź prywatnie (spotkania u Aleksandra Małachowskiego, u Ireny i Kazimierza Wóycickich czy seminarium Jacka Kuronia) kształtowały postawy niepokorne wobec realnego socjalizmu, edukując i integrując środowisko opozycyjnej młodzieży. Na domowych lub przykościelnych spotkaniach i dyskusjach, ale też na wakacyjnych obozach poznawali się ludzie wywodzący się z różnych szkół myślenia. Młodzi katolicy stykali się z dawnymi rewizjonistami, marcowi komandosi poznawali chrześcijańską myśl społeczną. Powstawała w ten sposób nowa formacja polskiej inteligencji, łącząca ściśle do niedawna rozdzielone światy mentalności katolickiej i laickiej. Wspólnota pokoleniowa i sprzeciw wobec komunistycznego totalitaryzmu stawały się ważniejsze od ideowych genealogii.

Radykałowie z Lublina

Gdy w Warszawie młodzi opozycjoniści dyskutowali o historii i polityce, ich rówieśnicy w Lublinie zakładali konspirację.

81. AIPN 0296/210, t. 2, Informacja dot. stanu rozpoznania zagrożeń bezpieczeństwa wewnętrznego kraju w grudniu 1975 roku, 5 I 1975.

Jesienią 1970 roku, na pierwszym roku historii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego spotkali się Bogdan Borusewicz (rocznik 1949), Piotr Jegliński (rocznik 1951) i Janusz Krupski (rocznik 1951). Wyraziste antykomunistyczne poglądy szybko połączyły ich w grupę, która odegrała w historii opozycji rolę bynajmniej nie prowincjonalną.

Najstarszy z nich Borusewicz pochodził z Wybrzeża. W konflikt z władzą ludową wszedł bardzo wcześnie – jeszcze przed maturą. W gdańskich demonstracjach Marca '68 wziął udział jako uczeń Liceum Plastycznego w Gdyni. Po stłumieniu protestów, w kwietniu sporządził 110 ulotek i rozrzucił je z kolegami w trójmiejskiej kolejce elektrycznej. Ulotki wzywały w imieniu „Komitetu Walki o Wolność i Demokrację” do manifestacji 1 i 3 maja w obronie prześladowanych studentów. O pozaszkolnej aktywności swoich uczniów doniósł władzom jeden z nauczycieli – 5 maja po Borusewicza przysłała Służba Bezpieczeństwa. Spędził noc na komisariacie, ale następnego dnia w czasie przewożenia do więzienia udało mu się uciec. Poszukiwany opublikowanym w lokalnej prasie listem gończym jako „groźny przestępca”, przez pięć dni ukrywał się w lasach pod Sopotem. Wreszcie za namową matki postanowił się ujawnić. Aresztowany, w kwietniu 1969 dostał trzy lata więzienia. Dzięki pomocy kilku zacnych nauczycieli udało mu się za murami uzyskać promocję do klasy maturalnej, więc gdy wypuszczono go w ramach amnestii po odsiedzeniu połowy kary mógł ukończyć szkołę w normalnym trybie⁸².

„Wchodziłem do więzienia jako młody chłopiec, [...] a opuszczałem je jako mężczyzna. Dojrzały fizycznie i psychicznie – opowiadał po latach. – Ugruntowane miałem też poglądy. Umocniłem się w przekonaniu, że ten ustrój to system kłamstwa i bezprawia. I trzeba z nim walczyć”⁸³. Toteż gdy rozpoczął studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, łatwo znalazł wspólny język z kolegami z roku.

Jegliński i Krupski nie mieli tak bogatego życiorysu, jak Borusewicz, ale ich stosunek do PRL był równie jasno określony

82. Zob. M. Strasz, P. Adamowicz, *Bogdan Borusewicz*, w: *Opozycja w PRL. Słownik...*, t. 2, s. 49-53.

83. E. Szczesiak, *Borusewicz. Jak runął mur*, Warszawa 2005, s. 41.

ny. W ramach Koła Naukowego Historyków i lubelskiego klubu „Więzi”, prowadzonego przez Zdzisława Szpakowskiego, szefa działu historycznego miesięcznika, prowadzili debaty o najnowszej przeszłości i swobodne dyskusje o wydawnictwach emigracyjnych. Na szerszym forum wystąpili w 1973 roku – z protestem przeciwko utworzeniu na uczelni nowego Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, całkowicie podporządkowanego partii. W proteście brali też udział studiujący na KUL komandosi. Borusewicz i Krupski wystąpili na zwołanym w tej sprawie wiecu z generalną krytyką PRL⁸⁴. Gdy rektor polecił im zaprzestanie protestów, postanowili odwołać się do prymasa Stefana Wyszyńskiego. Pojechali do Warszawy, by przekonać kardynała, że studentów katolickiej uczelni nie może reprezentować organizacja powołująca się na marksizm-leninizm. Ksiądz prymas potraktował ich dość chłodno, ale interwencja na Miodowej przyniosła efekty. Wyszyński zakazał działalności SZSP na KUL.

Kuźnią opozycji w Lublinie było Duszpasterstwo Akademickie prowadzone przez dominikanina, ojca Ludwika Wiśniewskiego. Jako znakomity, łatwo nawiązujący kontakt z młodzieżą duszpasterz dał się on poznać już wcześniej w Gdańsku, gdzie skupił wokół siebie między innymi Aleksandra Halla, Arkadiusza Rybickiego i Macieja Grzywaczewskiego. Przeniesiony w 1972 roku pod presją SB do Lublina nie zmienił stylu działania. W jego duszpasterstwie studenci spotykali ludzi o niezależnych poglądach: Wiesława Chrzanowskiego, Stefana Kisielewskiego, Tadeusza Mazowieckiego, Adama Stanowskiego, Andrzeja Wielowieyskiego i innych⁸⁵. W grupie podopiecznych ojca Wiśniewskiego, oprócz Borusewicza i Krupskiego, znalazł się także Marian Piłka, późniejszy działacz Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

Wszyscy byli uczestnikami seminarium magisterskiego prowadzonego na KUL przez Władysława Bartoszewskiego. Jego

84. A. Friszke, *Kształtowanie się opozycji...*

85. Na lubelskich studentach szczególnie wrażenie zrobił Kisielewski, opowiadając w październiku 1974 r. o łamaniu wolności słowa w PRL, genezie Listu 34 i wystąpieniach studenckich w marcu 1968 r. Zob. M. Choma-Jusińska, *Rola duszpasterstwa akademickiego o. Ludwika Wiśniewskiego w działalności opozycji przedsolidarnościowej w Lublinie*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2005, nr 7, s. 155-179.

wykłady o państwie podziemnym i prasie konspiracyjnej z czasów okupacji poddały młodym antykomunistom myśl o założeniu podziemnego wydawnictwa. Na początek próbowali powielić metodą fotograficzną *Archipelag Gułag* Aleksandra Sołżenicyna, którego egzemplarz Piotr Jegliński wyniósł z biblioteki ZBOWiD-u. „Przygotowałem w pokoju ciemni i zaczęliśmy odbijać – opowiada Bogdan Borusewicz. – Po sporządzeniu pierwszego tomu okazało się, że całość będzie miała objętość skrzyni. Zrezygnowaliśmy z tej metody”⁸⁶. Aby zdobyć sprzęt drukarski, zaplanowali więc włamanie do lokalu SZSP, ale wycofali się w obawie przed wpadką i skazaniem za przestępstwo kryminalne. Ostatecznie postanowili zdobyć powielacz na Zachodzie.

W 1974 roku Jegliński wyjechał do Paryża. Krupski, który też miał jechać, nie dostał paszportu⁸⁷. Jednak ku zaskoczeniu radykałów z kraju zarówno Jerzy Giedroyc, jak Jan Nowak-Jeziorański odmówili pomocy. Emigracyjni przywódcy uznali pomysł uruchomienia podziemnej drukarni za zbyt ryzykowny. Nowak napisał nawet list, w którym, jak wspomina Jegliński, ostrzegł go, że „to jest narażanie ludzi na „wsypę”, na dekonspirację, że najlepszy element pójdzie siedzieć, a tu trzeba oddziaływać raczej pracą pozytywistyczną, co najwyżej przerzucać [przez granicę] paryską «Kulturę»”⁸⁸. W tej sytuacji Jegliński postanowił kupić sprzęt za własne, zarobione „na saksach” pieniądze. Wiosną 1976 roku mały spirytusowy powielacz przewiózł do Londynu, gdzie spotkał się konspiracyjnie z Witem Wójtowiczem, aktorem teatru Sceny Plastycznej KUL. Ten nauczył się go rozbierać i składać, a potem na prośbę Krupskiego przemycił do kraju. Był to pierwszy profesjonalny sprzęt drukarski, jakim dysponowała opozycja⁸⁹.

Nie od razu zdecydowano się go użyć. Janusz Krupski wspo-

86. E. Szczesiak, *Borusewicz...*, s. 82.

87. Zob. wypowiedź J. Krupskiego podczas sesji pt. *Funkcjonowanie drugiego obiegu wydawniczego*, 10-11 VI 2002, w: *Co nam zostało z tych lat... Opozycja polityczna 1976-1980 z dzisiejszej perspektywy*, red. J. Eisler, Warszawa 2003, s. 33-35.

88. Cyt. za: *Co nam zostało z tych lat...*, s. 51-53.

89. Zob. A. Kunicka-Goldfinger, M. Kunicki-Goldfinger, *Janusz Krupski*, w: *Opozycja w PRL. Słownik...*, t. 1, s. 185-187.

mina obawy Jacka Kuronia, którego jeszcze przed czerwcem 1976 poinformowali z Borusewiczem o planach drukowania niezależnej prasy. „Powiedział, że on ma taki pogląd na działanie opozycyjne, że należy zmuszać do przestrzegania prawa, do przestrzegania konstytucji, jakkolwiek ona jest niedoskonała, bo [to] władze komunistyczne łamią prawo. Nie należy natomiast tworzyć faktów, które byłyby jawnym łamaniem obowiązującego prawa przez opozycję”. Lubelscy radykałowie mieli inne zdanie w tej kwestii. „Postanowiliśmy – relacjonuje Krupski – jednak ten powielacz uruchomić. Wychodziliśmy z założenia, że nie będziemy przestrzegali peerelowskiego prawa, które dla nas było bezprawiem”⁹⁰. Po powstaniu KOR ich sprzęt posłużył do druku komunikatów Komitetu i „Zapisu”.

Dialog tradycji

Wszystkie młode środowiska opozycyjne odnalazły ważne dla siebie wątki w książce Bohdana Cywińskiego *Rodowody niepokornych*, wydanej przez „Więź” w 1971 roku. Katolicki intelektualista i historyk prezentował w niej sylwetki polityków i społeczników z przełomu XIX i XX wieku, pokazując rolę wartości etycznych w walce o niepodległość – zarówno duchową, jak narodową. Jego opowieść o przeszłości można było odczytać jak najbardziej współcześnie – jako wezwanie do postawy aktywnej. „Ideowość, zaangażowanie, służba społeczna – pisał Cywiński – co innego oznaczały dla wyrosłych z pozytywistycznego pnia działaczy społeczno-oświatowych, co innego dla przygotowujących rewolucję socjalistów, jeszcze co innego – dla wyrastających w tymże środowisku twórców przyszłego obozu narodowego. Mimo tych istotnych, zasadniczych podziałów ideologicznych ludzie angażujący się we wszystkich tych obozach nosili pewne cechy wspólne. Na tle ogółu, lękającego się niebezpiecznej, bo przecież nielegalnej działalności społeczno-ideowej, na tle dość powszechnego – jak się zdaje – w tym pokoleniu zmateralizowania i bezideowości, stanowili oni cenne elity nonkonformi-

90. M. Choma-Jusińska, *Początki niezależnego ruchu wydawniczego w Lublinie*, „Scriptores” 2009, nr 36, s. 61-81.

styczne, które stać było na dokonanie wyborów ideowych, w każdym przypadku oznaczające płynięcie pod prąd, zakwestionowanie własnej kariery, często nawet wolności, a w momentach krańcowych – życia”⁹¹.

Nietrudno było odnaleźć w tych słowach odniesienia do komunistycznej teraźniejszości, która Cywińskiemu i jego czytelnikom z kręgu komandosów, KIK czy „Gromady” jawić się musiała bardzo podobnie. Tradycja niepokornych inteligentów z przełomu wieków miała wkrótce znaleźć kontynuatorów. Było to widoczne w ośrodkach myśli niezależnej powołanych do życia przez generację Michnika, Macierewicza i Celińskiego. Szkolne kółka samokształceniowe, Uniwersytet Latający, Towarzystwo Kursów Naukowych – wszystkie te nielegalne instytucje, prowadzące z powodzeniem edukację pod zaborami, zostały przypomniane na kartach *Rodowodów*. Bohaterowie książki tworzyli nielegalną literaturę, organizowali podziemne nauczanie, wspierali narodziny ruchu robotniczego. Tę samą pracę podejmą jej czytelnicy.

Spore wrażenie książka katolickiego pisarza wywarła na ideowym patronie komandosów – Jacku Kuroń. Przeczytał ją wkrótce po wyjściu z więzienia, odgadując intencje autora. „Pokazując rodowody inteligencji Bohdan Cywiński kładł nacisk na to, co wspólne dla ludzi żarliwie wierzących i ateistów tamtych czasów: na niepokorność, na postawę ofiarności, służby i walki. Wyraźnie odczytałem to jako wyciągnięcie ręki do nas, zresztą Bohdan potem powiedział, że zwracał się w tej książce właśnie do naszego środowiska” – pisał Kuroń w *Wierze i winie*⁹².

Przywódca opozycyjnej lewicy trafnie odczytywał uznanie autora *Rodowodów niepokornych* dla laickich radykałów sprzed stu lat, jako propozycję dialogu pod własnym i swoich przyjaciół adresem. Adam Michnik zwracał uwagę na to, że lektura Cywińskiego i spotkanie z ludźmi z Klubu Inteligencji Katolickiej było pierwszym impulsem do zmiany stosunku do Kościoła w jego kręgu⁹³. Świadectwem zasadniczego przewartościowa-

91. B. Cywiński, *Rodowody niepokornych*, Paryż 1985, s. 9-11.

92. J. Kuroń, *Wiara i wino. Do i od komunizmu*, Londyn 1989, s. 339.

93. A. Michnik, J. Tischner, J. Żakowski, *op.cit.*, s. 184.

nia tego stosunku stanie się wydana w pięć lat później książka *Kościół, lewica, dialog*⁹⁴. Tymczasem lider komandosów podejmował remanent tradycji w sferze wartości narodowych. W napisanym w 1973 roku esej *Cienie zapomnianych przodków* Michnik przywołał z uznaniem postać Józefa Piłsudskiego. Wybór ten był znakiem istotnego zwrotu w jego myśleniu nie tylko o historii – oznaczał bowiem rewaloryzację kwestii niepodległości, a także uznanie PRL za państwo niesuwerenne⁹⁵. W oczach dawnego „raczkującego rewizjonisty” Komendant był ucieleśnieniem polskiej irredenty, która cele narodowe łączyła z socjalną demokracją. Jako przywódca Polskiej Partii Socjalistycznej i redaktor „Robotnika” Piłsudski łączył działalność polityczną z edukacją obywatelską, z „wychowywaniem Polaków ku niepodległości”. „Jak wychowywano Polaków? Gazetą. Wolnym, niepodległym, niecenzurowanym słowem drukowanym. Społeczeństwo żyjące w niewoli musi wyprodukować z siebie literaturę nielegalną, bo musi znać prawdę o sobie samym, widzieć swój obraz niezafałszowany, słyszeć swój głos autentyczny. Istnienie nielegalnej literatury jest niezbędnym etapem w walce z duchowym zniewoleniem” – pisał Michnik antycypując pojawienie się w Polsce wydawnictw niezależnych⁹⁶. Program dla opozycji demokratycznej można też odczytać w jego opisie wzoru postępowania, jaki Piłsudski proponował polskiej inteligencji. „Inteligent miał wyjść z kawiarni, pisać nielegalne broszury, redagować nielegalną gazetę, prowadzić nielegalne wykłady na nielegalnym uniwersytecie. W ten sposób miał przełamać swoją samoizolację, miał stać się konstruktorem ruchu robotniczego i mózgiem tego ruchu. Miał być wychowawcą spo-

94. Przedmowę do książki Michnika napisze Stefan Kisielewski, który był jednym z ważnych uczestników dialogu między środowiskiem KIK a komandosami. „[...] Ta młodzież «marcowa» to ostatnie drożdże, jakie znam – ostatnia grupa fermentująca, inteligentna” – zapisał w kwietniu 1973 r. po spotkaniu z Michnikiem, Blumsztajnem, Barbarą Toruńczyk i Małgorzatą Szpakowską, S. Kisielewski, *op.cit.*, s. 757.

95. „Tak zwaną «kwestię narodową» uznawałem za załatwioną [...]. Polskę Anno Domini 1963 uważałem za kraj suwerenny od czasów Polskiego Października (w czym myliłem się głęboko i fundamentalnie)”. A. Michnik, *Cienie zapomnianych przodków*, w: *idem, Szanse polskiej demokracji*, Londyn 1984, s. 114.

96. A. Michnik, *Cienie...*, s. 117.

łeczeństwa”⁹⁷.

Wysłany na konkurs ogłoszony przez Instytut im. Józefa Piłsudskiego w Londynie⁹⁸, a opublikowany w „Kulturze” w maju 1975 roku, tekst Adama Michnika nie miał naturalnie rangi *Rodowodów niepokornych*. Był jednak, podobnie jak książka katolickiego intelektualisty, jednym z pomostów, dzięki którym środowiska o zupełnie odmiennych rodowodach mogły odnaleźć wspólny język. Jeżeli katolikom dzieło Cywińskiego pokazywało przede wszystkim nieznaną im tradycję laickich niepokornych, to przed ludźmi lewicy odkrywało korzenie obozu narodowego, nie mieszczące się w negatywnym stereotypie endecji. Michnik mówił później, że *Rodowody* były dla niego najpełniejszym odczytaniem narodowego wymiaru wolności i „sensu korzystania z tradycji narodowej dla rozumnego trwania w narodowym życiu”⁹⁹.

Ważnym głosem w tym dialogu tradycji były *Kazania świętokrzyskie* Stefana Wyszyńskiego. W styczniu 1974 roku prymas wygłosił w kościele św. Krzyża cykl homilii na tematy społeczne, w których wziął w obronę prawa człowieka i wystąpił przeciwko wszechmocy państwa. „Chociaż współcześnie odradza się – zwłaszcza w państwach totalnych – tak zwana onnipotencja państwowa, która chce rządzić człowiekiem w każdym wymiarze jego bytowania, niemniej jednak są prawa, które od społeczności politycznej nie zależą – mówił kardynał Wyszyński. – Zależą one od stwórcy, który jest naszym Ojcem. I żadna społeczność nawet najpotężniejsza, nie może tych praw pogwałcić, nie narażając się na konflikty z obywatelami, z człowiekiem i jego osobowością”. Do praw tych należą: prawo do życia i do „godnej człowieka stopy życiowej”, prawo do wolności, prawo do oddawania czci Bogu. Prymas wymieniał również „prawo do zrzeszania się, aby między obywatelem i władzą zwierzchnią nie było pustki, próżni”. A także prawo do udziału w życiu publicznym

97. *Ibidem*, s. 120-121.

98. Michnik zdobył swoim esejem, podpisanym jako Bartłomiej, I nagrodę w tym konkursie, Bartłomiej [A. Michnik], *Cienie zapomnianych przodków*, „Kultura” 1975, nr 5/332, s. 3-21.

99. AIPN BU 0248/134, t. 9, Stenogram z wystąpienia Adama Michnika w dniu 14 IV 1981 r. w kościele św. Szczepana. Impreza zorganizowana przez Sekcję Kultury KIK, k. 145.

i prawo do korzystania z wartości moralnych i kulturalnych. „One również nie zależą od nadania, lecz są właściwością człowieka jako istoty rozumnej”. Wreszcie mowa była o prawie do ochrony swych praw. „Jest to wytworzenie takiej atmosfery wewnętrznej swobody, aby obywatel – z chwilą gdy jego prawa zostaną naruszone – nie bał się ich bronić i miał świadomość, że znajdzie wreszcie sprawiedliwość”¹⁰⁰.

W sposób stonowany, lecz wyraźny kardynał Wyszyński wzywał wiernych do czynnej obrony praw obywatelskich, a władze do respektowania różnorodności i pluralizmu. „Mądra organizacja społeczeństwa nie polega na tym, aby stosować wszędzie ten sam wąski schemat, tylko na tym, aby stworzyć możliwości wolnej i swobodnej pracy różnych warstw i grup społecznych, według ich rozumnych i zdrowych upodobań – mówił 27 I 1974 roku w kościele św. Krzyża. – Łączy się z tym konieczność odważnej obrony wolności prawa koalicji, czyli zrzeszania się dla swoich celów, jak również prawa do wolności prasy, opinii publicznej, wydawnictw, dyskusji, rozważań i badań naukowych”¹⁰¹.

W słowach prymasa Polski można odnaleźć te same idee, które dwa lata później pchnęły niepokornych inteligentów do powołania Komitetu Obrony Robotników. O tym, co łączy laicką opozycję z przywódcami Kościoła obie strony mogły się przekonać podczas osobistych kontaktów, do których wówczas po raz pierwszy doszło.

18 XI 1974 r. Jacka Kuronia z żoną przyjął na prywatnej rozmowie kardynał Karol Wojtyła. Pośrednikiem był Bohdan Cywiński. Dawny rewizjonista mówił o zmianie swego stosunku do chrześcijaństwa. A także o roli międzyludzkiej solidarności, której przykładem była budowa kościoła w Nowej Hucie. Metropolita krakowski przyjął z uznaniem słowa przywódcy opozycyjnej lewicy o ważnej roli religii w życiu człowieka¹⁰². Kilka miesięcy później, 4 IV 1975 r., z Kuroniem spotkał się kardynał Wyszyński. Audjencję zorganizował ks. Stanisław Małkowski, na którego prośbę Kuroń prowadził zajęcia z tzw. gitowcami w parafii św. Józefa. Prymas wyrażał się z aprobatą o tej inicjatywie, zapewne

100. S. Wyszyński, *Kazania świętokrzyskie*, Rzym 1974, s. 13-15.

101. *Ibidem*, s. 61.

102. AIPN 01224/1948, t. 5, Wyciąg z doniesienia TW ps. „Palicki”, 28 XI 1974, k. 20-21.

doceniając wychowawcze talenty twórcy drużyn „walterowskich”¹⁰³.

Opozycja, ale jaka?

Myśl polityczna opozycji nie nadążała za rozwojem środowisk niezależnych, gotowych już do działania przeciw systemowi. Dyskusja toczona w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych na łamach prasy emigracyjnej, przede wszystkim w „Kulturze”, była mało owocna¹⁰⁴. Najważniejszy głos od czasu *Tez o nadziei i beznadziejności* Leszka Kołakowskiego stanowił w niej artykuł *Polityczna opozycja w Polsce*, opublikowany w numerze listopadowym „Kultury” w 1974 r.¹⁰⁵

Anonimowym autorem tekstu był Jacek Kuroń¹⁰⁶. „Są w Polsce ludzie, którzy czynnie, w sposób zamierzony, przeciwstawiają się podstawowym zasadom ustroju narzuconego społeczeństwu przez władzę państwową” – pisał Kuroń, twierdząc, że liczba i społeczne znaczenie oponentów ustroju pozwalają mówić o opozycji politycznej jako trwałym elemencie sytuacji w PRL¹⁰⁷. W tym nader optymistycznym obrazie więcej było jednak agitacji niż obserwacji. Autor zaliczał bowiem do opozycji wszystkich, którzy starali się w dostępny sobie sposób bronić niszczonej przez system wartości: godności ludzkiej, praw obywatelskich, prawdy o polskiej historii i współczesności. W tej perspektywie aktem opozycyjnym stawały się na przykład książki i teksty publikowane w obiegu oficjalnym, prezentujące styl myślenia

103. AIPN, mkf. 01224/1948, t. 14, „Informacja”, 10 VII 1975, k. 95.

104. Omawia ją M. Tyrchan, *Początki opozycji demokratycznej w Polsce na łamach «Kultury»*, „Zeszyty Historyczne” 2007, z. 160, s. 104-130.

105. Ukazał się jako „Artykuł nadesłany z Kraju”, „Kultura” 1974, nr 11/326, s. 3-21.

106. SB odnotowała, że o programie opozycji dyskutowano na spotkaniu 21 VI 1974, w którym wzięli udział S. Kisielewski, J. Kuroń, A. Michnik i K. Śliwiński. Założenia opublikowanego kilka miesięcy później artykułu Kuronia były zbieżne z postulatami formułowanymi podczas tego spotkania przez Michnika, toteż bezpieka traktowała go jako współautora tekstu. AIPN BU 0248/134, Notatka, 2 I 1980, k. 144-146. Por. AIPN, mkf. 01224/1948, t. 14, Notatka, 11 VII 1974, k. 45-47.

107. Cyt. za: *Wizja Polski na łamach «Kultury» 1947-1976*, red. G. Pomian, Lublin 1999, s. 277.

odbiegający od propagandowej linii partii. Według Kuronia, do opozycji można było zaliczyć nawet krąg towarzyski, w którym rozmawia się o sprawach publicznych. „Już bowiem samo to, że ludzie rozmawiają ze sobą bez cenzury jest działalnością antytotalitarną”¹⁰⁸.

W sferze programowej najważniejsze w tekście było określenie podstawy ideowej polskiej opozycji – „musi być ona antytotalitarna i niepodległościowa”¹⁰⁹. Antytotalitarna, a więc opowiadająca się za demokracją; niepodległościowa, bo tylko suwerenna, niezależna od Związku Sowieckiego Polska może być naprawdę wolna. Stawiając kwestię niepodległości w sposób tak jednoznaczny dawny rewizjonista dawał dowód istotnej ewolucji. W wyniku Marca, inwazji na Czechosłowację i masakry grudniowej – pisał – „zmarły śmiercią naturalną nadzieje na odnowę ruchu komunistycznego, a wraz z nimi rewizjonizm jako ideologia tego nurtu opozycji, w którym akceptowano jakąś część czy jakiś aspekt komunistycznej tradycji. Trzeba przyznać, że poczynając od pięćdziesiątego szóstego roku ten nurt grupował ludzi szczególnie dynamicznych, odważnych, światłych i dzięki tym zaletom popularnych. Dopóki jednak odrzucali oni parlamentaryzm, nie wykazywali zrozumienia dla problematyki niepodległościowej i byli niechętni wobec tradycji chrześcijaństwa, dopóty odpychali od siebie inne nurty opozycji politycznej. Tracąc złudzenia komunistyczne, zapoczątkowali wciąż trwającą rewizję swoich przesłanek ideowych i programów, ale nie stracili cech, które czyniły ich zasadniczym nurtem opozycji”¹¹⁰.

Jacek Kuroń dokonywał w tych słowach poważnego rozliczenia z dziedzictwem swojego kręgu ideowego (choć nie szczędził mu też pochwał). Podobnie jak Michnik w *Cieniach zapomnianych przodków*, Kuroń uznawał brak niepodległości za kluczowy czynnik sytuacji kraju i wysuwał jej odzyskanie jako główny, obok demokracji, cel opozycji. Przyznawał, że jego środowisko popełniało błąd lekceważąc te kwestie w przeszłości. Największą nadzieję pokładał w pokoleniu, które dojrzało „między marcem a grudniem” i które, jego zdaniem, czuło się spad-

108. *Ibidem*, s. 291.

109. *Ibidem*, s. 278.

110. *Ibidem*, s. 282.

kobiercą wszystkich opozycyjnych tradycji. Jednak w jego opisie rozpoznać można raczej portret postrewizjonistycznej lewicy i komandosów. „Nie mają żadnych złudzeń co do charakteru ruchu komunistycznego, a jednocześnie żadnych uprzedzeń wobec byłych komunistów – pisał. – Nie ulegają magii słów ojczyźnianych [...]”¹¹¹. I uznają „kolektywny charakter wytwarzania”, czyli, jeśli się odwołać do formuły marksistowskiej – nacjonalizację środków produkcji.

Bardziej precyzyjne niż portret ideowy opozycji były zalecenia praktyczne Kuronia. Sprzeciwiał się wszelkim formom organizacyjnym – przyjmowaniu nazw, zbieraniu składek, tworzeniu list członkowskich. Opozycję miały budować jedynie luźne, towarzyskie kontakty. Stanowczo potępiał konspirację. Co najważniejsze, uważał, że środowiska opozycyjne powinny przestrzegać peerelowskiego prawa. „Kup sobie kodeks karny i nigdy go nie przekraczaj”¹¹² – zalecał na koniec.

Tekst Jacka Kuronia nie wywołał większej dyskusji. Najpoważniejszą polemikę z zawartymi w nim тезami podjął Antoni Macierewicz. Jego artykuł ukazał się pod pseudonimem w „Aneksie” w 1976 roku, u progu politycznego przełomu¹¹³. Macierewicz zupełnie inaczej niż Kuroń ocenił dziedzictwo rewizjonizmu i znacznie ostrzej widział słabości opozycji. Dzieliła się ona, jego zdaniem, na dwa nurty: lewicowy i tradycyjny. Nurt lewicowy poniósł klęskę w 1968 roku, gdy „między marcem a sierpniem zmarł mit socjalizmu”, a idea socjalizmu przestała być motywacją do walki z reżimem. Jednak nie oznaczało to wcale zwycięstwa obozu tradycji, bo przybrał on bierny, konserwatywny charakter. „Jego podstawowym hasłem jest: jak najdalej od polityki. [...] Jego partią polityczną jest Kościół, ideologią – wstręt do rewolucji, wytyczną na życie – bierność i uczciwa praca na swoim poletku”¹¹⁴. Punktem wyjścia tworzącej się w połowie lat siedemdziesiątych opozycji było więc bankructwo obu jej

111. *Wizja Polski...*, s. 283.

112. *Ibidem*, s. 296.

113. M. Korybut [A. Macierewicz], *Refleksje o opozycji*, „Aneks” 1976, nr 12, s. 65-82.

114. Ten i następne cytaty za: Z. Hemmerling, M. Nadolski, *Opozycja demokratyczna w Polsce 1976-1980. Wybór dokumentów*, Warszawa 1994, s. 81-83.

głównych nurtów. Ludzie walczący z komunistycznym państwem znaleźli się wobec niego zupełnie sami. „Stąd ich bezradność, rozbitcie, zagubienie. Nigdy nie stanowili samodzielnej siły. Nigdy też w swoim działaniu nie stawiali przede wszystkim na społeczeństwo, na siłę własnej grupy, środowiska”¹¹⁵. Toteż Macierewicz proponował postawę radykalną, odrzucającą komunizm w imię wartości etycznych, bez szukania protektora w jednej z partyjnych frakcji i bez odwoływania się do patronatu Kościoła. Opozycjoniści mieli się przeciwstawić systemowi na własną odpowiedzialność, w oparciu o własne rozróżnienie dobra i zła.

Przywódca środowiska „Gromady” przywoływał też postulat niepodległości, która „jest tak samo niezbędna dla społeczeństwa, jak wolność osobista dla jednostki”¹¹⁶. Nie ma wolności i demokracji poza niepodległością – podkreślał – ale walka o nią nie obędzie się bez ofiar. Trzeba to sobie uświadomić, by nie stać się „smutnym współczesnym wcieleniem pacyfistów z początków naszego wieku”.

„Odrzucenie legalności jako zasady działania opozycji było wejściem w bezpośrednią polemikę z propozycjami Jacka Kuronia. Jeśli Kuroń starał się zacierać granicę między zdecydowanymi przeciwnikami systemu a ludźmi, którzy jedynie od czasu do czasu decydowali się na gesty niezależności, to Macierewicz przeciwnie – chciał wyostrzyć podziały, wytyczyć wyraźną linię między oporem a oportunizmem. „Opozycja musi być wolnym głosem opinii publicznej, nie zaś przybudówką do jednej z frakcji jakiejkolwiek instytucji – pisał, mając na myśli i partię, i Kościół. – Dzisiaj opozycję w Polsce trzeba dopiero stworzyć. Legalność nie ma sensu. Ma zaś go, być może, jawność działania, lecz tylko wtedy, gdy opozycję [...] zastąpi ruch oporu. Powszechny ruch, wsparty powszechną gotowością poniesienia konsekwencji. Gdy zaznaczymy ostrymi przedziałami, co wolno, a czego nie wolno. [...] Gdy przywrócimy wartość tym zapomnianym słowom: sprawiedliwość, wolność i niepodległość”¹¹⁷.

115. *Ibidem*, s. 93.

116. *Ibidem*, s. 91.

117. *Ibidem*, s. 96.

Tekst Antoniego Macierewicza był głosem młodej generacji niepokornych, ukształtowanej już po Marcu i po Grudniu. Ta generacja mniej wagi przywiązywała do drobnych sukcesów w walce z sowietyzacją – takich, jak prowadzenie rzetelnych badań naukowych, wydanie dobrej książki czy występy nieprawomyślnego kabaretu. Tęskniła do jednoznaczności zachowań publicznych i nie bała się wielkich słów. Dlatego, w odróżnieniu od Kuronia, który pojęcie opozycji maksymalnie rozszerzał, Macierewicz domagał się wyrysowania granic, które oddzielały ruch antykomunistyczny od biernej, milczącej większości. W jego perspektywie proponowany przez Kuronia legalizm nie miał sensu – krępowałby walkę prowadzoną przez rewolucyjną mniejszość¹¹⁸.

Ten spór zostanie tylko częściowo rozstrzygnięty przy powołaniu Komitetu Obrony Robotników, którego powstanie i działanie bliższe było ideom Macierewicza niż Kuronia. Poglądy tego ostatniego będą zresztą ewoluowały. W istocie, dyskusja między zarysowanymi powyżej stylami myślenia będzie trwała w KOR aż do końca istnienia Komitetu.

Jan SKÓRZYŃSKI

118. Sergiusz Kowalski wspomina o studenckich spotkaniach na wiosnę 1976 r., podczas których Antoni Macierewicz prezentował swoje poglądy: „Niewątpliwie już wtedy miał skłonności do radykalizmu. W szczególności podobała mu się taka idea: działamy sami, działamy nie po to, żeby wpływać na władzę, nie korygujemy swoich działań ze względu na to, jak się zachowuje władza, tylko działamy obok: taka samodzielna, samorządna działalność obywatelska”, *NiepoKORni...*, s. 582.

Jerzy BORZĘCKI

ROZPOZNANIE ZAMIARÓW I DZIAŁAŃ WOJSK SOWIECKICH W BITWIE WARSZAWSKIEJ 1920 R.

Czy polskie dowództwo miało pełne rozpoznanie zamiarów i działań wojsk sowieckich w czasie bitwy warszawskiej 1920 roku? Jeszcze kilka lat temu pytanie takie wydawałoby się nonsensem, jednakże od tamtej pory ukazały się prace historyczne, uzasadniające sensowność rozważań na ten temat. Prace te, poświęcone polskiemu wywiadowi – szczególnie zaś radiowywiadowi – w wojnie polsko-sowieckiej lat 1919-1920 wykazują istotną rolę tych służb. Szczególną zasługę w tym względzie należy przypisać książce Grzegorza Nowika, *Zanim złamano «Enigmę»*. Dla ilustracji stanu świadomości historycznej przed wydaniem tej książki można podać, że obszerny *Leksykon wojny polsko-rosyjskiej 1919-1920*² nie zawierał ani hasła „Wywiad”, ani „Radiowywiad”. Trudno sobie wyobrazić, by następne wydanie tej cennej pracy mogło nie zawierać tych haseł. W rzeczy samej, książka Nowika została uznana przez profesora Pawła Wieczorkiewicza, który był autorytetem w sprawach polskiego

1. G. Nowik, *Zanim złamano «Enigmę». Polski radiowywiad podczas wojny z bolszewicką Rosją 1918-1920*, Warszawa 2005.

2. J. Odziemkowski, *Leksykon wojny polsko-rosyjskiej 1919-1920*, Warszawa 2004.

wywiadu, za największą sensację od czasu ujawnienia informacji o złamaniu Enigmy przez polskich kryptoanalitików. Praca Nowika otrzymała Nagrodę Klio 2005, przyznaną corocznie najlepszym publikacjom historycznym przez jury złożone z wybitnych historyków. Ta pionierska książka, licząca ponad tysiąc stron, jest kopalnią wiadomości na temat polskiego radiowywiadu.

Celem niniejszych rozważań nie jest jednak recenzja książki Nowika, lecz ocena jego sensacyjnego twierdzenia, że „strona polska w lipcu i sierpniu 1920 r.” posiadała „pełne rozpoznanie [...] nie tylko składu i stanu sowieckich armii, ale przede wszystkim zamiarów i kierunku ich działań”. W szczególności Polacy mieli wiedzieć, „że Warszawę szturmować będzie tylko jedna XVI armia rosyjska, a pozostałe armie Frontu Zachodniego [wykonają] głęboki manewr obejścia”³. Twierdzenie to zasługuje na rozpatrzenie ze względu na swoją nadzwyczajną wagę – jego przyjęcie spowodowałoby przewrót w poglądach historyków na temat bitwy warszawskiej oraz konieczność rewizji praktycznie wszystkiego, co do tej pory o niej napisano.

Od razu na wstępie trzeba zauważyć, że twierdzenie Nowika jest trudne do utrzymania ze względu na to, że jego książka nie poddaje systematycznej analizie okresu bitwy warszawskiej. Traktuje ona bowiem o polskim radiowywiadzie od początku jego działalności do czerwca 1920 roku włącznie. Nie ma w niej ani rozdziału, ani nawet podrozdziału poświęconego okresowi od lipca do października 1920. Dlaczego autor pominął ten okres – w którym rozgrywała się bitwa warszawska i który był przecież najważniejszy dla wyniku wojny – nie wiadomo.

Autor przytacza pewne dowody na poparcie swego twierdzenia. Podaje na przykład, że w czasie bitwy warszawskiej Polacy przechwycili i rozszyfrowali radiogramy dowódcy Frontu Zachodniego Michaiła Tuchaczewskiego do dowódcy Armii Konnej Siemiona Budionnego. Co więcej, polski dekryptaż, będący jedną ze służb radiowywiadu, złamał sowiecki szyfr „Rewolucja”, co umożliwiło rozszyfrowanie rozkazu Tuchaczewskiego nakazującego oskrzydlenie Warszawy od północy. Nowik roztacza ponadto przekonujący obraz polskiego radiowywiadu

3. G. Nowik, *op.cit.*, s. 36-38.

jako służby dobrze zorganizowanej i skutecznie działającej w okresie pierwszych sześciu miesięcy 1920 roku. Należy przypuszczać, że w okresie bitwy warszawskiej służba ta pracowała na podobnie wysokim poziomie. Powyższe dowody pozwalająby zatem na sformułowanie nie tyle twierdzenia, co hipotezy, że polskie dowództwo miało pełne rozpoznanie zamiarów i działań wojsk sowieckich.

Jednakże nawet i hipoteza oparta na powyższych dowodach nie wydaje się specjalnie przekonująca. Konnica Budionnego w bitwie warszawskiej udziału ostatecznie nie wzięła, przechwycone zaś radiogramy dotyczyły kwestii jej w niej udziału i nie dawały Polakom pełnego i aktualnego rozpoznania wojsk sowieckich. Podobnie też złamanie przez Polaków szyfru „Rewolucja” oraz rozszyfrowanie rozkazu Tuchaczewskiego niekoniecznie potwierdza wspomnianą hipotezę. Wystarczy bowiem podać przykład strony sowieckiej, która przechwyciła nadzwyczaj ważny polski rozkaz zawierający plan kontrofensywy znad Wieprza, lecz nie wykorzystała tej informacji, uważając ją za nieprawdopodobną⁴. Dowództwo sowieckie było więc w posiadaniu kluczowej informacji, ale trudno powiedzieć, że miało pełne rozpoznanie zamiarów i działań Polaków, gdyż nie zdawało sobie sprawy z jej znaczenia. Żeby zatem wykazać, że Polacy mieli pełne rozpoznanie zamiarów i działań przeciwnika, należy dowieść nie tyle, że polski wywiad przechwycił ważne rozkazy sowieckie, lecz że polskie dowództwo posiadało aktualne i wyczerpujące oraz oceniane jako wiarygodne dane na temat Sowietów.

W ocenie, czy tak rzeczywiście było, może nam pomóc książka Andrzeja Pepłońskiego *Wywiad w wojnie polsko-bolszewickiej 1919-1920*⁵. Praca ta zawiera bowiem podrozdziały poświęcone rozpoznaniu sił sowieckich w okresie bitwy warszaw-

4. Jak podaje Tuchaczewski, „12 Armia przejęła rozkaz do 3 Armii polskiej, z którego wynikało jasno, że Polacy gotują się do ofensywy przeciwko naszemu lewemu skrzydłu w rejonie Wieprza. [Jednakże] rozkaz ten wydał się nieprawdopodobny sztabowi polowemu”; *idem, Pochód za Wisłę*, w: J. Piłsudski, *Rok 1920*, M. Tuchaczewski, *Pochód za Wisłę*, Łódź 1989, s. 196-197.

5. A. Pepłoński, *Wywiad w wojnie polsko-bolszewickiej 1919-1920*, Warszawa 1999 (wyd. drugie 2005).

skiej oraz polskiemu radiowywiadowi. Peptoński zajmuje stanowisko bardziej umiarkowane niż Nowik. Twierdzi, że polski wywiad posiadał „niemal pełne rozpoznanie sił sowieckich zbliżających się do Warszawy” oraz że w trakcie bitwy „Naczelne Dowództwo dysponowało dość dokładną wiedzą o całym potencjale nieprzyjaciela, najdłuższych odcinkach frontu, pojawiających się trudnościach w planowanych uzupełnieniach, [a także] przerzutach oddziałów z innych frontów”⁶. Informacje polskiego wywiadu na te tematy pochodziły od patroli wywiadowczych, z podsłuchu telefonicznego i telegraficznego, radiowywiadu, wywiadu lotniczego, agentury wywiadowczej po sowieckiej stronie frontu, a także przesłuchań jeńców i uciekinierów. Jednakże podstawowym źródłem informacji był radiowywiad, który przechwytywał i rozszyfrowywał sowieckie radiogramy.

Kluczową sprawą z punktu widzenia oceny przydatności tych radiogramów dla polskiego dowództwa jest kwestia czasu potrzebnego na ich rozszyfrowanie. Pod tym względem sytuacja nie jest zbyt jasna. Nowik podaje, na przykład, że po słabszych wynikach w pierwszych kilku miesiącach działalności polskiego radiowywiadu, w lutym 1920 roku Polacy rozszyfrowywali 90% przechwyconych radiogramów w ciągu 1-2 dni. Jednocześnie jednak stwierdza, że szybkość rozszyfrowywania „wzrosła” w okresie od marca do maja 1920 roku – kiedy to odczytywano 75-85% sowieckich radiogramów w ciągu 1-2 dni⁷. Rzecz jasna, w którymś z tych twierdzeń musi być zawarty błąd, ale powiedzmy, że można przypuszczać, iż w czasie bitwy warszawskiej polski radiowywiad rozszyfrowywał 80-90% radiogramów w ciągu 1-2 dni. Logika nakazuje nam przyjąć, że te radiogramy, które wymagały ponad dwóch dni na rozszyfrowanie, zawierały szczególnie ważne informacje i właśnie dlatego były tak starannie zaszyfrowane. Na przykład, rozkaz Tuchaczewskiego do Budionnego z 16 VIII 1920 został rozszyfrowany dopiero po trzech dniach, czyli 19 sierpnia

6. A. Peptoński, *op.cit.*, s. 256 i 265-266.

7. G. Nowik, *Wojna polsko-rosyjska w eterze 1919-1920*, w: J. Odziemkowski, (red.), *Bitwa warszawska 1920 roku w obronie niepodległości*, Warszawa 2006, s. 24-25.

8. Jak można sądzić z: P. Wroński, *Bolszewik złamany: Rozmowa z doktorem Grzegorzem Nowikiem o kryptoanalitikach Piłsudskiego*, „Gazeta

Peptoński natomiast podaje, stosując najwyraźniej inną metodologię, że w połowie czerwca 1920 roku sowieckie radiogramy przechwycone przez radiowywiad polskiego Frontu Ukraińskiego były rozszyfrowywane „przeważnie” w ciągu 2-3 godzin⁹. W okresie bezpośrednio poprzedzającym bitwę warszawską sowieckie radiogramy były „odczytywane i przetłumaczane w ciągu kilku godzin”, choć – sądząc z treści odnośnego przypisu – autor bierze tu za podstawę tylko dzień 7 sierpnia¹⁰. Wiemy jednakże z innego źródła, że rozkaz, wydany 13 sierpnia przez dowódcę sowieckiej XVI Armii, został rozszyfrowany i przesłany polskiemu dowództwu jeszcze tego samego dnia¹¹. Wynikałoby więc z tego, że w czasie bitwy warszawskiej większość radiogramów rozszyfrowywana była w ciągu kilku godzin.

Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że w ogniu bitwy sytuacja zmieniała się bardzo szybko i rozkaz wydany kilka godzin wcześniej często był już nieaktualny. Jak wspomina oficer polskiego radiowywiadu, położenie w czasie bitwy warszawskiej „zmieniało się już nie z dnia na dzień, ale z godziny na godzinę”¹². Generał Lucjan Żeligowski – dowodzący na wschód od Warszawy grupą operacyjną złożoną z trzech dywizji – podaje, że w ciągu paru dni najcięższych walk nie wydawał rozkazów na piśmie „po prostu dlatego, że nie było na to czasu”. Wszystkie rozkazy wydawał więc ustnie. Jedyny wydany przez niego rozkaz na piśmie zdezaktualizował się już w trakcie pisania i z

Wyborcza”, 7 VIII 2005.

Nie od rzeczy będzie zauważyć, że w tym wywiadzie Nowik dopuścił się pewnych nieścisłości. Na przykład stwierdza on, że polscy „radio-telegrafiści przez 36 godzin stukali morsem depeszę, zagłuszając Rosjan. Konkretnie nadawali biblijną Księgę Rodzaju”. Jedynym źródłem wiadomości na ten temat jest artykuł oficera radiowywiadu Józefa Serugi, który podaje, że Polacy zagłuszali sowieckie radiostacje przez 26 godzin, nadając „nieustannie wyjątki z rozmaitych czasopism, książek, różne komunikaty bezwartościowe pod względem wojskowym, szeregi cyfr, liter itd.” O Piśmie Świętym autor nie wspomina; J. Seruga, *Udział radiostacji warszawskiej w bitwie o Warszawę w r. 1920*, „Bellona”, t. 17, z. 1, 1925, s. 50-51.

9. A. Peptoński, *op.cit.*, s. 221.

10. *Ibidem*, s. 254.

11. L. Żeligowski, *Wojna w roku 1920. Wspomnienia i rozważania*, Warszawa 1990, s. 82-83 (wyd. 1-1930).

12. J. Seruga, *op.cit.*, s. 51.

tego też powodu nie został wysłany do oddziałów¹³. Jak długo może trwać pisanie rozkazu? Przypuszczalnie nie dłużej, niż 15-30 minut. Czy można zatem sądzić, że generał Żeligowski mógłby zrobić jakiś większy użytek z sowieckiego rozkazu przechwyconego przed kilkoma godzinami?¹⁴

Nie należy też zapominać, że polskiemu radiowywiadowi, podobnie jak i reszcie polskiej armii, zdarzało się napotykać trudności. Peptoński podaje, że nie wszystkie przechwycone radiogramy udawało się rozszyfrować. W czerwcu 1920 roku radiowywiad polskiej 1 Armii przechwycił 171 radiogramów, ale rozszyfrował zaledwie 40, czyli 23%. Z fragmentarycznych danych przytoczonych przez autora wynikałoby, że w lipcu radiowywiad tejże armii rozszyfrował około 90% przechwyconych radiogramów¹⁵. Jak przedstawiał się ten wskaźnik w czasie bitwy warszawskiej, nie wiadomo.

Peptoński odnotowuje ponadto stale powtarzające się opóźnienia w przekazywaniu przechwytywanych radiogramów do centrali, czyli do Oddziału II Sztabu Generalnego. W samej centrali brak było ścisłej ewidencji otrzymywanych radiogramów. Co najbardziej znamienne, szef sztabu polskiego Frontu Ukraińskiego stwierdził pod koniec czerwca 1920 roku, że choć radiowywiad dostarczał cenniejszych informacji niż pozostałe rodzaje wywiadu, to jednak dane te nie były „należycie i dość szybko wykorzystane”¹⁶. Jest to bardzo ważne stwierdzenie z ust osoby doskonale poinformowanej. Czy sytuacja uległa poprawie do czasu bitwy warszawskiej, nie wiadomo. Wydaje się to jednak mało prawdopodobne, jeśli zważyć, że zamieszanie wywołane zastraszającym odwrotem wojsk polskich w okresie poprzedzającym bitwę warszawską niewątpliwie nie sprzyjało poprawie sytuacji w tym zakresie. Można zatem sądzić, że w wielu przypadkach informacje zdobywane w czasie tej bitwy przez radiowywiad nie były należycie i szybko wykorzystywane.

Wniosek ten wydaje się znajdować potwierdzenie we wspo-

13. L. Żeligowski, *op.cit.*, s. 74-75.

14. Tak czy inaczej, generał najwyraźniej nie otrzymał żadnych przechwyconych radiogramów w czasie decydujących bojów, gdyż pisze on tylko o otrzymaniu takiego przed przystąpieniem jego wojsk do walki.

15. A. Peptoński, *op.cit.*, s. 222.

16. Cyt. za: *ibidem*, s. 221; podkreślenie moje.

mnieniach czołowych polskich dowódców, z których wynika, że wcale nie mieli oni pełnego rozpoznania zamiarów i działań Sowietów. Tak więc generał Władysław Sikorski – dowodzący 5 Armią, broniącą Warszawy od północy – podaje, że zarówno on sam, jak i dowódca Frontu Północnego generał Józef Haller był początkowo przekonany, że główne uderzenie sowieckie skierowane jest wprost na Warszawę, tzn. na Pragę, a nie na północ od miasta. Generał Żeligowski wręcz pisze: „W obronie Warszawy najważniejszym miejscem były tereny położone na wschód od Pragi. Tu musieliśmy oczekiwać najsilniejszego natarcia nieprzyjacielskiego”¹⁸. Podobnie uważał najlepiej poinformowany dowódca po polskiej stronie, Wódz Naczelny Józef Piłsudski. Píše on bowiem, że aż do 14 sierpnia był całkowicie przekonany, że „p. Tuchaczewski koncentrował wszystkie swoje siły na Warszawę”, a nie do obejścia miasta od północy¹⁹. Wiemy, że było wręcz odwrotnie.

Jak wiadomo, losy bitwy warszawskiej rozstrzygnięte zostały przez polską kontrofensywę znad Wieprza, dowodzoną przez samego Piłsudskiego. Biorąc pod uwagę niezwykle wagę tej kontrofensywy i zakładając, że Polacy mieli pełne rozpoznanie zamiarów i działań Sowietów, należałoby sądzić, iż Wódz Naczelny nie napotka żadnych niespodzianek. Tymczasem, po wyruszeniu o świcie 16 sierpnia grupy uderzeniowej znad Wieprza, Piłsudski stwierdził z największym zdumieniem, że „nieprzyjaciela nie było! [...] Wydawało mi się, że śnię. [...] Gdzieś jednak musiała być mozyrska [...] grupa, gdzieś także 16 Armia”. Następnego dnia – jak podaje Wódz Naczelny – „nie przyniósł mi żadnego wyjaśnienia tych zagadek. [...] Kazałem zaraz prowadzić atak dalej na Siedlce, licząc, że może w tym cen-

17. W. Sikorski, *Nad Wisłą i Wkrą: Studium do polsko-rosyjskiej wojny 1920 roku*, Lwów 1928, s. 107-108. Janusz Szczepański potwierdza w swej obszernej i szczegółowej pracy, iż „polski Sztab Generalny mylnie sądził, że na Warszawę ruszą wielkie siły sowieckie”; *idem, Wojna 1920 roku na Mazowszu i Podlasiu*, Warszawa 1995, s. 269.

18. L. Żeligowski, *op.cit.*, s. 75. Generał pisze również, że „plan rosyjskiego dowództwa jest nam obecnie dokładnie znany”. Jest to kolejne potwierdzenie, że plan ten nie był wówczas znany polskiemu dowództwu; *ibidem*, s. 74; podkreślenie moje.

19. J. Piłsudski, *Rok 1920*, s. 118.

tralnym punkcie znajdę jakieś rozwiązanie tajemnicy Grupy Mozyrskiej [...] Nie rozumiałem właściwie, gdzie sen, a gdzie prawda. [...] Czy śnię teraz, gdy pięć dywizji przebiega śmiało te [...] przestrzenie [...]? Pamiętam, jak dziś, tę chwilę, gdy pijąc herbatę obok przygotowanego do snu łóżka, zerwałem się na równe nogi, gdy wreszcie usłyszałem [...] głuchy grzmot armat, dolatujący gdzieś z północy. Więc nieprzyjaciół jest! [...] 18 sierpnia, gdy rano zerwałem się ze snu, armaty już nie grały; była pełna cisza. [...] Gdzież więc jest 16 Armia?”²⁰

Czy może być bardziej przekonujący dowód na to, że Wódz Naczelny nie miał pełnego rozpoznania zamiarów i działań wojsk sowieckich? Chcąc mimo wszystko odrzucić ten dowód, należałoby przyjąć, że Piłsudski wszystko to sobie zmyślił. Ale przecież epizod ten nie stawia go w specjalnie dobrym świetle – dowódca, który zupełnie nie wie, gdzie jest nieprzyjaciół. Wydaje się oczywiste, że gdyby Piłsudski miał zamiar zmyślać, to wymyśliłby o wiele bardziej budującą historię.

Pełtoński utrzymuje jednak na podstawie danych źródłowych, że 16 sierpnia, czyli w dniu rozpoczęcia kontrofensywy, Oddział II dysponował dokładnymi danymi na temat dyslokacji wojsk sowieckich. Jak to możliwe, jeśli wiemy od samego Piłsudskiego, że on takich informacji nie miał? Tajemnica polega, jak się wydaje, na tym, że Pełtoński oparł swe twierdzenie na dokumencie pt. „Zestawienie dyslokacji nieprzyjaciela za okres od 16 do 27 VIII 1920 r.”²¹ Zestawienie to podaje dyslokację wojsk sowieckich w dniu 16 sierpnia zgodnie z tym, co Oddział II wiedział na ten temat w momencie sporządzenia dokumentu, czyli nie wcześniej niż 27 sierpnia. Dane odnoszące się do 16 sierpnia musiały być najwyraźniej uzyskane po tej dacie.

Kolejnym dowodem na to, iż polskie dowództwo nie miało pełnego rozpoznania działań wojsk sowieckich, jest rezerwa, z jaką generałowie w Warszawie zareagowali na sukces kontrofensywy. Gdy Piłsudski udał się 18 sierpnia do stolicy, „wyprowadziwszy wniosek” – nie zaś dowiedziawszy się od wywiadu – „że większość armii sowieckiej musi się cofnąć od Warszawy ku

20. *Ibidem*, s. 119-121.

21. A. Pełtoński, *op.cit.*, s. 261 (dane) i 268 (źródło).

wschodowi”, zastał tam „duży niepokój z powodu licznych ataków na miasta na dolnej Wiśle [...] i posuwania się oddziałów nieprzyjacielskich coraz dalej w tzw. korytarz gdański. Obok tego wszystkim tym, z którymi mówiłem, sytuacja strategiczna nasza nie wydawała się tak korzystna i tak radykalnie zmieniona, jak ja o tym sądziłem”²². Czy taka różnica w ocenie sytuacji byłaby możliwa, gdyby polski wywiad dostarczał aktualnych, pewnych i wyczerpujących danych na temat zamiarów i działań wojsk sowieckich?

Wiemy, że w czasie bitwy warszawskiej polski wywiad dostarczał niekiedy informacji sprzecznych. Na przykład, 16 sierpnia wieczorem Oddział II 4 Armii informował, że Sowieci uważają polską armię za „zupełnie zdemoralizowaną”, a jej właśnie rozpoczętą kontrofensywę bagatelizują jako nic więcej ponad „demonstrację siły”. Ten sam jednak meldunek zaprzeczał pośrednio tej informacji podając, że wśród wyższych oficerów sowieckich panuje „przekonanie o nieuchronnej klęsce brawurowych operacji Armii Czerwonej”²³. Co miał o tym sądzić polski dowódca?

Wszystko to nie ma oczywiście znaczyć, że polski wywiad, a szczególnie radiowywiad, działał niesprawnie. Wręcz przeciwnie, odnosił on poważne sukcesy, do których należy zaliczyć przede wszystkim przechwycenie wspomnianego już rozkazu XVI Armii z 13 sierpnia, co pomogło grupie operacyjnej generała Żeligowskiego powstrzymać wojska sowieckie na wschód od Warszawy. Jak wiemy z listu szefa Sztabu Generalnego generała Tadeusza Rozwadowskiego do Wodza Naczelnego, polski radiowywiad odegrał również istotną rolę na północ od Warszawy, przechwytyując radiogramy informujące o działaniach trzech sowieckich dywizji przeciwko armii generała Sikorskiego²⁴. Wreszcie, dane polskiego wywiadu były niewątpliwie pomocne w przygotowaniu kontrofensywy znad Wieprza – dzień przed jej rozpoczęciem Piłsudski nie tylko liczył na „prawdopodobnie bardzo słabe siły Grupy Mozyrskiej”, lecz również wiedział, że sowieckie wojska są „zupełnie słabe w centrum”, tzn. na styku między sowieckimi frontami

22. J. Piłsudski, *Rok 1920*, s. 122; podkreślenie moje.

23. A. Pełtoński, *op.cit.*, s. 262.

24. J. Cisek, (red.), *Sąsiedzi wobec wojny 1920 roku. Wybór dokumentów*, Londyn 1990, cz. 1, dok. 3, s. 23.

Północnym i Południowo-Zachodnim²⁵.

Należy jednak odrzucić twierdzenie, czy też hipotezę, Nowika, że „strona polska w lipcu i sierpniu 1920 r.” posiadała „pełne rozpoznanie [...] nie tylko składu i stanu sowieckich armii, ale przede wszystkim zamiarów i kierunku ich działań”. Wydaje się również mylne twierdzenie autora, że polscy dowódcy wiedzieli, iż „Warszawę szturmować będzie tylko jedna XVI armia rosyjska, a pozostałe armie Frontu Zachodniego [wykonają] głęboki manewr obejścia”. Jeśli nawet, jak utrzymuje Peptoński, Oddział II posiadał „niemal pełne rozpoznanie sił sowieckich zbliżających się do Warszawy”, to najwidoczniej albo polscy dowódcy nie otrzymali tych informacji na czas, albo po prostu nie dali im wiary. Należy natomiast zgodzić się w zupełności z oceną Peptońskiego, że „Naczelne Dowództwo dysponowało dość dokładną wiedzą o potencjale nieprzyjaciela, najsłabszych odcinkach frontu, [...] [oraz] przerzutach oddziałów z innych frontów”. Autor słusznie wskazuje, że wywiad polski dysponował dokładniejszymi danymi o Sowietach, niż wywiad sowiecki o Polakach²⁶. Istotnie, warto zauważyć, iż wywiad sowiecki popełnił trzy fatalne pomyłki – rozpoznając błędnie, że główne siły polskie znajdują się na północ od Warszawy²⁷ i że armia polska jest w stanie pełnego rozkładu²⁸ oraz nie rozpoznając polskiej grupy uderzeniowej nad Wieprzem. Można więc chyba sformułować pogląd, że różnica w jakości działania polskiego i sowieckiego wywiadu stanowiła jeden z decydujących czynników w bitwie warszawskiej. Na koniec trzeba się jeszcze raz zgodzić z Peptońskim, że „pełna ocena roli wywiadu” w tej bitwie wymaga „dalszych badań”²⁹.

Jerzy BORZĘCKI

J. Borzęcki (ur. w 1956 r. w Tomaszowie Lubelskim), dr historii i mgr ekonomii, jest wykładowcą na Wydziale Studiów Historycznych Uniwersytetu Torontońskiego w Mississauga.

25. *Ibidem*, dok. 1, s. 17.

26. A. Peptoński, *op.cit.*, s. 266.

27. M. Tuchaczewski, *Pochód za Wisłę*, s. 186-187.

28. A. Peptoński, *op.cit.*, s. 264.

29. *Ibidem*, s. 266.

DOKUMENTY

Hiroaki KUROMIYA, Paweł LIBERA

NOTATKA WŁODZIMIERZA BĄCZKOWSKIEGO NA TEMAT WSPÓŁPRACY POLSKO-JAPOŃSKIEJ WOBEC RUCHU PROMETEJSKIEGO (1938)

Dzieje relacji polsko-japońskich w pierwszej połowie XX wieku to zagadnienie, które było już wielokrotnie poruszane w historiografii polskiej, zarówno przez polskich badaczy (głównie Ewę Pałasz-Rutkowską)¹, jak i przez historyków japońskich². Prace te nie wyczerpują jeszcze całości zagadnienia, w ostatnich czasach tematem polsko-japońskiej współpracy wywiadowczej zajęli się Hiroaki Kuromiya i Andrzej Pepłoński³. Wątek związany z działalnością ruchu prometejskiego w kontekście relacji polsko-japońskich nie był szerzej omawiany w najnowszych publikacjach, ich autorzy z reguły odwoływali się do dawniejszych opracowań⁴, przede wszystkim do książki Sergiusza Mikulicza⁵.

1. Ostatnio opublikowała: E. Pałasz-Rutkowska, *Historia stosunków polsko-japońskich 1904-1945*, Warszawa 2009.

2. Hiroshi Bandō, *Sekai no naka no nihon pōrandō kankei 1931-1945* [Japońsko-polskie stosunki w świecie 1931-1945], Tokio 2004.

3. H. Kuromiya, A. Pepłoński, *Między Warszawą a Tokio. Polsko-japońska współpraca wywiadowcza 1904-1944*, Toruń 2009 (w druku).

4. Por. np. E. Pałasz-Rutkowska, *Polityka Japonii wobec Polski 1918-1941*, Warszawa 1998, s. 119.

5. S. Mikulicz, *Prometeizm w polityce II Rzeczypospolitej*, Warszawa 1971.

Współpraca polsko-japońska w zakresie ruchu prometejskiego to bardzo interesujący, lecz niełatwy temat, gdyż dotyczy bardzo krótkiego okresu poprzedzającego wybuch drugiej wojny światowej i niewiele dokumentów świadczących o rozwoju tej współpracy i jej charakterze zachowało się do dziś. O kontaktach polsko-japońskich dotyczących „podziału wpływów” w ruchu prometejskim pisali dotychczas tylko Józef Lewandowski i Sergiusz Mikulicz na podstawie akt Ekspozytury 2 przechowywanych w okresie PRL w Centralnym Archiwum MSW, a obecnie w Centralnym Archiwum Wojskowym. Najprawdopodobniej niewiele informacji na ten temat zawierają akta Ekspozytury 2 przechowywane w Rosyjskim Państwowym Archiwum Wojennym w Moskwie. Przynajmniej takie wrażenie można odnieść z lektury opracowania rosyjskich historyków, opartego w dużej mierze na tych właśnie aktach, a zainteresowanych współpracą polsko-japońską⁶.

Publikowany dokument autorstwa Włodzimierza Bączkowskiego⁷, aktywnego działacza ruchu prometejskiego, współpracującego z Ekspozyturą 2 przedstawia polską wizję współpracy polsko-japońskiej w tej materii. Notatka ta, zredagowana 1 IV 1938 roku, wydaje się tym bardziej interesująca, że została stworzona w okresie poważnego kryzysu i transformacji ruchu prometejskiego w drugiej połowie lat 30.

6. W. K. Bylinin, A. A. Zdanowicz, W. I. Korotajew, *Organizacija «Prometej» i «prometejskoje» dżiwienie w planach polskoj razwiedki po razwatu Rosii/SSSR*, w: *Trudy Obszczestwa izuczenija istorii oteczestwiennych spec-služb*, (red. W. K. Bylinin), Moskwa 2006, t. 3, s. 346.

7. Włodzimierz Bączkowski (1905-2000), urodzony nad Bajkałem, od 1921 w Mandżurii, w 1925 r. wrócił do Polski, studiował na UW, współpracował z Ekspozyturą 2 Oddziału II Sztabu Generalnego, Instytutem Wschodnim; twórca w 1928 r. Orientalistycznego Koła Młodych, redaktor „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”, od 1939 w Oddziale II Naczelnego Wodza, do 1941 r. w Vatra Dornei w Rumunii, później na Bliskim Wschodzie w Ekspozyturze Oddziału II NW, związany z Centrum Informacji na Bliskim Wschodzie i Akcją Kontynentalną, od 1955 r. w USA, do 1971 r. pracował w Bibliotece Kongresu. Więcej patrz: J. Kłockowski, P. Kowal, *O Włodzimierzu Bączkowskim*, w: W. Bączkowski, *O wschodnich problemach Polski. Wybór pism*, Kraków 2000, s. 7-27 i J. Giedroyc, J. Cisek, *Włodzimierz Bączkowski*, „Eurazja” R. IV, nr 1, 1997, s. 89-111.

Japonia i Polska reprezentowały początkowo bardzo odmienne stanowiska wobec ruchu prometejskiego i właściwie brak dowodów świadczących o współpracy Polski i Japonii w odniesieniu do tego zagadnienia przed 1932/1933 r.

Współpraca środowiska piłsudczyków z ruchem prometejskim reprezentowanym przez narody, których terytoria znajdowały się pod zaborem sowieckim, była ważnym, choć wcale nie dominującym kierunkiem w polskiej polityce zagranicznej. Wspominając o korzeniach ruchu tradycyjnie odwoływano się do kaukaskich kontaktów księcia Adama Czartoryskiego i polityki Hotelu Lambert, pewne kontakty nawiązano już w okresie pierwszej wojny światowej, ale rzeczywista współpraca sięga dopiero początku lat 20. i była dziełem ludzi skupionych wokół pisma „Przymierze” i w stowarzyszeniu Związek Zbliżenia Narodów Odrodzonych (1921-1923)⁸. Ten pierwszy okres współpracy trwał dosyć krótko i został zahamowany wraz z odejściem Piłsudskiego do Sulejówka. Ponownie powrócił do łask po zamachu majowym i dojściu obozu piłsudczykowskiemu do władzy w 1926 r. Dopiero wtedy prace nabrały rozpędu i większego rozmachu, obejmowały przede wszystkim takie dziedziny jak współpraca wojskowa (głównie w materii zatrudniania tzw. oficerów kontraktowych) i współpraca zagraniczna – od oficjalnych kontaktów i wspierania (w tym finansowego) rządów i reprezentacji narodów uciśnionych po działania dyplomatyczne i wydawanie pism ogólnoprometejskich (francuskojęzyczny „Prométhée”) i wydawnictw narodowych. Współpracę i utrzymywanie kontaktów z opozycją w ZSRR ułatwiała częściowo sieć placówek prometejskich rozsianych po całej Europie i Azji⁹.

8. M. Kornat, *W kręgu ruchu prometejskiego: Związek Zbliżenia Narodów Odrodzonych (1921-1923) i Instytut Wschodni w Warszawie (1925-1939)*, „Politeja” 2004, nr 2, s. 349-391.

9. O obliczu ideowym i celach ruchu prometejskiego patrz referaty R. Smal-Stockiego (1932 r.) i S. Siedleckiego (1939 r.) w: M. Kwiecień, G. Mazur, *Przyczynek do dziejów ruchu prometejskiego w Polsce*, „Zeszyty Historyczne” 2001, z. 136, s. 87-109, A. Grzywacz, G. Mazur, *Ruch prometejski w Polsce*, „Zeszyty Historyczne” 1994, z. 110, s. 74-85.

Zdecydowanie jednym z największych sukcesów współpracy II RP z ruchem prometejskim było podpisanie paktu Konfederacji Kaukaskiej 14 VII 1934 roku w Brukseli¹⁰.

Stanowisko Japonii wobec ruchu prometejskiego wspieranego przez Polskę nie było jednoznaczne i ulegało zmianie. Obydwa kraje uważały imperium rosyjskie i ZSRR za wspólnego wroga, często ściśle współdziałały, a dowodem tego jest antysowiecka współpraca wywiadów obydwu państw trwająca od lat 20. do końca drugiej wojny światowej¹¹. Jak twierdził Włodzimierz Bączkowski, japońskie doświadczenia oraz zrozumienie Rosji i ZSRR w Japonii było stosunkowo ograniczone i z tego powodu Japonia nie doceniała wagi zagadnienia mniejszości narodowościowych w ZSRR. Ponadto duży wpływ na sposób myślenia japońskich polityków o ZSRR mieli rosyjscy emigranci, „biali Rosjanie”, nieprzychylnie ustosunkowani do dążeń narodowowyzwoleńczych narodów „prometejskich”. Nie oznacza to, że Japonia nie posiadała własnej strategii walki z zagrożeniem Rosji i Związku Sowieckiego. Po prostu wiemy bardzo niewiele o tym, jaki był wpływ prometeizmu na japońską myśl polityczną. Pewnym jest, że z powodów strategicznych Japonia interesowała się przede wszystkim Dalekim Wschodem oraz terytoriami południowymi, zamieszkаныmi w większości przez wyznawców islamu. Podczas wojny domowej w Rosji wspierała separatyzm syberyjski, dążyła do wywierania wpływu na Syberię i Ural oraz Mandżurię, Mongolię Wewnętrzną, Mongolię Zewnętrzną i Xinjiang czyli Szinkiang (chiński Turkiestan), gdyż widziała w tych terytoriach swój „Lebensraum”. Po nieudanej interwencji w rosyjskiej wojnie domowej, w Japonii schronili się liczni emigranci z Rosji, dlatego do 1931/1932 r. nie rozwinęto skutecznej polityki wspierania narodów uciśnionych na Dalekim Wschodzie. Japonia wspomagała niektóre grupy emigrantów muzułmańskich z Rosji i ZSRR, m.in. M. G. Kurbanu Galieva (Kurban Ali) (1892-1972), z pochodzenia Baszkira, imama emigrantów tatarskich na Dalekim Wschodzie. Po wojnie domowej Galiev wyemigrował do Mandżurii i współpracował z Japończy-

10. Por. S. Mikulicz, *op.cit.*, s. 162-180.

11. H. Kuromiya, A. Peplowski, *op.cit.*, oraz E. Pałasz-Rutkowska, A. T. Romer, *Historia stosunków polsko-japońskich 1904-1945*, Warszawa 1996.

kami; jego działalność polegała na próbach jednoczenia chińskich muzułmanów (m.in. z Gansu, Shaanxi i Xinjiang) przeciw komunistom z ZSRR¹². Z polskiego punktu widzenia była to jednak zaledwie kropla w morzu potrzeb.

Pierwsze zasady strategicznego podejścia do zagadnienia mniejszości w ZSRR zostały opracowane w 1929 r. przez Kingorō Hashimoto (1890-1957), ówczesnego *attaché* wojskowego w Turcji. Nie było to zapewne dziełem przypadku, gdyż w tym czasie Konstantynopol był jednym z ważniejszych ośrodków emigracji prometejskiej, przede wszystkim pochodzącej z Kaukazu (głównie Gruzini, Azerowie i Górale Kaukascy) i również terenem wzmożonej „akcji prometejskiej” ze strony polskiej. Hashimoto w obszernym raporcie omawiał szczegółowo historię Kaukazu, polityczne i kulturowe cechy jego narodów oraz ich znaczenie dla strategicznych celów Japonii w odniesieniu do ZSRR¹³.

Prometeizm w Mandżurii i konsekwencje paktu o nieagresji

Poważne zmiany, jakie zaszły w polityce międzynarodowej na początku lat 30., zmodyfikowały i przyspieszyły dotychczasowy bieg historii ruchu prometejskiego. Po pierwsze, w 1931 r. Japonia zaatakowała Mandżurię i rok później utworzyła tam marionetkowe państwo Mandżu-kuo. Podbój Mandżurii zbliżył Japonię geograficznie do ZSRR i znacznie zwiększył możliwości zbrojnej konfrontacji. Po drugie, 25 VII 1932 r. Polska zawarła pakt o nieagresji z ZSRR. Polsce zapewnił on złudne poczucie bezpieczeństwa na wschodzie, a ZSRR umożliwił zaangażowanie się na Dalekim Wschodzie. Poważnym mankamentem tej polityki był fakt, że pakt o nieagresji zmusił II RP do radykalnej zmiany swej polityki prometejskiej, która już nie mogła być tak jawna jak wcześniej. Bezpośrednią konsekwencją tego było przesunięcie kompetencji w zakresie akcji prometejskiej, którą miał

12. Zob. relacja z pierwszej ręki: Saburō Shimano, *Mantetsu soren jōhō katsudōka no shōgai* [Życie wywiadowcze pracownika linii kolejowej Mandżurii], Tokio 1984, s. 463-64.

13. H. Kuromiya, G. Mamoulia, *Anti-Russian and Anti-Soviet Subversion: The Caucasian-Japanese Nexus, 1904-1945*, „Europe-Asia Studies”, październik 2009.

kierować Wydział Wschodni MSZ za pośrednictwem Ekspozytury 2¹⁴. Pakt o nieagresji wywarł bardzo niekorzystne wrażenie propagandowe na „narodach uciśnionych” na Dalekim Wschodzie. Mandżu-kuo stało się przykładem dla wielu grup etnicznych i narodów pragnących wyzwolenia spod sowieckiej władzy, a Japonia naturalnym partnerem, o którego wsparcie zabiegano.

Wśród problemów narodowościowych na Dalekim Wschodzie jednym z najbardziej aktualnych była sytuacja Ukraińców. W 1931 r. ukraińska społeczność w Mandżurii zaczęła realizować pomysł tworzenia niezależnego państwa ukraińskiego w tzw. Zielonym Klinie, obejmującym regiony Kraju Zabajkalskiego, Amurskiego, Chabarowskiego, Nadmorskiego i Sachalinu. Zielony Klin, zaludniony przez około milion Ukraińców, którzy wyemigrowali lub zostali deportowani z Ukrainy, był trzy razy większy od Ukrainy sowieckiej, a Ukraińcy z Mandżurii byli bardziej skłonni do wsparcia byłej Ukraińskiej Republiki Ludowej (URL), tj. socjaldemokratów, niż konkurencyjnych ugrupowań Skoropadskiego czy OUN. W 1932 r. ze specjalną misją do Harbinu przybył Władysław Pelc¹⁵, współpracownik Ekspozytury 2 Oddziału II Sztabu Generalnego¹⁶. Celem misji było działanie na rzecz zjednoczenia i ożywienia aktywności tamtejszych Ukraińców, Gruzinów i Tatarów w ramach aktywizacji ruchu prometejskiego na Dalekim Wschodzie. Jednocześnie, dzięki

14. M. Kwiecień, G. Mazur, *Działalność prometejska i dywersja na Wschodzie. (Relacja mjr. Włodzimierza Dąbrowskiego)*, „Zeszyty Historyczne” 2002, z. 140, s. 110 (raport mjr. Dąbrowskiego z 2 III 1940).

15. Władysław Pelc (1906-2002), urodzony w Wysokiem Mazowieckim, od 1906 r. przebywał w Mandżurii, w 1926 r. przyjechał do Polski, studiował do 1929 r. na UW, od 1928 r. był związany z Towarzystwem Polsko-Chińskim, Instytutem Wschodnim i Orientalistycznym Kołem Młodych; w latach 1929-1930 w Harbinie, powrócił do Warszawy; w okresie 1931-1933 w Mandżurii, w latach 1933-1937 pracownik Ekspozytury 2 Oddziału II Sztabu Generalnego, w okresie 1937-1940 *attaché* w Ambasadzie RP w Paryżu i kierownik placówki prometejskiej „Wellestone”; w latach 1940-1944 w Biurze Polskim w Nicei, w okresie X 1944-IV 1945 wicekonsul RP w Strasburgu; w maju 1945 r. opuścił służbę zagraniczną i pozostał we Francji, pracował najpierw w IRO, następnie w latach 1952-1971 w OFPRA.

16. O misji Pelca w Harbinie wspomina I. P. Maj, *Działalność Instytutu Wschodniego w Warszawie 1926-1939*, Warszawa 2007.

wspieraniu finansowemu Japonii, w Harbinie zaczęło się ukazywać czasopismo prometejskie w języku ukraińskim „Mandżurskij Wistnyk” pod redakcją Iwana Swita. Polacy uważali jednak, że wsparcie Ukraińców na Dalekim Wschodzie przez Japonię jest bardzo ograniczone i w sprawozdaniach do Warszawy, podkreślali potrzebę „oświecenia” Japończyków o znaczeniu zagadnienia ukraińskiego¹⁷.

Aktywność emigrantów ukraińskich w Mandżurii przyciągnęła także uwagę Niemiec i Japonii. Latem 1932 r., z pomocą finansową Niemiec, Pawło Skoropadski wysłał tam kilku działaczy swego ruchu, aby zaczęli wydawać czasopismo w języku ukraińskim („Ukrainskie Slovo”), ale o zupełnie innym profilu politycznym. Przedstawiciele ruchu prometejskiego w Harbinie uznali ludzi Skoropadskiego za wrogów politycznych i zarzucali im propagowanie federacji z Rosją zamiast wyzwolenia. Japonia z kolei zabiegała o poparcie Ukraińców w Europie. W lutym 1933 r. japoński *attaché* wojskowy w Warszawie, Hikosaburō Hata (1890-1959) spotkał się profesorem Romanem Smal-Stockim i generałem Wołodymyrem Salśkim, związanymi z URL, oraz z Gruzinami: Simonem Mdiwanim (1876-1937) i najprawdopodobniej generałem Aleksanderem Zachariadze. Doniesiono, że w spotkaniu wzięli także udział: Teodor Furgalski, szef Dwójki, i ppłk. Stefan Mayer, ale Oddział II zaprzeczył temu. Na spotkaniu omawiano zadanie stworzenia „państwa buforowego” Ukraińców w Zielonym Klinie przy wsparciu Japonii¹⁸. Dwa miesiące później nowy japoński *attaché* wojskowy Genzō Yanagida (1890-1952) spotkał się z Salśkim i omówił sprawę grupy Skoropadskiego. Salśki ostro krytykował zarówno Niemcy („bardzo współpracowali z Rosją przeciwko niezależności Ukrainy”), jak i ugrupowanie Skoropadskiego, zwolenników współpracy z Niemcami¹⁹. W tej sytuacji politycy japońscy wahali się, z którą z dwóch ukraińskich grup politycznych należy współpracować, tym bardziej że niektórzy działacze UNR stracili

17. Centralne Archiwum Wojskowe [CAW], Oddział II Sztabu Generalnego [O. II SG], sygn. I.303.4.5443, k. 72-76, sygn. I.313.4.5515, 1-3.

18. CAW, O. II SG, sygn. I.303.4.5515, (sprawozdanie z lutego 1933).

19. *Ibidem*, (sprawozdanie z 9 V 1933).

nadzieję na owocną współpracę polityczną z Polską i zaczęli kierować swe sympatie ku Japonii. Na przykład w Turcji przedstawili japońskiemu *attaché* wojskowemu w Stambule plan działania na wypadek wojny między Japonią i ZSRR. Plan ten obejmował utworzenie specjalnych ukraińskich jednostek wojskowych na Dalekim Wschodzie, jak i zabójstwa prominentnych komunistów na sowieckiej Ukrainie²⁰. Pokrywało się to z planami polityków japońskich: w latach 1932-1933 Tokio wydało serię instrukcji dla japońskich *attachés* wojskowych w Europie i Turcji nakazując intensyfikację organizowania wywiadu na ZSRR i współpracy z „narodami uciśnionymi”. Ta zmiana w polityce japońskiej została bardzo szybko zauważona w Warszawie²¹.

Po stworzeniu państwa Mandżu-kuo różne grupy emigrantów wyznania muzułmańskiego zwróciły się do Japonii o wsparcie. Oprócz wspomnianego już Kurbanu Ali, w 1933 r. inny znany działacz tatarski, Abdurresid Ibrahim (1853-1944) zbliżył się do Tokio. W tym samym roku jeden ze znanych działaczy prometejskich, członek Klubu Prometeusz²², Tatar kazański Ayaz Ishaki (1878-1954), wyjechał z Polski na Daleki Wschód, gdzie przez trzy lata działał w środowisku tatarskim²³. Jednak rywalizacja między Kurbanem Alim i Ayasem Ishaki doprowadziła do podejrzenia, że Ishaki działa z inspiracji i wsparcia sowieckiego w celu rozbicia antysowieckiego ruchu wyzwolenczego Tatarów na Dalekim Wschodzie. Ponadto, w 1933 r., w odpowiedzi na muzułmańskie powstania w Xinjiang, w Japonii narodziła się koncepcja stworzenia muzułmańskiego państwa („muzułmańskiego Mandżu-kuo”) w wewnętrznej Azji w ramach protektoratu Japonii. W tym celu zaproszono do Tokio księcia z dynastii otomańskiej, Abdula Kerima Efendiego (1904-1935), jako potencjalnego króla nowego państwa. Wreszcie w 1933 r. Japonię odwiedził Tewfik Pasha z Arabii Saudyjskiej, biorący uprzed-

20. *Trudy Obszczestwa...*, t. 2, Moskwa 2006, s. 122-126.

21. H. Kuromiya, G. Mamoulia, *op.cit.*, s. 1422.

22. *Statut Stowarzyszenia «Klub Prometeusz» w Warszawie*, Warszawa 1929, s. 3-5.

23. M. Veysi, *Ayaz Ischaki*, „Wschód”, nr 1-2 (25-26), R. VIII, I-VI 1937, s. 98.

nio udział w antysowieckich powstaniach w Turkiestanie²⁴.

W Europie, specjalni oficerowie wywiadu wojskowego Japonii, tacy jak Kyōji Tominaga (1892-1960) i Shigeki Usui (1898-1941) aktywnie zabiegali o działaczy prometejskich, w tym samym czasie, gdy Japonia współpracowała z innymi ugrupowaniami antysowieckimi. Te działania niepokoiły Polaków, aspirujących do samodzielnego oddziaływania na ruch prometejski²⁵. Polacy i działacze ruchu prometejskiego podejrzewali, że Japonia zainteresowana była bardziej wykorzystaniem prometeizmu do dywersji i szpiegostwa niż wyzwoleniem narodów ujarzmionych przez ZSRR. Rzeczywiście, w 1935 roku japoński ambasador spotkał się w Berlinie z działaczami OUN. Celem spotkania, według polskich źródeł, było zorganizowanie, z pomocą OUN, dywersyjnej działalności wojskowej przeciw ZSRR na Dalekim Wschodzie²⁶. Konkurowanie o współpracę z przedstawicielami narodów zniewolonych przez ZSRR nie ograniczało się tylko do Ukraińców, ale dotyczyło także i narodów kaukaskich. Co istotne, w przeciwieństwie do Polski współpracującej przede wszystkim z socjaldemokratami i byłymi mienszewikami oferta niemiecka i japońska były kierowane również do innych partii politycznych „narodów prometejskich”. Za pośrednictwem Niemców Japonia zabiegała nie tylko o Kaukazczyków zaangażowanych w ruch prometejski (gruzińscy socjaldemokraci), ale także i o narodowych demokratów, jak np. Haidar Bammatt (1890-1965), pochodzący z Dagestanu²⁷.

Kryzys ruchu prometejskiego

Dla rozwoju międzynarodowych uwarunkowań prometeizmu na Dalekim Wschodzie najważniejszym czynnikiem była Japonia. Zbliżenie niemiecko-japońskie zaowocowało podpisa-

24. F. Kobayashi, *Mihon isuramu shi* [Islamska historia Japonii], Tokio 1988, s. 80-81.

25. S. Mikulicz, *op.cit.*, s. 262-266.

26. CAW, O. II SG, sygn. I.303.4.2014, k. 39.

27. G. Mamoulia, *L'histoire du groupe Caucase (1934-1939)*, „Cahiers du monde russe”, styczeń-marzec 2007, nr 48/1, s. 58-66, H. Kuromiya, G. Mamoulia, *op.cit.*, s. 1423.

niem Paktu Antykominternowskiego w listopadzie 1936 roku. Ze strony Japonii nie był on skierowany przeciwko Polsce. W rzeczywistości, Japonia chciała skłonić inne kraje, takie jak Polska, Węgry czy Bułgaria do przystąpienia do Paktu. Japonia rozumiała, że do czasu kiedy Polska i Niemcy nie będą w stanie dojść do porozumienia, Polska nie będzie mogła przystąpić do Paktu. Tymczasem, 11 V 1937 w Berlinie Japonia i Niemcy podpisały tajne porozumienie, protokół dodatkowy do Paktu z 1936 roku: „Protokół dodatkowy do niemiecko-japońskiego porozumienia w sprawie wymiany informacji wywiadowczych dotyczących Rosji Sowieckiej”. Centrum antysowieckiego wywiadu Japonii w Europie przeniosło się z Warszawy do Berlina. Widocznym dowodem tego przesunięcia był fakt, że w 1937 roku stary przyjaciel Polski, Kiichirō Higuczi (1881-1970), były *attaché* wojskowy w Warszawie (1925-1928), został wysłany w specjalnej misji do Berlina. Ponadto, w tajnym porozumieniu, Niemcy i Japonia uzgodniły, że powinny opiekować się (*überwachen*) ruchem prometejskim²⁸, a niemiecko-włosko-japońska agencja prasowa „Agence Telepress” z siedzibą w Genewie zaczęła konkurować z prometejską agencją prasową „Ofinor”²⁹.

Polska obawiała się, że Japonia mniej lub bardziej świadomie konkuruje również w kwestii współpracy z Ukraińcami. Ukraina była jednym z najważniejszych narodów prometejskich³⁰, ale w 1937 roku ukraiński ruch niepodległościowy na Dalekim Wschodzie został zdominowany przez OUN, a zwolennicy prometeizmu i ruch Iwana Swita zostali usunięci ze społeczności ukraińskiej. Czasopismo „Mandżurskij Wistnyk” przestało wychodzić. Polska podejrzewała, że za tym „zamachem” kryją się Niemcy, tym bardziej że wielu Ukraińców w Harbinie było zatrudnionych przez niemiecką firmę „Czurin”, a Japonia zgodziła się z tym „zamachem”. Warszawa uznała to za niezwykle ważne wydarzenie i poinformowała Japonię, że nie było to tylko dyplomatyczną niedyskrecją, ale wręcz posunięciem wrogim wobec Polski. O działaniach wywiadu japońskiego na polu

28. H. Kuromiya, G. Mamoulia, *op.cit.*, s. 1427.

29. CAW, O. II SG, sygn. I.303.4.5707 (sprawozdania z lutego i marca 1938).

30. Zob. T. Snyder, *Tajna wojna: Henryk Józewski i polsko-sowiecka rozgrywka o Ukrainę*, Kraków 2008.

prometejskim świadczy opublikowany we wrześniu 2009 r. meldunek wywiadu sowieckiego informujący Stalina i Mołotowa o niepokojących informacjach jakie wpłynęły do Ekspozytury 2. Dokument wspomina o kontaktach wywiadu japońskiego z działaczami ruchu prometejskiego, szczególnie generała Sawady z Ukraińcami: Smal-Stockim i Salńskim oraz emigrantami gruzińskimi i o obfitym płaceniu za informacje. Wiedzę tę miał już wtedy posiadać mjr. Charaszkiewicz (w książce błędnie: „Taraszkiewicz”), twierdząc, że Sawada zachowuje się w tych sprawach niezręcznie i nieumiejętnie³¹. Echa tego odnajdujemy również w artykule Włodzimierza Bączkowskiego, który twierdził, że konsekwencją niewłaściwej polityki Japonii był upadek akcji prometejskiej w Mandżurii³². Japonia nie pozwalała na prowadzenie antypolskiej kampanii przez OUN na Dalekim Wschodzie³³, ale z drugiej strony specjalna placówka wywiadu japońskiego w Berlinie współpracowała ściśle z OUN w celu organizowania Ukraińców na Zakarpaciu³⁴. Różnica zdań pomiędzy Polską a Japonią wynikała częściowo z wykorzystania przez Japonię „białych Rosjan”. Japonia, dążąc do zjednoczenia wszystkich sił antybolszewickich (Rosjan, Ukraińców, Tatarów, Gruzinów i innych) chciała utworzenia wspólnego frontu w Mandżu-kuo, ale Ukraińcy, Tatarzy, Gruzini i inni emigranci odmówili wstąpienia do rosyjskiej grupy, którą Japonia tworzyła w 1935 r. Rosjanie natomiast żądali, aby Japonia wycofywała się z popierania ruchu separatystycznego.

Zmiana w sytuacji międzynarodowej w drugiej połowie lat 30. doprowadziła do kryzysu ruchu prometejskiego. Pakt antykominternowski i zaangażowanie Niemiec, Japonii oraz Włoch w popieranie „narodów uciśnionych” wywołały niepokój wśród

31. Meldunek kpt. Furmana, naczelnika 4 wydziału VII Oddziału (wywiad) GUGB NKWD do Stalina i Mołotowa z dn. 26 I 1938 r. w: L. F. Sockow, *Siekrety polskoj politiki. Sbornik dokumentow (1935-1945)*, Moskwa 2009, s. 293 (tekst tej publikacji uprzejmie udostępnił nam prof. M. Wołos, dyrektor Stacji Naukowej PAN w Moskwie).

32. W. Bączkowski, *Problem prometejski*, „Wschód”, I-III 1938, R. IX, nr 1, s. 5.

33. CAW, O. II SG., sygn. I. 303.4.5500 oraz 2016 (sprawozdania z Harbinu).

34. Kenji Suzuki, *Chūdoku taishi Ōshima Hiroshi* [Ambasador w Niemczech Hiroshi Ōshima], Tokio 1979, s. 93.

polskich działaczy ruchu prometejskiego. W. Bączkowski pisał w 1938 roku, że: „Istnieje [...] niebezpieczeństwo, że Niemcy mogą w sprzyjających okolicznościach znacznie aktywniej zaangażować się w popieraniu ruchu wyzwolenczego narodów na terenie ZSRR, przejmując inicjatywę od nas i korzyści, jakie z tego układu można wyciągnąć”³⁵. Oprócz problemów natury międzynarodowej ruch ten przeżywał również trudności związane ze zmianą polityki wewnętrznej w Polsce, w tym z odsunięciem od wpływowych stanowisk osób dotychczas wspierających prometeizm. Jak pisał w 1940 r. kapitan Edmund Charaszkiewicz, od 1933 roku nastąpił okres „siedmiu lat chudych”. Dodatkowym czynnikiem było zmniejszenie budżetu przeznaczonego na akcję prometejską³⁶.

Odpowiedzią na kryzys były próby reformy podejmowane w drugiej połowie lat 30. Zagadnienie to zostanie niebawem omówione w sposób bardziej szczegółowy i wyczerpujący, tu postaramy się jedynie przedstawić ten problem w ogólnych zarysach dla ułatwienia zrozumienia kontekstu, w jakim powstał publikowany dokument. W sierpniu 1937 roku Władysław Pelc, działacz o dużym doświadczeniu i znajomości spraw prometejskich, a wówczas kierujący jedną z ważniejszych placówek (kryptonim „Wellestone” w Paryżu) wysłał do Warszawy raport zawierający analizę kryzysu i nakłaniający do szybkich zmian. Pelc obawiał się, że dla młodych emigrantów narodowości prometejskich bardziej atrakcyjnymi są narodowi demokraci jak H. Bammat niż socjaldemokraci dotychczas związani z ruchem prometejskim³⁷. Najprawdopodobniej raport Pelca przyspieszył wprowadzenie reformy, która, jak słusznie twierdzi B. Sadykova, była przygotowywana w Warszawie już znacznie wcześniej³⁸. Świadczy o tym m.in. otwarcie działaczy prometejskich, dotych-

35. S. Wroński, *Współdziałanie rządu polskiego z emigracyjnymi organizacjami antyradzieckimi w latach 1918-1938*, w: *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich*, t. III, Warszawa 1968, s. 278.

36. Por. Referat o zagadnieniu prometejskim z 12 II 1940 r., w: A. Grzywacz, M. Kwiecień, G. Mazur (oprac.), *Zbiór dokumentów pptk. Edmunda Charaszkiewicza*, Kraków 2000, s. 77-80.

37. L. F. Sockow, *Nieizwiestnyj sieparatizm. Na służbie SD i Abwera. Iz sekretnych dostie razwiedki*, Moskwa 2003, s. 298-316.

38. B. Sadykova, *Mustapha Tchokay dans le mouvement promethéen*, Paris 2007, s. 84-94.

czas opierających się na socjalistycznej lewicy, na bardziej liberalną część prawicy, co łatwo zauważyć śledząc profil ideowy zarówno młodszego pokolenia działaczy (Bączkowski, Pelc, Zahora-Ibiański, i in.), jak i tematykę poruszaną na łamach „Myśli Polskiej”. Realizacja reformy nastąpiła dopiero w 1938 roku. Najbardziej widocznym na zewnątrz znakiem zmian była całkowita reforma najważniejszego pisma prometejskiego, wydawanego w Paryżu „Promethée”³⁹. W 1938 roku zmieniono zarówno skład redakcji na bardziej radykalny, jak i tytuł (odtąd: „La Revue Promethée”). Podobnie zmiany dotyczyły także Instytutu Wschodniego, przeorganizowanego zgodnie z propozycjami Włodzimierza Bączkowskiego⁴⁰ oraz innych pism prometejskich wydawanych w Polsce. Przestał ukazywać się „Biuletyn Polsko-Ukraiński” i „Wschód”, a w ich miejsce pojawiły się „Problemy Europy Wschodniej”.

Współpraca polsko-japońska a prometeizm

Nie wiadomo dokładnie, kiedy miały miejsce pierwsze kontakty Włodzimierza Bączkowskiego z pracownikami ambasady japońskiej w Warszawie. Na łamach „Myśli Polskiej” – pisma wydawanego przez Bączkowskiego i Feliksa Zahorę-Ibiańskiego – tematyka japońska pojawiała się niezbyt często, ale prawie zawsze nawiązywała do obecnego kontekstu i znaczenia aspiracji politycznych Japonii na Dalekim Wschodzie⁴¹. W swej publicystyce Bączkowski łączył podkreślanie wspólnych celów obydwu krajów z krytyką dotychczasowej polityki rządu japońskiego wobec ruchu prometejskiego. Tuż przed wręczeniem publikowanej notatki pisał na łamach „Wschodu”: „ujemną stronę możliwości prometejskich potęguje znacznie nieznamość i niedocenie planów prometejskich w kołach politycznych Japonii, ule-

39. E. Copeaux, *Le mouvement «promethéen»*, „Cahiers d'études sur la Méditerranée orientale et le monde turco-iranien”, nr 16, VII-XII 1993.

40. Por. I. P. Maj, *op.cit.*, s. 148-154.

41. Por. np. A. Kozuchowski, *Japonia na kontynencie!*, „Myśl Polska” nr 15 (37), R. II z 1-15 VIII 1937, s. 1, W. Orłowski, *Za przykładem Japonii*, „Myśl Polska” nr 22 (44), R. II z 15-30 XI 1937, s. 2.

gającej w tym względzie nauce rosyjskiej [...]”⁴². Echa tych przemyśleń odnajdziemy również w notatce wręczonej 1 IV 1938 drugiemu sekretarzowi ambasady japońskiej w Warszawie.

Nie jest jasne, kto zainicjował rozmowy między Bączkowskim i Inoue⁴³, pewne jest, że podobnie jak Bączkowski Inoue specjalizował się w sprawach wschodnich i miał szerokie kontakty z Polakami, m.in. jako członek honorowy Związku Młodzieży z Dalekiego Wschodu⁴⁴. Japońskie dokumenty sugerują, iż możliwe jest, że to Japonia zainicjowała rozmowy. Jesienią 1937 r. japoński minister spraw zagranicznych Kōki Hirota (1878-1948) polecił swoim posłom w Europie, aby organizowali rozległą sieć wywiadu przeciwko ZSRR. Choć treść tej instrukcji jest znana tylko pośrednio, to wydaje się, że Hirota i japoński ambasador Shūichi Sakō w Warszawie (1887-1949) wymieniali poglądy na temat politycznego wykorzystania prometeizmu. Sakō wspomniał ministrowi, że chociaż Polska była wyjątkowo przyjaźnie nastawiona do Japonii i w przypadku wybuchu wojny między Japonią a ZSRR na pewno będzie chciała wykorzystać ruch prometejski do rozczłonkowania ZSRR, to nie można zagwarantować, że nastawienie to będzie równie przyjazne w przypadku zbliżenia sowiecko-japońskiego. Hirota wzywał japońskich dyplomatów do wykorzystania organizacji kulturalnych i wymiany kulturalnej jako przykrywkę dla wywiadu⁴⁵. Wydaje się, że ta instrukcja została przechwycona lub przynajmniej jej treść była znana w Moskwie. 26 X 1937 sowiecki *chargé d'affaires* w Polsce skarżył się Ministerstwu Spraw Zagranicznych, że Japonia

42. W. Bączkowski, *Problem prometejski*, „Wschód”, I-III 1938, R. IX, nr 1, s. 5.

43. Masutarō Inoue urodził się w Paryżu w 1899 roku w rodzinie kupca. Jako japoński dyplomata, biegły w języku francuskim i angielskim, służył m.in. w Mandżu-kuo, Francji, Łotwie, Belgia, USA, Polsce, Węgrzech, Jugosławii, Portugalii. Po wojnie stał się specjalistą od chińskiego komunizmu, a jako szef Departamentu Spraw Zagranicznych Japońskiego Czerwonego Krzyża, zajmował się kwestią repatriacji etnicznych Koreańczyków z Japonii do Korei i japońskich obywateli z zagranicy do Japonii.

44. Por. J. Zabłocki „Igor”, *«Jerzyki» z «Miotłą» w tarczy*, Warszawa 1994, s. 10-11.

45. Gaimushō gaikō shiryōkan (Tokio), B.1.0.0. Po/R (tajna depesza z 11 V 1938 r. z Warszawy do Tokio w czterech częściach).

i Polska formowały antysowiecki blok pod maską konwencji kulturalnej⁴⁶.

Spotkanie Bączkowskiego z Inoue odbyło się 1 IV 1938. Bączkowski, działający jako pełnomocnik Ekspozytury 2, przedstawił postulaty strony polskiej sformułowane w notatce w języku angielskim. Notatka nosi charakter podsumowujący dotychczasowe działania japońskie w tej sferze i można wywnioskować, że jest to pierwszy kontakt mający na celu uzgodnienie wspólnego stanowiska wobec ruchu prometejskiego. Bączkowski sugeruje rozwinięcie równoległe akcji prometejskiej i akcji dywersyjnej, ale podkreśla, że nie wolno łączyć ich w jedno. Dodatkowo, zdecydowanie domaga się zerwania współpracy z białą emigracją. Jakie były konsekwencje tego spotkania? Ze źródeł japońskich, z depeszy ambasadora Sakō do Hirota z 11 V 1938 wynika, że Sakō wysłał sekretarza Inoue do polskich przedstawicieli prometeizmu w celu zawarcia jakiejś formy oficjalnego porozumienia z Polską. Polski przedstawiciel odpowiedział po kilku dniach. Twierdził, że choć celem Polski była izolacja ZSRR, to Polska nie była wystarczająco silna, aby przełamać „sojusz sowiecko-francuski”, dlatego dążyła do „zakłócenia” stosunków sowiecko-francuskich i sowiecko-brytyjskich w jak największym stopniu. Polska wyjaśniała, że ruch prometejski jest przyjazny wobec Japonii, że chętnie dzielić się będzie najbardziej tajnymi szczegółami operacji z Japonią, oraz że udział Japonii we wspieraniu ruchu prometejskiego jest mile widziany. Polska nie była skłonna do sformalizowania współpracy. Zamiast tego chciała nawiązać poważną współpracę z Japonią. W depeszy cytowano, co Polska rozumie przez „poważną współpracę”. Niestety, ta część tekstu została zamazana i jej treść jest nieznana⁴⁷. W tym miejscu kończą się informacje ze źródeł japońskich. Czy notatka Bączkowskiego nie była właśnie przedstawieniem stanowiska polskiego w tej sprawie?

W opracowaniu pt. „Stosunki polsko-prometeuszowskie, referat polityczny obrazujący genezę sprawy, założenia ideolo-

46. Archiwum Akt Nowych, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, sygn. 6653, k. 20.

47. Gaimushō gaikō shiryōkan (Tokio), B.1.0.0. Po/R. Ta depesza jest wspomniana krótko także w: E. Pałasz-Rutkowska, *Polityka Japonii...*, s. 119.

giczne i formy organizacyjne współdziałania polsko-prometeuszowskiego” autorstwa najprawdopodobniej Bączkowskiego z końca 1938 r. stwierdzono, że: „Ze strony Japonii osiągnięte zostało całkowite porozumienie z naszymi czynnikami MSZagr. Japończycy dotychczas popierali bardzo wstrzemięźliwie i tylko drogą pewnych ułatwień politycznych – akcją narodów tatarskich (Idel-Ural i Turkiestan), a w bardzo nieznacznym stopniu współdziałali z Kaukazczykami. Obecnie za pośrednictwem ambasady japońskiej w Warszawie zaofiarowana została przez Japończyków wspólna linia postępowania w odniesieniu do ruchu prometeuszowskiego, przy czym Japończycy są skłonni partycypować w wydatkach finansowych. Ta pomoc jest pożądana, ponieważ da możliwość subsydiowania w większym rozmiarze akcji czynnych, skierowanych na teren krajów prometeuszowskich”⁴⁸. Powołując się na to samo opracowanie propozycje ambasady japońskiej potwierdza także Józef Lewandowski⁴⁹. Po latach Bączkowski wspominał, że w 1937 lub w 1938 roku Japończycy mieli zaproponować „czynnikom polskim wzięcie na siebie pracy prometejskiej we wschodniej połaci Rosji i hojny udział w kosztach pracy prometejskiej”. Rydz-Śmigły miał wówczas odmówić ponieważ: „kierowali się w swej decyzji przekonaniem, iż Japończykom chodzi tylko o rozbudowę możliwości dywersji i wywiadu na Rosję”, podczas „gdy dla Polski – przeciwnie – zagadnienie prometeizmu jest składnikiem wielkiej strategii, sprawą utrwalenia zagrożonej niepodległości państwa”⁵⁰. Niedługo po wręczeniu swej notatki Bączkowski poświęcił sprawie Japonii obszerny artykuł w „Myśli Polskiej”⁵¹. „Klęska Rosji lub jej związanie się na Dal. Wschodzie jest zarazem wybitnym ułatwieniem naszej sytuacji na przestrzeni 1400 klm. granicy wschodniej” – twierdził, a pisząc o wspólnym niebezpieczeństwie chińsko-rosyjskim kończył swój tekst pytając prowokacyjnie: „Czy obecne pokolenie Polaków zaliczy historia do godnych

48. S. Wroński, *op.cit.*, s. 279.

49. J. Lewandowski, *Prometeizm – koncepcja polityki wschodniej piskudczyzny*, „Biuletyn Wojskowej Akademii Politycznej” 1959, nr 1 (14), s. 43.

50. W. Bączkowski, *Prometeizm na tle epoki. Wybrane fragmenty z historii ruchu*, „Niepodległość” 1984, t. XVII, s. 50.

51. W. Bączkowski, *Konflikt japońsko-rosyjski*, „Myśl Polska” nr 16 (62), R. III z 15-31 VIII 1938, s. 1.

wielkiej epoki przeobrażeń w azjatyckim sercu globu ziemskiego, oto pytanie”.

Nie wiadomo, jakie były konsekwencje opisanych powyżej kontaktów. Czy zdecydowano się na współpracę w ramach ruchu prometejskiego? Brak dokumentacji utrudnia udzielenie odpowiedzi na to pytanie, wiadomo jednak, że w listopadzie 1938 r. podczas rozmowy z ambasadorem RP w Moskwie, Ludowy Komisarz Spraw Zagranicznych Maksim Litwinow, skarżył się, że antysowiecka współpraca i wymiana informacji pomiędzy wywiadami polskim i japońskim jest bardzo źle odbierana przez opinie publiczną w ZSRR⁵². Czy należy doszukiwać się w tych słowach aluzji do współpracy o charakterze prometejskim? Wiadomo, że współpraca wywiadu japońskiego i polskiego czasami wkraczała w sferę prometejską, ale nie wiadomo, czy należy łączyć ją z omawianymi tu kontaktami polsko-japońskimi. Na przykład w depeszy z 4 VI 1938 z placówki wywiadowczej „Mandaryn” w Harbinie, współpracującej z wywiadem japońskim od kwietnia 1937 roku, zauważono że: „Japończycy wyrazili zgodę na nasz wywiad odrębny od ich sieci, oraz na wykorzystanie Ukraińców pod warunkiem przedłożenia przed tym na piśmie planów i każdorazowych posunięć. [...] «Zielony Klin» gotów jest rozpocząć czynną pracę pod kierownictwem moim [polskiego oficera wywiadu w Harbinie – Czesława Pawłowicza]. Organizacja ma tylko surowych ludzi – praca od samych podstaw. Budżet: 1000 gobi miesięcznie i 5000 pożyczki. Ponadto żądają oficjalnego zezwolenia władzy japońskiej i listu generała Saślkiego błogosławiącego rozpoczęcie akcji. Praca organizacji będzie zakonspirowaną przed tutejszą oficjalną kolonią ukraińską”⁵³. Najprawdopodobniej jednak akcja ta nie przyniosła oczekiwanych efektów, kierownik placówki „Mandaryn” dosyć opornie współpracował z wywiadem japońskim, a jego praca była krytykowana przez Centralę. Placówkę ostatecznie zlikwidowano w grudniu 1938 r.⁵⁴

Publikowana poniżej notatka została wręczona, w wersji

52. *Polskie Dokumenty Dyplomatyczne 1938*, (oprac. M. Kornat), Warszawa 2007, s. 802. Raport ambasadora W. Grzybowskiego z rozmowy z M. Litwinowem z 29 XI 1938.

53. CAW, O. II SG, sygn. I. 303.4.2019.

54. A. Pełtoński, *Wywiad polski na ZSRR 1921-1939*, Warszawa 1996, s. 168-169.

angielskiej, drugiemu sekretarzowi ambasady japońskiej Inoue. Polskie tłumaczenie jest autorstwa Bączkowskiego, najprawdopodobniej na użytek wewnętrzny Ekspozytury 2. Wersja polska nieco różni się od angielskiej, dlatego brakujące lub odbiegające od wersji polskiej fragmenty zostały zamieszczone w przypisach. Notatka była już wzmiankowana w pracy Mikulicza⁵⁵, który korzystał z polskiego tłumaczenia i na tej podstawie niesłusznie twierdził, że została sporządzona przez stronę japońską. Dodatkowym problemem w dotarciu do wersji notatki cytowanej przez Mikulicza jest fakt, że od 1971 roku akta Ekspozytury 2 trzy razy zmieniły sygnaturę w archiwum i zostały opracowane na nowo w latach 90.

Hiroaki KUROMIYA, Paweł LIBERA



Włodzimierz BĄCZKOWSKI

LUŻNE UWAGI O PRACY PROMETEJSKIEJ NA DALEKIM WSCHODZIE

[dopisek odręczny:] N2 Załącznik do L.dz. 1895/38
[dopisek późniejszy, odręczny, na kopii maszynopisu]:
Tłumaczenie z angielskiego dokonane przez autora [podpisane odręcznie:] B[ączkowski]

*Punkt wyjścia*⁵⁶

Tzw. prometeizm, czyli idea popierania i organizowania

55. S. Mikulicz, *op.cit.*, s. 269.

56. Wersja angielska zawiera dodatkowy akapit: „(It is impossible to construct a plan of promethean work in Far East out of special studies of to-day possibilities and to-day situation. The Distance between Poland and Far East countries is too great and this is the greatest impediment in such work. So this small report has a very loose and chaotic character of considerations based chiefly on analogies of Russian-Polish Promethean situation)”.

ruchów narodowo-odśrodkowych w Sowietach, z ostatecznym celem rozczłonkowania Rosji na państwa narodowe, stanowi najlepszy środek konstruktywnego zwalczania potęgi rosyjskiej i bolszewickiej, i najprędzej prowadzi do osłabienia Rosji lub do jej likwidacji jako mocarstwa światowego.

Realizm tej idei oparty jest na:

a) fakcie około 50% mniejszości posiadanych przez Rosję, w tej liczbie mniejszości znajdują się narody dojrzałe do samodzielności oraz narody o starej tradycji narodowo-suwerennej;

b) tendencji odśrodkowej tych mniejszości, które posiadając długą i ukrytą historię swych wystąpień antyrosyjskich, w latach 1917-1920 na krótko rozczłonkowali Rosję, organizując szereg niezależnych państw i terytoriów o tendencjach separatystycznych. Siła tych prądów ujawniła się m.in. w tzw. leninowskiej polityce narodowościowej Sowietów, które pragnąc ratować niepodzielność Rosji, zamieniły nazwę Rosji na kryptonim ZSSR i usiłowały przetrwać ją na państwo pseudo-federacyjne. To chwilowo uratowało jedność Rosji.

c) znacznym wrzeniu, powstaniach i tzw. nacjonalistycznych uchynieniach w Sowietach po 1920 r.

d) na przykładach z zagranicy: rozpadnięciu się Turcji Otomańskiej, Austro-Węgier, aktualizacji wszystkich zagadnień mniejszościowych w całym świecie. Narzuca się tu pytanie, dlaczego właśnie Rosja miałaby być wybranką losu i nie ulec tym procesom rozkładu, i nie posiadać wrzeń narodowościowych jak i inne kraje?

Japonia a prometeizm

Idea prometejska nie jest rozumiana przez koła kierujące Japonii, dzięki:

a) nikłemu dziejowemu doświadczeniu Japonii w sprawach rosyjskich. Japonia bowiem zetknęła się z Rosją dopiero w drugiej połowie XIX w., podczas gdy na przykład Polska już od w. X, w tej czy innej formie walczy z terytorium i tymi elementami wschodniej Europy, które złożyły się później na pojęcie Rosji;

b) wpływom informacyjnym białych Rosjan emigrantów oraz rosyjskiej nauki;

c) zasugerowane się rzekomą jednolitością Rosji przez japońskich badaczy Rosji, którzy studiowali Rosję w Rosji i pod wpływem Rosjan;

d) niemieckim informacjom, w zasadzie rusofilskim;

e) trudnościom poznania Rosji dla Japończyków, dzięki różnicom psychologicznym i faktowi ukrytego występowania całego szeregu zjawisk politycznych w Rosji.

Japonia a Rosja

Japonia, wkraczająca coraz głębiej i zdecydowaniej w konflikt dziejowy z Rosją, winna nareszcie głęboko i poważnie, a nie przejściowo i dorywczo, zająć się zagadnieniem zwalczania Rosji i wpływów rosyjskich na Dal. Wsch. w konkretnych celach – odepchnięcia Rosji od Dal. Wsch. i osłabienia Rosji, przez:

a) stworzenie na fundamencie ukraińskiej większości Zielonego Klinu *sui generis* Mandżu-Kuo nr 2. Do ludności ukraińskiej Zielonego Klinu przyłączyć należy również Kozaków Nadamurskich, których można zrobić w duchu politycznego i kulturalnego rusofobstwa;

b) stworzenie niezależnej, pod protektoratem Japonii, Wielkiej Mongolii, składającej się z Wewnętrznej Mongolii, Zewnętrznej Mongolii i Buriato-Mongolskiej Republiki, wraz z niezależnym i skonfederowanym z Mongolią Kozactwem Zabajkalskim, które będąc częściowo ztybulizowanym, łatwo pogodzi się z losem utracenia kontaktu z Rosją. Trzeba go atoli urabiać na ideologii Wolnego Kozactwa⁵⁷;

c) niezależnej, pod protektoratem Japonii, wielkiej Jakucji, graniczącej na południu z Wielką Mongolią i Zielonym Klinem;

d) niezależnego Turkiestanu pod protektoratem Japonii i składającego się z Turkiestanu chińskiego i rosyjskiego, i wciągającego w sferę swych wpływów Tatarów Nadwołżańskich na zasadach federacji;

e) tworzeniu, popieraniu i wykorzystywaniu separatyzmu

57. Współpracująca z ruchem prometejskim organizacja zrzeszająca różne grupy kozackie (głównie Kozaków Dońskich i Kubańskich), utworzona przez atamana Ignacego Biłyja i wydająca pismo o tej samej nazwie.

syberyjskiego, celem tworzenia warunków wstępnych dla powstania Syberyjskich Stanów Zjednoczonych.

Środki praktycznego działania:

a) stworzenie na Dal[alekim] Wsch[odzie] ośrodków prometejskich akcji (Tokio, Harbin), działających:

1. jawną metodą propagandy i inspiracji politycznej współdziałania narodów uciśnionych Rosji z Japonią i innymi krajami, otaczającymi Rosję (prasa, ulotki, radio, kongresy, zjazdy, slogany...);

2. tajną metodą komitetów wykonawczych, zorganizowanych na zasadzie ściśle narodowej i nawzajem odseparowanych (Komitet akcji ukraińskiej, kozackiej, jakuckiej, buriato-mongolskiej, turkiestańskiej, szczepów syberyjskich);

3. specjalną akcją wywiadu japońskiego i dywersji opartej na elementach nierosyjskich Rosji, lecz zdecydowanie odseparowanych od akcji prometejskiej, aby jej nie kompromitować wobec mniejszości rosyjskich jako wyłącznie narzędzia wywiadu obcego;

b) maksymalnego wyeliminowania białej emigracji z akcji antyrosyjskiej oraz powolnego niszczenia rosyjskiego stanu posiadania na Dal[alekim] Wsch[odzie];

c)⁵⁸ stworzenie w Polsce stanowiska specjalnego *attaché* dla spraw prometejskich oraz polskiego *attaché* prometejskiego w Tokio dla koordynacji zagadnień prometejskich wzajemnej informacji, pogłębiania akcji przeciwrosyjskiej. Najlepiej byłoby, gdyby ci *attaché* występowali na zewnątrz jako osoby nieoficjalne, zachowując swój oficjalny charakter jeno wobec urzędowych czynników w charakterze tajnym. Na zewnątrz mogliby wystę-

58. W wersji angielskiej podpunkt ten brzmi: „c) The exchange between Poland and Japan special «promethean envoys». Their tasks: coordination of work between Poland and Japan, mutual promethean informations, experience, deepening of action, etc... These «envoys» may act as members of our Ambassies or as «correspondents», lecturers of Universities or delegates of Oriental Institut in Warsaw and same simile institution in Tokyo”.

pować jako stypendyści naukowci, lektorzy uniwersytetów lub korespondenci pism⁵⁹.



[dopisek odręczny:] N3 Załącznik do L.dz. 1895/38
Odpis uwag o pracy prom[etejskiej] na Dal[ekim]
Wsch[odzie], wręczony w dn. 1 kwietnia 38 r. p. M. Inoue,
sekretarzowi Ambasady Japonii w Warszawie

[podpis odręczny:] *Włodzimierski*⁶⁰

CAW, O. II SG, sygn. I. 303.4.5476, k. 70-73

59. Wersja angielska zawiera dodatkowy akapit:

„*Additional remarks*

A. It is impossible to divide the promethean work in Russia into two separate parts. It would be artificial. All promethean questions in Russia are connected in one hank. The Ukrainian question in Europe is connected with Ukrainian question in Vladivostok province and with Ukrainian emigrants in Manchu-Kuo, Caucasian problems with Caucasian deportants in Siberia, Polish minority in Russia is connected with Polish compulsory emigration in Caraganda in Turkestan. The rebellion in Azerbajdjan naturally inspire the excitement in Idel-Oural and Turkestan, the deportation of Ukrainians to Far East stirring up the question of collaboration in same mutual activity in promethean plans etc...

B. It is not necessary to conclude special agreement between Poland and Japan in Promethean question. It is better to begin the work out of many words, without of engagement of «high policy».

All great things begin in secrecy and out of many speakings”.

60. Kryptonim, jakiego używał Bączkowski współpracując z Ekspozyturą 2.

SPOTKANIE KIEROWNIKA URZĘDU
DO SPRAW WYZNAŃ KAZIMIERZA KĄKOLA
Z PRYMASEM WYSZYŃSKIM
(CHOSZCZÓWKA, 12 X 1979 R.)

Lata siedemdziesiąte cechowała względna liberalizacja stosunków państwo-Kościół. Aparat władzy PRL czynił na rzecz hierarchii pewne gesty, które miały świadczyć o pozytywnej reorientacji polityki wyznaniowej – uregulowano własność kościelną na tzw. Ziemiach Odzyskanych, chętniej wydawano zezwolenia na budownictwo sakralne, podjęto działania zmierzające do unormowania stosunków ze Stolicą Apostolską, wzrosła liczba spotkań dwustronnych, których celem było wyjaśnienie narosłych problemów¹.

Ten zwrot w relacjach państwa z Kościołem był pozorny; dyktowała go polityczna kalkulacja i pragmatyzm. Faktycznie walka z Kościołem nie wygasła, a właśnie za rządów I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka zaczęła przyjmować bardziej ukryte i wyrafinowane formy, w dalszym ciągu pogłębiano też procesy ateizacji i laicyzacji².

Stabilizacja stosunków była potrzebna Kościołowi, którego nie oszczędzała gomułkowska polityka wyznaniowa. Po roku 1970, hierarchia przyjęła neopozytywistyczną strategię działania wobec państwa i wzmacniając własne struktury, sygnalizowała wolę do normalizacji wzajemnych relacji.

Wyciszenie konfliktów nie zwolniło Kościoła od interwencji w sytuacjach kryzysowych, zwłaszcza po protestach robotniczych w Radomiu, Ursusie i Płocku (25-30 VI 1976). Biskupi starali się jednak nie generować konfliktu z państwem; z jednej

1. A. Dudek, R. Gryz, *Komuniści i Kościół w Polsce (1945-1989)*, Kraków 2006, s. 281 i n.; K. Pawlicka, *Polityka władz wobec Kościoła katolickiego (grudzień 1970-październik 1978)*, Warszawa 2004, s. 35 i n.

2. J. Żaryn, *Dzieje Kościoła katolickiego w Polsce (1944-1989)*, Warszawa 2002, s. 342 i n.

strony oceniali krytycznie politykę ekonomiczną i społeczną partii, żądając zaprzestania represji, z drugiej wzywali do wzmożonego wysiłku i rzetelnej pracy³.

Wydarzeniem politycznym, które zaczęło w istotny sposób wpływać na interakcje państwa i Kościoła było wykrystalizowanie się nurtów opozycyjnych wobec władz, po doświadczeniach Czerwca 1976 r. Szczególną rolę zajmował tu początkowo Komitet Obrony Robotników (KSS „KOR”). Stosunek hierarchii wobec Komitetu był raczej wstrzemięźliwy i zachowawczy, nie odrzucano jednak *a priori* jego aktywności. Wobec KOR czyniono pewne gesty, utrzymywano kontakt, działacze Komitetu mogli liczyć na pomoc niektórych duchownych⁴.

Wybór Karola Wojtyły na papieża (16 X 1978) i jego pierwsza wizyta apostolska w kraju (2-10 VI 1979), wzmocniły autorytet i pozycję Kościoła, który umiejętnie dyskutował skutki obu wydarzeń. Wpłynęło to na usztywnienie stanowiska władz⁵. Odbiciem tego była m.in. negatywna reakcja na ogłoszone we wrześniu 1979 r. dokumenty Kościoła – uchwałę Konferencji Episkopatu (7 IX)⁶, list pasterski o poszanowaniu praw dziecka (9 IX)⁷ i list na doroczny dzień środków społecznego przekazu (16 IX)⁸. Wszystkie zawierały postulaty pod adresem aparatu władzy i krytycznie oceniały jego politykę. Odczytano to jako zakończenie okresu spokoju we wzajemnych relacjach, który był niezbędny przed i w trakcie pielgrzymki papieża. Dodatkowo –

3. P. Sasanka, *Czerwiec 1976. Geneza, przebieg, konsekwencje*, Warszawa 2006, s. 392 i n.

4. E. Czaczkowska, *Kardynał Wyszyński*, Warszawa 2008, s. 527 i n.; A. Friszke, *Opozycja polityczna w PRL 1945-1980*, Londyn 1994, s. 338 i n.; A. Friszke, *Wstęp*, w: J. J. Lipski, *KOR. Komitet Obrony Robotników, Komitet Samoobrony Społecznej*, Warszawa 2006, s. 52; J. J. Lipski, *KOR...*, s. 252-253; J. Żaryn, *Dzieje...*, s. 378 i n.

5. A. Friszke, M. Zaremba, *Wstęp*, w: *Wizyta Jana Pawła II w Polsce 1979. Dokumenty KC PZPR i MSW*, Warszawa 2005, s. 67 i n.

6. Komunikat 170 Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski, Warszawa, 7 IX 1979, w: *Komunikaty Konferencji Episkopatu Polski 1945-2000*, Warszawa 2006, oprac. J. Żaryn, s. 215-218.

7. List pasterski biskupów o poszanowaniu praw dziecka, Jasna Góra, 5 VI 1979, w: *Listy Pasterskie Episkopatu Polski 1945-2000*, cz. 1, oprac. P. Libera, S. Łacki, A. Rybicki, Marki 2003, s. 1225-1231.

8. Na doroczny dzień środków społecznego przekazu, Jasna Góra, 6 VI 1979, w: *Listy...*, s. 1232-1234.

co najmniej od lata 1979 r. – narastały kontrowersje wokół budowy obiektów sakralnych w Krościenku, Rzeszowie i Przemyśle, a także, powstającego z inicjatywy władz, tunelu łączącego Aleję NMP z sanktuarium na Jasnej Górze⁹.

W związku z tymi zjawiskami, które mogły się odbić niekorzystnie na stosunkach państwo-Kościół, prymas Stefan Wyszyński w liście do ministra-kierownika Urzędu ds. Wyznań Kazimierza Kąkola (19 IX 1979), złożył propozycję bezpośredniej rozmowy. Do ustalenia jej terminu upoważniono sekretarza Episkopatu bpa Bronisława Dąbrowskiego. Spotkanie odbyło się 12 X 1979 w Choszczówce¹⁰.

Publikowany dokument został najpewniej sporządzony przez Kąkola. Do najciekawszych fragmentów należą *stricte* polityczne wypowiedzi prymasa. Nawet jeśli były dyktowane politycznym pragmatyzmem i nie do końca oddawały jego rzeczywisty stosunek do poruszonych kwestii, to hipotetycznie (nie znamy jak dotąd ocen tego spotkania, sporządzonych przez stronę partyjno-rządową), zostały dobrze odebrane przez ekipę Gierka. Sygnałizowały kompromisowe stanowisko Kościoła w odniesieniu do zagadnień, które budziły niepokój państwa, a na które Kościół mógł wywierać wpływ. Wyszyński roztoczył przed Kąkolem wizję instytucji, która w relacjach z państwem przyjęła strategię dostosowawczą – nie wierzyła w możliwość głębokiej zmiany ustrojowej i dystansowała się od nurtów opozycyjnych.

Z polecenia Stanisława Kani – sekretarza KC PZPR (odpowiedzialnego za politykę wobec Kościoła), członka Biura Politycznego, I sekretarza KC PZPR (1980-1981) – notatkę rozesłano 16 X 1979 do wiadomości sekretarzy i członków Sekretariatu KC PZPR.

Bartłomiej NOSZCZAK



9. M. Mikołajczyk, *Władza ludowa a diecezja częstochowska*, Częstochowa 2000, s. 170 i n.

10. K. Kąkol, *Kardynał Stefan Wyszyński jakim go znałem*, Warszawa 1985, s. 68-69; opis spotkania – *ibidem*, s. 59-60, 68-76.

Z polecenia tow. Kani
Wysłano Sekretarzom i Członkom Sekretariatu KC
Dnia 16 X 1979 r. L. dz. KS/720/79

INFORMACJA O PRZEBIEGU SPOTKANIA
KIEROWNIKA¹¹ URZĘDU DO SPRAW WYZNAŃ¹²
Z KARDYNAŁEM WYSZYŃSKIM (12 X 79)

I

A. Geneza spotkania.

W ostatnim okresie (wrzesień [19]79), Episkopat podał do publicznej wiadomości szereg dokumentów (uchwała 170 Konferencji Episkopatu – 7 IX; list pasterski o poszanowaniu praw dziecka – 9 IX; list na doroczny dzień środków społecznego przekazu – 16 IX), które były interpretowane jako zapowiedź końca spokoju w stosunkach z państwem, jako kres rozejmu, nieodzownego w związku z wizytą w Polsce Jana Pawła II. Dokumenty te zawierały wiele postulatów pod adresem władz i krytycznych ocen polityki wewnętrznej.

Obok tych enuncjacji, wystąpiły ostre kontrowersje wokół prac nad przebudową alei, prowadzącej ku klasztorowi na Jasnej Górze¹³, a ponadto strona kościelna nie przejawiała żadnej

11. Kazimierz Kąkol (ur. 1920) – prawnik, ekonomista, dziennikarz, redaktor naczelny „Prawa i Życia” (1957-1974), kierownik Studium Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego (1968-1973), dyrektor Instytutu Dziennikarstwa UW (1973-1974), minister-kierownik Urzędu do spraw Wyznań (1974-1980), dyrektor Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce – Instytutu Pamięci Narodowej (1985-1989).

12. Urząd do spraw Wyznań – utworzony w 1950 r., organ administracji państwowej, który przejął po departamencie wyznaniowym Ministerstwa Administracji Publicznej zagadnienia, wynikające ze stosunku państwa do Kościołów (w pierwszym rządzie Kościoła katolickiego) i związków wyznaniowych; nie miał uprawnień do prowadzenia samodzielnej polityki wyznaniowej, ściśle współpracował z innymi podmiotami – zwłaszcza z aparatem bezpieczeństwa; za pomocą okólników i zarządzeń ograniczał zakres oddziaływania Kościoła i zmierzał do podporządkowania go państwu, prowadził akcję dywersyjną wśród duchowieństwa, m.in. przez kształtowanie składu personalnego i finansowanie ruchu „społecznie postępowego” katolików; zlikwidowany w 1989.

13. We wrześniu 1979 r. rozpoczęto budowę tunelu łączącego Aleję Najświętszej Maryi Panny z Jasną Górą, nad którym miała przebiegać trasa szybkiego ruchu. Tunel miał być jedynym przejściem łączącym miasto i

aktywności na rzecz likwidacji samowoli w Przemyślu, Rzeszowie, Krościenku.

W tej sytuacji wysunięta została przez Kardynała propozycja bezpośredniej rozmowy (w liście z 19 IX).

Rozmowa odbyła się w Choszczówce¹⁴ 12 X, w godz. 17.00-19.30, przy udziale Sekretarza Episkopatu, b[isku]pa B[ronisława] Dąbrowskiego¹⁵; bp Dąbrowski prowadził skrupulatnie notatki z przebiegu rozmowy, komentował, że niektóre wypowiedzi Kardynała słyszy po raz pierwszy.

W przeddzień spotkania odbyła się nadzwyczajna sesja Rady Głównej Episkopatu¹⁶, część swych wypowiedzi Kardynał wiązał z przebiegiem obrad Rady Głównej.

II

B. Przebieg spotkania. Spotkanie zaczęło się od polemicznego starcia na temat niepraworządnych poczynań Ordynariusza Przemyskiego¹⁷.

Wnosząc o przerwanie tej polemiki Kardynał oświadczył, że chciałby przedstawić sprawy generalne, prosi o spokojne wysłuchanie jego wywodów bez podejmowania bezpośredniej dyskusji.

Owe sprawy generalne, to:

– problemy związane ze Zjazdem Partii i wyborami¹⁸;

pielgrzymów z sanktuarium. Po interwencjach strony kościelnej władze ostatecznie zarzuciły ten projekt w III 1980.

14. Choszczówka (obecnie w obrębie Warszawy) – położone w lesie dom i kaplica pod wezwaniem Jasnogórskiej Matki Kościoła, w l. 1969-1981 prymas Wyszyński prowadził tu m.in. rozmowy, dotyczące relacji państwo-Kościół.

15. Bronisław Dąbrowski (1917-1997) – sufragan archidiecezji warszawskiej (1962), sekretarz Konferencji Episkopatu Polski (1969-1993), uczestnik rozmów w Magdalence, przy Okrągłym Stole, negocjacjach między przedstawicielami władz a działaczami związkowymi.

16. Rada Główna Episkopatu Polski – utworzona w 1945 r., początkowo pod nazwą Komisji Głównej; w jej skład wchodziłi wszyscy arcybiskupi i biskupi pełniący funkcje sekretarzy Episkopatu.

17. Ignacy Tokarczuk (ur. 1918) – bp diecezji przemyskiej 1965; zasłynął jako inicjator budownictwa sakralnego, mimo braku zezwoleń władz państwowych, i kazań piętnujących system PRL, wspierał rozmaite inicjatywy społeczno-polityczne (w tym ruch „Solidarności”), szykanowany przez władze PRL, 1993 bp senior archidiecezji przemyskiej.

18. VIII Zjazd PZPR odbył się 11-15 II 1980, wybory do Sejmu 3 III 1980.

- stosunek Kościoła do rzeczywistości społeczno-politycznej i miejsce Polski w świecie;
- refleksje na temat stosunku Kościoła do poczynąń dysydentów;
- stosunki Polska-Watykan;
- stosunki polsko-niemieckie;
- problemy współdziałania Kościoła z państwem;
- nowy kształt tzw. polityki wschodniej Watykanu (ten temat w odpowiedzi na zastrzeżenia kierownika Urzędu [ds. Wyznań]).

III

C. Osią wypowiedzi kardynała Wyszyńskiego był problem „wielkich operacji Zjazdu Partii i wyborów”, w obliczu których stoimy. Jest to, zdaniem Kardynała, „problem lepszego obliczania sił społecznych, które mogłyby korzystniej zagrać na dobro aktualnej Polski”.

Postulaty Wyszyńskiego mieszczące się na tej linii to:

1. postulat równości obywatelskiej – „nurtuje mnie obawa narastania antynomii wy i my; wy jesteście winni, a my powołani do krytyki; tak być nie powinno, choć dużo powodów dajecie do krytyki”;

2. postulat zmiany form propagandy – „którą trzeba zrewidować, by można jej było wierzyć”; „nieodzwonne jest uspokojenie propagandy, stworzenie troszkę innej atmosfery na ten okres przedwyborczy”; „zwłaszcza w dziedzinie ekonomii i rolnictwa tak piszą, jakby dla samych imbecylów pisali”;

3. postulat „wykorzystania wyborów dla ratowania autorytetu Partii” – powszechny jest pogląd wśród inteligencji, zwłaszcza technicznej, że „humanistyczny wymiar wyborów” jest możliwy poprzez „hołdowanie prawdzie, umiar w propagandzie, przełamanie pychy partyjnej”. Autorytetu Partii nie budowało „bolesne odczucie”, jakie wywoływało brak relacji radia i tv o wielkiej pracy Jana Pawła II w Irlandii i USA. „Upokarzające jest, że musimy się czepiać Wolnej Europy, żeby się dowiedzieć, co nasz Polak robi dla nas, dla Polski, dla narodu”. Partia może tylko stracić na przyzwyczajaniu obywateli do słuchania RWE (w tym kontekście zdanie: „Choć to nie Wielkanoc i nie spowiedź – wyznaję, że ja nigdy nie słucham RWE, bo nie chcę być informowany fałszywie lub namiętnie, lubię prawdę i spokój”);

4. postulat wprowadzenia pewnych luzów wyborczych – „30-40 mandatów dla katolików nie zachwieje równowagi w Sejmie, nie głosowania o niej decydują, a ważne jest wrażenie ludzi, że oni się liczą, że władza chce im dać pewną satysfakcję”.

D. Stosunek Kościoła do rzeczywistości społeczno-politycznej wynika z przeświadczenia, że „wszyscy odpowiadamy za sytuację Polski tu, w tym miejscu i w tym czasie – tu musimy zostać, bo tu jest miejsce Polaków”.

Kardynał podkreślił walory rozumowania Romana Dmowskiego – „żyjąc między dwoma potęgami, nie możemy być skłóceni z każdą z nich, trzeba wybierać to, co odpowiada interesom narodu”. Blok państw socjalistycznych sam się sprawdził i sprawdza, „nasze miejsce jest w tym bloku”, choćby dlatego, że „położenia zmienić nie możemy”.

„Nie chcemy zaognić stosunków, ustroju nie da się zmienić, modelu stosunków społecznych – także nie, systemu monopartyjnego – także nie, ale możemy dużo poprawić w funkcjonowaniu tego systemu”. W tym miejscu kardynał skorygował wypowiedź: „nie my możemy dużo poprawić, a panowie możecie spowodować, żeby nie było zadrażnień, zacierzwienia”.

Kolejna teza w tym kontekście brzmiała: „Rząd zrobiłby dobrze, gdyby nie posądzał nas o złośliwość, gdyż my mamy poczucie odpowiedzialności. Z drugiej strony byłbym niełojalny, gdybym tego, co mówię, nie mówił”.

Kardynał stwierdził równocześnie, że gdyby z ambon odczytał fragmenty publikacji prasowych bez powoływania źródła, to zostałby oceniony bardzo surowo, gdyż apriorycznie zakładana jest nieufność wobec ludzi Kościoła.

E. Snując refleksje na temat stosunku Kościoła do dysydentów – Kardynał nawiązał do publikacji anonimowego autora *La Pologne défend son âme*¹⁹ – „Polska broni swej duszy”, gdzie imputuje się ścisłe powiązania Kościoła z dysydentami. Po rozszyfrowaniu przez rozmówcę pseudonimu autorki M[arii] Winowskiej²⁰ – Kardynał ocenił tę postać bardzo kategorycznie – książ-

19. A. Martin, *La Pologne défend son âme*, Paris 1977.

20. Maria Winowska (1904-1993) – filozof i teolog, podczas wojny aktywna uczestniczka polskiego ruchu oporu we Francji, po wojnie organizacji niepodległościowych; opublikowała wiele książek w języku polskim i francuskim; Nagroda Akademii Francuskiej – 1950.

kę określił jako okropną.

Stwierdził: „zestawianie Kościoła z tymi panami jest uwłaczające dla Kościoła; dysproporcja intencji jest szokująca, a łączenie Kościoła z dysydentami jest nieprzyjemne. My toczymy z władzą spory z innej pozycji, nas interesują problemy moralne, mamy świadomość swego miejsca w narodzie, jesteśmy jego synami; wprowadźcie synami o prawach ograniczonych (tu uwaga na marginesie – „z wyjątkiem mnie, bo ja mam wszystkie prawa”), ale odrzucamy niepoważne formy akcji politycznej, takie jak głódówka w kościele św. Krzyża czy uprzednio w kościele św. Marcina²¹. *Nota bene*, gdybym miał im radzić, to bym powiedział: Usadźcie się w Domu Partii²², to adres właściwy, a nie kościół”.

F. „Stosunki Polski z Watykanem wymagają chyba podniesienia na wyższy szczebel”.

Kardynał zapowiedział, że kierownictwo Episkopatu będzie rozważać ten problem w czasie rozmów z Janem Pawłem II w końcu października; oczekują instrukcji Papieża, wskazania kierunków rozwiązań i ram, w jakich powinny się one zmieścić. Oczekują, że dyrektywy Papieża będą wytyczać kierunek dalszej normalizacji i dalszego rozwoju.

G. Stosunki Polska-RFN nie mogą zadowolić.

Wizyta kardynałów polskich w RFN we wrześniu 1978 r.²³ miała za cel zneutralizowanie biskupów zachodnioniemieckich, odciągnięcie ich od zakłamaney interpretacji sprawy granic polskich.

Efekty tej wizyty nie są pełne, ale fakt, że jeden z tych wizytujących kardynałów może działać z pozycji Papieża i publicznie

21. Głódówki solidarnościowe w warszawskich kościołach św. Marcina (24-31 V 1977) i św. Krzyża (3-10 X 1977), organizowane przez działaczy KOR – pierwsza w akcie łączności z represjonowanymi robotnikami Radomia i Ursusa, a także aresztowanymi w związku z pogrzebem Stanisław Pyjasa działaczami opozycji; druga jako wyraz solidarności z sygnatariuszami Karty 77.

22. Dom Partii – siedziba KC i Komitetu Wojewódzkiego PZPR wybudowana w Warszawie i oddana do użytku w 1952, w jej pomieszczeniach znajduje się dziś Centrum Bankowo-Finansowe.

23. 20-25 IX 1978 biskupi polscy, na czele z prymasem Wyszyńskim i kardynałem Wojtyłą, złożyli pierwszą po wojnie oficjalną wizytę religijną w RFN.

mówi, iż Oświęcim powstał na żywym ciele narodu polskiego, jest ważny. Musi to być odczytywane jako ostrzeżenie „by Polska nie była nigdy terenem eksperymentów militarnych”.

Informacja o nadziejach odwetowców (jak Axel Springer²⁴ 9 IX [19]73) na przeciwstawienie narodu aktualnemu rządowi polskiemu na tle wierzeń religijnych – wywołała gwałtowny protest i zastanowienie.

H. Dla współdziałania Kościoła z państwem, istotne znaczenie ma określenie charakteru Kościoła jako instytucji. Nie da się wtłoczyć Kościoła w ramy prawa o stowarzyszeniach. „Kościół jest i państwo, bez szkody dla siebie, może to publicznie stwierdzić”. „Kościół na to zasługuje” – nie chcąc bynajmniej być państwem w państwie.

I. Polityka wschodnia Watykanu spotkała się z krytyczną oceną na tle przypisywania Tokarczukowi przez Kardynała zasług w walce z rzekomą „ukrainizacją” Polski południowo-wschodniej. Teza, że wobec tego Tokarczuk walczy z „ukrainizacją”, którą forsuje Jan Paweł II, nie wahać się przed dowartościowaniem Slipyja²⁵ i Moroza²⁶, została przyjęta niechętnie. Dłuższy wywód, wykazujący daleko idącą modyfikację polityki wschodniej Watykanu (zamiast realizmu – naiwność i niedostrzeganie realiów; mętna koncepcja misji Słowiańszczyzny; zamiast otwarcia na socjalizm – parcie, presja na socjalizm; wyprowadzenie polityki z gabinetów dyplomatycznych na ulice; zastąpienie architektów dotychczasowych w postaci speców z kurii rzymskiej – nacjona-

24. Axel Springer (1912-1985) – dziennikarz; w 1947 założyciel w Hamburgu wydawnictwa Axel Springer AG; od 1952 wydaje ono opiniotwórczy tygodnik „Bild-Zeitung” (obecnie „Bild”); jeden z ważniejszych koncernów prasowych w Niemczech.

25. Józef Slipyj (1892-1984) – 1939 koadiutor metropolii lwowskiej, od 1944 następca Andrzeja Szeptyckiego na stolicy metropolitalnej we Lwowie; w czasie wojny szykanowany przez Niemców; aresztowany przez Sowieców (1945) i zesłany na Syberię; dzięki interwencji Jana XXIII zwolniony (1963), wyjechał do Rzymu, gdzie rezydował do końca życia; uczestnik Soboru Watykańskiego II; od 1963 abp większy i członek Kongregacji Wschodniej; 1965 kardynał; uczestnik Światowego Synodu Biskupów; od 1975 patriarcha Kijowa-Halicza.

26. Prawdopodobnie Walenty Moroz (ur. 1936) – ukraiński publicysta i historyk, wielokrotnie aresztowany i więziony, w latach 70. wydany z ZSRR.

listycznie pobudzonymi masami), Kardynał przyjął z pewnym zatroskaniem, poprosił o sporządzenie stosownego opracowania, zapewnił, że zainteresuje Jana Pawła II naszą krytyką – jest przekonany, że krytyka ta zostanie potraktowana z należytą powagą.

J. Praktyczne problemy stosunków między Państwem a Kościołem poruszone zostały jedynie hasłowo, w nawiązaniu do spotkania z tow. E[dwardem] Gierkiem w dniu 24 I 1979 r. Do przebiegu i atmosfery tej rozmowy wielokrotnie wracał, podkreślał jej walory, użalał się jedynie na kategoryczność i gwałtowność ocen biskupa Stanisława²⁷, sformułowanych przez tow. E[dwarda] Gierka, który – „jak wiadomo” – „nie jest historykiem, ale był dobrze, choć jednostronnie i w oparciu o przestarzałego Wojciechowskiego²⁸ przygotowany do tego tematu”.

Kardynał: „jedynie, co się udało zrealizować z pakietu spraw wówczas poruszanych, to przyjazd Papieża do Polski. Pomogło to Polsce bardzo i nadal pomaga. Choć propaganda nie dopisała, to w sumie wszystko dobrze się udało”.

Po chwili namysłu – „przepraszam, trzeba odnotować postępek w zakresie dbałości o rodzinę”.

Nie wdając się w szczegóły („żeby nie pozbawić Sekretarza Episkopatu pola działania i nie wchodzić w jego kompetencje”) Kardynał poruszył hasłowo sprawy:

- zapewnienia dostępu do środków społecznego przekazu,
- powstrzymania nadmiernej aktywności cenzury (epitaforium poświęcone Zawieyskiemu²⁹ zostało pokiereszowane),

27. Stanisław ze Szczepanowa (ok. 1030-1079) – bp krakowski; zamordowany w niejasnych okolicznościach (1079); jeden z patronów Polski, patron archidiecezji krakowskiej i diecezji sandomierskiej.

28. Zygmunt Wojciechowski (1900-1955) – prof. nadzwyczajny (1929, od 1937 zwyczajny) Uniwersytetu Poznańskiego, dziekan Wydziału Prawno-Ekonomicznego (1939), specjalista ds. stosunków polsko-niemieckich, współtwórca Instytutu Bałtyckiego w Toruniu, założyciel i polityk Związku Młodych Narodowców (1934); w Delegaturze Rządu RP na Kraj (1940-1945), m.in. kierownik Wydziału Nauki, założyciel i pierwszy dyrektor (1944-1955) Instytutu Zachodniego, członek PAU i PAN.

29. Jerzy Zawieyski (1902-1969) – prozaik, dramatopisarz; współpracownik „Tygodnika Powszechnego”; od 1956 w KIK; przewodniczący Ogólnopolskiego Klubu Postępowej Inteligencji Katolickiej (1956-1957); wiceprezes ZG ZLP (1956-1962); członek Rady Państwa (1957-1968), poseł na Sejm (1957-1969), członek Prezydium OK FJN (1958-1969).

- zwiększenia przydziałów papieru (Korniłowicz³⁰, książki liturgiczne – dyrektywa zakupu papieru za dolary, poniżająca),
- nasilenia budownictwa sakralnego w województwach zachodnich,
- uruchomienia W[wyższego] S[seminarium] D[uchownego] w Koszalinie i Szczecinie,
- określenia wysokości składki z tytułu ubezpieczenia społecznego duchownych, analogicznie jak dla ogniw organizacyjnych „PAX”³¹,
- sfinalizowania sprawy zalegalizowania nieruchomości zakonnych,
- powstrzymania ateizacji,
- służby wojskowej alumnów.

Lansowaną przez nas, w wypowiedziach dla prasy zachodniej, tezę braku konfliktów z Kościołem, zaawansowanej normalizacji i współdziałaniu, potraktował jako „dotyczącą pożądaną przyszłości”.

IV

K. Prezentując stanowisko władz w kwestii stosunków wzajemnych

- dokonano ponownie charakterystyki naszej polityki wyznaniowej;
- poddano krytycznej ocenie postawę Kościoła w procesie normalizacji stosunków;
- napiętnowano przejawy symbiozy ludzi Kościoła z elementami antysocjalistycznymi;

30. Władysław Korniłowicz (1884-1946) – duszpasterz młodzieży, w czasie wojny polsko-bolszewickiej kapelan wojskowy; kapelan warszawskiej Szkoły Podchorążych (1919-1920) i garnizonu we Włocławku (1920-1921); 1922-1930 dyrektor Konwiktu Teologicznego dla studentów KUL, wykładowca liturgiki; kierownik duchowy Bractwa Przemienienia Pańskiego (Instytutu Świeckiego Przemienienia Pańskiego); od 1930 w Zakładzie dla Niewidomych w Łaskach.

31. Stowarzyszenie PAX – stowarzyszenie katolików świeckich założone w 1945 (wykształciło się z grupy, skupionej wokół tygodnika „Dziś i Jutro”), zarejestrowane w 1952; jego liderem był Bolesław Piasecki, a po jego śmierci (1979) Ryszard Reiff; głosiło koncepcję koegzystencji katolików w państwie komunistycznym, zasady wieloświatopoglądowości państwa, dialogu i współpracy przy uznaniu kierowniczej roli PZPR; prowadziło działalność polityczną, propagandową, wydawniczą i gospodarczą; podporządkowane władzom, było jednym z podmiotów ich antykościelnej polityki.

– podjęto polemikę z dokumentami kościelnymi opublikowanymi we wrześniu br.;

– zwrócono uwagę na szczególną odpowiedzialność Kościoła za rozwój stosunków z państwem, zwłaszcza w kontekście „polskiego” pontyfikatu.

Nawiązując do pozytywnej oceny przez Kardynała wizyty Jana Pawła II – podkreślono, że doszła ona do skutku i przyniosła pozytywne efekty nie wbrew, a dzięki postawie władz.

Wrogowie Polski socjalistycznej żywili nieskrywane nadzieje na negatywne (konfrontacja, próba sił, destabilizacja, chomeinizacja) reperkusje wizyty. Niektórzy hierarchowie polscy (bp Kamiński³², bp Bednorz³³, bp Bareła³⁴), do dziś szukają dziury w całym, choć muszą im być znane oceny kierownictwa Episkopatu. Wbrew tym oczekiwaniom i pomówieniom, przebieg wizyty był dowodem na możliwość współdziałania i potwierdzeniem normalizacji stosunków między Państwem i Kościołem.

Trzeba się zgodzić z tezą, że od początku „polskiego” pontyfikatu mówi się o Polsce głośniejsz, częściej i bardziej pozytywnie – oznacza to jednak, że tym większa odpowiedzialność za to, co się robi i co się mówi, spada na Kościół.

W tym kontekście zasadnicze zastrzeżenia muszą budzić dokumenty, opublikowane we wrześniu br., gdyż nie dają świadectwa prawdzie.

32. Zygmunt Kamiński (ur. 1933) – bp pomocniczy diecezji lubelskiej 1975; bp koadiutor diecezji płockiej i jej administrator apostolski *sede plena* 1984, od 1988 ordynariusz; abp metropolita szczecińsko-kamieński (1999-2009).

33. Herbert Bednorz (1908-1989) – bp przydzielony do pomocy choremu biskupowi Adamskiemu, w charakterze koadiutora, z prawem następstwa (1950); więziony przez UB za przygotowanie akcji zbierania podpisów pod petycją rodziców o przywrócenie katechizacji w szkole; wraz z innymi biskupami katowickimi wydalony z diecezji; internowany (1952-1956); po powrocie do Katowic przejął faktycznie rządy w diecezji (1967 formalnie); uczestnik Soboru Watykańskiego II; członek Komisji Episkopatu Polski ds. Duszpasterstwa Ludzi Pracy; doprowadził do Synodu Diecezjalnego (1972-1976); współprzewodniczący Zespołu Roboczego ds. Wydawnictw i Czasopism Rządu PRL i Episkopatu Polski (1981-1985).

34. Stefan Bareła (1916-1984) – wicerektor Niższego Seminarium w Częstochowie (1954); ojciec duchowny w Wyższym Seminarium Duchownym (1956); bp pomocniczy diecezji częstochowskiej (1960), od 1964 ordynariusz; brał udział w pracach Soboru Watykańskiego II.

Nasza linia w polityce wyznaniowej (negocjacje miast konfrontacji, konsultacje miast zaskakiwania, normalizacja miast dezaprobowania), nie ma alternatywy z ogólniejszego punktu widzenia – dlatego właśnie jest w założeniu trwała, niekoniunkturalna. Jej efektywność zależy jednak nie tylko od jednej strony i nie może być mierzona jedynie zaspokajaniem potrzeb Kościoła, tak jak on je pojmuje i wysuwa (kościół, katechizacja, wydawnictwa), ale musi się sprawdzać w postawie ludzi Kościoła.

Każdy akt ujawniający postawy nieobywatelskie, mentalność politycznej reakcji (przykłady działań i wypowiedzi biskupów Tokarczuka, Musiela³⁵, Kamińskiego, Bednorza, Michalskiego³⁶; duszpasterzy akademickich: Czumy³⁷, Wiśniewskiego³⁸, Sochy³⁹, Salija⁴⁰; proboszczów: Sadłowskiego⁴¹,

35. Franciszek Musiel (1915-1992) – diecezjalny duszpasterz mężczyzn (1960); 1962 wiceoficjał, a następnie oficjał Sądu Biskupiego; bp pomocniczy diecezji częstochowskiej (1966); kanonik gremialny w kapitule bazyliki katedralnej, objął równocześnie opiekę nad Wydziałem Duszpasterskim Kurii Diecezjalnej oraz Finansowo-Gospodarczym i Administracyjnym; dziekan w kapitule bazyliki diecezjalnej (1973).

36. Jan Michalski (1914-1989) – kapelan AK i uczestnik powstania warszawskiego; po wojnie prof. WSD w Gnieźnie, kanonik i wikariusz generalny gnieźnieński; sufragan gnieźnieński (1975); dziekan kapituły prymasowskiej, członek Rady Nadzorczej Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.

37. Hubert Czuma (ur. 1930) – od 1948 w Towarzystwie Jezusowym, od 1957 współorganizował obozy młodzieżowe; duszpasterz akademicki w Łodzi, Lublinie, Szczecinie, Gdańsku i Bydgoszczy; szykanowany przez władze; więziony pod zarzutem przynależności do nielegalnej organizacji „Ruch” (1970-1971); przeniesiony do Radomia (1978); organizator sierpniowych pielgrzymki z Warszawy na Jasną Górę (1971-1981).

38. Ludwik Wiśniewski (ur. 1936) – dominikanin, duszpasterz środowisk niepodległościowych, duszpasterz akademicki w Gdańsku, Lublinie, Wrocławiu i Krakowie. Współtworzył i wspomagał ROPCiO, KOR, RMP, Ruch Obrony Rolników; kapelan „Solidarności”; w stanie wojennym organizował pomoc represjonowanym, orędownik „walki bez przemocy”.

39. B. Socha – duszpasterz akademicki z Gdańska.

40. Jacek Salij (ur. 1942) – dominikanin, teolog, filozof, dr prawa, habilitacja 1979; praca na Uniwersytecie Katolickim w Leuven (1984); prof. nadzwyczajny ATK (1990), prof. zwyczajny (1992).

41. Czesław Sadłowski (ur. 1938) – w 1969 w Zbrodni Dużej przystąpił do adaptacji stajni na kaplicę, władze nie uznały poświęconego budynku za obiekt sakralny i zlikwidowały ją, odprawiał msze w domach prywatnych i w plenerze, karany za to grzywnami, w 1970 skazany na 3 miesiące aresztu za pokazy filmów o treści religijnej, wyrok zawieszony

Sondeja⁴², Bala⁴³, oazowców⁴⁴: Bładnickiego (!)⁴⁵), musi skłaniać do poszukiwania metody, jak tych polityków w sutannach skutecznie okiełznać.

1971; 1972 buduje namiot dla celów kultu religijnego na terenie prywatnym, zniszczony przez MO; współpracownik KOR; w 1978 w parafii Zbrosza Duża zawiązano Komitet Samoobrony Chłopskiej Ziemi Grójeckiej, istniała tam tajna drukarnia (1980 odkryta przez SB), w stanie wojennym na plebanii ukrywali się działacze „Solidarności”.

42. Józef Sondej (ur. 1914) – kapelan AK; po wojnie, w Strzyżowie opiekował się młodzieżą, która działała w Demokratycznej Armii Krajowej; po wykryciu grupy przez UB przeniesiony do Rzeszowa, a później do Jarosławia; w 1955 objął probostwo w parafii Chrystusa Króla w Rzeszowie, gdzie powołał duszpasterstwo akademickie i zorganizował Studium Katolickiej Nauki Społecznej Kościoła.

43. Walenty Bal (1920-2002) – organizator duszpasterstwa akademickiego w Rzeszowie 1966; w 1979 odzyskał dla celów kultu część pomieszczeń kościelnych, przez co naraził się na szykany władz, skazany na rok więzienia w zawieszeniu; dziekan rzeszowskiego dekanatu (1983-1998).

44. Ruch „Światło-Życie” (zwany „ruchem oazowym”) – jeden z ruchów odnowy Kościoła, powstał na gruncie nauczania Soboru Watykańskiego II; gromadzi osoby świeckie i duchowne w różnym wieku, stara się wychowywać dojrzałych wiernych i służyć odnowie Kościoła przez przekształcanie parafii w żywe „wspólnoty wspólnot”.

45. Franciszek Karol Bładnicki (1921-1987) – uczestnik kampanii wrześniowej, więzień KL Auschwitz-Birkenau, więziony w Bloku Śmierci, w 1942 kara śmierci zamieniona na 10 lat więzienia po wojnie; ułaskawiony 1942, 1942-1945 ponownie więziony; w 1945 uwolniony przez armię amerykańską, święcenia kapłańskie 1950, wydany z diecezji katowickiej za niesubordynację wobec narzuconego przez państwo ks. Jana Piskorza; w 1956 zabiegał o powrót przesiedlonych biskupów śląskich do Katowic, w 1957 stworzył Apostolat Trzeźwości; oskarżony o nielegalną działalność i drukowanie biuletynów bez zgody cenzury; w 1961 aresztowany, skazany na 9 miesięcy więzienia; zwolniony po kilku miesiącach; w 1963 na nowo rozpoczął prowadzenie rekolekcji oazowych, które rozwinęły się w Ruch Żywego Kościoła (Ruch „Światło-Życie” 1976); zrezygnował z pracy na KUL na znak protestu przeciwko niezatwierdzeniu przez władze jego habilitacji; w 1981 organizował w Lublinie Niezależną Chrześcijańską Służbę Społeczną; stan wojenny zastał go za granicą; nie mógł wrócić do kraju; w RFN rozpoczął organizowanie Międzynarodowego Centrum Ewangelizacji; w 1982 przystąpił do tworzenia Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów; zapoczątkował powołanie do życia duchowych wspólnot życia konsekrowanego: Instytutu Niepokalanej Matki Kościoła i Wspólnoty Chrystusa Sługi; w 1983 wszczęto przeciwko niemu śledztwo za „działania na szkodę interesów PRL”.

Zachodnioniemiecki kardynał Höffner⁴⁶ publicznie szczyci się tym, że działa zgodnie z rotą kapłańskiego ślubowania: „W zgodnej z moimi obowiązkami trosce o dobro i interes państwa niemieckiego... będę starał się je bronić przed wszelkimi szkodami jakie mogłyby mu zagrażać”. Czy nasi kapłani nie mają większych w tym zakresie obowiązków?

Normalizacja jest normalizacją stosunków z państwem socjalistycznym, współdziałanie – współdziałaniem z państwem socjalistycznym, jego funkcje w zakresie kształtowania i wychowania są określone, jego oblicze ideologiczne wyraźne. Nikt nie może mieć złudzeń na jakiegokolwiek zmiany w tym zakresie; linia negocjacji to nie linia nadziei na kolejne ustępstwa, to docenianie wartości tego, co jest i lojalne przystosowanie.

Poszczególne tezy dokumentów kontrowano posługując się wypowiedziami publicznymi prominentnych przedstawicieli Kościoła (np. samego kard. Wyszyńskiego) czy też materiałami publikowanymi w wydawnictwach kościelnych („Miesięcznik Homiletyczny” nr 2-3/79).

Stanowisko Episkopatu w przedmiocie poszanowania praw dziecka zostało poddane krytycznej ocenie poprzez wskazanie na nieodwracalność takich – *per saldo* postępowych – procesów społecznych jak emancypacja kobiet czy upowszechnienie aktywności zawodowej kobiet. Podkreślono, że stojąc na gruncie ustawy, dopuszczającej przerywanie ciąży, władze nie mają nic przeciw wychowawczym oddziaływaniom, zamierzającym ku nieczynieniu użytku z ustawowych możliwości. Jeśli Kościół faktycznie dysponuje wpływami, które deklaruje, to nie zwalczając ustawy, która jest postępową i słuszną, może doprowadzić do jedynie formalnego jej obowiązywania.

Kościół nie może nadużywać wiary do uprawiania polityki i głoszenia nieprawdy. Kościół starał się zawsze – jak mówi encyklika Jana Pawła II⁴⁷ – o wychowanie dobrych obywateli w każ-

46. Joseph Höffner (1906-1987) – bp Munsteru (1962), uczestnik Soboru Watykańskiego II; bp koadiutor Kolonii (1969), następnie abp Kolonii; kardynał; przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec (1976-1987); uczestnik konklawe Jana Pawła I i Jana Pawła II; w 1987 zrezygnował z kierowania archidiecezją.

47. Pierwsza encyklika Jana Pawła II *Redemptor hominis* (1979).

dym państwie. Kardynał Franciszek König⁴⁸, w kazaniu wygłoszonym w dniu 26 października 1976 r. w kościele w Melk (Austria) powiedział, że „od swych prapoczątków aż po współczesność – chrześcijaństwo poszukiwało dróg do lojalnych, dobrych stosunków z władzą państwową. Chrześcijaństwo nigdy nie uważało się za elitarną, tajną religię. [...]. Kościół współpracował z każdym systemem społecznym i politycznym i będzie usiłować z każdym systemem współpracować, byle mógł uzyskać możliwość wypełniania swego jedynego zadania i obwieszczać wszystkim ludziom posłannictwo Chrystusa”.

Ocena rzeczywistości społecznej naszego kraju nie może prowadzić do wyrządzania krzywdy ludziom wierzącym poprzez kształtowanie w nich podwójnej moralności, podwójnego oblicza, poprzez stawianie ich wobec konieczności wyboru, między lojalnością w stosunku do socjalistycznego państwa, będącego ich dobrem i ostoją a lojalnością w stosunku do wiary i Kościoła.

Modnym stało się ostatnio mówienie o godności człowieka pracy. Rzecz w tym, że godność człowieka pracy stała się przedmiotem uwagi Kościoła dopiero wówczas, gdy socjalizm w Polsce stworzył materialne warunki, ustawowe ramy i faktyczne możliwości w tym zakresie, gdy człowiek pracy stał się współgospodarzem. Kiedy się słucha złych słów jednego z biskupów o „plugawych pieniądzach”, zarobionych w systemie czterozmianowym, to przychodzi chęć zapoznania się z równie soczystymi epitetami, wypowiedzianymi przez ludzi Kościoła pod adresem porządku społecznego, który charakteryzował się istnieniem biedaszybów: Co się wówczas działo z godnością człowieka pracy?

Wracając do jaskrawych przypadków łamania prawa w diecezji przemyskiej stwierdzono, że sam Episkopat stwarza dla nich grunt przez publikowanie niepowściągliwych, a fałszywych ocen.

Kardynał usiłował bronić ordynariusza sugerując, że jest on stawiany w sytuacji przymusowej przez tradycyjnie radykalnych mieszkańców ziemi rzeszowskiej i przemyskiej, zaspokajających „na własną rękę” potrzeby, których władze nie respektują; postu-

48. Franz König (1905-2004) – biskup koadiutor Sankt Paten (1952), arcybiskup Wiednia (1956), kardynał (1958), wikariusz wojskowy Austrii (1959-1968), prezydent Sekretariatu ds. Niewierzących (1965-1980). Jeden z architektów tzw. polityki wschodniej Watykanu, rzecznik ekumenizmu.

lował uznanie rzekomych zasług Tokarczuka w walce z panoszącą się coraz bardziej „ukrainizacją” tych terenów. Ta propozycja ocen i wyjaśnień została odrzucona w dłuższym wywodzie, uwypuklającym złą wolę, decydującą rolę inspiratorską i organizatorską bpa Tokarczuka, atmosferę moralnego terroru, jaką wprowadził w szeregach duchowieństwa. Radykalizm przedwojennej wsi rzeszowskiej wyrastał na podłożu krzywdy społecznej i ucimienienia klasowego – kreowane przez Tokarczuka awanturnictwo i bezprawie nie ma innego podłoża jak fanatyzm religijny. Zdziwienie budzić musi postawa Przewodniczącego Episkopatu, który faktycznie aprobuję bezprawie, choć musi mieć świadomość, jak wielkie zagrożenie całokształtu stosunków wyznaniowych niesie ono ze sobą.

Kardynał oświadczył, że „ma nadzieję spacyfikować bpa Tokarczuka” i że „pewne tego symptomy wystąpiły wczoraj na posiedzeniu Rady Głównej Episkopatu”.

Podkreślono ponownie, że tolerowanie atmosfery terroru moralnego zmierzającego do łamania rządów prawa – obciąża stosunki państwo – Kościół. Oczekujemy nadal jeszcze na działania kierownictwa Episkopatu, choć wyroki już zapadły. Pamięć o śmiertelnych ofiarach z Bud Łańcuckich⁴⁹ z jednej strony, pozytywne doświadczenia ze Starej Wsi⁵⁰ i kościoła Saletynów w Rzeszowie⁵¹ mogą być pomocne.

Kardynał poinformował, że bp Dąbrowski został zobowiązany na posiedzeniu Rady Głównej do załagodzenia kontrowersji wokół przebudowy węzła komunikacyjnego w Częstochowie – zgodnie z postulatami władz.

L. Atmosfera spotkania była przyjazna i życzliwa.

Kardynał, odmiennie niż w poprzednich rozmowach, nie dramatyzował sytuacji rynkowej, uciążliwości kolejek etc. Z pewną dociekliwością wypytywał o treść wytycznych zjazdowych

49. W czasie prac remontowych przy kościele w Budach Łańcuckich „nieznani sprawcy” zniszczyli szalunki, co spowodowało wypadek. Byli zabici i ranni. Tamtejszy proboszcz otrzymał wyrok pozbawienia wolności za niedopatrzenie robót. Istnieją przesłanki, że incydent mógł być spowodowany przez aparat policyjny w celu zdyskredytowania bpa Tokarczuka.

50. Nie udało się ustalić, co Kąkol miał konkretnie na myśli.

51. Jest to najpewniej nawiązanie do wydanej przez władze zgody na budowę tego kościoła (1978).

– informację o rzetelnej pracy komisji zjazdowej, dochodzeniu do uzgodnień poprzez rzeczywiste ścieranie poglądów i stanowisk przyjął z wyraźnym zadowoleniem.

Wielokrotnie nawracał do oceny roli i postawy Jana Pawła II, jego znaczenia dla narodu polskiego – nie protestował przeciw interpretacji eksponującej jego zasługi w wytyczaniu szlaków rozwojowych aktualnego Papieża.

Demonstrował bardzo zdecydowany pogląd na temat stosunku do wielkich sąsiadów ze Wschodu i Zachodu. Niemcy „jak długo podzieleni, tak długo [będzie] spokój”. Ponadto: „Jestem wyznawcą tej tezy, że na dwa fronty nam walczyć nie wolno. Niemcom nigdy wierzyć nie można. Sprawa jest więc jasna”. Z tezy o eksploatowaniu Polski przez ZSRR wycofał się natychmiast, po pierwszych zdaniach kontrujących.

Zjawisko dysydemizmu uważa za groźniejsze w każdym innym kraju socjalistycznym, niż w Polsce. Sądzi, że funkcjonowanie Kościoła przez lat 35 stanowi dowód przeciw twierdzeniom dysydentów.

Pół żartem, pół serio oświadczył, że oczekuje zaproszenia do Zagorska⁵². „Jeśli był tam Bengsch⁵³, Tomašek⁵⁴, a teraz pojechał Lekai⁵⁵, to chyba i mnie się zaproszenie należy”.

Archiwum Akt Nowych, sygn. AAN, Zespół: KC PZPR XI/887, k. 93-103

52. Zagorsk (Siergijew Posad) – miasto w Rosji z ławrą Troicko-Siergijewską założone XIV w. przez św. Sergiusza Radonieżskiego (patrona Rosji); w soborze Troickim przechowywane są jego relikwie.

53. Alfred Bengsch (1921-1979) – bp pomocniczy Berlina (1959); abp metropolita Berlina Zachodniego (1961); uczestnik Soboru Watykańskiego II; kardynał (1967).

54. František Tomášek (1899-1992) – potajemnie wyświęcony na biskupa (1949); internowany (1951-1954); uczestnik Soboru Watykańskiego II; administrator apostolski archidiecezji praskiej (1965); kardynał *in pectore* (1976); odmówił podpisania Karty 77; abp Pragi (1977).

55. László Lekai (1910-1986) – radca biskupi i proboszcz w Muraresztur (1944); sekretarz (1944-1945) Józsefa Mindszenty'ego; więziony przez gestapo i ekipę Szálasi'ego; po uwięzieniu Mindszenty'ego usunięty z kurii biskupiej w Veszprém; administrator apostolski diecezji veszprémskiej (1972), a wkrótce jej koadiutor; uruchomił Wydział Korespondencyjny Akademii Teologicznej w Budapeszcie; abp budapeszteńsko-ostrzyhomski (1976), kardynał, prymas Węgier (1976-1986), oskarżany o współpracę z aparatem policyjnym.

Bolesław TABORSKI

ZACHARSKI, JAMES BOND CZY FIKCJE?

Czy nie uważa Pan, Krzysztofie Tarka – a piszę do Pana wprost, bo w trzeciej osobie jakoś się rozmijamy – że czas już kończyć prowadzące donikąd wywody o „grze”, w jaką się rzekomo uwikłałem z „komunistycznym wywiadem”. Gdyby istotnie tak było, musiałbym coś o tym wiedzieć. *Nota bene*, zgodnie z zasadą prawną w Anglii i w większości krajów cywilizowanych, „czynem zdrożnym” jest taki, którego dopuszczamy się świadomie. Jeśli zaś ów wywiad usiłował taką grę ze mną prowadzić, to robił to jedynie w swojej i swoich zwierzchników wyobraźni i w pokrętnych machinacjach. „Sprawy Taborskiego” – zapewniam Pana – nie ma i nie było. Nikt mi takowej nie wytoczył, chyba że Pan to właśnie czyni – na własny użytek. „Źródła”, na których Pana twierdzenia się opierają, są bezwartościowe bez względu na to, czy nazwać je „raportami agentów” (przepraszam, oficerów wywiadu – w Pana nazewnictwie), czy notatkami „pisanymi na bieżąco” po rozmowach ze mną, których nie było, czy „sprawozdaniem konsularnym”, do niczego nie doprowadzą, bo w braku obiektywnych, autentycznych dokumentów niczego nie udowadniają. Właśnie Pan powinien wiedzieć, że ustalanie prawdy historycznej nie opiera się na „spiskowej teorii świata” czy donosach szpiegów.

Widzę, że ograniczył Pan swoje wywody z 55 do 5 stron i że z niektórych zarzutów się wycofał. Ja ograniczę się do wyjaśnienia i sprostowania pewnych spraw w których, być może nie-

świadomie, rozmija się Pan z prawdą. Dorzucę natomiast inny trop, którego Pan nie wykorzystał. Znajomy, którego – jak się po latach dowiedziałem – zmuszono do współpracy z wywiadem PRL w okresie, którym się Pan zajmuje, ostrzegł mnie, że jestem inwigilowany przez ów wywiad, uważający mnie za szpiega brytyjskiego (opisałem to w „Gazecie Wyborczej” z 7 lipca 1992). Może zechce Pan zbadać, czy komunistyczny wywiad upatrywał we mnie kandydata na drugiego Zacharskiego, czy też Jamesa Bonda. A może – jak ja uważam – obie te ewentualności pozostawały w sferze fikcji.

Punktów do wyjaśnienia w Pana „odpowiedzi na odpowiedź” pozostaje sporo, ale ograniczę się do najważniejszych.

Jest mi przykro, że napisał Pan: „dla historyka dokumenty wytworzone przez tajne służby są bardzo cennym, a w dużym stopniu wiarygodnym źródłem”. Wynika z tego, że Pan komunistycznym szpiegom wierzy, uznając ich za głosicieli prawdy. Wierząc im, czyni Pan ze mnie kłamcę, którym nie byłem i nie jestem. A iloma zaletami odznaczają się te „wiarygodne” raporty, zdaniem Pana „mające niepropagandowy charakter, bo przeznaczone były wyłącznie do użytku wewnętrznego”. No nie, Pan chyba żartuje. Chciałbym w tym miejscu przypomnieć artykuł profesor Wiktorii Śliwowskiej *Dr Jekyll i Mr IPN* w „Gazecie Wyborczej” z 13 VI 2009. „Nie ufaj donosicielom, nie przepisuj bezkrytycznie materiałów śledczych, nie powtarzaj plotek bez komentarza” i nie uważaj, że każde „słowo ubeka jest święte i nie podlega żadnej weryfikacji”. „Ofiarami padają osoby zasłużone, tylko dlatego, że obsmarował je jakiś łobuz z tajnych służb”. Gratuluję pracowitości w „uwierzytelnianiu” tej licznej zgrai pracowników służb, uprawiających swój proceder na koszt zastraszonego, ubogiego polskiego społeczeństwa.

W swoim tekście poucza mnie Pan, że „historyk ma analizować fakty i opisywać przeszłość taką, jaka ona była”, „bo tylko prawda jest ciekawa”. Ja kieruję się wskazaniem lepszego nauczyciela, który powiedział: „Prawda was wyzwoli”. Natomiast „prawda” tych „oficerów” prowadzi do zniewolenia. Zniewolenia umysłu, który takim „prawdom”, kreowanym „do użytku wewnętrznego”, zawierzył. Proszę mi też nie imputować, że w cytatach z moich dzienników stosowałem jakąś cenzurę. Zapisywałem to, co danego dnia się wydarzyło (poza czynno-

ściami biologicznymi i rutynowymi), i jeśli nie piszę, że było spotkanie z X, to znaczy, że go nie było.

Zdumiała mnie Pana relacja z wizyty u mnie – jej opis i domniemane moje motywacje. Twierdzi Pan, że unikałem odpowiedzi na Pana pytania, co jest nieprawdą. Rzecz w tym, że Pan oczekiwał po prostu potwierdzenia swych z góry przyjętych założeń, a moje odpowiedzi nie szły po Pana myśli. Nie wiedziałem, po co Pan właściwie do mnie przychodzi. Gdy zorientowałem się, że nic Pan o mnie nie wie, coś o swoich pracach literackich opowiedziałem. Założyłem, okazało się – niesłusznie, że interesuje Pana moja twórczość, więc dałem Panu najnowszy tom wierszy, z dedykacją. Tak, dla mnie rozmowa była podobnie nieudana jak dla Pana. Niezgodnie z prawdą, powiedział Pan, że pisze artykuł, a więc jeden, o próbach penetrowania emigracji przez wywiad PRL, a nie, że będzie to rzecz tylko o mnie. Ośmieliłem się zaprzeczyć Pana insynuacjom (niestety tak muszę to określić), jakobyem wyłączył się z emigracji czy współpracował z podejrzanym pismem „Odgłosy”. Nawet teraz, po sprawdzeniu, że tak nie było, twierdzi Pan, że nie opublikowałem „pod swoim nazwiskiem ani jednego artykułu”, sugerując tym samym, że być może pod kryptonimem, na przykład. Nie, proszę Pana. Píše Pan dalej o „sprawozdaniu konsularnym” i zawartym tam planie, „ni z gruszki ni z pietruszki”, przyciągnięcia jakichś pisarzy, w tym mnie. I jeszcze Pan dodaje, że jakiś „pech” mnie prześladuje w związku z tym. Tak, mój pech polega na tym, że mnoży Pan bezpodstawnie jakieś bzdury na mój temat. Píše Pan ponadto, że byłem „bardzo miły i uprzejmy” względem Pana, w nadziei, że dzięki temu Pan źle o mnie nie napisze. Przecież nie zakładałem jakichś Pana złych intencji. Uprzejmość brała się stąd, że był Pan gościem u mnie i nie wiedziałem, że zamierza Pan być intruzem w moim życiu, np. na podstawie – uśmieć się można – „sprawozdania konsularnego AMSZ, Dept. Konsularny 17/72 w. 5”, które zapewne dla Pana coś znaczy, ale dla mnie – absolutnie nic. „Wyrzuca mi” Pan nawet, że odprowadziłem Pana na przystanek. Dziwne, prawda? Ale wie Pan, byłem tak wychowany, że skoro miał Pan wkrótce pociąg, a nie znał tej dzielnicy, przyzwoitość kazała mi dopilnować, by nie wsiadł Pan do złego tramwaju.

Ma Pan czelność (niestety, muszę to tak określić) twierdzić,

że w swoich licznych wypowiedziach (jak Pan to określa) nie wspominałem o kontaktach z wywiadem. Bo ich NIE BYŁO. Aby się tym „chwalić”, musiałbym wiedzieć, że np. urzędnicy, którzy załatwiali mi wizy, są „wywiadowcami”. Natomiast uwzględnienie moich pretensji o konfiskowanie przesyłek, dzięki którym antykomunistyczna powieść Grahama Greene’a i mój tomik z wierszem *Na śmierć robotników w Poznaniu* dotarły do Polski kurierem dyplomatycznym w większej ilości egzemplarzy, uważam, raz jeszcze powtórzę, za swój sukces.

Ponieważ nadal nie chce Pan przyjąć do wiadomości, że moi zwierzchnicy w BBC nigdy nie zarzucali mi kontaktów z konsulatem PRL, a jako rzekomy dowód zadaje Pan retoryczne pytanie, dlaczego szef RWE napisał list do mojego szefa, odpowiadam, że jego list dotyczył innej sprawy. Nowak (wówczas nie nazywający się Jeziorańskim) obraził się, że źle wyraziłem się o jego instytucji w pierwszym numerze „Kontynentów”, a miał też zastrzeżenia, co do moich tekstów publicystycznych. Mój szef bynajmniej się tym nie przejął.

I tu wracamy do grupy „Kontynentów”, która Pana tak interesuje. Wspomniałem już – w odpowiedzi na Pana pierwszy tekst – że przypisuje mi Pan różne „okropności” i sensacje, których autorem, czy przekąźnikiem, był agent wywiadu w redakcji – kryptonim „Charles”. W przeciwieństwie do oficerów wywiadu, których nazwiska Pan podaje zwykle po zakończeniu ich „misji”, nie jest Pan w stanie go rozszyfrować. Ja mogłbym to zrobić bez szczególnych trudności, ale donosów nigdy nie robiłem i robić nie będę, nawet w obronie własnej, bo tym się brzydzę. Powiem tylko, że nie był to nikt z członków zespołu redakcyjnego. Ale w pewnym sensie szczęście Panu dopisało, bo znalazł Pan krytyczne opinie o mnie, wypowiedziane po upływie pół wieku (w r. 2006) przez dwóch, nieprzychylnych mi, członków dawnej grupy i na tej podstawie określa Pan mój stosunek do kraju. Nie będę się w to wdawał, ale kwestionuję dwa fragmenty wypowiedzi byłych kolegów. Mówiąc o „pożeraczach pocztowych”, konfiskujących posłane do kraju książki, miałem na myśli komunistycznych oficjeli, a nie jakichś zgłodniałych zjadaczy papieru.

Ważniejsza jest druga sprawa. Odrzucam stanowczo twierdzenie, jakobym miał być „negatywnie nastawiony do takich

«katolickich prawicowców» w redakcji, jak Śmieja». Katolikiem byłem sam i niektórzy koledzy zarzucali mi, że obficie niż z „Merkuriuszem” współpracuję z pismami katolickimi. Floriana Śmieję uważałem za najlepszego z kolejnych redaktorów naczelnych i do dziś jest on moim przyjacielem. Już po rozpadzie grupy prowadziłem jego wieczór w Związku Pisarzy za czasów Józefa Garlińskiego, a ostatni numer „Kultury” z roku 2000 zawiera naszą rozmowę, *nota bene* pod tytułem *Inna wersja emigracji*.

W tekście swoim uporczywie powtarza Pan, że miałem kontakty z wywiadem, opierając się na „wiarygodnych” dla Pana twierdzeniach ludzi, którzy ukrywali się pod kryptonimami, i na jakichś absurdalnych „sprawozdaniach konsularnych”. W jednym z nich czytamy, że „grono pisarzy i poetów” (w tym także ja) zerwało z emigracyjnym Związkiem Pisarzy. W istocie większość z nas w ogóle do Związku nie należała, ale stosunki np. z prezesem Tymonem Terleckim zawsze były dobre i urządzaliśmy imprezy pod jego egidą. Sam jestem dwukrotnym laureatem Związku: nagrody młodych i nagrody za całokształt twórczości.

Najwyższy czas kończyć tę ciuciubabkę, którą zapewne uważa Pan za ważne, zawodowe osiągnięcie, a ja – niestety – za bicie piany. Proszę przyjąć do wiadomości, że nie mam „plamy na życiorysie” i niczego się wstydzić nie muszę. W każdym razie dziękuję za ostatnią linijkę tekstu, w której był Pan łaskaw przyznać, że mam jakieś „zasługi, dokonania i dorobek życiowy”. Więc jednak w czymś się zgadzamy. Dobre i to – na pożegnanie, bo więcej odzywać się do Pana na tych łamach nie zamierzam.

Bolesław TABORSKI



Repliką B. Taborskiego dyskusję zamykamy:

K. Tarka, *«Życie i kraj»*. «Causus» Bolesława Taborskiego, z. 166 (2008), s. 3-57;

B. Taborski, *Nie będę ofiarą mitomanów!*, z. 167 (2009), s. 168-181;

K. Tarka, *Sprawa Taborskiego jednak jest*, z. 168 (2009), s. 223-227.

REDAKCJA

W OBRONIE PUŁKOWNIKA PILOTA ROMANA RUDKOWSKIEGO (1898-1954)

Artykuł Władysława Bułhaka pt. *Wokół misji Józefa H. Retingera do kraju. Kwiecień-lipiec 1944 r.* („Zeszyty Historyczne” 2009, z. 168, s. 3-80) poruszył sprawę rzekomych prób zamachu na płk. pil. Romana Rudkowskiego. Informacje te, podane w kontekście neutralizowania działalności Józefa Retingera, mogą być odebrane jako przedstawiające w niekorzystnym świetle c.c. „Rudego”, co byłoby dużą krzywdą, wyrządzoną temu niezwykłemu człowiekowi. Jego życie przedstawia się pokrótce następująco:

Roman Rudkowski urodził się 12 V 1898 r. w Przemyślu, w rodzinie kolejarskiej. W 1914 roku zgłosił się do Legionów Polskich, gdzie służył początkowo jako strzelec, a potem awansowany trafił do oddziału rozpoznawczo-dywersyjnego. W grudniu 1914 r. wzięty do niewoli, 15 miesięcy później zbiegł z obozu i włączył się w działalność wywiadowczą na terenie Rosji. Od 1917 r. w II Korpusie Polskim, wzięty do niewoli ukraińskiej uciekł do kraju, za zasługi w walkach z bolszewikami został odznaczony Srebrnym Krzyżem Orderu Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych. Od 1924 r. służył w lotnictwie. Wyszkolony jako pilot myśliwski, przeszedł przez różne szczeble dowodzenia, dochodząc do stanowiska dowódcy stacjonującego w Bydgoszczy II Wydzielonego Dywizjonu Towarzyszącego w Bydgoszczy. Funkcji tej nie należy nie doceniać. Rudkowski, jako współpracownik Oddziału II, musiał być intensywnie zaangażowany w działalność wywiadowczą, wiążącą się z lotami szpiegowskimi nad terytorium Niemiec. Tuż przed wybuchem wojny, jego jednostka została rozwiązana, a on sam przeniesiony do bezpośredniej dyspozycji dowódcy lotnictwa. Ewakuowany, znalazł się w Wielkiej Brytanii, gdzie wziął czynny udział w formowaniu polskiego lotnictwa. Był pierwszym dowódcą 301 Dywizjonu Bombowego Ziemi Pomorskiej. W lipcu 1941 r. zgłosił się

do służby dla kraju i we wrześniu tego roku, został zaprzysiężony jako oficer Oddziału VI Sztabu Naczelnego Wodza. W nocy 7/8 XI 1941 r. wziął udział w pierwszym polskim locie do kraju, który z powodu awarii samolotu zakończył się krótkim internowaniem załogi w Szwecji. W czerwcu 1942 r., odszedł na szkolenie konspiracyjne i w nocy 25/26 I 1943 r., został zrzucony do kraju, gdzie został szefem Wydziału Lotnictwa Oddziału III Sztabu KG AK.

Do Wielkiej Brytanii powrócił opisywanym „Mostem II”. Na terenie wysp prowadził intensywne działania na rzecz zorganizowania, niezależnej od Brytyjczyków, łączności lotniczej z krajem. Po wybuchu powstania warszawskiego usiłował, bez powodzenia, zorganizować pomoc lotniczą, ewentualnie doprowadzić do buntu jednostek Sił Powietrznych¹. Równocześnie prowadził kampanię na rzecz wysłania do Polski brytyjskiej misji wojskowej. Starania te zmateriałyzywały się w postaci operacji „Freston”, w zgodnej opinii, ważnej i potrzebnej, ale podjętej zbyt późno i przez to nie mającej zbyt dużego wpływu na dalszy rozwój wydarzeń. W związku z przygotowaniami do tej misji, „Rudy” ponownie skoczył do kraju w nocy 16/17 X 1944 r. (wtedy miało dojść do opisywanego zamachu) jako emisariusz Szefa Sztabu NW z szerokimi pełnomocnictwami, m.in. w zakresie dowodzenia Armią Krajową i działalności Delegatury Rządu. Podczas pobytu w kraju organizował kolejną operację „Most IV”, która została w ostatniej chwili odwołana (samolot z polską załogą został zawrócony znad Jugosławii). Brał czynny udział w działaniach likwidacyjnych AK. Za zasługi wojenne został odznaczony Złotym Krzyżem Orderu Virtuti Militari. Po wejściu Armii Czerwonej, w marcu 1945 r. został aresztowany, ale w wyniku interwencji, zwolniony latem 1946 r. Po wybuchu fali aresztowań ukrywał się i w 1949 r. zdecydował się na ucieczkę z kraju. Wkrótce rozpoczął pracę dla Amerykanów, organizując grupę Polaków latających z bazy w Atenach ze zrzutami do Albanii, pod auspicjami Office of Policy Coordination, później wchłoniętego przez CIA. I tu dał się ponownie poznać jako zde-

1. Szersze omówienie tego tajemniczego okresu w: P. Sikora, *Loty których nie było*, „Lotnictwo z Szachownicą” nr 4/2008 – cz. I, nr 5/2008 – cz. II.

cydowany i dzielny oficer. 10 XI 1950 r., tuż przed odlotem do pierwszej operacji, gdy załoga i skoczkowie zajęli miejsca w samolocie, Rudkowski jeszcze raz wszedł na pokład, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku i pożegnać się z załogą. Ku zaskoczeniu Amerykanów, wydał pilotowi rozkaz natychmiastowego startu. Misja niestety zakończyła się niepowodzeniem, ale przy okazji dobitnie ukazała cechy charakteru Rudkowskiego. Później Rudkowski mieszkał w Londynie, zajmując się sprawami organizacyjnymi i werbunkiem lotników do rozwijającego się oddziału. Zmarł tamże, 14 III 1954 r. w wieku blisko 56 lat.

Jak widać z powyższego, Rudkowski był osobą oddaną sprawie polskiej, ale przede wszystkim niezwykle doświadczoną w pracy wywiadowczej. Tym bardziej sensacyjnie brzmi wspomniana przez autora notatka płk. Kazimierza Iranka-Osmeckiego i dlatego warto ten dokument dokładniej omówić. Trzystronicowa notatka opisuje wojenną działalność płk. pil. Rudkowskiego i jego zasługi. Dopiero na końcu dokumentu znajdują się dwa krótkie fragmenty, jeden niewątpliwie pochodzący od samego Iranka-Osmeckiego, a opisujący feralny skok ppłk. Krizara, i drugi, będący efektem rozmowy z kpt. Tadeuszem Gaworskim podczas spotkania Koła Cichociemnych Spadochroniarzy AK. Warto tu nadmienić, że zebranie miało miejsce 6 VI 1954 r., trzy miesiące po śmierci płk. pil. Rudkowskiego i można się domyślać, że był to jeden z głównych tematów rozmów. Wedle mojej wiedzy, Tadeusz Gaworski nigdy nie wspominał o tym wydarzeniu swoim najbliższym znajomym i jedynym znanym świadectwem jest właśnie ta notatka.

Treść stosownego fragmentu została już przytoczona przez Władysława Bułhaka, więc pozwolę sobie przejść bezpośrednio do omówienia wątpliwości.

Przede wszystkim, uwaga Iranka (s. 67) o związku z misją Retingera wydaje się bezzasadna. Istotą jest wskazanie Brytyjczyków („Był on związany różnymi więzami z Anglikami”), bądź na środowisko skupione wokół J. H. Retingera („Ppor. Jerzy Zubrzycki jest siostrzeńcem Józefa Hieronima Retingera”), ewentualnie obu tych ośrodków. Także próba oddzielenia tego wydarzenia od sprawy ppłk. Krizara wydaje się bezzasadna. Okres dwóch lat, dzielących oba wydarzenia, może być istotnie określony jako epoka w okresie wojny, przy zmiennej sytuacji na

froncie, ale odniesiony do środowiska politycznego, którego czas liczy się w dziesiątkach lat, nie ma żadnego znaczenia.

Kolejna sprawa, to opinia ppor. Jerzego Zubrzyckiego (s. 69), iż „Rudy” jest leniem, pijakiem, warchotem oraz osobą szkodzącą swym awanturnictwem stosunkom polsko-angielskim. Autor wykazał w sposób nie budzący chyba żadnych wątpliwości, że słowa przytaczane przez Gaworskiego, zarówno w rozmowie z Irankiem-Osmeckim, jak i w meldunku dla płk. Protasewicza, odzwierciedlają rzeczywiste poglądy Zubrzyckiego. Istotne jest pytanie, do jakiego stopnia owa opinia jest (jak słusznie zauważa autor) niesprawiedliwa. Rudkowski rzeczywiście pił dużo, ale trudno to uznać za coś niezwykłego czy w jakiś szczególny sposób dyskwalifikującego, o ile, rzecz jasna, nie wpływa na jakość wykonywanych obowiązków. Ważniejsze jest twierdzenie, że Rudkowski, poprzez swoje zachowanie, utrudniał, a wręcz sabotował organizację pomocy lotniczej dla kraju. By do tego zarzutu się odnieść, należy pokrótce omówić próby ustalenia łączności z okupowanym krajem.

Do pierwszego lotu do Polski doszło w dniu 26 IX 1939, gdy załoga w składzie: pilot ppor. rez. inż. pil. Stanisław Riess i strzelec kpr. strz. rtg. Władysław Urbanowicz oraz pasażerowie mjr Edmund Galinat i Wacław Hackiewicz, wykonała przelot z lotniska Bukareszt Baneasa na Pola Mokotowskie w Warszawie. Mjr Galinat przywiózł rozkaz konstytuujący powstanie SZP pod kierownictwem gen. Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego. Potem, z przyczyn obiektywnych, prace organizacyjne związane z uruchomieniem łączności lotniczej musiały być wstrzymane i ruszyły dopiero wiosną 1940 r. Początkowo planowano loty z Francji i z Węgier, i pod tym kątem rozpoczęto starania o pozyskanie odpowiednich samolotów, gdyż te, będące w dyspozycji rządu, uznano za nienadające się do stawianych zadań. Próby te zostały zignorowane przez naszych sojuszników, co (tylko) częściowo można usprawiedliwić ich trudną sytuacją sprzętową. Rozwój wypadków na froncie zachodnim i pogarszająca się sytuacja Francji, zmusiły Brytyjczyków do rewizji swojego stanowiska. Już w lipcu 1940 r. powołano SOE, zaś w we wrześniu powstała jego polska sekcja, która nawiązała bezpośrednią współpracę z Oddziałem VI Sztabu Naczelnego Wodza, czyli Wydziałem Krajowym. Do obsługi połączeń lotniczych utworzono

419 Flight (eskadrę), wkrótce przemianowaną na 1419 Flight, a w 1941 r. rozwiniętą do etatu dywizjonu jako 138 Squadron. Jednostka formalnie podlegała Bomber Command (lotnictwu bombowemu), była jednak pod bezpośrednim zwierzchnictwem SOE. Wobec zdecydowanej odmowy Brytyjczyków przekazania Polakom kilku samolotów do ich wyłącznego użytku, na tej jednostce spoczęły zadania przerzutu lotniczego do Polski, w ten sposób uzależniając całą pomoc dla podziemia od dobrej woli SOE.

Współpraca na początku szła bardzo opornie. 20 XI 1940 r. pilot brytyjski, tuż przed startem, odmówił lotu do Polski ze względu na zbyt mały zapas paliwa. Okazało się, że strona brytyjska nie poinformowała strony polskiej o wszystkich czynnikach niezbędnych do zaplanowania i przeprowadzenia operacji. Dodatkowo, plan lotu opracowano w ostatniej chwili i po uwzględnieniu obrony przeciwlotniczej Zagłębia Ruhry, planowana trasa znacząco się wydłużyła. W obecnym stanie wiedzy nie sposób ocenić, czy był to efekt złej woli Brytyjczyków, czy też wynik panującego u nich kompletnego bałaganu. Do pierwszej operacji doszło dopiero 15/16 II 1941 r., przy czym okazała się ona porażką – skoczków zrzucono omyłkowo na terenie III Rzeszy i utracono ładunek. Starania strony polskiej o przydzielenie lepszych samolotów i polskich załóg zignorowano, co ponownie, tylko częściowo, można wyjaśnić trudnościami obiektywnymi. Do kolejnej (wzmiankowanej wyżej) operacji doszło w nocy 7/8 XI 1941 r., kiedy to dokonano udanego zrzutu, ale za cenę utraconego z powodu awarii samolotu.

Wydarzenia podczas następnej operacji o mało nie doprowadziły do zawieszenia lotów do Polski, a kluczową rolę w nich pełnił właśnie Rudkowski. Kraj zadepeszował rozpoczęcie czuwania od 28 XII, tymczasem zupełnie niespodziewanie, w południe 27 XII, przyszedł rozkaz z Air Ministry, nakazujący wykonanie operacji bieżącej nocy. Szef Oddziału VI, ppłk dypl. Tadeusz Rudnicki, który dopiero co objął nowe stanowisko po przyjeździe ze Szwecji, wyraził zgodę. Gdy zorientował się w sytuacji, próbował zapobiec operacji, wyrażając swój sprzeciw. Ppłk pil. Rudkowski także usiłował zablokować start samolotu, nakazując załodze por. obs. Mariusza Wodzickiego zgłoszenie problemów technicznych, ewentualnie zawrót z trasy, z po-

wodu brzydkiej pogody, ale bezskutecznie – Halifax wystartował o 21.20, z sześcioma skoczkami na pokładzie. Zrzut został omyłkowo wykonany po złej stronie Bzury, na terenie wcielonym do Rzeszy. W efekcie, cały bagaż wpadł w ręce Niemców. Czwórka skoczków pod dowództwem mjr. Macieja Kalenkiewicza przebiła się z licznymi przygodami na teren Generalnej Guberni i nawiązała kontakt z AK. Niestety, pozostała dwójka skoczków, dowódca grupy, rtm. Marian Jurecki „Orawa” i kpt. Andrzej Świątkowski „Amurat” poległ w walce z niemiecką obławą. Co gorsza, „Orawa” miał przy sobie pocztę, której przechwycenie doprowadziło do szeregu aresztowań i likwidacji licznych lokali konspiracyjnych. Zrządem losu, uniknięto większej tragedii, gdyż załoga Halifaxa zaryzykowała lot krótszą trasą nad Niemcami i lądowała w bazie po blisko 12 godzinach, ponoć ku całkowitemu zaskoczeniu *Wing Commandera* (płk. lot.) Waltera Ronalda Farleya².

Obserwując przebieg tej operacji nie sposób się oprzeć wrażeniu, że komuś zależało na storpedowaniu lotów do kraju. Strona polska została postawiona w sytuacji, w której jej sprzeciw wykonaniu operacji mógł posłużyć za argument wstrzymania lotów, zaś zgoda niosła takie samo zagrożenie w wypadku wysoce prawdopodobnego niepowodzenia misji. Parę dni później, 30 XII 1941, major Wilkinson poinformował ppłk Tadeusza Rudnickiego, iż SOE uważa za niepraktyczne formowanie polskiej jednostki przy tak małej liczbie lotów do Polski.

Swoistą ironią jest fakt, że jednym ze skoczków był... ppor. Tadeusz Chciuk „Celt”, zaś stosowny raport, pełen niezwykle krytycznych uwag wobec Brytyjczyków, sporządził nie kto inny tylko kpt. Jan Jaźwiński³.

Polska jednostka ostatecznie powstała blisko dwa lata później i istniała niecałe półtora roku, zbyt krótko i zbyt późno, by wpłynąć na przebieg wydarzeń. Do samego końca jej istnienia nie udało się nawiązać planowanej, regularnej łączności z krajem, przy czym przeszkody nie zawsze miały charakter obiektywny.

Niewątpliwie istotną rolę w negatywnej opinii o płk. pil.

2. K. Bieniecki, *Lotnicze wsparcie Armii Krajowej*, Kraków 1994, s. 32-34; J. Tarczyński, *Organizacja zrzutów materiałowych dla Armii Krajowej*, Londyn 2001, s. 53-58.

3. K. Bieniecki, *op.cit.*, s. 32-34; J. Tarczyński, *op.cit.*, s. 53-58.

Rudkowskim mógł odgrywać konflikt pokoleń, który także leżał u zarania ruchu „młodoturków” czy „chomików”. W 1943 r., gdy Zubrzycki rozmawiał z Gaworskim, miał ukończone 22 lata. Prawie 45-letni Rudkowski w tym momencie miał za sobą blisko 29 lat różnego rodzaju związków z organizacjami wywiadowczymi. Obserwując listę kontaktów „chomików”, nie sposób nie dojść do wniosku, że środowisko to cechowało się brakiem jakiegokolwiek wyrobienia politycznego⁴. Można odnieść wrażenie, że w swej naiwności byli wykorzystywani do różnych rozgrywek, w efekcie wbrew ich woli, osłabiających pozycję Polski.

W świetle powyższego, informacja o skardze Zubrzyckiego na Rudkowskiego brzmi nieco kuriozalnie i wygląda raczej na próbę skompromitowania go za wszelką cenę.

Nota bene, warto zauważyć, że opisywane wydarzenia miały miejsce przed drugim lotem płk. pil. Rudkowskiego do kraju. Pierwszy, który odbył się nocą 29/30 X 1942 r. zakończył się niepowodzeniem, gdyż placówka nie odpowiedziała ustalonym sygnałem, zaś skoczkiwie zdecydowanie odmówili wykonania skoku na placówkę zapasową. Pozornie mało istotne wydarzenie nabiera w tym świetle znaczenia.

Z kolei fragment notatki, dotyczący drugiego skoku Rudkowskiego, pochodzi z opisu samego płk. Iranek-Osmeckiego.

„Szefem ekipy do której włączono płk. Rudkowskiego był ppłk. Kryzar [*sic!*]. Spośród członków ekipy kpt. Brunona Nadolczaka wyznaczono na adiutanta płk. Rudkowskiego. Szef ekipy ustalił kolejność skoków, przybysz płk. Rudkowski miał być numerem 5-ym, a kpt. Nadolczak 6-ym. Gdy płk Rudkowski przybył na lotnisko objął przewodnictwo ekipy i zmienił kolejność skoków. Sam miał skakać jako nr 1, kpt. Nadolczak jako numer 2, a dla ppłk. Kryzara przeznaczył nr 5-ty.

Zrzut odbył się poprawnie na placówkę w Małopolsce, opodal Tarnowa. Po podjęciu zrzutu brak było ppłk. Kryzara. Po przeszukaniu terenu, znaleziono go z dala od placówki martwego, nabitego na złamaną sosnę. Stwierdzono po zbadaniu, że spadochron nie otworzył się i to spowodowało śmierć ppłk. Kryzara”⁵.

4. J. Tucholski, *Spadochroniarze*, Warszawa 1991, s. 61.

5. Studium Polski Podziemnej, Londyn, sygn. TP3, K. Iranek-Os-

Nie są znane szczegóły dochodzenia, jakie niewątpliwie musiało być przeprowadzone, stąd dokładna przyczyna zablokowania procesu otwarcia jest nieznana. Wypadki tego typu zdarzają się, a ich najczęstszą przyczyną jest owinięcie taśmy desantowej o ciało skoczka w ten sposób, że końcówka przymocowana do spadochronu nie przekazuje siły, niezbędnej do jego otwarcia. Rzadko spotykane jest omyłkowe przełożenie taśmy desantowej pod taśmą nośną, które zresztą powinno być wykryte podczas kontroli przed skokiem. Innym powodem może być błędne ułożenie zawleczek blokujących pokrowiec spadochronu, ale do tego musiałoby dojść podczas układania i magazynowania spadochronu. Oczywiście, taka przyczyna byłaby łatwa do wykrycia i automatycznie wykluczyłaby rzekomy zamach na płk. pil. Rudkowskiego. Zakładając, że doszło jednak do zamachu na „Rudego” w okolicznościach opisanych przez ppłk. Iranka-Osmeckiego, to musiał go dokonać wyrzucający, przekładając przed skokiem taśmę desantową pod taśmą nośną. On odpowiadał bowiem za bezpośrednie przygotowanie skoczków (podpięcie taśm desantowych, ostatnia kontrola sprzętu).

Poważne wątpliwości budzi opis wydarzenia, przypisywany załodze samolotu wykonującego rzut. Miała ona bowiem nie zauważyć, że płk Krizar zawisł za samolotem i odciąć rzekomo zaczepioną taśmę desantową. Jest to niemożliwe. Pilot samolotu musiał czuć na sterownicach, że za samolotem coś zawisło (podobnie jak kierowca wyczuwa np. buksujące koła). Wyrzucający powinien był zebrać taśmy desantowe do środka (w samolocie Liberator nie ma żadnych, wystających elementów, o które mogłyby one zaczepić), a w przypadku zawiśnięcia skoczka podjąć próbę wciągnięcia go z powrotem do kabiny. Ewentualne odcięcie taśmy mogło nastąpić tylko w przypadku niemożności podjęcia innych działań. Wyjaśnienie, że wyrzucający, ot tak, odciął taśmę, jest nie do przyjęcia.

Tak sformułowany zarzut, ciążyący na załodze por. obs. Stanisława Kleybora jest bardzo poważny. Sprawę należy bezwzględnie wyjaśnić, nie tylko mając na względzie badania historyczne, ale także dobre imię wyrzucającego, sierż. strz. Antoniego

mecki, Szczegóły lotów do Polski płk. Romana Rudkowskiego do dyspozycji gen. Tadeusza Pęcznińskiego.

Imielskiego i jego kolegów. Warto tu nadmienić, że oprócz drugiego pilota, wszyscy lotnicy byli odznaczeni Srebrnymi Krzyżami Orderu *Virtuti Militari*, byli więc doświadczeni i zasłużeni.

Pozostaje do wyjaśnienia pytanie, dlaczego płk Iranek-Osmecki taki zarzut postawił, jak również, dlaczego uwierzył w relację Gaworskiego. Na pewno płk. Iranek-Osmecki dysponował dużo lepszą wiedzą na temat ówczesnych stosunków, aniżeli historycy, którzy z reguły są skazani na domysły – takie sprawy rzadko znajdowały miejsce na papierze. Pewne sugestie może dać lektura wspomnień, w których płk Iranek-Osmecki opisuje swoje trudności (utrudnienia w organizowaniu przejazdów itd.), gdy pełnił misję kuriera, ale także sprawę swojego skoku do Polski, gdzie został skierowany na wyraźne życzenie gen. Grota Roweckiego. Nocą 13/14 III 1943 r., załoga kpt. obs. Bohdana Ławreńczuka, miała zrzucić ekipę skoczków na placówkę „Koza 608” 11 km na południe od Mińska Mazowieckiego. W rzeczywistości desantowano ich wprost na stację kolejową w Celestynowie. Cały ładunek wpadł w ręce Niemców, a skoczkowie tylko cudem uniknęli wpadki. Według Iranka-Osmeckiego, przeprowadzone dochodzenie wykazało, że załoga nie mogła pomylić charakterystycznej strefy zrzutu i o wszystkim powiadomiono władze w Londynie, w celu wyciągnięcia stosownych konsekwencji. Ponownie, brak jest szczegółów, ale można domniemywać, że ewentualne dochodzenie umorzono ze względu na śmierć kpt. obs. Ławreńczuka, w locie bojowym 18 IV 1943 r.⁶

Wyjaśnienie, że nawigator się pomylił, nie jest wiarygodne. Powinien on rozpoznać nie tylko ukształtowanie terenu (loty wykonywano podczas pełni), ale także nawiązać kontakt świetlny z placówką. Oczywiście, zdarzało się, że nawigatorzy nie trafiali nad placówkę, ale wtedy załoga wracała wraz ze skoczkami, ewentualnie na ich życzenie mogła wykonać zrzut „na dziko”.

Jak widać, niezależnie od stosunku do bohaterów opisywanych wydarzeń, istnieją mocne przesłanki świadczące, że rzeczywiście doszło do prób zamachu na płk. pil. Rudkowskiego i płk. Iranka-Osmeckiego. Wydaje się, że jest już najwyższa pora, by

6. K. Iranek-Osmecki, *Powołanie i przeznaczenie. Wspomnienia oficera komendy głównej AK*, Warszawa 2004, s. 268-277, 283-286; K. Bieniecki, *op.cit.*, s. 65-67, 80, 494.

owe sprawy wyjaśnić i naświetlić, szczególnie, że nie były to wypadki odosobnione. Dość wspomnieć choćby sprawę Józefa Mackiewicza, którą barwnie i ze swadą opisał Sergiusz Piasecki w fabularyzowanej powieści autobiograficznej *Dla honoru Organizacji*. Książka ta opisuje zresztą cały szereg tajemniczych sytuacji, w tym nieudane próby trucia osób skazanych na śmierć i choć sama w sobie nie może stanowić dowodu, to jest niezwykle ciekawym przyczynkiem.

Władysław Bułhak wspomina o niechętnym stanowisku środowisk weteranów wobec ujawniania tych wydarzeń. Faktycznie, w ubiegłych latach, „racją stanu” było milczenie o podobnych sprawach, by nie dawać argumentu przeciwnikom niepodległości Polski. W obecnej sytuacji racją stanu powinno być jednak dokładne wyjaśnienie wszystkich takich wydarzeń, nie tylko w imię prawdy, ale także by wytrącić ten argument z ręki tym, którzy korzystając z niewiedzy, będą chcieli w ten sposób pomniejszyć czy skompromitować polski wysiłek wojenny. Takie próby są już zresztą czynione.

Franciszek GRABOWSKI

Tomasz LENCZEWSKI

ALBUM ZAPRZEPASZCZONEJ SZANSY

Wartość zbiorów dokumentów czy fotografii XIX w. dla dziejów rodów polskich ma kolosalne znaczenie zarówno dla domorosłych, jak też zawodowych genealogów i historyków zajmujących się tą tematyką. Fotografie tych wielkich i mniejszych przedstawicieli historycznych rodzin kolekcjonował przez dziesiątki lat niezwykle człowiek: Janusz Przewłockich. Przestrzał (1927-2007). W jego życiorysie o arystokratycznych rodzinnych koneksjach znalazło się miejsce na Armię Krajową, działalność wydawniczą w Instytucie Wydawniczym PAX (edycja znakomitych staropolskich i nowożytnych pamiętników), udział w demokratycznej opozycji PRL oraz dokumentowanie historii w Związku Sybiraków. To tylko najważniejsze elementy jego biografii, która w formie nagranych wspomnień ukazała się pt. *Nic ponad przydatność* i została powtórzona w albumowym wydaniu fragmentu kolekcjonerskiej spuścizny po zmarłym¹. Kolekcja Janusza Przewłockiego składająca się z tysięcy fotografii arystokracji, ziemiaństwa, dworów i pałaców stanowi dziś wyjątkowy dokument historyczno-ikonograficzny (nie ma takiej drugiej w powojennych dziejach). Jej twórca włożył dużo pracy, aby je ożywić poprzez możliwie jak najpełniejsze opisy. Niewielką część tej

1. J. Przewłocki, *Nic ponad przydatność*, oprac. Z. Gluza, „Karta” 1998, nr 25, s. 66-89; idem, w: *Wokół pałacu i dworu. Z kolekcji Janusza Przewłockiego*, Warszawa 2009, s. 210-232.

spuścizny w postaci 224 fotografii wydał Ośrodek „Karta” wraz z „Domem Spotkań z Historią”. Z „Kartą” Janusz Przewłocki przez kilkanaście lat współpracował w ramach Archiwum Wschodniego. Tuż przed jego śmiercią Ośrodek „Karta” zorganizował w „Domu Spotkań z Historią” w czerwcu 2007 roku wystawę wybranych fotografii ze zbiorów autora pt. *Wokół pałacu i dworu*. Odniosła ona ogromny sukces zarówno pod względem organizacyjnym, jak i prezentacji. Wydawać się mogło, że wydany album o tej samej tematyce ma szansę utrwalić to, co pokazała na krótko ekspozycja. Jednak w wyniku choćby pobieżnej jego analizy pojawiają się poważne wątpliwości, co do intencji wydawców.

W albumie został wykorzystany tekst Janusza Przewłockiego *Zbiór z przypadku* opublikowany jeszcze w PRL w nieistniejącym dziś piśmie „Fotografia” (nr 3/45/1987, s. 37-39). Publikacja tego wstępu miała za zadanie objaśnić ideę całej kolekcji. „Karta” nie zaznaczyła jednak, skąd ten tekst pochodzi, a co gorsza, dokonała daleko idących ingerencji w jego treść łącznie ze zmianami i przedstawieniami, opatrując to wszystko niczym nie znaczącą wzmianką „skrócony tekst z 1986” (!). W istocie jest to całkowicie jego nowa redakcja. Szkoda że nie podano, przy okazji informacji dostępnych w archiwum Janusza Przewłockiego, czyje zbiory złożyły się w znacznym stopniu na jego kolekcję.

Nie jest zrozumiały do końca klucz doboru fotografii (poza wątpliwym w wielu przypadkach układem chronologicznym podług sugerowanej datacji 1863-1940), jakim się kierowało wydawnictwo i to zarówno w sposobie ich rozmieszczenia w książce, jak i tematyce. Generalnie dominują zdjęcia portretowe, ponadto rodzinne, sceny z życia towarzyskiego (np. bale, polowania czy zabawy). Całkowity jest brak zdjęć z życia codziennego rezydencji ziemiańskiej, na którą składało się przecież zaplecze gospodarskie. Dobór kilku zdjęć zastanawia, bowiem nie mają one nic wspólnego z arystokracją, dworami czy pałacami. Cóż bowiem łączyło z tym środowiskiem (poza szlacheckim pochodzeniem) przywódcę Front Morges, byłego premiera Ignacego Paderewskiego, rezydującego podówczas w Szwajcarii? Tym bardziej nawet piękna fotografia weteranów powstania styczniowego z 1938 r. nie miała nic wspólnego z tematyką zie-

mianstwa, zwłaszcza że lista nazwisk żyjących z tego okresu kombatanów jest nietrudna do odszukania nawet dla początkującego historyka.

Fotografie zostały przygotowane do druku najtańszą metodą poprzez skanowanie. Taki zabieg unifikacyjny, w odróżnieniu od metody prze fotografowywania, stosowanej przy wydawnictwach albumowych zdjęć artystycznych, doprowadził do sprowadzenia prezentowanych tu zdjęć do jednej kolorystyki w różnych odcieniach sepii. Odbiorca otrzymał tylko pozornie zbliżony obraz starej fotografii w porównaniu z rzeczywistymi znajdującymi się w zbiorze. Powstał cukierkowaty, baśniowy świat w innej niż oryginały tonacji, nie mający wiele wspólnego z rzeczywistymi fotografiami, które zostały naturalnie „podrasowane”. Taki zabieg nie byłby właściwy nawet dla katalogu aukcyjnego tych fotografii. Natomiast w pełni sprawdza się w wydawnictwach i almanachach genealogicznych. Tak zaprezentowane fotografie nie oddają w pełni ducha epoki, w której powstały. Co gorsza, nie wiadomo, jaka jest ich skala rzeczywista, które z nich zostały zmniejszone, a które powiększone. Można było to przecież dyskretnie zaznaczyć przy każdej z nich za pomocą małej lupy z odpowiednim znacznikiem „minusa” czy „plusa” i przede wszystkim podać wymiary rzeczywiste prezentowanych obiektów.

Wiele do życzenia pozostawia typografia albumu. Już na jego okładce użyto do tytułu aż trzech różnych krojów pisma, co świadczy o braku koncepcji graficznej. Zastosowanie formy stylizowanych podpisów pod każdym zdjęciem za pomocą czcionki kursywy miało zapewne nadać tu artystyczną manierę, a stało się dla czytelnika poważnym utrudnieniem. W rezultacie podpisy stały się mało czytelne i męczące dla oczu nie tylko dla osób starszych, będących głównym odbiorcą albumu, ale również dla średniego pokolenia. A wystarczyło dobrać w miarę czytelną czcionkę wzorując się na jednej z wielu starych fotografii zawierających całkiem widoczne i wyraźne podpisy bez silenia się na oryginalność. To samo odnosi się do numeracji stron, prawie nieczytelnej i zmuszającej do wyteżenia wzroku.

Janusz Przewłocki był nie tylko kolekcjonerem, ale historykiem fotografii. W albumie wydawcy zapomnieli o tym ostatnim. Przy prezentacji zbiorów fotograficznych zarówno w ściśle

wydawnictwach naukowych, jak i wydawnictwach okolicznościowych integralną częścią każdego zdjęcia jest informacja o zakładzie fotograficznym oraz data wykonania fotografii. W niniejszym albumie wprowadzie przy części fotografii, które zawierają na licu markę zakładu fotograficznego, można wyrazić stwierdzenie, kto jest ich autorem, ale już w przypadku występowania nazwy zakładu tylko na odwrocie względnie w postaci suchego wyłoku czy innej niewidocznej na licu sygnatury już to jest niemożliwe (np. artystyczne fotografie Zakładu Teodora Szajnoka we Lwowie na s. 17 i 24 czy fotografie Witolda Pikiela na s. 194-195). Nade wszystko zabrakło prostego indeksu zakładów fotograficznych, jakie każdy szanujący się wydawca zamieszcza na końcu takiego dzieła. Nigdzie nie zostały pokazane (choćby jeden czy dwa tytułem przykładu) odwrocia reprodukowanych zdjęć. Natomiast daty występują tu sporadycznie, o ile były na fotografii, względnie nie były wzięte przez wydawcę pod uwagę. Ustalenie ich w przypadku zdjęć autorskich zakładów fotograficznych jest dość proste dzięki literaturze pomocniczej. Wydawcy popełnili kardynalny błąd zaniechania, gdyż nie jest to tylko album ludzi czy miejsc, ale również fotografii artystycznych, co jest drugim i równorzędnym walorem tej kolekcji.

Wystarczyło zwyczajnie sięgnąć do koncepcji podobnych istniejących na rynku wydawniczym albumów. Nie chodzi tu bynajmniej o fachowe katalogi fotograficzne zbiorów czy wystaw², ale o popularne albumy innych wydawnictw³. Wspomniany w przypisie album „Ziemiaństwo ...”, nie tak efektowny i kontrowersyjny graficznie, stonowany w barwach, z fotografiami wmontowanymi w tekst, zawiera wiele wymaganych elementów podstawowych dla tego rodzaju dzieła, a więc: spis fotografii, ich dokładny opis na końcu, przybliżone choćby datowanie oraz

2. *Fotografie powstańców styczniowych w zbiorach Gabinetu Grafiki Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich*, Wrocław 2002; *Mieszkańcy Warszawy w obiektywach fotografów XIX wieku: portrety ze zbiorów Działu Sztuki i Rzemiosł Artystycznych Biblioteki Publicznej m.st. Warszawy*, Warszawa 2007; *Powstanie styczniowe i zesłańcy syberyjscy: katalog fotografii ze zbiorów Muzeum Historycznego m.st. Warszawy*, cz. 1-2, Warszawa 2004-2005.

3. *Ziemiaństwo: pomiędzy rzeczywistością a wspomnieniem*, wstęp Tadeusz Chrzanowski, oprac. Agata Wolska, Kraków 1998.

ewentualne dane zakładu fotograficznego. Tego wszystkiego zabrakło w albumie wydanym przez „Kartę” choćby w postaci zwyczajnego spisu ponumerowanych fotografii.

Nieodłączną częścią zbioru fotografii Janusza Przewłockiego były informacje dotyczące opisywanych na nich postaci zawarte na odwrocie każdego zdjęcia. Były one pisane ręką właściciela kolekcji na podstawie własnych porównań czy ustaleń względnie informacji osób z tego rodzaju, co bywało zaznaczane. Wypadałoby zaprezentować choćby przykład takiej informacji, jak ona wyglądała, niekoniecznie w centralnej części albumu, celem uwzględnienia wieloletniej pracy twórcy kolekcji. Są to już dziś wiadomości archiwalne powołujące się niekiedy na historyczne nazwiska. Jak ważny był dla autora kolekcji pełny opis niektórych fotografii, wystarczy zajrzeć do Polskiego Słownika Biograficznego, aby zrozumieć, jak wiele znaczy pominięty w albumie opis postaci Edwarda Raczyńskiego „w stroju żuawa papieskiego” na s. 15.

Naturalną rzeczą przy tego rodzaju albumach czy kolekcji, przy nagromadzeniu setek czy tysięcy opisywanych postaci, są pominięcia względnie inne pomyłki. Jednakże wymienione poniżej błędy, wychwycone podczas pierwszej lektury dzieła powstały w przeważającej części wskutek zaniedbania wydawnictwa, które nie przywiązywało dużej uwagi do reprodukcji *verso* fotografii (choćby dla celów własnych archiwalnych i warsztatowych), wnikliwej lektury tekstów na odwrocie, zatrudnienia redaktorów z prawdziwego zdarzenia znających chociażby po bieżnie opisywaną tematykę i metodę prezentacji fotografii artystycznych, realia epoki oraz orientujących się w genealogii i historii oraz edytorstwie tego rodzaju albumów.

Błędy merytoryczne wynikające z wadliwego opisu można z grubsza podzielić na kilka typów:

1) ogólnikowo podpisane fotografie względnie pominięte opisy lub zmienione opisy, choć informacje były w większości na oryginałach:

s. 6 – Maria z Kwileckich (1870-1953), córka Mieczysława i Marii z Mańkowskich, żona Adama Żółtowskiego z Jarogniewic;

s. 13 – winno być: Dom w Bad Pyrmont, Przy stoliku od lewej Potoccy: Antoni (1841-1909), Przemysław (1811-1895),

Cecylia (1822-1893) i Stanisław (1837-1884);

s. 17 – całkowicie pominięty opis odautorski (...) rząd 1: preceptorzy; rząd 2: Jadwiga z Sanguszków Sapieha (1830-1918), bona i Jadwiga z Zamoyskich Sapieha (1806-1890) z Teresą Sanguszką (1864-1954), późniejszą żoną siedzącego niżej Leona oraz Paweł (1860-1934); rząd 3: Adam Sapieha (1828-1903) z przyszyłym kardynałem Adamem Stefanem (1867-1951) i pozostałymi dziećmi: Heleną (1857-1947), późniejszą Stadnicką, Janem (1865-1954), Leonem (1856-1893), Marią (1855-1929), późniejszą Żółtowską, i Władysławem (1853-1920) oraz preceptor;

s. 37 – Żytomierz 1893 fotografia rodziny Łubińskich, wkrótce po ślubie; stoją od lewej Tomasz (1865-1950), Tadeusz (1860-1918), pan młody, Wincenty (1862-?); siedzą od lewej Piotr (1847-1899), Zofia z Klukowskich (1875-1924), panna młoda, Paweł (1817-1892) i Józef (1849-1913);

s. 42 – przedstawiony na fotografii Andrzej Żółtowski nie odpowiada osobie opisanej w indeksie. Być może jest to ktoś inny z tego rodu o tym imieniu, ale nie z gałęzi niechanowskiej;

s. 56 – całkowicie pominięty opis fotografii! Stoją od lewej Zofia z Załuskich Stanisławowa Wysocka (1854-1939), Edward Raczyński (1847-1926), Emilia z Mielżyńskich Stanisławowa Łącka (1873-1949), Jadwiga z Załuskich Hektorowa Kwilecka (1858-1923) i Zdzisław Czartoryski (1858-1909); siedzą od lewej: Konstanty Przeddziecki (1846-1897), Ludwika ze Stadnickich Michałowa Sobańska (1857-1944), Michał Sobański (1858-1934) i Gabriela z Mielżyńskich Józefowa Jezierska (1871-1939);

s. 64 – Broel-Platerowie (...) z synami: Henrykiem (1876-1910?), Zygmunt (1870-1934), Edwardem (1871-1958), Konstantym (1872-1927) i Józefem (1874-1944) [kolejność wymaga jeszcze skorygowania z opisem na odwrocie oryginału];

s. 117 – Zamoyscy z Podzamcza: (...) Maria Teresa (1894-1953), późniejsza Jezierska; Stanisław, Maria Józefa (1887-1961) [zamiast Maria], późniejsza *primo voto* Karolowa Radziwiłłowa, *secundo voto* Janowa Bispingowa, Maria Izabela (Róża) (1891-1957), późniejsza Stefanowa Brzozowska [zamiast Maria Elżbieta], Jan Kanty, Franciszek, Maria Karolina (1896-1968), późniejsza żona Rénier Bourbona Sycylijskiego;

s. 131 – od lewej dwaj stojący w cylindrach: Władysław Leon Zamoyski z Pilczyc (na krawężniku) i Seweryn Czetwer-

tyński (1873-1945) (na jezdni);

s. 189 – za Zofią Zamoyską stoi Róża Żółtowska (1913-1976), późniejsza ordynatowa Janowa Zamoyska. Fotografia sprzed 1938.

2) Pomyłone względnie pominięte osoby, głównie w obrębie rodziny:

s. 8 – sylwetki członków rodziny Grocholskich: pierwsza z lewej to córka (nie synowa!) Zofii, też Zofia (1889-1969), późniejsza żona Franciszka Krasickiego z Bachórcza;

s. 38 – w istocie jest to Stanisław Rey (1867-1898), syn Stanisława i Wilhelminy z Głogowskich, żonaty z Cecylią Potocką z Rymanowa;

s. 47 – zamiast Karola Potockiego (to imię w ogóle nie było używane w tej gałęzi rodu) winno być Antoni (1880-1952);

s. 129 – na fotografii pośrodku znajduje się Władysław Zamoyski (1873-1944) z Grzacka [nie jego imiennik z Pilczyc];

s. 154 – pominięto stojących u dołu schodów dwóch młodych Czetwertyńskich: (od lewej) Stanisława (1910-1997) i Jerzego (1907-1997);

s. 158 (s. 237) – w drugim rzędzie po prawej stronie Jerzego Hutten-Czapskiego stoi Krystyna z Czapskich Potulicka, a następnie Konstancja Przewłocka, a dopiero za nią Róża Hutten-Czapska;

s. 186/187 – trzeba zmienić numery rozpoznanych osobom. W pierwszym [umownym] rzędzie od lewej: trzeci to Ludwik Czetwertyński, czwarty Jerzy Potocki, piąty Karol Radziwiłł, szósty Hieronim Radziwiłł;

s. 235 (s. 53) – winno być Zofia z Załuskich Wysocka, z synem Henrykiem Wysockim (1884-1969) [zamiast Załuskim].

3) Poprzekręcane nazwiska lub pomyłone osoby:

s. 26 – rzeczywiste nazwiska duchownych winny brzmieć kolejno: Tomasz Brzeska [nie Brzeski] (1818-1900), Eugeniusz Funcken, Piotr Semenenko (Semeneńko) [nie Lemeneńko] (1814-1886), Julian [nie Juliusz] Feliński (1826-1885), Hieronim Kajsiewicz [nie Kapsiewicz] (1812-1873), Walerian Przewłocki (1828-1895), Karol Kaczanowski (1800-1873) i Aleksander Jełowicki [nie Jadowicki] (1804-1877). Ponadto pominięto najważniejszą historycznie informację, że są to księża zmartwychwstańcy w roku 1871;

s. 136 – fotografia przedstawia Mieczysława Kwileckiego (1833-1918) z Oporowa [a nie Karola Załuskiego];

s. 198 – winno być w takiej kolejności: Zofia Zamoyska, Zdzisław Zamoyski, Eleonora Sapieha, para młoda, Lew Sapieha. Siedzą: Jan Bławdziewicz i Izabela Sapieha;

s. 229 – winno być Jan Tomasz [a nie Jan Józef] Lipski.

4) Opisy nieadekwatne do przedstawionej fotografii:

s. 13 – błędnie dodano słowo „letniskowy” przy opisie domu;

s. 43 – podpisano błędnie 13 osób zamiast 12;

s. 61 – winno być: Jan Marcin Falewicz, Arkon (w czapce korporanckiej);

s. 105 – podpis nie odpowiada temu, co widać na fotografii;

s. 158 (237) – użyto przestarzałego słowa „giermek” [zamiast „lokał”];

s. 193 – w pałacu w Wilanowie [nie w Warszawie];

s. 172 – winno być: „pierwsza z lewej na środku wozu”;

s. 198 – nowożeńcy stoją na tle zachowanego do dziś Pałacyku Warszawskiego Klubu Myśliwskiego przy ul. Kredytowej w Warszawie (w Warszawie nie było Pałacu Kupieckiego tylko Resursa Kupiecka, a sam pan młody był członkiem elitarnego Klubu Myśliwskiego).

Z bardziej rażących błędów ortograficznych czy literówek dadzą zauważyć się w tekście:

s. 8 – winno być landa (rodzaj powozu) [zamiast „lauda”];

s. 14 – winno być Mała Wieś;

s. 91 – winno być d’Orléans [zamiast „Orkam”!];

s. 147 – winno być Turczynowe [nie „Turczynowo”];

s. 150 – winno być Rzysszczewska;

s. 188 – Cannes [nie Cannas];

s. 192 – Prébailly [nie Prebailly];

s. 193 – winno być urzędnik z Wilanowa [„Will” – *sic!*];

s. 195 – na tej stronie zastosowano dwa różne rodzaje litery „r”...;

s. 239 – Dembiński Antoni (1844-1875), syn Eustachego i Wandy z Bobowskich [nie „Bobkowskich”!];

s. 243 – Gottschall (nazwisko prawnej matki Edwarda Raczyńskiego);

s. 245 – Sobański Marcelli (1833-?), syn Hieronima i Anny z Dzierzków [nie „Dzierązków”!].

Nazwisko Poletyło powinno być zaznaczone z obocznością w indeksie (Poletyło), a w przypadku występujących tu Przeddzieckich przyjęła się pisownia właśnie taka [nie „Przeździecki”].

Jednak najbardziej ucierpiały na opisie fotografie zbiorowe, na których występuje więcej niż 10 osób. Przykładowo z fotografii przedstawiającej rodzinę Radziwiłłów z Nieświeża na s. 168 w ogóle nie wynika, kto jest kim przynajmniej przy najważniejszych osobach z tego domu. Nie wiadomo, czemu fotografia ta nie doczekała się pełniejszego opisu przy końcu dzieła, w miejscu przeznaczonym specjalnie przez wydawców na opis tego rodzaju zdjęć. Z kolei fotografia na s. 83 nie wiadomo nawet, kogo przedstawia. Przykładem kompletnej bezradności wobec opisów fotografii zbiorowych wielkiego formatu jest przeredagowanie opisu ślubu Jolanty Czartoryskiej i Władysława Radziwiłła (s. 202-203), które w ogóle uczyniło go nieczytelnym. Na fotografii tej widoczne powinny być 52 osoby, z czego pierwsza (Krystyna Broel-Plater) na dużej reprodukcji w części albumowej została obcięta (jest natomiast na miniaturze przy opisach fotografii zbiorowych na s. 237). Redakcja przy opisie wyrzuciła wszystkie osoby nierozszyfrowane w ilości 17, pozostawiając tylko te znane i podając je w formie zbitki, mimo że goście weselni wcale nie stoją w rzędach. Skoro powtórzono fotografie zbiorowe przy dokładniejszych ich opisach w specjalnym rozdziale, to logiczną konsekwencją byłoby ponumerowanie występujących tam postaci na zdjęciach, co ułatwiłoby ich odczytywanie, a je same uczyniłoby czytelnymi i przejrzystymi.

Powyższe uwagi merytoryczne do poszczególnych opisów fotograficznych mogły powstać w dużej mierze dzięki porównaniu dostępnych jeszcze fotografii w zbiorach rodzinnych z wydany albumem. Jednak większość kolekcji znalazła się już w zbiorach Muzeum Narodowego i konfrontacja taka będzie długo niemożliwa. Skala i zakres popełnionych przez „Kartę” błędów może jeszcze ulec zwiększeniu.

Zgodnie z zasadami panującymi w tego rodzaju wydawnictwach tytuły szlacheckie zostały usunięte, jednakże wydawcy nie ustrzegli się niekonsekwencji pozostawiając przy obcych nazwi-

skach tytuły typu *«comte»* (*«vicomte»*) lub wręcz kreując nowe „Książę... von Orkam”! (s. 91). Niektóre osoby występują tu ze zdrobnieniami w rodzaju „Imcia” czy „Rena”, a dziesiątki innych, które były w rodzinach odpowiednio nazywane zdrobnieniami, wprost przeciwnie. Tego rodzaju zdrobnienia były charakterystyczne dla wąskich rodzinnych kręgów i przenoszenie ich do tego rodzaju wydawnictw ma sens jedynie w przypadku, kiedy są to edycje przeznaczone dla rodziny lub monografie genealogiczne. Fakt, że nieliczne przyjęły się powszechnie (np. „Biszeta”, jak powtórzono wielokrotnie w albumie) nie oznacza, że należało stosować wybiórczą metodę podawania takowych. Wobec dużej ilości prezentowanych rodzin arystokratycznych (np. Potoccy, Radziwiłłowie, Tarnowscy czy Zamoyscy) bardziej wskazane było dodanie do poszczególnych postaci, zwłaszcza z licznie rozrodzonych domów, z jakiego majątku pochodzili (np. z Nieświeża, Ołyki, Chrzastowa, Wysocka czy Podzamcza). Nade wszystko jednak brakuje w samych opisach fotografii nazwisk panieńskich względnie, w przypadku dziewcząt, późniejszych ślubnych. Jest to o tyle niezrozumiałe, że nazwiska te są przeważnie podane w indeksie. W ten sposób jedna osoba na różnych zdjęciach jest różnorako podpisana, np. „Biszeta” z Branickich Radziwiłł raz figuruje jako córka Marii Branickiej – Maria Rozalia „Biszeta” (s. 11), a potem jako Maria Rozalia „Biszeta” Radziwiłł (s. 100), aż w końcu traci drugie imię pozostając Marią „Biszetą” Radziwiłł (s. 168). Zabrakło wyraźnie konsekwencji w opisie tych zdjęć, i to nie tylko tych. Brak nazwisk panieńskich powoduje też pewne niezrozumienie więzi łączących osoby na zdjęciach. W przypadku rodzin Aurelego Poletyło, Stanisława Dowgiałło i Stanisława Zamoyskiego (s. 10) informacja, że ich żony były z domu Potockie, wyjaśniałaby wspólną fotografię.

Zastosowanie w indeksie osób dat przy nazwiskach, informacji o rodzicach i współmałżonkach okazało się dość wybiórcze. Część osób jest z dodanymi żonami, a inne nie są (cała grupa Grocholskich, na s. 204 oraz niektórzy Kwileccy i Zamoyscy), względnie zastosowano inne, nie korespondujące z formą rozwiązanie (np. Izabela z Krasińskich Brzozowska – winno być Brzozowska Izabela (1877-1960), córka Józefa Krasińskiego i Heleny ze Stadnickich, od 1901 żona Zenona Brzozowskiego). Niektórzy wymienieni są jako duchowni, inni nie (np. Jan

Franciszek Czartoryski nieuwzględniony jako o. „Michał”, dominikanin wobec dokładniejszej notki przy Augustcie Czartoryskim, bez podania informacji o przynależności tegoż do Salezjanów, czy wreszcie Kwilecka Gabriela, niewymieniona, jako s. „Monika”, niepokalanka). Malarz Józef Czapski został wyrzucony poza rodzinę i funkcjonuje jako odrębna postać. Odpowiedni zapis winien brzmieć: Czapski-Hutten Józef (Czapski Józef). Zaś odnośnik ogólny do nazwiska: Hutten-Czapski zob. Czapski-Hutten. Taka zasada cytowania nazwisk jest zgodna z tradycją *Almanachu błękitnego* Jerzego Sewera Dunin-Borkowskiego czy *Armorial de la noblesse titrée polonaise* Szymona Konarskiego. Posiada ponadto uzasadnienie historyczne i prawne. Dowolne cytowanie tego, a co gorsza kierowanie się nie do końca ustalonymi regułami współczesnego pisania nazwisk, gdzie przydomek staje się błędnie nazwiskiem, prowadzi do tworzenia nieznanych historycznie bytów. Również sposób prezentacji w indeksie rodzin Broel-Platerów i Plater-Zyberków poprzez oddzielenie ich od siebie pozostawia pewne wątpliwości, gdyż są to przedstawiciele jednego rodu. Absolutnie nie do przyjęcia jest umieszczanie w indeksie osób z rodziny Jordan-Stojowskich czy Luba-Radzimińskich podług ich przydomków, a nie nazwisk. Skoro autorzy zdecydowali się na formę „Hutten-Czapski”, to nic nie stało na przeszkodzie zastosować również „Światopełk-Czerwotyński”, gdyż jest to zbliżone formą (nie wspominając już o nazwiskach typu „Belina-Brzozowscy”). Nie tylko genealog czy historyk, ale osoba średnio poruszająca się nawet w Internecie potrafiłaby rozszyfrować znacznie więcej osób występujących w indeksie dodając daty i informacje. Dotyczy to przede wszystkim skorygowanych powyżej poprzekręcanych nazwisk księży zmartwychwstańców. Choćby też niektóre z wymienionych dalej postaci można było bowiem dodatkowo wzbogacić obok dat o informacje o ich stosunkach rodzinnych czy profesjonalnych. Należą do nich m.in.: Krzysztof Cieszkowski (1855-1901), Andrzej Galica (1873-1945), Jan Marcin Falewicz (1867-1935), Emilia z Blochów Hołyńska (1870-1940), Władysław Kornilowicz (1884-1946), Tadeusz Koziebrodzki (1860-1916), Włodzimierz Łęski (?-1930); Helena z Turkułów Mier (1837-?), Iza Mycielska (1904-1989), Jadwiga Poletyło (1862-1919), Jan Poletyło (1859-1918), Leopold Wojciech Poletyło (1812-1895),

Róża Plater-Zyberk (1901-1986) czy Piotr Stachiewicz (1858-1923), malarz. Zastosowany schemat podawania nazwisk kobiet po mężu i pominięcie dla uniknięcia powtórzeń po raz kolejny nazwiska tegoż współmałżonka w braku stosownych objaśnień jest dla mało wyrobionego czytelnika nieczytelny. Nie podano jakiegokolwiek krótkiej zasady odnoszącej się do indeksu tuż przed nim. Ponadto zapomniano widzieć, że niektórzy mieli kilku współmałżonków (np. Magdalena z Kierżgajłów-Zawiszów Krasńska, *secundo voto* Wacławowa Mikołajowa Radziwiłłowa).

Wśród błędów występujących w indeksie (włączając w to informacje zawarte wcześniej) warto sprostować i uzupełnić niektóre informacje pominięte:

Dzieduszycka Jadwiga (1867-1941), od 1889 żona Witolda Czartoryskiego;

Grabowska-Goetzendorff Jadwiga (1830-1908), córka Konstantego Lubomirskiego i Katarzyny z Tołstojów, od 1853 żona Adama [zamiast Jadwiga Lubomirska];

Mielecki Prot, s. 127;

Niemojowski Jan (1883-1942), s. 127;

Niemojowski Jan (1888-1921), s. 127;

Niemojowski Jerzy (1888-1921), s. 127;

Rzyszczeńska Ewa (1876-1966), córka Michała i Eufemii z Radziwiłłów;

Rudnicka Zofia, Halina i Wacław to dzieci Władysława i Kazimierzy z Przewłockich, s. 108;

Sobański Feliks (1890-1965), jest również na s. 127;

Szembek Maria (1877-1951), od 1898 żona Jana Mycielskiego;

Wysocka Konstancja (1886-1979), jest również na s. 158 i 237;

Zamoyska Maria Róża (1898-1943), córka Władysława Leona i Zofii z Czetwertyńskich, od 1921 żona Mieczysława Kwileckiego, s. 172;

Zamoyski Władysław (1873-1944), syn Zdzisława i Marii Mężynskiej, od 1900 mąż Marii Szwykowskiej, s. 129.

Ponadto sporej korekty wymaga przejrzenie, czy faktycznie pod danymi numerami figurują rzeczywiście osoby wymienione w podpisach fotografii (np. Zofie Grocholskie na s. 166 zamiast na s. 8). Wobec braku bibliografii przedmiotu nie bardzo wia-

domo, na czym został oparty indeks – czy na zapiskach Janusza Przewłockiego, nie w pełni przecież uwzględnionych i wykorzystanych, czy też na literaturze genealogicznej pomocniczej polskiej (np. genealogie Edwarda Borowskiego), względnie niemieckiej, jak genealogie poszczególnych rodzin polskich zawarte w *Genealogisches Handbuch des Adels*).

W czasach PRL redaktorzy historycznych pamiętników wydawanych zarówno w PAX, jak i PIW żmudnie pracowali nad skorelowaniem tekstów i objaśnień do fotografii. Był wśród nich również Janusz Przewłocki. W dzisiejszych czasach każdy widać uważa, że może wydawać wszystko bez należytej wiedzy. Smutnym przykładem było wydawnictwo „Twój Styl”, gdzie historyczne pamiętniki były wydawane bez jakichkolwiek objaśnień, nie mówiąc o indeksach czy tablicach genealogicznych. Niestety, w ten krąg wpisuje się „Karta”, która w sposób dyletancki podeszła do zagadnienia. Ciekawostką jest fakt, że album ten nie doczekał się żadnej oficjalnej promocji i dyskusji, mimo że od jego wydania upłynęło przeszło pół roku. Współwydawca książki „Dom Spotkań z Historią” zorganizował wprawdzie 7 maja 2009 roku coś na kształt promocji (wzmianka o tym spotkaniu w odróżnieniu od innych relacjonowanych i podanych w ramach kroniki zniknęła szybko ze strony internetowej „Domu Spotkań z Historią”). Była to zaledwie sentymentalna dyskusja nad ziemiaństwem polskim absolutnie niezwiązana z dziełem. Na jej koniec niżej podpisany wystąpił z krótką informacją o podstawowych błędach przy edycji albumu sprzecznych z postawą, jaką reprezentował Janusz Przewłocki. W odpowiedzi szef Ośrodka „Karta” Zbigniew Gluza stwierdził m.in., że „są to drobiazgi, a tak naprawdę dzieło nie ma charakteru naukowego...”. Takie nonszalanckie podejście do zagadnienia edycji fragmentu kolekcji Janusza Przewłockiego, wypaczyło jego idee związane z kolekcjonowaniem fotografii. Od wydawnictw tego rodzaju, co „Karta” oraz „Dom Spotkań z Historią”⁴ oczekuje się więcej niż

4. Tym bardziej że „Dom Spotkań z Historią” jest współwydawcą (wraz z Oficyną Wydawniczą „Rytm”) znakomitego i fachowo przygotowanego dwujęzycznego albumu *W obiektywie wroga. Niemieccy fotoreporterzy w okupowanej Warszawie 1939-1945*, wybór i oprac. zdjęć oraz materiału źródłowego, tekst komentarza Danuta Jackiewicz, Eugeniusz Cezary Król, Warszawa [2009].

albumu z ładnymi zdjęciami. *Noblesse oblige*. I nie tylko to. Zmarnowano bowiem pracę, jaką Janusz Przewłocki latami mozolnie wkładał w tworzenie swojej kolekcji, traktując całość nie tylko jako ładne wizualnie zdjęcia. Co gorsza, zamknięto na lata niepowtarzalną szansę rzeczywistego i wielostronnego pokazania zarówno ludzi pewnej epoki oraz warstwy społecznej, jak i artystów fotografików zaangażowanych w ten proces. Podobny album nie ma być bowiem zbiorem ładnych wizerunków, ale przede wszystkim powinien służyć kulturze polskiej i przyszłym pokoleniom zarówno formą, jak i zawartą w nim treścią.

Tomasz LENCZEWSKI

T. Lenczewski (ur. w 1960 r. w Łodzi), absolwent Wydziału Prawa Kanonicznego Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie (1987), genealog, antykwariusz, autor m.in. *Genealogie rodów utytułowanych w Polsce*, t. I (Warszawa 1997), *Russoccy herbu Zadora. Zarys monografii rodu* (Warszawa 2005).

Marek KORNAT

NOWE KŁAMSTWA O POLSCĘ MIĘDZYWOJENNEJ. W SPRAWIE KSIĄŻKI ROBERTA MICHULCA

W ostatnich miesiącach w księgarniach pojawiła się książka zatytułowana: *Ku wrześniowi 1939*, którą opublikował Robert Michulec. Niewiele można powiedzieć o autorze. Nieznane są jakiegokolwiek jego prace poświęcone Polsce Odrodzonej. W katalogach ważniejszych bibliotek figuruje on jako autor kilku broszur. Wszystkie (bez wyjątku) poświęcone są samolotom z okresu II wojny światowej.

Książka liczy 750 stron. Wydana została przez wydawnictwo „Armagedon” w Gdyni w 2008 r. Założył je autor sam w roku 1999 w celu „wydawania literatury wojskowo-historycznej”. Nie jest to ani esej historyczny, ani zwięzła, przemyślana monografia. Są to rozwlekłe rozważania na bliżej niesprecyzowany temat, poświęcone jednak w znacznej części polityce zagranicznej II Rzeczypospolitej, przede wszystkim zaś armii II Rzeczypospolitej, a w pewnej części dotyczące i ustroju politycznego państwa. W bardzo licznych, liczących setki przypisach występują odwołania do źródeł, generalnie wojskowych, przechowywanych w zbiorach Centralnego Archiwum Wojskowego, i dyplomatycznych (w niewielkiej ilości) z Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Bardzo wiele miejsca zajmują prowadzone w sposób osobliwy polemiki, nie tyle z dotychczasową historiografią (co gdyby miało miejsce, to byłoby chwalebne), ale *ad hominem* – z historykami, którzy ośmielali się mieć inne zdanie niż autor.

Książka jest paszkwilem na przywódców Polski Odrodzonej. Niestety, tylko tyle przynosi jej treść. Staram się możliwie ostrożnie używać słów, ale w tym wypadku nie mogę użyć innych.

P. Michulec ma niezwykle dobre samopoczucie. Daje temu wyraz pisząc, że o Wrześniu 1939 roku prawie nic nie wiemy, a wszystko, co o tych sprawach już napisano, to patriotyczna propaganda i kultywowanie narodowych mitów. Zgodnie z takimi poglądami, autorowi książki towarzyszy pragnienie „rozprawienia” się z całą dotychczasową polską nauką historyczną. Kieruje więc pod jej adresem zasadniczo tylko słowa potępienia. Pisze o „autoindoktrynacji nauki polskiej, która treść dokumentów dostosowuje do ram już raz stworzonych przez propagandę 50-80 lat temu. Treść dokumentów, która w takim procesie nie pasuje do polskiej historiografii, jest odcinana, fałszowana lub tłumaczona na opak wedle wykładni zawartej w podręcznikach”. Jego zdaniem „warto pamiętać o takich kwestiach, chcąc zrozumieć polską literaturę historyczną obecnej doby” (s. 260).

Kierując się takimi poglądami p. Michulec przyjął niezwykle prostą metodę postępowania. Wyraża się ona w kwestionowaniu wszystkiego, co dotychczas powiedziano w historiografii. Czyni on tak nawet wówczas, kiedy prowadzi go to do najbardziej absurdalnych konsekwencji. Możliwe, iż na tej drodze poszukuje rozgłosu. Trudno w tym miejscu bowiem nie zazna-

czyć, że obfity dorobek polskiej nauki historycznej o roku 1939 sprawia, iż powiedzieć cokolwiek naprawdę nowego i udokumentowanego – nie jest łatwo. Tak zresztą jest nie tylko w przypadku historiografii polskiej, ale i światowej. Niedawno – podczas konferencji o genezie II wojny światowej w Warszawie (26-27 maja br.) niemiecki historyk Berndt Bonwestch słusznie zauważył, że ilekroć podejmujemy problematykę przyczyn tej wojny, tyle razy podejmujemy pytania i zagadnienia, które były już stawiane w przeszłości, chociaż nie zawsze mamy tego świadomość.

Poglądy Michulca dają się streścić w kilkunastu punktach:

1) Polska przed II wojną światową była krajem faszystowskim. Władzę sprawowali faszystyści. Piłsudczycy byli faszystami (sic!). Ustrój panujący w Polsce był rzekomo bardzo podobny do systemu politycznego III Rzeszy. W Polsce i Niemczech doszło do konfliktu „archaicznej ideologii faszystowskiej, w wydaniu nazistowskim i sanacyjnym z bezdusznymi realiami materialistycznego wieku XX”. Józef Piłsudski był w Polsce takim wodzem jak Hitler w Niemczech, z tą różnicą, że Piłsudskiego się dzisiaj w Polsce gloryfikuje, a Hitlera w Niemczech potępia.

2) Polsko-niemiecką deklarację o niestosowaniu przemocy w stosunkach wzajemnych z 26 stycznia 1934 r. autor określa jako układ „Hitler-Piłsudski” (s. 117). Pragnę nadmienić, że dokładnie takim pojęciem operowała historiografia sowiecka. Podobnie mówią dzisiaj antypolsko nastawione środowiska polityczne w Rosji. Sformułowanie to w ogóle jest ulubionym określeniem w ustach polakożerców w Rosji.

3) Polską sowietologię przedwojenną autor określa jako „propagandę dywersyjną” podżegającą do wojny „przeciw Krajowi Rad” i pisze o ideologicznej agresji ze strony polskiej przeciwko temu państwu. Wyraża też zdziwienie, iż moja ocena prac sowietozawców polskich z tego okresu jest pozytywna. (Cóż, nie jest winą p. Michulca, że nie czytał on książek Stanisława Świaniewicza albo Wiktora Sukiennickiego!).

4) W roku 1938 Polska dokonała agresji na Czechosłowację (s. 464, sic!). Sprawa ta rzekomo jest „wrzodem polskiej historiografii”.

5) W latach 1930-1932 Piłsudski planował napaść na Związek Sowiecki (s. 591). Jednak z przyczyn bliżej nieznanых

poniechał tego zamiaru i zawarł z tym państwem układ o nie-agresji.

6) Nieprawdą jest – według autora – że „Francuzi zdradzili nas w 1939 r.”, ponieważ polskie dokumenty dyplomatyczne wskazują rzekomo na „w zasadzie lojalne poparcie [Francji] dla Polski w konflikcie z Niemcami w 1939 r.” (s. 443). Co więcej, francuskie społeczeństwo popierało rzekomo polską tezę w sprawie Gdańska. Tu autor powołuje się na książkę Małgorzaty Gmurczyk-Wrońskiej: *Polska – niepotrzebny aliant Francji?* (2003), w której jakoby wygłoszona została taka opinia. Zajrzałem więc raz jeszcze do książki Gmurczyk-Wrońskiej i pragnę podkreślić, że takich „ustaleń” w tej książce nie ma, a na wymienionej przez autora stronie (s. 143) mamy tylko uwagi o zróżnicowanej postawie prasy francuskiej wobec Polski. Biorąc sobie za temat studia nad polską dyplomacją w roku 1939, p. Michulec powinien wiedzieć, że minister Georges Bonnet wstrzymał podpisanie wynegocjowanego już maju 1939 protokołu interpretacyjnego do sojuszu polsko-francuskiego właśnie z tego powodu, że strona polska upierała się, aby Gdańsk objęty był postanowieniami o *casus foederis*. O tym właśnie jest mowa w polskich aktach dyplomatycznych.

7) Oczywiście wojnę polsko-sowiecką w latach 1919-1920 zaczęli Polacy. Taki pogląd nie dziwi, zważywszy na inne przekonania autora. Ale p. Michulec idzie jeszcze dalej i ubolewa, że historycy polscy nie piszą o „polskiej okupacji” ziem wschodnich, przyłączonych do Rzeczypospolitej na mocy Traktatu Ryskiego (s. 58), podczas gdy Polacy „gnębili tam miliony”. Według niego to właśnie jest jeszcze jednym dowodem zakłamania polskiej historiografii, będącego skutkiem patriotycznej zмовy. Biorąc więc naukę od p. Michulca, historycy polscy powinni pisać, że Polacy „okupowali Lwów” w latach 1918-1939, że np. Uniwersytet Jana Kazimierza był tworem „okupacji polskiej”, itd. Być może, idąc jeszcze dalej, należy pisać, że Tadeusz Kościuszko albo Adam Mickiewicz urodzili się na ziemiach „okupowanych przez Polaków”...

8) Według p. Michulca, Hitler podjął decyzję o rozpoczęciu wojny dopiero w połowie sierpnia 1939 roku, co oznacza, że wcześniej takich zamiarów nie miał (sic!). Asumptem miało być polskie ultimatum do Senatu Wolnego Miasta Gdańska z 4

sierpnia tego roku w związku z bezprawnym usunięciem polskich służb celnych z terytorium Wolnego Miasta. „Neohitlerowska” książka Davida Hoggana z roku 1951 „o wymuszonej wojnie” (*die erzwungene Krieg*) – jak się wyraził śp. Marian Wojciechowski – jest p. Michulcowi znana i cytowana afirmatywnie. Jest to ważna zależność w poglądach.

9) Wojny w roku 1939 można było „z łatwością uniknąć” – ocenia p. Michulec i wzmiankuje, iż to Hitler zaczął działania wojenne, ale tak naprawdę to winien jest rząd polski, bardziej Marszałek Śmigły-Rydz niż Beck. *Summa summarum*, wina za wojnę spoczywa na Polsce – na „sanacyjnym rządzie”, który kultywował narodową megalomanię i żywił mocarstwowe złudzenia bez pokrycia. Odrzucenie żądań Hitlera z 1938/39 nie było rezultatem przekonania polskich przywódców o tym, że tego wymaga interes Polski, ale sprawił to „sanacyjny egoizm i mania wielkości” (s. 443). Gdyby więc narodu polskiego nie dotknęło to straszliwe nieszczęście „sanacyjnego rządu”, to wojny w 1939 roku zapewne by nie było. Historia potoczyłaby się inaczej...

10) Latem 1939 roku o wojnie „zdecydowali Hitler i Rydz-Śmigły” (s. 740, sic!). Śmigły pragnął wojny już w październiku 1938, on też zdecydował o częściowej mobilizacji polskiej armii w marcu 1939. Tak więc nie było przygotowania i rozpętania (*die Entfesselung*) II wojny światowej przez Hitlera, ale dwa państwa sąsiadujące ze sobą, prowadzące agresywną, zaborczą politykę, popadły w konflikt, który zakończył się II wojną światową. Oto co w konkluzji swej „przegadanej” książki, pełnej niezliczonych dygresji na różne tematy, chce nam przekazać autor!

11) Polska w 1939 roku przygotowywała się do działań zaczepnych wobec Niemiec. Dyslokacja armii wzdłuż zachodnich granic państwa, w ramach polskiego planu wojny obronnej, ma być – według p. Michulca – dowodem. Hitler, podejmując decyzję o uderzeniu na Polskę, podjął więc *de facto* akcję prewencyjną (sic!). Usiłowanie obalenia poglądów polskiej nauki historycznej jest tym zadaniem, które stawia sobie autor. Tak więc, Polska 1939 roku nie była pierwszą ofiarą dwóch mocarstw totalitarnych, a II wojna światowa nie była żadnym wielkim dramatem naszego narodu. Totalitarna Polska najpierw podjęła współpracę z mającą podobny ustrój III Rzeszą, potem zaś planowała wojnę zaczepną z Niemcami, by zagarnąć Prusy

Wschodnie i zdobyć granicę na Odrze.

12) Kampanię wrześniową 1939 r. p. Michulec porównuje do wojny w Abisynii i nazywa „starciem dwóch cywilizacji” – „Europy (Niemcy) i III świata (Polska)”, a pod względem wojskowym nie miała żadnego znaczenia (s. V). Udowodnienie, że byliśmy jako naród barbarzyńcami, skupia zasadniczą część wysiłku autora. Z prawdziwą, niewyobrażalną i niespotykaną w dotychczasowym piśmiennictwie polskim pogardą pisze o polskiej dyplomacji, o polskiej armii, o jej Naczelnym Dowództwie, o Ministerstwie Spraw Zagranicznych i o tych wszystkich wysiłkach, które kierownictwo państwa polskiego podejmowało w latach trzydziestych, aby bronić niepodległości państwa i prawa do własnego miejsca dla Polski w Europie. Czym to jest spowodowane? – nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. Takim duchem przepojona jest jednak omawiana książka od pierwszej strony do ostatniej.

Cóż powiedzieć w obliczu tych poglądów?

Stwierdzić muszę, że osobiście jestem przeciwko reglamentacji wolności słowa. Uważam, że każdy może głosić cokolwiek zechce, w granicach obowiązującego prawa – ale musi się liczyć z możliwością kompromitacji.

Popieram to hasło, które rzuciła niedawno (w roku 2006) grupa historyków francuskich z Pierre'em Norą na czele, zakładając ruch *«Liberté pour histoire»* i pisząc w swoim manifestie, iż lepsze jest, jeśli różni ludzie będą wygłaszać oburzające brednie, niż gdyby miało dojść do ograniczeń wolności słowa w imię szczytnych celów i wartości.

Skoro tak, to ani przez myśl mi nie przechodzi, by kwestionować prawo p. Michulca do wypowiadania swoich skrajnie absurdalnych i obłądnych bredni.

To jednak, co jest niedopuszczalne, to język autora – język niepozbawiony niestety obfitego szafowania epitetami – w tym pod adresem ludzi, których zasługi dla polskiej nauki historycznej są znaczne.

Michał Zacharias, autor książek o polskiej dyplomacji międzywojennej, jest – w opinii autora cytowanej pracy – przedstawicielem „propagandy sanacyjnej”, ośmielił się bowiem polemizować ze Stanisławem Żerką („Dzieje Najnowsze” 2000, nr 4). P. Michulec zarzuca mu również głoszenie „patriotycznych bred-

ni”. (Tymi samymi epitetami autor darzy także inne osoby – w tym piszącego te słowa).

Marianowi Leczykowi p. Michulec zarzuca „manipulację” i fałszowanie źródeł. Zarzutem tym zresztą operuje często. Mam nadzieję, że ma świadomość, iż w oczach historyka jest to zarzut najcięższy z możliwych, więc wymaga niepodważalnego udowodnienia. P. Michulec jednak albo dowodów takich nie podaje, albo czyni to w sposób bardzo nieprzekonujący.

Zarzut formułowania „kłamliwych” wypowiedzi autor stawia wobec śp. Henryka Batowskiego (s. 369). Píše nawet, że w książce *Niedoszła «Biała Księga» z roku 1940. Rozprawa źródłoznawcza* (1993) Batowski kierował się jakimś rodzajem autocenzury i pominął ważne dokumenty, godne opublikowania.

Anna M. Cienciała została potraktowana z wyjątkową „elegancją”. Jej studium *Misja pokoju Carla J. Burckhardta* („Dzieje Najnowsze” 1974, nr 4), poświęcone działalności tego szwajcarskiego polityka jako ostatniego Wysokiego Komisarza Ligi Narodów w Wolnym Mieście Gdańsku w latach 1937-1939, określa p. Michulec jako „szowinistyczny artykuł”. Dopatruje się w tym tekście również bliżej niewskazanych „pomówień i manipulacji”. Jedno zdanie niech wystarczy za wszystko: „pani profesor kłamie, że Hitler żądał Gdańska i Korytarza” (s. IX, sic!). Tak więc nie wolno mówić, że Niemcy zażądały cesji terytorialnej Wolnego Miasta Gdańska i eksterytorialnej autostrady przez Pomorze Gdańskie!

Spośród historyków autor ceni wysoko zmarłego przed kilku laty Antoniego Czubińskiego, ale jemu także przypisuje głoszenie „patriotycznych dyrdymałków, wymyślonych przez polską inteligencję już w 1939 roku” (s. 365).

Jerzemu W. Borejszy zarzuca autor „formułowanie irracjonalnych konstrukcji”, „manipulację” i „forsowanie patriotycznych tez” (s. 356). Borejsza zawarł bowiem w swej książce *Szkoły nienawiści* (2000) stwierdzenie, iż oddziaływanie ideologii faszystowskiej w Polsce międzywojennej było utrudnione z powodu zakorzenionej w kręgach inteligencji polskiej tradycji demokratycznej i wolnościowej, wyrastającej m.in. z XIX-wiecznego etosu powstańczego. To twierdzenie, według „eleganckiej” oceny p. Michulca – jest „bełkotem”.

Długa byłaby lista podobnych obraźliwych sformułowań *ad*

hominem. Ich dalsze cytowanie mija się jednak z celem.

Odnotujemy tylko, że za „autorytet” w polskiej nauce historycznej autor uważa Dariusza Matelskiego, historyka, któremu kilka uniwersytetów polskich odmówiło wszczęcia przewodu habilitacyjnego (ale – zauważa autor – niesłusznie spotykają go krzywdzące opinie). Z uznaniem p. Michulec odwołuje się do dokonań naukowych Mariana Orzechowskiego, byłego członka Biura Politycznego KC PZPR i ministra spraw zagranicznych PRL, który w roku 1977 „udowodnił”, że występowało pokrewieństwo ideowe między narodowym socjalizmem a piłsudczykami.

Niestosowne określenia i sformułowania występują także w ocenach bohaterów książki p. Michulca. Pojawiają się np. sformułowania, iż „Beck stchórzył”, „Beck kłamał”, albo że „na Zachodzie chciano Hitlerowi dokopać” w roku 1939. Mówiąc o wojnie polsko-sowieckiej 1919-1920 autor pisze, że „Piłsudski udławił się swoją zachłannością” (s. 65). Określenie „sanacyjny rząd/reżim”, wymyślone przez propagandzistów PRL, pada w książce niezliczoną ilość razy. Język, jakim posługuje się p. Michulec, łączy cechy napastliwej propagandy – mojemu pokoleniu znanej z gazet stanu wojennego, oraz cechy nowomowy, jaką spotykamy dzisiaj u części ludzi biznesu w Polsce, pozbawionych solidnego wykształcenia. Nie wspominam już o niezręcznościach stylistycznych, gdyż nie one są najważniejsze.

Na marginesie odnotujemy jeszcze, iż kardynałowi Wyszyńskiemu, Prymasowi Polski, przypisuje p. Michulec propagowanie koncepcji wojny zaborczej przeciwko sowieckiej Rosji „w interesie Watykanu”, pod hasłami „Przedmurza” i obrony przed bolszewizmem. Zważywszy na inne szokujące twierdzenia i insynuacje autora, nie dziwi i ten pogląd. Zajrzałem jednak do tomu pism Wyszyńskiego (*Miłość i sprawiedliwość społeczna*, Poznań 1993), na który powołuje się autor omawianej książki. Na stronach 19 oraz na 159 i 160 nie znajdziemy jednak wezwań Kardynała do wojny z Rosją, ale potępienie „bożków ateizmu i rasizmu” oraz stwierdzenie, że Polska w ciągu swych dziejów „stawała w obronie Kościoła i chrześcijaństwa”, jak również pogląd, iż w oparciu o Polskę umacniały się wpływy Kościoła łacińskiego na Wschodzie, a kiedy wskutek rozbiorów Polski zabrakło, Kościół łaciński zaczął się „cofać nad Bug i Narew”.

Nie przeszkadza to oczywiście p. Michulcowi głosić swoich oskarżeń.

Nie widzę powodu i sensu polemizować z p. Michulcem w sprawie jego tezy, że Piłsudski to faszysta, a piłsudczycy to faszysci. Tę tezę głosiła „postępowa nauka radziecka”, a z taką nauką się nie polemizuje. Wypada tylko w milczeniu pochylić się przed jej twierdzeniami...

Nie będę również tłumaczyć p. Michulcowi, iż to jednak Niemcy zaplanowały i dokonały napaści na Polskę a nie odwrotnie.

Uczynię jednak mimo wszystko jeden wyjątek. Pragnę poinformować p. Michulca, iż termin „agresja” to łaciński odpowiednik polskiego słowa „napaść”. W stosunkach międzynarodowych napaści dokonuje jedno państwo na drugie przy użyciu zorganizowanej przemocy – najczęściej używa regularnych sił zbrojnych (lub ewentualnie band zbrojnych), wypowiadając wojnę lub działając bez wypowiedzenia wojny. To nie jest moje osobiste przekonanie, ale takie były ówczesne przepisy prawa międzynarodowego, znajdujące wyraz w najbardziej nowoczesnym akcie tego prawa, jakim była londyńska konwencja o definicji agresji i agresora, podpisana przez Polskę, Związek Sowiecki i jego sąsiadów 3 VII 1933 r.

Można wyznawać bardzo krytyczny sąd o stanowisku Becka wobec Czechosłowacji w czasie kryzysu sudeckiego jesienią 1938 roku, ale usiłowanie udowodnienia, iż Polska w roku 1938 napadła na Czechosłowację jest niesłychane. Zgodnie z logiką p. Michulca, być może w niedługim czasie przeczytamy, że Polska napadła również na Bułgarię albo na Norwegię...

Jest jeszcze inna ważna sprawa. Stosunek p. Michulca do źródeł historycznych jest po prostu instrumentalny i bezceremonialny, z czego, być może, nie zdaje on sobie sprawy. Przy tym jaskrawo brakuje mu zrozumienia klimatu czasów, o których usiłuje pisać. Podam tylko dwa przykłady:

1) W lutym 1939 Hitler powiedział wyraźnie, że Polska, jeżeli nie przyjmie jego żądań i jeśli w tej sprawie nie uda się osiągnąć porozumienia na drodze dyplomatycznej, to będzie musiała zostać wyeliminowana „innymi środkami”, tak że musi przestać być samodzielnym podmiotem w stosunkach międzynarodowych. Wypowiedź taką zanotował w swych zapiskach

(prowadzonych na bieżąco, a więc w lutym 1939) adiutant Führera w Naczelnym Dowództwie Sił Zbrojnych major Engel. Jego notatki wydano dopiero prawie trzydzieści lat po wojnie: *Heeresadjutant bei Hitler 1938-1943. Aufzeichnungen des Major Engel*, hrsg. H. von Kotze (Stuttgart 1974, fragment o Polsce – s. 45). Pisząc swoją książkę *Antyslawizm Adolfa Hitlera* (wydaną w roku 1988), Jerzy W. Borejsza odniósł się do tego źródła afirmatywnie (s. 79), słusznie uznając ten dokument za ważny dowód na to, że już wówczas skryształizowała się u przywódcy III Rzeszy myśl zbrojnego rozprawienia się z Polską. Zatem to nie brytyjskie gwarancje spowodowały decyzję Hitlera o uderzeniu na Polskę – jak twierdził brytyjski historyk Simon Newman w swej „rewizjonistycznej” książce: *Gwarancje brytyjskie dla Polski. Marzec 1939* (wyd. angielskie – 1976, polskie – 1981), lecz decyzja ta kształtowała się w jego umyśle już wcześniej.

P. Michulec oczywiście nie przyjmuje tej argumentacji i zbywa zapiski Engela gołosłownym stwierdzeniem, iż Hitler rzekomo tak powiedział, bo prowadził jakąś grę z kołami Wehrmachtu, które jakoby zarzucały mu zbytnią uступliwość wobec Polaków w sprawie Gdańska, więc musiał użyć takich słów. Nie miał jednak zamiaru uderzać na Polskę. Pragnę wobec tego zwrócić uwagę, że postępując w ten sposób ze źródłami, wkraczamy w fazę skrajnej dowolności. To źródło, które nam odpowiada – cytujemy, to zaś które nie pasuje do powziętej przez nas z góry tezy – odrzucamy. Ostatnio – przy innej okazji – pojawiło się sformułowanie „kreatywne źródłoznawstwo”. To właśnie praktykuje p. Michulec.

2) Piszący te słowa w książce *Polska 1939 roku wobec paktu Ribbentrop-Mołotow. Problem zbliżenia niemiecko-sowieckiego w polityce zagranicznej II Rzeczypospolitej* (2002), zawarł zasadniczą tezę, iż polskie kierownictwo polityczne (a Beck przede wszystkim) zakładało neutralność Związku Sowieckiego w obliczu wojny polsko-niemieckiej, o ile wojna ta przekształci się w konflikt europejski, w następstwie przyjscia Polsce z pomocą przez mocarstwa zachodnie. P. Michulec stawia mi więc zarzut wyciągania wadliwych wniosków ze źródeł, bowiem – jego zdaniem – Polska w 1939 roku jednak oczekiwała pomocy ze strony ZSRR, gdyż pragnęła tam kupować surowce, o czym Marszałek Śmigły-Rydz miał mówić już w kwietniu 1939 (s. 444). Oczekiwanie

p. Michulca, iż ktokolwiek przyjmie tę jego tezę, jest szczytem naiwności.

Oczywiście, że Polska pragnęła kupować surowce w ZSRR. Była o tym mowa w korespondencji MSZ z Ambasadą w Moskwie. Ale sprzedaż surowców nie jest naruszeniem neutralności. Takie jest prawo międzynarodowe. Szwecja w czasie II wojny światowej sprzedawała np. rudę żelaza Niemcom, pozostając państwem całkowicie neutralnym. Oczywiście pakt Hitler-Stalin z 23 VIII 1939 przekreślił polskie kalkulacje – to jasne. Gdyby Polska pragnęła pomocy sowieckiej, to nie sprzeciwiałaby się propozycji brytyjskiej z końca marca 1939 r. w sprawie konsultacji czterech państw (Wielkiej Brytanii, Francji, ZSRR i Polski), ani nie oponowałaby sowieckim żądaniom przemarszu Armii Czerwonej przez terytorium Rzeczypospolitej w sierpniu 1939!

Także i wówczas, kiedy p. Michulec powołuje się afirmatywnie na innych historyków (co mu się czasem zdarza), jego ścisłość jest wielce problematyczna – wyrażając się najdelikatniej, jak można. I tak np. Jacek Majchrowski, autor książki *Silni – zwarci – gotowi* (1985), rzekomo udowodnił, iż Obóz Zjednoczenia Narodowego był ruchem faszystowskim, podczas gdy autor w cytowanej przez Mikułca książce *Geneza politycznych ugrupowań katolickich* (Paryż 1984) mówi tylko o „totalistycznym charakterze organizacji” OZN-u (s. 115). Na str. 581 autor odsyła do artykułu Wojciecha Wrzesińskiego: *Polacy wobec odwetu. Z badań nad polską myślą polityczną w latach drugiej wojny światowej* („Dzieje Najnowsze” 1990, nr 1-2) i dowodzi, że w polskiej myśli politycznej podczas II wojny światowej pojawiła się koncepcja wymordowania trzech milionów Niemców w odwecie za napad i okupację. P. Michulec nie dodaje, że to sformułowanie z jednego z konspiracyjnych pism obozu narodowego jest formułą retoryczną, bowiem jego anonimowy autor mówi, iż „z naszej ręki paść musi 3 miliony Niemców” za milion Polaków (W. Wrzesiński, *op.cit.*, s. 82).

Mówiąc o wspomnianych już rzekomych polskich zamiarach napadnięcia na ZSRR w latach 1930-1932, p. Michulec powołuje się na artykuł śp. Olega Kena, rosyjskiego historyka z Petersburga: *Alarm wojenny wiosną 1930 roku a stosunki sowiecko-polskie*, drukowany w „Studiach z Dziejów Rosji i Europy

Środkowo-Wschodniej” (t. 35, 2000, s. 41-73). Nie wspomina wszakże ani słowem, że Ken jednoznacznie konkludował, iż żadne agresywne zamiary ze strony Polski nie miały miejsca. „Alarm wojenny” był elementem stalinowskiej polityki militaryzacji życia i wielkiej mobilizacji wokół pierwszej pięciolatki, a służył umocnieniu jedynowładztwa Stalina. Niech te kilka przywołanych przykładów zilustruje „warsztat” naukowy p. Michulca. Cytując w taki sposób, wszystko można udowodnić.

Każdy, kto zechce, sięgnąć może do obszernego tekstu p. Michulca, którego dokładnie streszczać nie mam obowiązku ani przyjemności. W moim najgłębszym przekonaniu książka ta nie zasługuje na recenzję.

Będąc ambicją p. Michulca wystąpienie przeciwko dotychczasowej historiografii byłoby chwalebne, gdyby spełniało dwa warunki: *primo*, gdyby wносиło coś nowego do nauki historycznej; *secundo*, gdyby było prowadzone z zachowaniem form właściwych dla kulturalnego człowieka. Tymczasem tak nie jest. Co więcej, książka p. Michulca ma niestety również wyraźny wydźwięk antyinteligentki. Wznowienie stereotypów antyinteligentkich wydaje mi się ważnym motywem wystąpienia p. Michulca. Daje on mu wyraz w formie emocjonalnej i przez to niekontrolowanej. W każdym zaś razie to wszystko, co o tej warstwie społecznej czytamy na kartach jego książki, nie ma niczego wspólnego z pragnieniem poznania prawdy historycznej, ale stanowi próbę ożywienia niezliczonych mitów propagandy PRL, w tym takich, które – jak się wydawało – przewrót w Polsce w roku 1989 pogrzebał już na zawsze.

Na jedyną pozytywną wzmiankę zasługiwałoby zamieszczenie w książce licznych fotografii, niektórych nieznanych lub słabo znanych, ale niestety nawet to jest niemożliwe, bowiem te fotografie podpisane są obelżywymi sformułowaniami!

Poważnie wahałem się, czy zabierać głos w sprawie książki p. Michulca. Wszelkie polemiki z takimi poglądami są niemożliwością. Wielce wątpliwe jest, by spowodowały istotną zmianę przekonań autora. Sam autor przepowiada, że jego książka nie będzie przyjęta inaczej, jak z oburzeniem. Nadawanie rozgłosu p. Michulcowi z całą pewnością nie jest pożądane. Ostatnie dwadzieścia lat naszej historiografii dostarcza przykładów na to, że najbardziej bezsensowne wystąpienia dodawały rozgłosu ludziom

szerzej nieznanym, a jednym z nich jest np. Dariusz Ratajczak, autor negacjonistycznej broszury *Tematy niebezpieczne* (1998), który, utraciwszy za to stanowisko adiunkta w Opolu, sam kreował się na ofiarę politycznych represji.

Z drugiej wszakże strony, ktoś chyba powinien zabrać głos w sprawie takiej publikacji. Brak reakcji historyków może być bowiem zachętą do naśladowania p. Michulca przez innych. Z tego głównie powodu wydaje mi się, że jednak należy zaprotestować przeciwko metodom polemiki *ad hominem*, którymi posługuje się autor – pragnąc zyskać w ten sposób rozgłos. Tak się zaś składa, że problematyka, której dotyczy paszkwil p. Michulca, stanowiła przedmiot moich studiów i poszukiwań archiwalnych na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat. Po dłuższym namyśle postanowiłem wobec tego zabrać głos powyższymi uwagami, które nie są recenzją, co pragnę wyraźnie podkreślić. W przekonaniu o tym, że to jest potrzebne, utwierdził mnie zaprzyjaźniony historyk niemiecki, który książkę kupił i ze zdumieniem przeczytał.

Autorowi książki, o której traktują niniejsze słowa, zdarza się cytować źródła publikowane, podając je jako archiwalia (np. bardzo ważne przemówienie Becka w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych 5 VI 1935, ogłoszone przeze mnie drukiem w „Zeszytach Historycznych”, z. 137 w 2001 r.). Zdarza mu się również cytować dokumenty publikowane, nie podając, kto je wydał (np. *W sprawie oceny strategicznego położenia Polski w 1934 r. Nieznana notatka Józefa Becka i Jana Szembeka z 7 maja 1934 r.*, oprac. M. Kornat, „Niepodległość”, t. LIII-LIV, 2003/2004, s. 257-263). To jednak są prawdziwe „drobiazgi”, zważywszy na inne „niezwykłe” cechy jego pisarstwa.

W sprawie tezy p. Michulca o fałszowaniu źródeł przez historyków polskich muszę przyznać, że jako historyk mogę z łatwością wskazać przykłady takich działań w PRL, w okresie stalinowskim (czyli przed rokiem 1956). Fałszowano na przykład fragmenty wspomnień Józefa Becka, fragmenty *Diariusza Szembeka*, opatrzone prymitywnym komentarzem Stefana Arskiego, fałszowano niektóre dokumenty dyplomatyczne, np. raporty ambasadora w Paryżu Juliusza Łukasiewicza. Czy fałszuje się źródła do historii najnowszej w dzisiejszej Polsce? Moim zdaniem, tylko wtedy można będzie o tym dyskutować, kiedy

autor tej tezy należycie ją uzasadni. To, co na ten temat czytamy w jego książce, ma niewielkie znaczenie.

Rozważaniom niniejszym dałem tytuł: *Nowe kłamstwa o Polsce międzywojennej*. Każdemu jednak, kto przeczyta książkę p. Michulca, nasunie się pytanie, na ile jego tezy są nowe, a w jakim zakresie stanowią tylko wznowienie haseł propagandy PRL. Ocena tego stanu rzeczy jest jednoznaczna. Czytając książkę miałem wyraźne przekonanie o tym, że ogromna większość opinii autora jest już mi znana. W jednej tylko sprawie p. Michulec znacząco różni się od historiografii urzędowej i propagandy PRL – wówczas, kiedy mówi, że Hitler w gruncie rzeczy pragnął pokoju, ale Polska go sprowokowała latem 1939 roku. Hitler był „polonofilem”, był „cierpliwy, wyrozumiały i wielkoduszny” (s. 356). Pragnął z Polską zgody, a Śmigły-Rydz chciał konfliktu i wojny! Oczywiście takich poglądów nie wygłaszano w PRL. To bowiem przekracza już granice wyobraźni historycznej.

Nie obawiam się, aby ktokolwiek z historyków polskich przyjął absurdalne opinie p. Michulca za swoje – są one zbyt skrajne i, co najważniejsze: pozbawione całkowicie podstaw dowodowych. Z tej perspektywy patrząc, książka p. Michulca stanowi *quantité négligeable*.

Jednak wśród młodego pokolenia – wiem to z rozmów ze studentami – pojawiają się wątpliwości, czy polityka zagraniczna Polski w latach trzydziestych XX w. miała swoje uzasadnienie. Czy decyzja o odrzuceniu żądań Hitlera w roku 1938/39 była słuszna, skoro kosztowała nas tak wiele, a jego żądania dość „umiarkowane”, jak napisał znany historyk niemiecki Martin Broszat. Im bardziej oddalamy się od czasów ostatniej wojny, tym więcej pojawia się takich pytań i zapewne będzie ich jeszcze więcej. Wśród ludzi młodych, zdobywających wiedzę o Polsce przedwojennej występuje wiele wątpliwości co do spraw, które jeszcze moje pokolenie uważało za oczywistość, nad którymi się nie dyskutuje. Wystąpienie p. Michulca może być przez tych ludzi uznane za uprawniony głos w dyskusji o II Rzeczypospolitej, którego należy wysłuchać, a niektóre opinie może nawet przyjąć. To właśnie jest moją największą obawą. *Nota bene*, w Internecie można znaleźć i pozytywne opinie o tym „dziele”.

Jeszcze jedna refleksja nasuwa mi się w związku z wystąpieniem p. Michulca. W historiografii polskiej na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat (1989-2009) przestrzegano pewnego poziomu w polemikach. Występowały nadużycia warsztatowe. Były skandaliczne publikacje. Nie było natomiast napaści osobistych w formie tak prymitywnej. Książka, o której mowa, stwarza więc niebezpieczny precedens i wyłom w dotychczasowych utrwalo-nych obyczajach. Oby nie był to początek zmiany „klimatu” w polskiej nauce historycznej, zmiany która spowoduje, że zamiast argumentów, będą w użyciu zasadniczo tylko epitety i pomó-wienia. Wyraźne oznaki zmiany na gorsze w „kulturze dyskusji” o historii najnowszej są niestety smutnym faktem.

Kiedy piszę te słowa, zastanawiam się, czy jakiś uniwersytet – które w Polsce obecnej „rozmnazają się” gwałtownie, mimo trudności budżetowych państwa i głodowych pensji pracowników nauki – nadał już p. Michulcowi doktorat za tę jego „pracę”. Niech mi wolno będzie wierzyć, że jednak nie.

Marek KORNAT

Przemysław WAINGERTNER

Z DRUGIEGO SZEREGU. KAROL LILIENFELD- -KRZEWSKI, CZYLI ZWYKŁEGO PIŁSUDCZYKA ŻYWOT POCZCIWY

Wśród bogatej i różnorodnej tematycznie literatury histo-rycznej, jaka w ostatnich dwóch dziesięcioleciach trafiła na rynek czytelniczy, charakterystyczna jest dominacja dwóch nurtów (wynikająca zresztą, jak się wydaje, zarówno z ukierunkowania zainteresowań młodych badaczy, jak też oczekiwań czytelników): historiografii dziejów najnowszych Polski i Polaków oraz biogra-fistyki. Przedmiotem niniejszej recenzji jest książka, której tema-

tyka stanowi syntezę obydwu wątków – biografia Karola Lilienfelda-Krzewskiego, autorstwa Katarzyny Czekaj, historyka z Uniwersytetu Łódzkiego, wydana przez warszawskie Wydawnictwo Naukowe „Semper”¹.

Lilienfeld-Krzewski to postać niezwykle interesująca – głęboko zaangażowana w kształtowanie otaczającej rzeczywistości, wielowymiarowa, kontrowersyjna dla współczesnych, ale zarazem odmienna od tych, które powszechnie przyciągają uwagę zarówno autorów, jak i czytelników książek historycznych. Należy on do tych nielicznych, rzadko przywoływanych w historiografii, uczestników wydarzeń, których określić można „ludźmi z drugiego szeregu”. Spośród takowych bodaj jako jedyny „zwyczajny piłsudczyk” znalazł się w doborowym gronie najważniejszych „ludzi Komendanta”, najchętniej dotychczas portretowanych przez biografów – Walerego Sławka, Edwarda Śmigłego-Rydza, Ignacego Mościckiego, Bogusława Miedzińskiego czy Bolesława Wieniawy-Długosзовskiego². Znalazł się, dodajmy, zupełnie zasłużenie. Przed wybuchem I wojny światowej członek młodzieżowych organizacji patriotycznych i „Strzelca”; później jeden z czołowych działaczy konspiracyjnej Polskiej Organizacji Wojskowej (POW), żołnierz I Brygady Legionów Polskich i – jako pisarz – współtwórca i propagator legendy Piłsudskiego i jego „legunów” (był m.in. autorem słynnego, na poły autobiograficznego utworu *Kapral Szczapa*, którego bohaterem uczynił odważnego i jowialnego legionistę, gotowego iść w ogień za Komendantem). Po odzyskaniu niepodległości oficer Wojska Polskiego, uczestnik wojny polsko-sowieckiej, piłsudczykowski publicysta i ideolog, dramatopisarz, wreszcie jako członek Głównej Rady Programowej Polskiego Radia współtwórca artystycznego i ideowego wizerunku tego medium. W latach II wojny światowej uczestnik kampanii wrześniowej, następnie emigrant – najpierw

1. K. Czekaj, *Karol Lilienfeld-Krzewski (1893-1944). Biografia*, Warszawa 2008, 112 s.

2. Zob.: P. Samuś, *Walery Sławek. Droga do niepodległej Polski*, Płock 2002; C. Leżeński, *Kwaterna 139. Opowieść o marszałku Rydzu-Śmigłym*, Lublin 1989; S. Nowinowski, *Prezydent Ignacy Mościcki*, Warszawa 1994; A. Adamczyk, *Bogusław Miedziński (1891-1972). Biografia polityczna*, Toruń 2000; M. Wołos, *Generał dywizji Bolesław Wieniawa-Długosowski. Biografia wojskowa*, Toruń 2000.

w Rumunii, gdzie znalazł się wśród najbliższego otoczenia politycznego marszałka Śmigłego-Rydza, później na Bliskim Wschodzie w Palestynie, gdzie do końca aktywny przegrał jednak ze śmiertelną chorobą – to tylko zarys najważniejszych wątków życia i działalności Lilienfelda-Krzewskiego. Z jego biografii można by wykroić kilka barwnych i zajmujących życiorysów.

Książka Katarzyny Czekaj, poprzedzona wstępem, prezentującym bazę źródłową i dotychczasową literaturę przedmiotu, podsumowana zakończeniem, zawierającym najważniejsze wnioski i tezy, została skonstruowana zgodnie z zasadą chronologicznie-problemową. Zbudowana jest z pięciu rozdziałów – ukazujących kolejno najważniejsze etapy życia jej bohatera – w ramach których wyodrębniono podrozdziały, mające charakter problemowy. Rozdział pierwszy przedstawia dzieciństwo i młodość Lilienfelda-Krzewskiego, studia na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz jego działalność w akademickiej organizacji „Promień” i w „Strzelcu”. W kolejnym rozdziale ukazany został przebieg wojennej służby Krzewskiego – i tej ściśle wojskowej, i tej rozumianej jako popularyzowanie piórem czynu legionowego i postaci „Dziadka” – w POW i I Brygadzie Legionów Polskich. Rozdział trzeci opisuje karierę wojskową, działalność polityczną i publicystyczną oraz twórczość artystyczną w latach 1918-1933 – w okresie, gdy pozostawał w służbie czynnej w Wojsku Polskim. Następny rozdział, prezentujący okres do wybuchu II wojny światowej, charakteryzuje poczynania Lilienfelda-Krzewskiego w cywilu – jako członka Rady Programowej Polskiego Radia, współpracownika Wojskowego Instytutu Naukowo-Oświatowego, publicysty periodyku „Wiarus”, wreszcie ideologa środowiska skupionego wokół piśsudczykowskiego pisma „Zaczyn”. W piątym rozdziale został przedstawiony wojenny i emigracyjny etap życia Krzewskiego, który nękany przez śmiertelną chorobę nie zarzucił aktywności na polu politycznym, uczestnicząc m.in. w przygotowaniach do ucieczki internowanego w Rumunii marszałka Śmigłego-Rydza. Do zasadniczego tekstu książki została dołączona bibliografia i aneks z ilustracjami.

Wydaje się, że każdy historyk, który decyduje się na opublikowanie książki poświęconej problematyce najnowszych dziejów Polski – sprawom i ludziom II RP oraz dramatycznym losom Polski i Polaków w okresie II wojny światowej – staje

przed zadaniem wyjątkowo trudnym. Popularność tej tematyki wśród dziejopisów i duże zainteresowanie nią czytelników literatury historycznej sprawia, iż burzliwe dzieje Rzeczypospolitej w pierwszym półwieczu XX wieku znane są coraz lepiej nie tylko zawodowym historykom, ale także amatorom-pasjonatom – nieprofesjonalnym admiratorom Klio. W tej sytuacji nowym opracowaniom towarzyszą zrozumiałe oczekiwania, iż pozycje te będą prezentowały nieznane dotąd wątki, lub zawierały nowe interpretacje omówionych już w dotychczasowej historiografii wydarzeń i procesów historycznych.

Wypada stwierdzić, iż Katarzyna Czekaj wychodzi naprzeciw powyższym oczekiwaniom. Bohaterem swej biografii uczyniła postać historyczną, która, jak dotąd, nie stała się przedmiotem obszernej naukowej refleksji, a niezwykle interesującą z powodu bogatego w wydarzenia życiorysu, stanowiącego niejako syntezę losów prawdziwej indywidualności – nietuzinkowego działacza politycznego, niepokornego publicysty, uzdolnionego literata i wojskowego z piękną kartą służby – a zarazem niejako „modelowego”, „typowego” piłsudczyka³.

Atutem książki jest również logiczna i przejrzysta konstrukcja; zajmująca, klarowna narracja i staranna edycja (prawie zupełny brak błędów literowych). Biografia została oparta na rzetelnych, szeroko zakrojonych badaniach, które zaowocowały obszerną bibliografią. Znalazły się w niej zarówno tytuły prasowe z epoki, w których publikował Lilienfeld-Krzewski, liczne wspomnienia i pamiętniki, wreszcie prawie sto monografii, wydawnictw zbiorowych oraz artykułów zamieszczonych w fachowych periodykach.

Zaletą książki jest również fakt, iż autorka nie unika śmiałych, zdecydowanych sądów i opinii, które zawsze stara się rzeczowo uargumentować i poprzeć dowodami, wywiedzionymi ze źródeł. Tezy i oceny Katarzyny Czekaj, wnosząc istotny wkład w naszą znajomość życia politycznego II RP, a niekiedy skłaniając do polemiki, sprawiają, iż książka wyczerpuje znamiona wartościowego opracowania naukowego, ważnego dla polskiej historiografii.

3. Przed opublikowaniem biografii Karola Lilienfelda-Krzewskiego do najobszerniejszych prezentacji jego życiorysu należał biogram w PSB – zob.: K. Pluta-Czachowski, *Krzewski Karol*, w: „Polski Słownik Biograficzny”, t. XV, Wrocław 1970, s. 540-541.

Autorka m.in. przekonująco dowodzi – opierając się na analizie treści i języka sztuk teatralnych – iż popularny w okresie międzywojnia autor kilkudziesięciu patriotycznych dramatów i mniejszych form scenicznych, Bronisław Bakal, to w rzeczywistości, ukrywający się pod pseudonimem Lilienfeld-Krzewski. Ta dobrze udokumentowana i niebudząca wątpliwości identyfikacja jest ważna i wartościowa nie tylko z punktu widzenia wiedzy o dziejach politycznych II RP, ale również znajomości historii polskiej literatury i kultury minionego stulecia. Wiele interesujących i nowych informacji, pozyskanych z materiałów źródłowych, przywołuje Katarzyna Czekaj, prezentując także emigracyjne perypetie swego bohatera na tle wojennych losów środowiska piłsudczykowskiego – polemizując z obecną we wspomnieniach współczesnych „czarną legendą” Krzewskiego, jako utracjusza i defraudanta pieniędzy publicznych.

Opinie zawarte w książce prowokują niekiedy do zadawania pytań i naukowej dysputy. Czy rzeczywiście można traktować tezy polityczne, formułowane na łamach piłsudczykowskiego periodyku „Zaczyn”, wysoce ogólnikowe, odnoszące się przede wszystkim do konieczności wprowadzenia w Polsce rządów silnej ręki, opartej na etosie wojskowym, a pomijające szczegółowe kwestie ustroju politycznego, ładu społeczno-ekonomicznego i polityki zagranicznej, jako „zwarty i konsekwentny program polityczny”⁴? Czy, jak konstatuje autorka, polski rząd emigracyjny rzeczywiście „tracił na znaczeniu” po klęsce Francji wiosną 1940 r.? Wydaje się, iż przede wszystkim na arenie międzynarodowej, ale także wśród polskiej emigracji pozycja gabinetu, po kapitulacji Francji i unicestwieniu odbudowywanej z takim trudem polskiej armii, została utrzymana, a próby jego zdyskredytowania przez piłsudczyków (kierowane przy tym przede wszystkim przeciwko premierowi i Naczelnemu Wodzowi Władysławowi Sikorskiemu, do końca wierzącego w triumf „niezwycięzonego” sojusznika znad Sekwany) zakończyły się jednak niepowodzeniem.

Na zakończenie o tym, czego zabrakło, moim zdaniem, w książce o Lilienfeldzie-Krzewskim. Po pierwsze (pomimo, iż autorka w podtytule określa ją mianem biografii, nie precyzując

4. K. Czekaj, *op.cit.*, s. 81.

np. że jest to jej zarys, czy też biografia polityczna, a zatem sugerując, iż czytelnik zapozna się z pełnym opracowaniem biograficznym) w rzeczywistości książka opisuje tylko publiczną aktywność jej bohatera. Informacje z życia prywatnego zostały ograniczone do dwóch drobnych fragmentów, z których jeden dotyczył jego lat dziecinnych i młodości, stanowiąc niezbędne wprowadzenie do opisu aktywności publicznej⁵.

Z kolei, odnosząc się już do działalności Lilienfelda-Krzewskiego jako literata i „człowieka kultury”, autorka pominęła w książce jej ważny rozdział, jaki stanowiła krytyka literacka. Co prawda, uczyniła to świadomie, wyjaśniając, iż „krytyka literacka uprawiana przez Karola Krzewskiego jest zagadnieniem obszernym, jednak wykraczającym poza zainteresowania niniejszej pracy, ze względu na jej silny związek z ówczesnym rynkiem wydawniczym, co wymagałoby zatem badań raczej z zakresu historii literatury”⁶. Jednak trudno oprzeć się wrażeniu, iż prezentacja tego wątku wzbogaciłaby wizerunek bohatera i uczyniła biografię pełniejszą – zwłaszcza że sama autorka podkreśla w książce rolę, jaką w życiu jej bohatera odgrywała aktywność w dziedzinie kultury – jako twórcy i krytyka.

W obszernej bibliografii, zamieszczonej w książce, zabrakło kilku monografii istotnych, z punktu widzenia badań porównawczych nad programami politycznymi ugrupowań piłsudczykowskich (a prezentacja i analiza niektórych spośród koncepcji ustrojowych, wytworzonych przez środowiska, z którymi wiązał się Lilienfeld-Krzewski, stanowiły istotny wątek w recenzowanej pozycji). Warto tu przytoczyć choćby bardzo wartościowe opracowania autorstwa Waldemara Parucha, Janusza Farysia i Władysława Tadeusza Kuleszy⁷.

Na koniec uwaga, której adresatem jest zarówno autorka, jak i wydawca, wspólnie przecież odpowiadający za ostateczny kształt książki. Z punktu widzenia historyka – pragnącego

5. *Ibidem*, s. 11-12, 100.

6. *Ibidem*, s. 57.

7. W. Paruch, *Mysł polityczna obozu piłsudczykowskiego 1926-1939*, Lublin 2005; J. Faryś, *Piłsudski i piłsudczycy. Z dziejów koncepcji polityczno-ustrojowej (1918-1939)*, Szczecin 1991; W. T. Kulesza, *Koncepcje ideowo-polityczne obozu rządzącego w Polsce w latach 1926-1935*, Wrocław 1985.

odnieść się do ustaleń w niej zawartych, lub odwołać się do wniosków autorki we własnej pracy – ale także uważnego czytelnika spoza cechu dziejopisów, istotnym brakiem jest niezamieszczenie indeksu osobowego.

Polska historiografia wzbogaciła się o cenną pozycję, dowodzącą nie tylko talentów badawczych i pracowitości autorki, ale także jej odwagi w podnoszeniu tematów niełatwych, z pogranicza różnych dyscyplin naukowych – historii, politologii i literaturoznawstwa.

Przemysław WAINGERTNER

CI, CO ODESZLI

Marek KORNAT

PAWEŁ WIECZORKIEWICZ (1948-2009)

23 marca br. zmarł w Warszawie Paweł Wieczorkiewicz, profesor w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Jego nazwisko pozostaje dobrze znane tym wszystkim, którzy zajmują się historią najnowszą. Był autorem licznych książek, poświęconych głównie dziejom Związku Sowieckiego i Polski Odrodzonej. Jego pierwszą specjalnością była problematyka dziejów wojskowości. Często i chętnie udzielał wywiadów i wypowiedzi w prasie i w telewizji, wielokrotnie też, świadomie formułował oceny skłaniające do sprzeciwu.

Studia historyczne odbył na Uniwersytecie Warszawskim, należał do uczniów prof. Ludwika Bazyłowa, będącego czołowym w Polsce powojennej znawcą dziejów Rosji XIX stulecia. Pod jego kierunkiem uzyskał doktorat w roku 1979. Habilitował się w roku 1984 na podstawie rozprawy poświęconej stalinowskim „czystkom” w sowieckich siłach zbrojnych w latach trzydziestych XX wieku, która ukazała się jako *Sprawa Tuchaczewskiego* w roku 1994. Śp. prof. Marian Zgórniak z Uniwersytetu Jagiellońskiego wspominał piszącemu te słowa, iż jako recenzent w tym przewodzie habilitacyjnym, oceniał tę książkę wysoko. Problematykę tę kontynuował Wieczorkiewicz później i ogłosił jeszcze jedno obszerne dzieło: *Łańcuch śmierci. Czystka w Armii Czerwonej 1937-1939* (2001). Dał w niej swe podsumowanie wieloletnich poszukiwań. Zbrodniczy mechanizm terroru ukazał autor drobiazgowo. Zgromadził faktografię niezmiernie rozległą. Wykorzystał

dostępne mu w Rosji akta archiwalne, chociaż z całą pewnością dotarł tylko do niektórych dokumentów. Pisał o tym wszystkim „na chłodno”. Książka ta przyniosła mu uznanie – wyrażone m.in. Nagrodą Wydziału I Polskiej Akademii Nauk im. Joachima Lelewela.

Z twórczością Wieczorkiewicza zetknąłem się, o ile mnie pamięć nie myli, w roku 1988, czytając jego wypowiedzi w ówczesnej prasie, przeżywającej szczególny moment emancypacji spod dyktatu cenzury. Ale konkretne i bliższe wspomnienie wiąże się z rokiem 1991. Do dzisiaj zachowuję w pamięci szczególnie silny wpływ, jaki wywarła na mnie lektura książki Richarda Pipesa *Russia under Old Regime*, której polski przekład autorstwa Jarosława Bratkiewicza pt. *Rosja carów*, ukazał się ze wstępem i w opracowaniu Wieczorkiewicza w roku 1990. Ważne to było doświadczenie, rzadko bowiem lekturze książki – książki trudnej i wielowątkowej – towarzyszy tak mocne uczucie odkrywania czegoś bardzo ważnego.

Przy udziale Wieczorkiewicza, jako bądź redaktora, bądź autora wstępów albo posłowi, ukazywały się po polsku jeszcze inne ważne pozycje – m.in. *Wspomnienia* Murawiowa (1990) albo książki o charakterze sowietologicznym – np. Roberta Conquesta *Stalin and the Kirov Murder* (1989) lub Miloša Mikelna, *Stalin* (1990), albo studium Catherine Andreyev o ruchu Własowa (1990). On też miał swój udział w publikacji innych ważnych pozycji do dziejów najnowszych – m.in. książki Philippe’a Massona, *Historia Wehrmachtu 1939-1945* (1995) czy teoretyka i historyka wojen Basila Liddell Harta (*Karmazynowe bractwo: generałowie Wehrmachtu o wojnie*, 2006).

Nurtem poszukiwań badawczych Wieczorkiewicza, którego nie można pominąć, jest problematyka zbrojeń i wojen na morzu. Owocem tych zainteresowań stała się dwutomowa *Historia wojen morskich*, wydana w roku 1995, ważna dla historiografii polskiej, na ogół mało o tych zagadnieniach traktującej. Nie piszę o tym więcej, bowiem sprawy te są od moich zainteresowań odległe.

Poznałem Pawła Wieczorkiewicza w roku 1998. Wspólnie dyskutowaliśmy, m.in. u niego w domu, różne kwestie związane z reedycją siedmiotomowego dzieła Jana Kucharzewskiego *Od białego caratu do czerwonego*, które wydane w latach 1922-1935, zostało dawno wyczerpane i było zupełnie niedostępne. Zaslugą Wieczorkiewicza (wraz z Andrzejem Szwarcem i Franciszkiem

Nowińskim) pozostanie to, że z jego inicjatywy wznowienie tej książki doszło do skutku, nakładem PWN, w latach 1998-2002. Powstała więc możliwość, iż wykładowcy akademicy będą do tej książki odsyłać studentów, chociaż jest smutną prawdą, że zainteresowanie wielką tradycją polskiej humanistyki i historiografii raczej słabnie, mimo że wznawia się i wydaje bardzo wiele.

Na początku lat osiemdziesiątych, Wieczorkiewicz zaczął podejmować studia wokół międzynarodowego położenia Polski Odrodzonej, a więc o sprawach, które wówczas stawały mi się bliskie. Jego zapomniany dzisiaj szkic: *Polityka zagraniczna II Rzeczypospolitej na tle sytuacji europejskiej w latach 1918-1939* (1982) był bardzo interesującym spojrzeniem na polską dyplomację, a wówczas, piszącemu te słowa, jako doktorantowi UJ, poszukującemu własnego spojrzenia, wydawał się bardzo ciekawy i przede wszystkim inny od stereotypowych wypowiedzi historiografii urzędowej PRL, głoszącej hasła o „współpracy polsko-niemieckiej” w latach 1934-1938, o „klasowym charakterze polskiej polityki zagranicznej”, albo o „antyradzieckim zaślepieniu” Józefa Becka.

Czytałem książki Wieczorkiewicza zawsze z zainteresowaniem, chociaż nie zawsze dzieląc wnioski. Jedną z takich spraw, co do których miałem inne zdanie, to oskarżenie Tadeusza Kobyłańskiego, naczelnika Wydziału Wschodniego Ministerstwa Spraw Zagranicznych o pracę dla wywiadu sowieckiego, które oparte zostało na wielce wątpliwych relacjach oficerów sowieckich służb specjalnych. Ostrożność w takich sprawach uważałem zawsze za rzecz konieczną – nawet gdyby były dostępne materiały „poszlakowe” na ten temat. Fakt, że udostępnianie akt archiwalnych jest w dzisiejszej Rosji „dozowane” i uwarunkowane pozanaukowymi czynnikami – należy przyjąć do wiadomości.

W ostatnich latach, zainteresowania Wieczorkiewicza przesunęły się w kierunku studiów nad historią Polski Odrodzonej. W roku 2001 ukazał się jego interesujący szkic *Kampania 1939 roku*. Cztery lata później ukazała się *Historia polityczna Polski 1935-1945*, która wzbudziła wiele odgłosów – m.in. krytyczne uwagi na marginesie – pióra prof. Andrzeja Chojnowskiego, drukowana w „Dziejach Najnowszych” w roku 2007.

Był Wieczorkiewicz również współautorem dwóch syntez: *Polska: dzieje polityczne ostatnich dwustu lat* – wraz z Jerzym Eislerem i Andrzejem Szwarcem (1997) oraz *Historii Rosji* – zasadni-

czo pióra Ludwika Bazylowa, doprowadzonej do 1917 roku, do której dodał własny rozdział końcowy, obejmujący dobę sowiecką (1917-1991) i wydał w roku 2005, może niezbyt zręcznie podając na karcie tytułowej nazwiska dwóch autorów, zamiast potraktować swój rozdział – zresztą bardzo ważny – jako *postscriptum* do książki dawno temu już napisanej (Bazylow zmarł w roku 1985).

We wrześniu 2000 r., Wieczorkiewicz był recenzentem w moim przewodzie doktorskim na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, podstawą którego stała się obszerna monografia: *Polska wobec paktu Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 r.*, napisana pod kierunkiem prof. Michała Pułaskiego, wydana dwa lata później pod nieco zmodyfikowanym tytułem przez Polski Instytut Spraw Międzynarodowych w Warszawie. W bardzo obszernej recenzji, pisanej w wyjątkowo krótkim czasie (w sierpniu 2000 r.), Wieczorkiewicz podjął szerokie rozważania polemiczne, do których uważałem za swój obowiązek odnieść się starannie w czasie obrony pracy. Jego ocena Józefa Becka i ambasadora w Moskwie Wacława Grzybowskiego była bardzo krytyczna – zupełnie inna niż moja – a sprowadzała się do zarzutu niezrozumienia sowieckiej polityki zagranicznej, co przyniosło ten skutek, że nie rozpoznano w Warszawie strasznego scenariusza „taktycznego sojuszu” Berlin-Moskwa. Moje uwagi polemiczne przyjął z uznaniem i nie wziął mi ich za złe.

Wówczas właśnie – w roku 2000 – Wieczorkiewicz dochodził już do przekonania, że w realiach roku 1939, Polska winna była poszukiwać czegoś w rodzaju „mniejszego zła” i przyjąć niemieckie żądania terytorialne – dotyczące cesji Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy Niemieckiej oraz eksterytorialnej autostrady do Prus Wschodnich przez Pomorze Gdańskie. Uważał, że to rozwiązanie stałoby się jakąś alternatywą wobec strasliwej tragedii, jaką przyniósł Polsce pakt Hitler-Stalin i katastrofa Września 1939 r. Sądził też, że takie posunięcie byłoby wielkim „manewrem” politycznym, godnym stylu Józefa Piłsudskiego i pozwoliło zyskać Polsce chwilę wytchnienia. Później zaś, zależnie od konkretnych okoliczności, może udałoby się zerwać z Niemcami... To wszystko oznaczałoby, że II wojna światowa zapewne wybuchłaby, ale nie zaczęłaby się od rozbioru Polski, tylko na Zachodzie (Niemcy i Włochy przeciw Francji, za którą stanęłaby zapewne Wielka Brytania).

Nota bene, Wieczorkiewicz nie był w tych poglądach od-

osobniony, co warto podkreślić, bo przecież podobne refleksje zostawili nam: Stanisław Mackiewicz, Jerzy Łojek, Stanisław Świaniewicz, Adam Bień czy Jerzy Giedroyc, w jednym z ostatnich wywiadów jakiego udzielił Hannie Marii Gizie latem 2000 r.

Pod koniec życia Wieczorkiewicz bardzo zaostriżył swoje opinie, nadając niektórym z nich postać prawdziwie skrajną, czego potwierdzeniem stał się niezwykle jednoznaczny w formie wywiad z Piotrem Zychowiczem, *Wojna polska*, dla dziennika „Rzeczpospolita” (17-18 IX 2005). Mowa tam o wspólnym z Niemcami marszu na Moskwę i defiladzie w zdobytej stolicy ZSRR armii polskiej i Wehrmachtu. Wiele z tych wypowiedzi wywołało zaskoczenie i budziło sprzeciw. Ten nurt publicystyki Wieczorkiewicza cechowała łatwość formułowania przypuszczeń, w oparciu o rozumowanie „co by było gdyby...”

Wspomnienie nie jest na pewno miejscem, by do tych spraw wracać – zresztą w sporze o polską decyzję o odrzuceniu żądań Hitlera użyto już chyba wszelkich możliwych argumentów. Powiem więc tylko tyle: nie podzielałem ani wówczas (w r. 2000), ani nie przyjmuję dzisiaj, rozumowania tych, którzy opowiadają się za przyjęciem żądań niemieckich w latach 1938/39.

Hitler zawsze stopniował żądania wobec swych ofiar. Te z lat 1938/39 były tylko początkiem, potem przyszłyby następne. Stawiając na współpracę z III Rzeszą w dobie ostatniej wojny, Polska musiałaby uczestniczyć w wyprawie przeciwko ZSRR, ale i wziąć udział w najbardziej nieludzkiej operacji minionego stulecia: zbrodni holokaustu. Pokojowe pozbycie się niepodległości jest czymś, na co nie może zdobyć się naród, mający za sobą niejedno doświadczenie walki o prawo do swego miejsca w Europie. To jest sprawa egzystencjalna, czyli taka, której się nie dyskutuje.

W kontaktach z Wieczorkiewiczem, wyczuwałem od początku wiele życzliwości dla siebie i dla tych wszystkich historyków młodego pokolenia, wchodzącego w życie dorosłe już w wolnej Polsce (wraz z przełomem 1989 roku), a przedstawiciele którego zaczęli zaznaczać swoją obecność w historiografii. Cenił on nade wszystko to, co w nauce najważniejsze i co liczy się ponad wszystko – umiejętność myślenia w sposób samodzielny. Myślę, że takim pozostanie nie tylko w mojej pamięci.

Marek KORNAŃ

OKRUCHY HISTORII

Piotr WANDYCZ

SPOTKANIE Z MARKIEM HŁASKĄ

W ostatnich kilkunastu latach ukazało się wiele prac poświęconych Markowi Hłasce i jego pisarstwu. Lektura najnowszego opracowania Mikołaja Tyrchana *Marek Hłasko i «Kultura»* („Zeszyty Historyczne” 2009, z. 168) – przypomniała mi moje spotkanie z pisarzem sprzed pięćdziesięciu laty. Mam nadzieję, że ten drobny przyczynek do portretu pisarza zainteresuje czytelników „Zeszytów”.

W 1958 roku spędzałem szereg miesięcy w Paryżu, zbierając materiały do mej książki o stosunkach francusko-polsko-czechosłowackich. Jak zwykle kontaktowałem się z Maisons-Laffitte i zapewne stamtąd dostałem świeżo wydane opowiadania Hłaski. Książka mnie zafascynowała i Jerzy Giedroyc ułatwił mi spotkanie z autorem, który wówczas mieszkał w domu „Kultury”. Hłasko przyjechał do Paryża i spędziliśmy razem popołudnie i wieczór.

Marek – piszę Marek, bo zaproponował mi po paru godzinach bruderszaft – chciał zobaczyć film z Jamesem Deanem, chyba *Rebel without a cause*. Wybór nie był przypadkowy, bo Hłaskę porównywano z popularnym wówczas młodym aktorem, należącym do pokolenia „zbuntowanych”.

Z kina wyszliśmy w połowie filmu, bo Marka on wyraźnie denerwował.

Pozostałe godziny spędziliśmy, odwiedzając bary na bulwarze Montparnasse.

Znając ze słyszenia opowieści o Hłasce, rozbijającym po pijanemu lustra w lokalach, miałem duszę na ramieniu, zwłaszcza, że ilość whisky, którą wypił, była zawrotna. Ale obyło się bez incydentów i czas upływał na rozmowach, o ile pamiętam, głównie o literaturze. Marek był bardzo czytany i jak mi mówił, kiedy prowadził ciężarówkę, to kazał siedzącemu obok koledze czytać mu na głos. Nie interesowała go natomiast architektura i te „stare paryskie kamienie”, jak się wyrażał, choć trochę podejrzewałem, że się zgrywał. W ogóle przychodziło mi trudno odróżnić u Marka pozę od tego, co naprawdę czuł czy myślał. Podobnie było, kiedy skarżył się na zespół „Kultury”, że traktuje go jak maszynę do pisania i stara się organizować mu życie jako pisarzowi. Hłasko buntował się przeciw temu, choć sam nie bardzo wiedział, czego chciał. Czytając artykuł M. Tyrchana o staraniach Giedroycia wciągnięcia Hłaski w obręb działalności „Kultury”, rozumiem lepiej dąsy czy opory Marka.

W pewnym momencie zapytałem go, czy piosenka, którą cytuję w swym opowiadaniu ze słowami: „niech żyje nam marszałek Stalin, co usta słodsze ma od malin”, jest przez niego wymyślona czy rzeczywiście istniała. Aby zademonstrować, że naprawdę, Marek zaczął ją śpiewać na całe gardło. Była już chyba dwunasta w nocy, a wiosna 1958 roku była okresem rozruchów w Paryżu. Podпиты i głośno śpiewający cudzoziemiec mógł łatwo sięgnąć na siebie uwagę policjantów. Starąłem się namówić Marka, żeby poszedł spać, a ponieważ było już za późno na powrót do Maisons-Laffitte, zaofiarowałem mu gościnę w moim hoteliku. Odpowiedział, że będzie chodził do rana po Paryżu, a jeśli ja nie mogę mu towarzyszyć, to czy mógłbym mu pożyczyć trochę pieniędzy. Znając ze słyszenia reputację Marka, nie spodziewałem się, że je kiedykolwiek zobaczę. Niestusznie, bo kiedy spotkałismy się raz jeszcze, wszystko mi oddał.

To następne spotkanie było zresztą dużo krótsze i Hłasce chodziło głównie o dowiedzenie się w ambasadzie amerykańskiej, czy miałby szanse na otrzymanie wizy do Stanów. Ja służyłem jako tłumacz, ale wynik rozmowy był negatywny. Nie widzieliśmy się już więcej.

Marek Hłasko był niewątpliwie postacią nieprzeciętną, utalentowanym pisarzem, trochę wykolejeńcem, zapewne nieszczęśliwym i nie mogącym znaleźć swej drogi w życiu. Swym stylem

bycia, pozą, nawet wyglądem, przypominał istotnie zrewoltowanego Jamesa Deana. Podobnie jak amerykański aktor, umarł bardzo młodo, nagłą śmiercią.

Piotr WANDYCZ

Krystyna J. PRZYBOROWSKA-ORŁOWSKA

«VERBOTEN, VERBOTEN». NIE WOLNO, TO TRZEBA SZYBKO

Rok 1945, zima. Siedzimy już od Bożego Narodzenia w Oberlangen. Obóz jeniecki, położony tuż przy granicy z Holandią. Mróz siarczysty daje się we znaki. Wszystkie jesteśmy z Powstania Warszawskiego. Wiadomo, powstanie było w sierpniu, nikt nie ma ciepłych ubrań.

Nagle radość wielka. Przyszły ostatnie paczki z Czerwonego Krzyża. Chyba z Argentyny. Tak przynajmniej mówiono. A może z Genewy. Nie wiem. Nie sprawdzałam. Ostatnie, bo potem poczta się urwała. W paczkach stare mundury, chyba jeszcze z pierwszej wojny światowej. Ale zrobione z dobrej wełny. Ruszyły przeróbki. Nareszcie jest nam ciepło.

Kłopot tylko ze skarpetkami i rękawiczkami. Nogi i ręce nadal marzną jak nieszczęście. W paczkach była wełna, ale nikt nie miał drutów do zrobienia rękawiczek i skarpetek.

Nie ma drutów a cały obóz otoczony pięcioma rzędami drutu kolczastego. Do drutów nie wolno się zbliżać. *Verboden!* Zaraz strzelają. W nocy z baraków wychodzić nie wolno. Reflektory. Chodzą po terenie i sprawdzają czy nikt do tych nieszczęsnych drutów nie podchodzi.

Jakoś trzeba sobie poradzić. Przez parę dni oglądałam te druty. Wypatrzyłam jedno miejsce, gdzie drut jakiś sterczał. W

dzień nie wolno podchodzić. *Verboten!* W nocy nie wolno. *Verboten!* Reflektory z budek strażniczych dbają, by nikt się nie wysunął a już szczególnie do tych drutów. *Verboten!* No, jak nie wolno, to trzeba szybko! Zapamiętałam sobie, gdzie ten wystający drut. Dobra nasza!

Życie nasze składało się ze spraw, które były *verboten*. Ale do odważnych świat należy! Trzeba działać, bo ręce i nogi marną.

Pierwszej nocy udało mi się podejść do tego wystającego drutu. Parę razy wygięłam go. Drugiej nocy znów trafiłam do niego, by go znów trochę powyginać. Trzy nocne wyprawy by wreszcie wyginany tam i z powrotem drut się złamał. Żaden reflektor mnie nie wyniuchał. Udało się!

Do zrobienia rękawiczek potrzebne są cztery druty. Na szczęście mój zdobyczny był wystarczająco długi. Wystarczyło na cztery. Końce ładnie zaostrzyłam na kamieniu i nareszcie mogłam się wziąć do roboty.

Ktoś się zdziwił. Skąd masz druty? Ano, znalazłam, odpowiedziałam. A gdzie? Pyta dalej ciekawska. Nie pamiętam, odrzekłam.

Krystyna J. PRZYBOROWSKA-ORŁOWSKA

WSPOMNIENIA

Jerzy KRAIŃSKI

AFRYKA, WOJNA I MORZE

Urodziłem się w Beskidach, w południowo-wschodnim krańcu Polski, w 1920 r., prawie dokładnie w połowie drogi między Bałtykiem a Morzem Czarnym. W 1924 r. ojciec mój przejął majątek mego dziadka na pograniczu Podola i Wołynia, kilkanaście kilometrów na wschód od powiatowego Sokala i rzeki Bug. Była to chyba największa woda jaką zobaczyłem zanim skończyłem 11 lat. Niedaleko domu był mały staw i tam po raz pierwszy spróbowałem swego szczęścia jako marynarz. Miałem chyba 6 lub 7 lat. W domu mieliśmy dużą balię do prania. Pewnego dnia, wraz z moim bratem, udało nam się wykraść ją, przetoczyć nad staw i szczęśliwie wodować. Wtedy nauczyłem się dwóch rzeczy: że statek, który jest okrągły, może być bardzo zwrotny, ale jest trudny do sterowania i że jeżeli środek ciężkości znajduje się powyżej poziomu wody, to stateczność jego może być łatwo zachwiana. Po kilku minutach, znalazłem się w wodzie i to był na długie lata koniec moich eksperymentów żeglarskich.

Do gimnazjum poszedłem we Lwowie, który jak wiadomo, nie posiadał tradycji żeglarskich, a jedyną rzeką jaką tam mieliśmy była zupełnie zasklepiona Pełtew. Pierwszy raz otworzyły mi się oczy na szerszy świat, gdy pojechałem na obóz harcerski koło Orłowa. Rozbiliśmy namioty w przybrzeżnym lesie i tu nareszcie zobaczyłem wielką wodę i statek na horyzoncie. Nie pamiętam moich uczuć w tamtym okresie, ale na pewno nie była to miłość od pierwszego wejrzenia.

Od najmłodszych lat miałem to, co Niemcy nazywają *Wanderlust*, to znaczy, że nie mogłem usiedzieć na miejscu. Zawsze korciło mnie, by zobaczyć, co znajduje się za następnym zakrętem drogi, a daleki horyzont wywoływał ciągoty wędrownicze. Gdy już trochę podrosłem, zacząłem dosiadać konia i z kilkoma złotymi w kieszeni, znikalem z domu na dzień lub dwa, nocując często w przydrożnych karczmach.

W szesnastym roku życia trzeba było podjąć decyzję w sprawie przyszłości. Biorąc pod uwagę moje zainteresowania podróżnicze, decyzja pójścia do Szkoły Morskiej była raczej naturalną. Na morzu nie było wprawdzie drogi z zakrętami, ale była niczym nieprzerwana linia horyzontu. Tak więc, w lecie 1937 r., znalazłem się jako kandydat na „Darze Pomorza”. Przystosowałem się stosunkowo szybko do nowego trybu życia na statku, a następnie w Szkole Morskiej. O ile na „Darze” „Macaj” ganiał mnie niemiłosiernie za brudne drelichy, o tyle w szkole, gdzie został inspektorem, doszliśmy stosunkowo szybko do porozumienia, gdy mu powiedziałem o moich zainteresowaniach rybołówstwem dalekomorskim. Dzięki niemu, zwolniono mnie z „Daru Pomorza” na początku sierpnia 39 r. i kilka dni później zamustrowałem jako praktykant na lugier „Korab I”. Gdy wybuchła wojna, byłem na Morzu Północnym i cała nasza flota rybacka – „Mewy” i „Korabie” schroniła się w Holandii. Po dwóch tygodniach przyjechał komandor Kosianowski i zapadła decyzja przeprowadzenia czterech „Korabi” do Dunkierki, co mimo braku ludzi, poszło dosyć sprawnie. W Dunkierce nikt się nami specjalnie nie interesował a kontaktu z Anglią nie było. Zdecydowałem się wstąpić do wojska. Po ośmiu miesiącach przeszkolenia w Coëtquidan, wysłano nas na front na Linie Maginota i jak historia wojny podaje, raczej z fatalnym rezultatem. Po krótkim pobycie w obozie jeńców, przedostałem się do tak zwanej „strefy wolnej”, która pozostawała pod kontrolą rządu Vichy.

Francja 1940/41

Zacząłem przeglądać moje notatki z okresu wojny. Są bardzo lakoniczne i teraz, z dystansu 47 lat, nie mają czasami sensu.

Odnoszą się głównie do spotkań z różnymi ludźmi, kolegami z wojska, ze Szkoły Morskiej i innymi, których twarze czas zataił.

Jest jesień 1940 roku. Jestem w Marsylii i mieszkam razem z moim dowódcą kompanii, kapitanem Stefanem Rurańskim, na tzw. Starym Mieście, przy ulicy Dzieci Opuszczonych. Pokój-komórka. Dwa metry na dwa metry, bez okna i jedno, niezbyt szerokie łóżko, które musimy dzielić.

Pod datą 25 października zapisałem raczej błahą uwagę na temat dziurawych butów. Wtedy prawdopodobnie odczuwałem to dosyć silnie, bo o ile pamiętam, jesień w Marsylii była wyjątkowo zimna i mokra. 29 października: spotkanie Stefana Andrzejewskiego „Teacher” – niespodziewana gotówka. Notatka nie mówi skąd ta gotówka przyszła, ale przypuszczam, że był to dar od Andrzejewskiego. 11 grudnia: wysłanie paczki do Barczewskiego (kolega ze Szkoły Morskiej). Siedział wtedy w więzieniu za próbę ucieczki z Francji na jachcie „Clementine”. 19 grudnia: wypłaciłem adwokatowi Barczewskiemu 750 fr. Lista załogi jachtu „Clementine”: H. Jóźwicki, E. Połec, A. Hawrylak, E. Mikeska i Z. Barczewski. Ponieważ byłem wtedy biedny jak święty turecki, więc przypuszczam, że była to dotacja od wyżej wymienionego Stefana Andrzejewskiego, który był nauczycielem angielskiego w Szkole Morskiej.

W tym czasie, zaczęliśmy dostawać regularne wypłaty od rządu francuskiego, które poprawiły nieco nasz byt. Wszyscy członkowie armii polskiej we Francji mieli prawo do tej pensji. By ją otrzymać, trzeba się było oficjalnie zdemobilizować, co dodatkowo przynosiło parę tysięcy franków. Ponieważ było kilka ośrodków demobilizacyjnych, które nie miały kontaktu ze sobą, przeto wszyscy, między innymi i ja, demobilizowaliśmy się kilkakrotnie. Etyka nie wchodziła tutaj w grę. Trzeba było jakoś przeżyć ten trudny okres a rząd Vichy był uważany za wrogi reżym.

Już jesienią 1940 roku, powstała w Marsylii organizacja podziemna, której oficjalną rezydencją był tzw. Szpital Angielski, na przedmieściu Marsylii. Po ewakuacji Anglików, został on oddany byłym kombatantom polskim jako hostel i punkt zborny. Główną działalnością organizacji była potajemna wysyłka wyselekcjonowanych wojskowych do Algieru, skąd drogą lądową

musieli starać się dostać do Casablanki. Organizacja dysponowała dużymi pieniędzmi i miała nawet świetnie zorganizowaną komórkę, która dostarczała, w razie potrzeby, fałszywych dokumentów.

W interesie każdego, kto przybył do Marsylii, było jak najszybsze zarejestrowanie się w organizacji. Niestety, jak już powiedziałem, wyjazdy były dostępne tylko dla wybranych. Zdawałem sobie sprawę z tego, że ponieważ przynależałem do piechoty, to moja szansa dostania się na listę, była znikoma. Niemniej jednak zgłosiłem się parę dni po przyjeździe. W pokoju, do którego mnie wprowadzono, zastałem trzech panów, niewątpliwie starszych rangą oficerów. Wzięli moje dane: kapral podchorąży, 3. pułk piechoty, I Dywizja. Jeden z nich ziewnął. Był wyraźnie znudzony. Domyśliłem się, że nie byli mną zainteresowani. W tym momencie przypomniałem sobie, że lotnicy, broń pancerna i marynarka mają pierwszeństwo przy ewakuacji z Francji. Nie wiedziałem jaki był ich stosunek do marynarki handlowej, ale z desperacją rzuciłem moją książeczkę żeglarską na stół.

– A to co? – zapytał jeden z nich.

– To książeczka żeglarska. Byłem w Szkole Morskiej – powiedziałem niepewnie.

– A, to marynarz – ożywił się ten siedzący w środku. – To czemu nie mówicie od razu. Proszę być gotowym zaraz po Nowym Roku.

10 stycznia zostałem wezwany do Szpitala Angielskiego. W poczekalni zastałem pięciu innych panów i po chwili zostaliśmy poproszeni do gabinetu, gdzie byłem poprzednio przesłuchiwany. Oficer, którego nazwiska już nie pamiętam, przedstawił nas i powiedział, że 12 stycznia odpłyniemy do Algieru. Naturalnie cała operacja była nielegalna i trzeba było zachować wszelkie możliwe środki ostrożności. Mieliśmy być w porcie o godzinie 10-tej wieczorem, w określonym miejscu. Podano nam również kontakt w Algierze i bardzo ogólną informację, odnośnie przekroczenia granicy marokańskiej. Dostaliśmy również po 1500 fr. na wydatki, związane z wyjazdem. Po wyjściu z gabinetu, byłem oszołomiony i nie wierzyłem własnemu szczęściu. Po miesiącach czekania i rozmaitych fałszywych nadziei – ruszam dalej. Wszystko wydawało się jasne i pewne. Skok przez morze. Przekroczenie „na zielono” granicy marokańskiej i po dobiegu do

Casablanki, załadowanie się na już czekający statek, odpływający do Wielkiej Brytanii. Rozbrajająca naiwność, ale może konieczna w tamtej chwili.

W tym momencie mój notatnik podaje skład naszej grupy: Bielecki, Różański, Łukjaniec, Samołyk i Wojtanowicz. Wszyscy oni, z wyjątkiem Miecia Różańskiego, byli młodymi oficerami broni pancernej lub lotnictwa. Miecio miał około 40 lat. Był z zawodu architektem, ale przed wojną pracował jako scenograf w Teatrze Wielkim we Lwowie. Jego zdolności graficzne zakwalifikowały go do komórki cichociemnych, której głównym zadaniem było fałszowanie dokumentów. Jechał z nami, ponieważ Londyn potrzebował go bardziej niż Marsylia. Wtedy, w momencie odprawy w Szpitalu Angielskim, nie wiedziałem jeszcze, jak bardzo los mnie z nim złączy, najpierw w Afryce a potem w Anglii.

Po powrocie do hotelu, zawiadomiłem mego towarzysza i byłego dowódcę kompanii, o moim wyjeździe. Wiedziałem, że było mu przykro, zresztą mnie też, ale podświadomie odczuwałem satysfakcję, że ja, zwykły kapral podchorąży, zostałem oceniony wyżej od kapitana.

Wieczorem w dniu wyjazdu, poszliśmy na pożegnalną kolację do rosyjskiej restauracji „Wołga” na Starym Mieście. Była to tania i trochę brudna knajpa, której właścicielem był „biały” Rosjanin a *menu* było bardzo uproszczone – zawsze barszcz z białymi, kulebiak, pierogi, a wódki *skolko ugodno*. Rozstaliśmy się tuż przed wyznaczoną godziną, życząc sobie rychłego spotkania w Londynie.

Mój cały bagaż stanowiła skórzana teczka, w której miałem jedną koszulę, drobiazgi toaletowe i książkę, której tytułu już nie pamiętam. Nic więcej nie wolno było zabierać. Na nadbrzeżu czekali już moi towarzysze podróży. Wcześniej ostrzeżeni przed patrolami policyjnymi, staraliśmy się trzymać w cieniu. Po chwili usłyszeliśmy przeciągły gwizd i jakiś mężczyzna dawał nam sygnał ręką, byśmy szli za nim. Przeszliśmy wzdłuż kilku statków przycumowanych do mola. W pewnym momencie, nasz przewodnik zatrzymał się przy trapie jednego z nich. Przechodząc zauważyłem, że śruba częściowo wystawała nad powierzchnię wody, co oznaczało, że statek wychodził w morze bez ładunku. Był to stary tramp francuski. Burta wzdłuż trapu była pogię-

ta i pokryta abstrakcyjnymi wzorami rudoczerwonej rdzy. Pobita Francja nie miała co eksportować i wspólnie z Niemcami grabiła bogaty jeszcze departament Algieru.

Na pokładzie skierowaliśmy się w kierunku rufy i przez osobne wejście zesłiliśmy do ostatniej ładowni. Przewodnik zapalił kablówkę i wskazał kąt przy burcie, gdzie zwalona była masa brezentu. Dostaliśmy też po jednym kocu, bo noce były dość chłodne. W tamtym czasie miałem raczej powierzchowną znajomość języka francuskiego ale w zasadniczych sprawach mogłem się dogadać bez większych trudności. Zapytałem więc naszego przewodnika o praktyczną stronę naszej podróży, mianowicie o załatwianie „potrzeb naturalnych”. Wskazał na wiaderko, ustawione ciasno między dwoma zwiniętymi brezentami. Kawę i chleb dostaniemy rano a główny posiłek przyniesie nam wieczorem, po zapadnięciu zmierzchu. Prosił, żeby rozmawiać cicho i nie palić kablówki zbyt długo, żeby ktoś niepowołany nie zauważył światła. Na odchodnym powiedział, że odpłyniemy o świcie i że rejs potrwa około 40 godzin.

Po jego wyjściu zapadła cisza. Byliśmy przypadkową grupą, zupełnie obcych sobie ludzi, których przypadek zgromadził w ładowni przypadkowego statku, płynącego z Marsylii do Algieru. Nie pamiętałem nawet dobrze nazwisk moich towarzyszy. Teraz wymienialiśmy półgłosem informacje. Bielecki i Wojtanowicz, byli kawalerzyści, którzy przeszli przeszkolenie w broni pancerniej w brygadzie gen. Maczka. Samołyk, o ile pamiętam, był lotnikiem i inwazja niemiecka zaskoczyła go w Lyonie. Wszyscy byliśmy pełni optymizmu, że jakoś to będzie i że może za parę dni ogrzeje nas słońce Casablanki. Powoli podniecenie ustąpiło miejsca zmęczeniu. Rozlokowaliśmy się na brezentach, jak każdy mógł najlepiej. Przed zaśnięciem usłyszałem jakieś szmery przy drugiej burcie. Pewnie szczury – pomyślałem i natychmiast usnąłem.

Następnego dnia, obudził nas monotonny łomot na wpeł wynurzonej śruby. Byliśmy już prawdopodobnie na pełnym morzu. Wkrótce potem zszedł do ładowni nasz opiekun i przyniósł dzbanek francuskiej czarnej kawy i trzy *bagety*. Powiedziałem mu o podejrzanych szmerach na drugim końcu ładowni.

– Tak – powiedział. – To są szczury. Statek jest ich pełen.

Niszczą żywność, którą wozimy z Algieru, ale nic nie można poradzić, bo brak chemikaliów do fumigacji. Do was nie przyjdą, bo zostawiłem im żywność przy drugiej burcie.

Przed odejściem, powiadomił nas:

– Pojutrze rano, jeśli pogoda dopisze, będziemy w Algierze, ale wyprowadzę was dopiero, gdy się ściemni. Waszej ładowni nie będziemy otwierać, tak, że możecie być spokojni. Przyjdę znowu wieczorem i przyniosę jedzenie.

Poszedł, a my pozostaliśmy w ciemności, z miarowym łomotem śruby. Nad głową usłyszeliśmy zgrzyt zardzewiałego metalu i świeże powietrze morskie buchnęło do zatęchłej ładowni. To nasz opiekun przekręcił nawietrznik do wiatru, by usprawnić wentylację.

Zastanowiło mnie trochę to, że nasza ładownia nie będzie aż do wieczora otwierana. Czy miało to oznaczać, że nie była to inicjatywa jednego lub kilku członków załogi, lecz, że do zmowy był może wciągnięty starszy oficer a może nawet kapitan? Przed opuszczeniem Marsylii słyszałem, że nasza organizacja płaciła podobno 20 000 fr. za każdego żołnierza, przerzuconego do Afryki. W naszym wypadku opłata wynosiłaby 120 000 fr., a tym można było obdzielić parę osób, jako że średnie zarobki miesięczne były w granicach 4000 fr. Siedzieliśmy w zupełnej ciemności i ztracaliśmy poczucie czasu. Rozmowa toczyła się na temat ostatnich wydarzeń. Bielecki i Wojtanowicz byli zatrzymani jesienią w łapance ulicznej i przesiedzieli parę dni w sławnym Chateau d'If, zbudowanym na wysepce u wejścia do portu. Miał tam być przetrzymywany swego czasu sławny człowiek w żelaznej masce. Łapanka objęła kilkuset cudzoziemców, ale głównie Polaków. Była to ze strony Francuzów akcja prewencyjna. Do Marsylii miał przybyć marszałek Pétain z oficjalną wizytą i władze obawiały się, że kilka tysięcy Polaków w mieście, mogłoby spowodować zamieszki. W tamtym czasie byliśmy uważani za element niepewny, który nie był w stanie zaakceptować przegranej, a równocześnie był nieustającym wyrzutem sumienia Francji, która bez żadnych zastrzeżeń kooperowała z najeźdźcą. Ważyliśmy szanse wojny i naszego osobistego w niej udziału. Nikt z naszej szóstki nie był żonaty. Byliśmy wolni i za wyjątkiem Micia Różańskiego, jeszcze bardzo młodzi. W pewnym stopniu, traktowaliśmy naszą sytuację jako wielką przygodę,

która miała nas zawieźć do „Ziemi Obiecanej”, którą była Wielka Brytania.

Wreszcie przyszedł wieczór. Nasz opiekun przyniósł nam coś w rodzaju gulaszu, pomieszanego z ryżem i dwie butelki *pinaru* – czerwonego wina niskiego gatunku. To ostatnie podniosło bardzo nasze morale i niewątpliwie pomogło zasnąć. Rano obudzeni zostaliśmy przez naszego opiekuna, który zawiadomił nas, że już widać brzegi Afryki i że pewnie staniemy na korwicy na parę godzin. Godzinę potem usłyszeliśmy dzwonek do maszynowni, po czym zapadła głucha cisza, przzerwana warkotem łańcucha korwicznego. Przez nawietrznik wpłynęło rozgrzane afrykańskie powietrze.

Kilka godzin potem statek wszedł do portu. Usłyszeliśmy zwykłe krzyki, nawoływanie i tupot nóg na pokładzie, po czym wszystko się uspokoiło. Zegarek wskazywał 5-tą po południu. W ładowni zrobiło się duszno i czuć było feter z zenz. Przycumowany statek i brak wiatru nie pozwalały na naturalną wentylację ładowni. Niedługo potem zjawił się nasz opiekun i zabrał nas na pokład. Byliśmy trochę zdezorientowani i odczuwaliśmy wyraźną słabość w nogach, ale to szybko ustąpiło po zejściu na nadbrzeże. Było już całkiem ciemno i nikt na bramie nas nie zaczepił. Czyżby znowu jakaś opłacona zmowa, która pozwalała na stosunkowo duży przerzut ludzi z jednego kontynentu na drugi?

Doszliśmy do głównej esplanady, ciągnącej się wzdłuż wybrzeża. Tu nasz przewodnik pożegnał się z nami. Zanim odszedł, zapytałem o hotel, który był nam polecony w Marsylii. Wskazał kierunek i powiedział:

– Pytajcie o Operę. Hotel tuż obok. Miejsce jest pewne i nikt was nie będzie pytał o personalia.

Tu mój notatnik nie podaje szczegółów, odnośnie pobytu w Algierze, tylko datę wyjazdu. Niemniej jednak pewne wspomnienia utkwily mi dobrze w pamięci. Hotel był całkiem przyzwoity. Z jednej strony stała Opera, a z drugiej zaczynała się tzw. Kazba, dzielnica arabska. Zdecydowaliśmy się wziąć podwójne pokoje, bo były dużo tańsze. Wszyscy pragnęliśmy kąpieli i czystych koszul. Moim towarzyszem w pokoju był ppor. Łukjaniec, który później zyskał sobie przydomek Asika. Był małego wzrostu, żywy i zawsze pełen zapału. Kochał wojsko i wierzył bez

zastrzeżeń w ostateczne zwycięstwo aliantów.

Po kąpieli wyszedłem na balkon. Tuż obok rosła wysoka palma, której niesfora głowa wznosiła się ponad dach hotelu. W dole ulica, już ciemna, ale pełna życia, wypełniona była egzotycznymi burnusami, a głosy sprzedawców ulicznych zachwalały rozmaite towary. Po drugiej stronie zauważyłem afisz przedstawienia, które grano tego wieczoru w Operze – *W Krainie uśmiechu* Lehára. Pamiętałem, że przed wojną często w radiu słyszałem walce i inne melodie właśnie z tej operetki. Możliwe, że tęsknota za tamtą rzeczywistością spowodowała potrzebę nie tyle zobaczenia, co usłyszenia dźwięków, związanych ze światem przedwojennym. Łukjaniec również zapalił się do tego. Przedstawienie zaczynało się dopiero o 9.00 wieczorem. Był więc czas, by coś przegryźć w najbliższym bistrze i przejść się po mieście. Gdy przyszedliśmy do Opery pół godziny przed przedstawieniem okazało się, że wszystkie miejsca były wykupione, ale kasjerka widząc zawód na naszych twarzach, ofiarowała nam tzw. *straponteny*, małe i niewygodne siedzenia w przejściach między fotelami.

Pamiętam, po podniesieniu kurtyny, znalazłem się w innym świecie. Rzeczywistość wojny zniknęła i zostałem wciągnięty w magię dziewiętnastowiecznego Wiednia, odzianego w tanią sukienkę z Kraju Wschodzącego Słońca. Przypuszczam, że kontrast przejścia z brudnej ładowni francuskiego trampa do świata fantazji wizualnej i muzycznej, spowodował pewnego rodzaju bezkrytyczny zachwyt, którego już teraz nie potrafię odczuć.

Algier 1941/43

Przebudzenie następnego dnia rano było przyjemne, jakkolwiek podszyte uczuciem niepewności. Co dalej? Przed wyjazdem z Marsylii nie podano nam zdecydowanego planu dalszego postępowania, tylko polecono skontaktować się z Polskim Czerwonym Krzyżem, który był również zakamuflowaną agendą rządu polskiego w Londynie. Najstarszy rangą miał się tam zameldować i odebrać dalsze instrukcje. Na planie Algieru odnaleźliśmy naszą placówkę bez większych trudności: rue Maréchal Soult, tuż koło głównej esplanady. W najbliższej kawiarni, przy

małej czarnej, czekaliśmy na Kazia Bieleckiego, który poszedł nas zameldować. Wrócił po godzinie. Dostaliśmy wstępne instrukcje a na dalsze mieliśmy czekać. Mieliśmy, o ile można, nie chodzić całą grupą i nie afiszować się zbyt głośną rozmową w języku polskim. Fakt, że nie mieliśmy natychmiast udawać się w dalszą drogę przyjęliśmy z pewną ulgą, bo dawało nam to możliwość odprężenia się po raczej przykrych przeprawie przez Morze Śródziemne. Mieliśmy jeszcze dosyć pieniędzy na bardzo skromne życie. Hotel był bardzo tani, a zjeść można było niedrogo w małych restauracjach koło Opery.

Tu był początek mojej przyjaźni z Miciem Różańskim. Wysoki, szczupły, z twarzą pociągłą, pooraną zmarszczkami i z orlim nosem. Był jak gdyby wcieleniem tego, co „cepy” wyobrażały sobie jak góral powinien wyglądać. Trzymał zawsze pewien dystans do ludzi i do zwierzeń nie był skłonny. Polubił mnie na swój sposób i kompletnie zaakceptował jako towarzysza przygody. Był on niewątpliwie bardzo utalentowanym grafikiem, ale miał jedną słabość, którą dopiero z czasem odkryłem – czerwone algierskie wino.

Zgodnie z życzeniem naszego biura, rozeszliśmy się dwójkami po mieście, a ja nawet zaryzykowałem kąpiel na miejscowej plaży. Następnego dnia zostaliśmy poinformowani, że dopiero 18 stycznia będziemy mogli udać się w dalszą drogę do Oranu. Tu, notatnik mój, który w wielu wypadkach jest bardzo nieściśły, podaje dokładnie datę i godzinę wyjazdu – 18 stycznia, 6.28 rano. Przed wyjazdem otrzymaliśmy nowy zastrzyk pieniędzy i nakaz czekania w Oranie na dalsze instrukcje. W drodze nie mieliśmy żadnych trudności. Nikt nas nie zaczepiał i po przyjeździe udaliśmy się do wyznaczonego Hôtel l'Europe na Boulevard Magnes. Tu, o ile pamiętam, przedstawiciela naszego nie było i musieliśmy się kontaktować telefonicznie z naszym biurem w Algierze. Powiedziano nam, że musimy być przygotowani na kilka tygodni czekania, ponieważ sytuacja na granicy marokańskiej była dosyć trudna i parę poprzednich grup zostało zatrzymanych. Nie było nic specjalnego do roboty. Wieczorami, gdy było chłodniej, włóczyliśmy się po mieście, a wydatki na jedzenie musieliśmy poważnie ograniczyć. Obiad składał się z kawałka francuskiej *bagety*, sera i szklaneczki wina. Wieczorami zachodziliśmy do arabskiej restauracji, gdzie jedliśmy sała-

tę zrobioną z grochu, cebuli, pomidorów i oliwy. To, z pewną ilością chleba, zaspokajało nasz apetyt.

15 lutego otrzymałem list z Polski, który został przekazany z Marsylii do biura w Algierze. Z wielką radością dowiedziałem się, że moja rodzina, po zajęciu wschodniej Polski przez wojska sowieckie, przeniosła się w komplecie do Warszawy. Odpisałem natychmiast przez Czerwony Krzyż. Po wojnie dowiedziałem się, że list ten doszedł po kilku miesiącach.

W połowie miesiąca, nasze prawie puste kabzy zostały znowu zasilone przez biuro w Algierze. Równocześnie przyszła instrukcja, że możemy w każdej chwili wyjechać. Sam rozkaz wyjazdu nie był zbyt optymistyczny. Powiedziano nam, że nie możemy liczyć na jakąkolwiek pomoc przy przejściu granicy marokańskiej i że możemy tylko polegać na nas samych. Prawie wszystkie poprzednie grupy zostały zatrzymane. Byli podobno nawet tacy, którzy pokupowali sobie autentyczne fezy, ale niewiele im to pomogło. Jedyną szansę, jaką mieliśmy było wyskoczenie na przystanku Maghnia, tuż przed granicą marokańską i przejście granicy na „zielono”. Stacja graniczna Oujda, już po stronie marokańskiej, była podobno dobrze strzeżona i każdy, kto nie był Francuzem lub Arabem był z reguły zatrzymywany. Przystanek Maghnia nie był stacją w pełnym tego słowa znaczeniu. Pociąg czasami stawał na kilka sekund, a czasami tylko zwalniał, by umożliwić wyskoczenie co zławszym pasażerom. Zdecydowaliśmy się podróżować w grupie w tym samym wagonie, rozdzieleni dwójkami, w rozmaitych przedziałach. Różański i ja byliśmy najbliżej drzwi. Gdy pociąg zaczął zwalniać, zobaczyliśmy tablicę z napisem Maghnia i wyskoczyliśmy, nie czekając na zatrzymanie. Ja machnąłem koziołką i trochę się potłukłem, za to Miecio wylądował szczęśliwie na kupie zeschniętej trawy. Prawie natychmiast po naszym wyskoczeniu, maszynista dodał pary i pociąg, jak podcięty batem koń, zwiększył szybkość, uniemożliwiając pozostałym wyskoczenie.

Po wyjściu z przekopu, w którym znajdował się przystanek, znaleźliśmy się na kamiennej pustyni. Rudoczerwone wzgórza robiły wrażenie księżycowego krajobrazu. Zaczęliśmy iść na zachód, wzdłuż toru kolejowego. Wiedzieliśmy z mapy, że granica marokańska była w odległości około 12 km, a do miasta Oujda było jeszcze drugie tyle. Byliśmy bardzo widoczni na tle

otaczającej nas pustki. Widok musiał być wręcz zabawny i trochę surrealistyczny. Dwóch panów, w źle skrojonych ubraniach, w kapeluszach i z teczkami w rękach, idących w kierunku zachodzącego słońca. W pewnym momencie wyłonił się przed nami grobowiec arabski, tzw. marabut. Był to spory kamień, otoczony niskim murem. Weszliśmy do środka, by zjeść nasz suchy prowiant i odpocząć. Orientacja nie była specjalnie trudna, bo noc była jasna i ciągle trzymaliśmy się w pewnej odległości od toru kolejowego. Dopiero nad ranem znaleźliśmy kępę krzewów i ułożyliśmy się do snu.

Obudziliśmy się koło południa. Mżył drobny deszcz. Następne wypadki rysują się w mojej pamięci jak nieostro zrobiona fotografia. Z drugiej strony pamiętam doskonale pewne szczegóły. Mój notatnik podaje fakty, które nie zawsze dadzą się połączyć lub wytłumaczyć. „Zetknięcie z koczującymi Arabami – pierwsze złapanie – kawa i pożegnanie z Arabem – marsz na Oujdę – herbata w arabskim namiocie – dalszy marsz w ulewny deszcz – obiad na francuskiej farmie – przejazd ciężarówką do Oujdy”.

Nie wiem, co oznacza zdanie „Pierwsze złapanie”. Przypuszczam, że Arab, który zaprosił nas do namiotu i poczęstował kawą, chciał nas wydać władzom myśląc, że byliśmy uciekinierami z Legii Cudzoziemskiej. Francuzi płacili w tamtym czasie 20000 fr. za każdego złapanego dezertera. Prawdopodobnie zabrało mi trochę czasu, by mu wytłumaczyć, że nic na nas nie zarobi. Był to do pewnego stopnia duży wyczyn językowy zarówno z mojej, jak i z jego strony, ponieważ nasz język francuski był raczej ograniczony. Gdy mu powiedziałem, że byliśmy Polakami, twarz jego się rozjaśniła i odparł:

– Tak, wiem, piszą w naszych pismach świętych o kraju Bolonais – (Arabowie wymawiają P jak B).

Po czym dodał:

– Muzułmanie byli tam zawsze dobrze traktowani.

Podobna historia miała miejsce podczas wizyty u drugiego Araba.

Powoli zostawiliśmy kamienistą pustynię za sobą i weszliśmy na teren pól uprawnych. Deszcz dokuczał nam bardzo i byliśmy przemoknięci do nitki. Miecio miał tego wszystkiego dosyć i postanowiliśmy poprosić gdzieś o gościnę. Jak na Afrykę, było

bardzo chłodno a brak wypoczynku i przemoczone ubrania domagały się znalezienia dachu nad głową. Zaszliśmy więc do najbliższej farmy. Francuska farmerka, widząc nas w tym opłakanym stanie, ulitowała się nad nami i pozwoliła się osuszyć przed ogniem. Nie byliśmy dla niej zwykłymi włóczęgami, ale ludźmi z jej świata, Europejczykami, którzy mogli rozbić monotonię jej życia. Szybko zdała sobie sprawę z tego, że byliśmy głodni. Na piecu stał sagan kipiącej zupy. Postawiła przed nami dwa talerze i nałóżła do krawędzi, po czym szybko rzuciła małe kiełbaski na patelnię i gdy były już dobrze przypieczone, podała je wraz z zieloną sałatą i uzupełniła tę ucztę butelką mocnego, afrykańskiego wina, co spotkało się z pełną aprobatą Miecia. Ten moment pozostał na zawsze wyryty w mojej pamięci i do tej pory mogę przywołać obraz kuchni z otwartym paleniskiem, zapach zupy i skwierczących na ogniu kiełbasek. Zrobiło mi się błogo i mój „francuski” gwałtownie się poprawił. Postanowiłem zaryzykować i powiedzieć im prawdę. A więc, że byliśmy w polskiej armii we Francji i że w obecnej chwili zadaniem naszym było przedostanie się do Anglii, by kontynuować walkę z Niemcami. Po chwili farmerka zawołała męża i syna. Siedli, słuchali, kiwali głowami i od czasu do czasu zadawali pytania lub upewniali się co do faktów, gdy mój francuski język stawał się dla nich nie bardzo zrozumiały. Żyli na peryferiach świata cywilizowanego i tragedia Europy była dla nich bardzo odległa. Traktowali nas jako świadków tego kataklizmu, przez który nie byli bezpośrednio dotknięci. Mimo wszystko, czuli głęboką niechęć do reżymu marszałka Pétaina i szczerze chcieli nam pomóc.

W trakcie rozmowy dowiedzieliśmy się, że byliśmy już w Maroku i teraz trzeba nam było dotrzeć do miasta Oujda, by stamtąd wziąć pociąg do Casablanki. Nasi gospodarze powiedzieli nam, że było masę policji w mieście i że strefa przygraniczna była patrolowana. W pewnym momencie Gaston, syn gospodarzy, ofiarował się zawieźć nas do Oujdy ciężarówką, którą dostarczał jarzyny. Przyjęliśmy ten projekt z radością, ponieważ byliśmy już bardzo zmęczeni marszami. Miecio wyraził swą aprobatę pomrukami, ponieważ jego francuski ograniczał się tylko do kilku podstawowych słów. Zaproponowano nam też nocleg, ale ponieważ nie było gościnnych pokoi, umieściliśmy się w stodole i tam przespaliliśmy do rana. Po obfitym śniadaniu,

podziękowaliśmy naszym gospodarzom za gościnę i za prowiant. Pieniądzy nie chcieli przyjąć i tylko życzyli nam powodzenia w dotarciu do Anglii.

Deszcz przestał padać w nocy i dzień zapowiadał się słoneczny. Ciężarówka była dobrze załadowana jarzynami, tak, że z trudnością udało nam się ukryć wśród worków cebuli. Podróż nie trwała długo, bo do Oujdy nie było dalej niż 15 km. Gaston wyładował nas w jakimś zaułku i pokazał kierunek, w którym była stacja. Na ulicy można było zauważyć niewielu Europejczyków, głównie miejscowi farmerzy. Podziękowaliśmy Gastonowi za pomoc i ruszyliśmy we wskazanym kierunku. Byliśmy niewątpliwie bardzo widoczni i każde spotkanie z policją mogło nas narazić na zatrzymanie. Podchodząc do stacji, zauważyliśmy dwóch policjantów, którzy od czasu do czasu kontrolowali papiery ludzi wchodzących na stację. Zdaliśmy sobie wtedy sprawę z tego, że mowy nie było, by w Oujda dostać się na pociąg. Trzeba było iść dalej, może do następnej stacji. Na naszej, niezbyt dokładnej mapie, widniała nazwa El Aiun, w odległości kilkunastu kilometrów od Oujdy i tam postanowiliśmy dotrzeć. Początek nie był zbyt trudny. Szło się przez pola uprawne i zarośla, ale po kilku kilometrach wyłoniła się przed nami kamienna pustynia. Zdecydowaliśmy się przeczekać skwar południa w przydrożnych zaroślach i zjeść coś z prowiantu, który dała nam farmerka. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że marsz nocny był znacznie bezpieczniejszy, ale za dnia szło się szybciej i nie było obawy zabłądzenia, gdyż z daleka widzieliśmy drogę. Po chyba dwóch godzinach marszu, ukazał się na szosie samochód. Zatrzymał się i wyszło z niego trzech policjantów. Zawołali, byśmy się zatrzymali i zeszli na szosę. Nie było gdzie uciekać, ale nawet gdyby to się udało, stacja El Aiun byłaby na pewno pod obserwacją. Zeszliśmy zatem na drogę i pokazaliśmy nasze demobilizacyjne papiery, które tylko udowodniały, że znajdowaliśmy się nielegalnie na terenie Maroka. Policjanci zachowali się bardzo uprzejmie wobec nas i po przeglądnięciu dokumentów i paru zdawkowych pytaniach, kazali nam wsiąść do samochodu, który ku naszemu zdziwieniu ruszył w kierunku El Aiun. Mój zapis, jeśli chodzi o wypadki tego dnia, mówi: „Przyjemny wieczór w El Aiun. Nocny przyjazd do Oujdy. Noc w koszarach żandarmerii”.

Następnego dnia zaczęły się przesłuchiwanie w centralnym komisariacie. Aby nie obciążać nikogo twierdziliśmy, że była to nasza prywatna inicjatywa i że przeskok z Marsylii do Algieru nie był przez nikogo organizowany. Nazwy statku nie znaleźliśmy, co zresztą było prawdą. Podczas przesłuchania miałem uczucie, że „Oni” i tak wszystko wiedzieli i wyczuwało się pewną sympatię dla nas u przesłuchującego oficera. W pewnym momencie powiedział z uśmiechem:

– Tak, naturalnie wierzę wam, że był to wasz pomysł. Dziwi mnie jednak fakt, że około 300 waszych rodaków było tej samej myśli.

Ponieważ zaakceptował nasze oświadczenie, postanowiłem pominąć tę uwagę milczeniem. Zdaliśmy sobie wtedy sprawę z kompletnego fiaska marsylskiej imprezy. Jedyna pociecha, jaka nam pozostała to ta, że nie byliśmy jedynymi, którzy wpadli. W sumie spędziliśmy trzy dni w komisariacie, aż wreszcie 25 lutego wysłano nas pod eskortą do Maghni i oddano pod opiekę algierskiej policji, która zresztą nie wykazała wielkiego zainteresowania. Nie mieli wcale zamiaru zamykać nas do kryminału, a ponieważ nie było w miasteczku hotelu, skierowano nas do łazni miejskiej, która w nocy dawała dach nad głową przejeżdżnym Arabom. Każdy dostawał matę z trawy *alfy* i tam się kładł, gdzie było miejsce.

Mieliśmy właśnie z Mieciem ułożyć się do snu, gdy nagle oznajmiono, że lokalny notabl pragnie się z nami zobaczyć. Po chwili zjawił się jegomość, niski, z brzuszkiem, a wyraz jego twarzy pozwalał się domyślać, że doceniał dobrą kuchnię. Zapytał nas z pewnym zażenowaniem, czy rzeczywiście jesteśmy Polakami i rzeczywiście chcielibyśmy się dostać do Anglii. Gdy potwierdziliśmy, pokiwał głową i popatrzył na nas, jak byśmy byli egzotycznymi ptakami, które nagle wleciały do jego dobrze urządzonego, burżuazyjnego salonu. Po chwili wymamrotał kilka słów, które, jak zrozumiałem, miały oznaczać usprawiedliwienie stanowiska pobitej Francji, jak również życzenie, byśmy wreszcie osiągnęli nasz cel. Po jego wyjściu ułożyliśmy się na matach i próbowaliśmy usnąć. Nie było to łatwe, bo podłoga była twarda, a na sali panował nieustający gwar.

Zapomniałem wspomnieć, że w czasie przesłuchiwań w El Aiun, jak również w Oujda, musieliśmy płacić za swoje posiłki,

tak, że niewiele pieniędzy pozostało nam na powrotny bilet do Oranu. Mogliśmy tylko dojechać do Tlemcen. Mieliśmy nadzieję, że tamtejszy komisariat wyda nam darmowy bilet. Niestety, odmówili. Pozwolili jednak zadzwonić do biura w Algierze w sprawie pomocy finansowej. Obiecano nam przekaz, ale trzeba było czekać dwa dni. Komisariat prawdopodobnie nie chciał, by dwóch Europejczyków błąkało się po ulicach bez pieniędzy, pretože ofiarowano nam celę i wikt więzienny. Zgodziliśmy się na to, bo nie było innego wyjścia. Po dwóch dniach przyszły pieniądze i mogliśmy opuścić Tlemsen.

Byliśmy znowu w Oranie, w tym samym hotelu, z którego wyruszyliśmy przed dwoma tygodniami. Zaraz po przyjeździe wzięliśmy gorącą kąpiel, której już bardzo potrzebowaliśmy i poszliśmy zameldować się w II Biurze, zgodnie z poleceniem, otrzymanym w Tlemcen. Tam przyjęto nas bez specjalnego zdziwienia i polecono zgłosić się nazajutrz do koszar.

Następnego dnia, to znaczy 2 marca, po zapłaceniu rachunku w hotelu, powędrowaliśmy do koszar. Nie wiedzieliśmy dokładnie, co nas czeka. Mogło to oznaczać deportację do Francji lub internowanie. Skierowano nas do jednego z budynków, gdzie zostaliśmy od razu otoczeni przez rodaków. Byli tam Kazio Bielecki, Łukjaniec, z którym byłem w Operze i reszta kompanii ze statku, jak również wielu innych, których nie znaliśmy. W sumie około, 300 oficerów i żołnierzy, którzy przyjechali tu w poprzednich rzutach. Kazio Bielecki powiedział, że zatrzymano ich na stacji Oujda i po przesłuchaniu zostali odstawieni do granicy.

Miecieć Różański szybko znalazł kompana ze Lwowa, który pod łóżkiem miał kilka butelek wina i obaj szybko, jeszcze przed obiadem, ułożyli się do snu. Po zdaniu sprawozdania o naszym niepowodzeniu dowiedziałem się, że tylko kilku osobom, na samym początku akcji, udało się przedostać do Casablanki, reszta bez wyjątku została wyłapana i w ostatnich dwóch tygodniach skierowana do koszar w Oranie. Mieliśmy zupełną swobodę poruszania się, z tym, że nasze biuro w Algierze nie mogło nas dłużej subsydiować, więc dalsze próby przedostania się do Maroka były wręcz niemożliwe. Władze francuskie prawdopodobnie nie bardzo wiedziały co z nami zrobić. Przesiedzieliśmy w koszarach prawie dwa tygodnie. Wreszcie 12 marca oznajmiono nam,

że wyjazd nastąpi jutro. Oficerowie w liczbie około 70, mieli jechać do Mascary, położonej 75 km na południe od Oranu, a żołnierze, podoficerowie i podchorążowie do Saidy, małego miasta garnizonowego Legii Cudzoziemskiej. Ja, będąc w stopniu kaprała podchorążego, była to najwyższa szarża, jakiej dosłużyłem się w wojsku, zostałem zakwalifikowany na wyjazd do Saidy. 13 kwietnia odprowadzono nas na dworzec kolei wąskotorowej, która przez Maskarę i Saidę wiodła do granicy Sahary i ostatniej stacji Béchar.

Po dobrych paru godzinach dojechaliśmy do Saidy, gdzie zostaliśmy odprowadzeni do koszar Legii Cudzoziemskiej. Pomieszczenia były wygodne, jedzenie takie samo, jakie otrzymywali legionieści. Mieliliśmy zupełną swobodę poruszania się w obrębie koszar i miasta. Było to typowe miasto garnizonowe; kilka kawiarni, małe kino i chyba dwa domy publiczne.

Nagle, ku naszemu wielkiemu zdziwieniu, po dwóch dniach przyszedł rozkaz z Oranu, że wszyscy podchorążowie zakwalifikowani zostali jako aspiranci i jako takim przysługiwał nam oficerski status. Było nas w sumie piętnastu. 16 kwietnia dostaliśmy rozkaz wyjazdu do Mascary. Z żołnierzami pozostało trzech oficerów, między innymi Asik Łukjaniec.

O ile Saida była prawie wyłącznie miastem arabskim, gdzie okolice nie nadawały się do uprawy ziemi, o tyle Mascara stała się bogatym centrum osadnictwa francuskiego. Miasto otoczone było wieńcem winnic, które produkowały wyjątkowo mocne wino o tej samej nazwie. Samo śródmieście nie różniło się wiele od podobnych miasteczek w Prowansji.

Po przybyciu na stację, skierowano nas do małego hotelu pod nazwą Hôtel de Toulouse, na peryferiach. Był to chyba trzeciej klasy hotel, gdzie niepodzielnie królowały *Madame Sainpé* i jej dwudziestosześcioletnia córeczka Janette. Ta ostatnia była dokładną kopią swej mamy, jeśli się uwzględni przesunięcie w czasie. Obie panie były krzykliwie jowialne i często ze sobą skłócone. Pamięć moja nie zanotowała obecności *Monsieur Sainpé*. Możliwe, że istniał, ale znikał w cieniu, rzucanym przez obie panie. Żartobliwie nazywaliśmy je *Sans paix*, co lepiej oddawało ich charakter.

W hotelu umieszczono nas parami, tam też mieliśmy pełne utrzymanie. Oficerowie, którzy przyjechali kilka dni przed nami,

zostali umieszczeni w reprezentacyjnym Grand Hotelu w śródmieściu. Mieliśmy zupełną swobodę poruszania się po mieście i okolicy, no chyba że ktoś chciał wyjechać na kilka dni do Oranu lub Algieru, wtedy musiał otrzymać przepustkę w Komendzie Miasta. Największym problemem w tamtym czasie był brak pieniędzy, ponieważ przez cztery miesiące nie pobieraliśmy naszych pensji, wypłacanych przez rząd Vichy. Ale na początku maja oznajmiono nam zupełnie niespodziewanie, że nasza pensja w wysokości 900 fr. miesięcznie będzie nam wypłacona, jak również zaległości z ostatnich czterech miesięcy.

Poczułem się bardzo zamożny i zamówiłem przyzwoite ubranie u krawca. Nagle życie stało się bardzo wygodne i problemy przestały istnieć. Przypuszczam, że na dłuższą metę, ten stan rzeczy przyczyniłby się do naszej demoralizacji. W sytuacji, w jakiej znajdowaliśmy się, trudno było narzucić dyscyplinę. Każdy wstawał, kiedy chciał. Około 10.00 rano szło się do śródmieścia, do baru *Monsieur Fuentes*a na małą czarną, potem spacer i znowu kawa lub aperitif i tak dzień schodził leniwie.

Któregoś dnia mieliśmy niespodziewaną wizytę generała Weyganda, który został mianowany przez rząd Vichy szefem wojskowym na Afrykę Północną. Spotkanie odbyło się na stadionie sportowym. W przemówieniu, Weygand wspomniał o swoich latach w Polsce i „Cudzie nad Wisłą”, po czym dosyć długo rozmawiał ze starszymi oficerami. Zapewnił ich, że w żadnym wypadku nie będziemy deportowani do Francji, ale że władze Vichy nie mogły wypuścić nas do Anglii, ponieważ byłoby to sprzeczne z warunkami zawieszenia broni. Niemniej jednak, wizyta generała była dla nas pewnego rodzaju podparciem moralnym. Widać było, że sympatyzował z nami, jakkolwiek nie mógł powiedzieć wszystkiego, co czuł i myślał. Prawie natychmiast po wyjeździe z Oranu, uformowało się coś w rodzaju dowództwa naszej grupy. Było to kilku oficerów w randze kapitanów, którzy reprezentowali nas wobec władz francuskich, jak również komunikowali się z naszym biurem w Algierze, które pod maską Polskiego Czerwonego Krzyża działało jako ekspozytura naszych władz w Londynie. Kluczową osobą był tam Emeryk Hutten-Czapski, dyrektor biura, a nieoficjalnie delegat rządu polskiego w Londynie na całą Afrykę Północną. Jako dyrektor biura mógł on podróżować bez ograniczeń i w związku z tym odwiedzał nas

od czasu do czasu. Był bardzo oszczędny w swych wypowiedziach, a my zdawaliśmy sobie z tego sprawę, że wiedział dużo więcej niż chciał czy mógł powiedzieć, ale starał się nas informować możliwie obiektywnie o sytuacji na świecie. Niezależnie od tego, w grupie naszej był jeden bardzo zdolny specjalista od radia. Zorganizował on nasłuch emisji z Londynu i Gibraltaru, co dawało nam pełniejszy obraz sytuacji wojennej. Gazety francuskie były cenzurowane i tylko wiadomości korzystne dla państw Osi były podawane. Czasami wyczuwaliśmy, że jakieś sekretne posunięcia miały miejsce, szczególnie, że jeden z kapitanów wyjeżdżał kilkakrotnie do Algieru. Cała nasza grupa, a szczególnie rezydenci Hôtel de Toulouse, żyli w pewnego rodzaju *limbo*. Wiadomości z frontów nie były dobre. Niemcy wszędzie szli naprzód, a jeśli chodzi o Libię, to sytuacja była wręcz katastrofalna. Czuliśmy się jak w poczekalni na stacji, która nie miała rozkładu jazdy. Nic dziwnego, że reakcje poszczególnych ludzi były bardzo rozmaite. Jedni tłumili swój niepokój hedonistycznym stosunkiem do życia, który wyrażał się głównie nadmierną konsumpcją lokalnego wina, inni uczyli się języka francuskiego lub angielskiego, a wielu uprawiało sporty.

Jedną z tych aktywności sportowych było chodzenie na basen. Był to właściwie duży zbiornik irygacyjny na francuskiej farmie, odległej o 3 km od miasta. Za zgodą farmera chodziliśmy tam raz albo dwa razy tygodniowo, a żona jego, naturalnie za zapłatą, gotowała nam obiady. Musieliśmy dostarczać mięso, które kupowało się wczesnym na rynku w Mascarze. Funkcję intendenta pełniliśmy kolejno. W moim dniu zaspąłem i znalazłem rynek prawie pusty. Został tylko mały kawałek wołowiny, ale w sąsiedniej jatce zauważyłem duże kawały pięknego mięsa. Rzeźnik powiadomił mnie, że była to konina. Nie miałem wyboru, musiałem to kupić, jakkolwiek zdawałem sobie sprawę z tego, że popełniłem nieomal świętokradztwo. Większość moich kolegów, jakkolwiek przeszkoleni byli w broni pancernej, wywodziła swój rodowód z tradycji kawaleryjskich i jedzenie koniny było traktowane na pograniczu „konibalizmu”.

Nikomu nic nie mówiąc, zwróciłem się do naszej gospodyni i powiedziałem jej o moim problemie.

– Nic się nie martw – powiedziała. – Ja to już załatwię.

Trochę z ciężkim sercem, dołączyłem do innych na basenie.

Przyszła wreszcie pora obiadu i wszyscy zasiedliśmy przy długim stole na podwórzu farmy. Gospodyni przyniosła półmiski z pieczenią i moi koledzy rzucili się na jedzenie jak wygłodniałe wilki. Ja jeden nie miałem apetytu, gdyż w każdej chwili spodziewałem się, że moja zbrodnia może zostać odkryta. Gospodyni podeszła do mnie, mrugnęła porozumiewawczo i nałożyła mi spory kawałek mięsa. Popatrzyłem po współbiednikach, ale nic nie wskazywało na to, by mieli jakieś podejrzenia. Jedli z apetytem, nie domyślając się niczego, a nad stołem unosił się zapach czosnku i octowego bajcu. Po obiedzie wszyscy podziękowali gospodyni za doskonały posiłek, a mnie też się dostało kilka komplementów za doskonały gatunek mięsa, co naturalnie przyjąłem z należytą skromnością.

Wielu z nas zdawało sobie sprawę z konieczności nauki języka angielskiego i porucznik Popiel, który znał trochę ten język, podjął się prowadzenia lekcji, które miały miejsce w Grand Hotelu. Nie było to bardzo udane przedsięwzięcie. Nauka szła nam jak z kamienia. Po prostu nie mieliśmy do tego głowy. Mimo, że życie nasze było wygodne i nieskomplikowane, żyliśmy w ciągłym napięciu, czekaliśmy podświadomie na coś, co się ma stać, co ma nastąpić.

Od czasu stłumienia powstania Abd el-Krima, Algieria była spacyfikowana, ale tylko powierzchownie. Powstanie, którego był przywódcą, zostało ostatecznie stłumione w 1926 r., a on sam przebywał na wygnaniu na wyspie Réunion. Pewnie od tego czasu, pozostały w bardziej niedostępnych miejscach uzbrojone bandy, które trudniły się rabunkiem. Pamiętam, raz przyjechał na rynek autobus z Algieru. Trasa jego wiodła przez raczej dzikie i zalesione okolice. Właśnie w takim miejscu kierowca został zmuszony do zatrzymania się. Wszyscy pasażerowie musieli wyjść z autobusu, rozebrać się do naga i zostawić wszystkie swoje bagaże. Jedynie konduktorowi pozwolono zatrzymać maszynkę do przycinania biletów. Widok autobusu, pełnego nagusów, był raczej zabawny, jakkolwiek przykry dla tych, których los tak ciężko dotknął.

Na początku czerwca zrobiło się już bardzo gorąco i musieliśmy zaadoptować zwyczaj poobiedniej sjeisty. Życie zaczynało się znowu około 5-tej po południu, a posiłek wieczorny jedliśmy dopiero po 8-ej.

Przyszedł wreszcie pamiętny dzień 22 czerwca, gdy dostaliśmy wiadomość, że Hitler rzucił się na Rosję. Byliśmy zupełnie zdezorientowani i pełni sprzecznych uczuć. Z jednej strony zdawaliśmy sobie sprawę, że nowy front da oddech Anglii i że odciąży inne fronty, a szczególnie zmniejszy zagrożenie Suez. Była też może pewna doza satysfakcji, że Rosja zapłaci za swą krótkowzroczną politykę we wrześniu 1939 r. i potem, gdy pomagała Niemcom dostawiając zboże, metale i ropę naftową. Z drugiej strony, ci moi towarzysze, którzy walczyli w Polsce i zetknęli się z sowiecką maszyną wojenną, nie mieli wielkiego wyobrażenia o wartości bojowej Armii Czerwonej. Wypadki kilku następnych dni szybko potwierdziły tę opinię. Armia niemiecka posuwała się w błyskawicznym tempie na wschód. Tu, nasze obawy zaczęły wzrastać. Było dla nas zupełnie jasne, że jeśli Rosjanie przegrają, Niemcy staną się w posiadaniu niewyczerpanych zasobów zarówno mineralnych, jak i żywnościowych, i że przy ich zdolnościach organizacyjnych, mogą się stać nie do pobicia. Codzienne śledzenie wypadków wojennych stało się naszym głównym zajęciem. Pamiętam, jeden inżynier elektronik mawiał, że to wszystko nie było ważne, ponieważ atutem Rosji była przestrzeń, której nawet nowoczesne metody zmechanizowanej wojny nie były w stanie podbić. Każdy argument zwykły był kończyć zwrotem: „Poczekajmy do zimy”.

I tak przeszło lato. Wrzesień był jeszcze bardzo gorący. W tym okresie złożył nam znowu wizytę Emeryk Hutten-Czapski. Zamknął się z naszą starszyzną w Grand Hotelu i konferowali długo, po czym wyjechał i znowu nic się nie działo.

Wreszcie przyszedł 30 października. Porucznik Sztajer podszedł do mnie, gdy piłem kawę u Fuentesy i powiedział:

– Masz się zaraz zgłosić u kapitana Szewalskiego w Grandzie.

Nie bardzo wiedziałem, dlaczego mnie wzywano, ale dopiłem kawę i ociągając się, powędrowałem w kierunku Grand Hotelu.

Mimo, że był to koniec października, było jeszcze bardzo gorąco i Mascara układała się już do sjestry. Nie bardzo wiedziałem czego kapitan Szewalski chciał ode mnie. Chciałem wrócić do hotelu i przeczekać upał za zamkniętymi żaluzjami mego pokoju.

Kapitan Szewalski już czekał i powiadomił mnie, że za dwa dni odbędzie się ewakuacja Mascary i Saidy. Ja miałem wyjechać z czterema innymi kolegami w czołówce i zadaniem naszym było zaznajomienie się z terenem na brzegu morza, koło miejscowości La Macta, znajdującej się w połowie drogi między Oranem a Mostaganem. W nocy, 2 listopada miał podejść do brzegu kuter wysłany z Gibraltaru i przyjąć nas na pokład. Wybrzeże w tym miejscu pokryte było skarłowaciałym lasem szpilkowym i krzakami, które dawały dobre schronienie. Naszym zadaniem miało być spotkanie nadchodzących grup i rozmieszczenie ich w lesie. W związku z tym, otrzymałem nawet plan okolicy, niestety – bardzo prymitywny. Chwilowo miałem zachować tajemnicę a wieczorem spotkałem moich towarzyszy: Wyganowskiego, Zawalskiego, Radziejewskiego i Sztajera. Wszyscy, z wyjątkiem mnie, byli stosunkowo młodymi oficerami. Warto tu nadmienić, że Wyganowski miał we Francji uczestniczyć w nieudanej ucieczce na „Marie Clementine” razem z Barczewskim i Mikeską.

Wieczorem, nie informując nikogo w hotelu, spakowałem moje rzeczy, które weszły do teczki i kupiłem bilet na poranny pociąg do Oranu, chociaż planowaliśmy wysiąść w La Macta. Wszystko odbyło się według planu.

Było wczesne popołudnie, gdy wyskoczyliśmy na peron La Macty. Ponieważ był to czas sjeśty, więc nawet zawiadowca stacji gdzieś zniknął. Posługując się naszym planem, dotarliśmy do lasu. Do morza nie było dalej niż 400 m. Obchodząc las w rozmaitych kierunkach, zdążyliśmy jeszcze zapoznać się z jego topografią. Pogoda była piękna, a morze jak lustro. Zjedliśmy trochę naszych prowiantów i ułożyliśmy się do snu pod krzakami.

Następnego dnia przed południem, zajęliśmy nasze stanowiska. Ja, z Sztajerem, ustawiliśmy się na samym brzegu lasu i wyłapywaliśmy wszystkich idących od strony stacji. Inni umieszcili się przy drodze, gdzie przejeżdżały autobusy z Saidy i Mascary. Wieczorem mieliśmy już 200 ludzi. Rozeszli się oni małymi grupkami po lesie i ułożyli się do snu. Noc zapadła wcześniej i około 8-ej było już ciemno. Pogoda nadal dopisywała. Następnego dnia powtórzyła się rutyna z dnia poprzedniego. Odebraliśmy dwie duże grupy, które przybyły pociągiem. Pod wieczór las był pełen ludzi. Staraliśmy się zachowywać tak cicho, jak tylko było to możliwe, ale nie było to właściwie potrzebne,

gdyż nikt się naszym laskiem nie interesował.

Około 6-tej wieczorem zerwał się nagle wiatr i spokojna dotychczas tafla morza pokryła się białymi grzywaczami. Przyszły niskie chmury, wiatr przybrał na sile i już całkiem potężne fale rozbijały się o nadbrzeżne skałki. Mając trochę doświadczenia w sprawach morskich, zdawałem sobie sprawę, że załadunek w tych warunkach byłby bardzo trudny, jeśli w ogóle możliwy. Czekaliśmy na sygnał z morza. Około 9-tej zabłyśło światełko. Nasz radiotelegrafista był już na stanowisku. Trudno było mu odbierać, bo rzucany falami statek to unosił się, to opadał i fale zasłaniały sygnał, a ponadto musiał się trzymać dość daleko od brzegu. Wreszcie zdołano odcyfrować wiadomość. Kapitan zdecydował, że ze względu na złą pogodę musi się oddalić od brzegu, poza wody terytorialne francuskie i powróci następnej nocy. Zrobiło się całkiem chłodno i wszyscy trzęśliśmy się z zimna. Odszukałem Miccia Różańskiego i tak, jak poprzednim razem, schroniliśmy się w grobowcu arabskim, który stał się brzegiem morza. Niski murek dookoła centralnego kamienia dawał względne schronienie przed wiatrem. Leżałem na kamieniach i patrzyłem w niebo, pokryte szybko przelatującymi płachtami chmur i tylko od czasu do czasu migotały gwiazdy.

Przypomniła mi się „Odyseja”, którą wałkowaliśmy w IV gimnazjum we Lwowie. Nie braliśmy wtedy tego poważnie. Czytało się to jak bajki o bogach, cyklopach i wróżkach. W tamtym momencie, jak nigdy, zdałem sobie sprawę z rzetelności opisu przygód Odyseusza i Wojny Trojańskiej. Naturalnie wszystko było odziane w szatę mitologii, ale prawda o zdradliwości Morza Śródziemnego była już wtedy dobrze znana. Grecy mieli swoją Ifigenię, którą mogli poświęcić na stosie, by uprosić bogów o przyjazny wiatr. My, niestety, musieliśmy czekać do następnego dnia z nadzieją, że pogoda się odmieni bez interwencji bogów. Nad ranem przycichło i trochę się zdrzemnąłem. Obudziły mnie dopiero przekleństwa Miccia, którego oblażyły mrówki. Powodem tej inwazji było kilka kostek cukru, które miał w kieszeni.

Po jakiejś godzinie przestało wiać. Morze też ucichło, a nad horyzont wypłynęło czerwone słońce i zaczęło się robić ciepło. Zostawiłem Miccia, który oskubywał się z mrówek i poszedłem zameldować się u kapitana Szewalskiego. Kazał mi i kilku innym

obejść lasek i powiadomić ludzi, że statek powróci i że może tym razem pogoda dopisze. Wszyscy mieli ciężką noc i teraz szukali słońca, by osuszyć zwilgotniałą odzież. Ostatnia partia, która przybyła dnia poprzedniego, była w najlepszej sytuacji, gdyż poszczególni ludzie mieli jeszcze zapasy żywności. Około południa zrobiło się całkiem ciepło, zapowiedź pogodnej nocy.

W pewnym momencie, w oddali, usłyszałem język francuski. Jeden z oficerów zawołał mnie i poprosił o przetłumaczenie. Niestety, ze względu na odległość, niewiele mogłem zrozumieć. Wyglądając zza krzaka zauważyliśmy, że była to grupa składająca się z kilkunastu mężczyzn. Prawie wszyscy mieli dubeltówki. Szli, nie podejrzewając, że lasek, zamiast zwierzyny, wypełniony był ludźmi. Zrozumiałem wtedy, że byliśmy zgubieni. Było rzeczą prawie niemożliwą ukryć 300 osób w tej skarłowaciałej namiastce lasu. Wycofaliśmy się tak szybko, jak to było możliwe, na brzeg morza. Nie bardzo wiedziałem, co ci ludzie chcieli tu upolować, bo w lasku, za wyjątkiem mrówek i innych insektów nie było żadnego życia. Sytuacja bardzo podobna do południowej Francji, gdzie wszystko, co się ruszało, było już dokładnie wystrzelane pod koniec XIX wieku.

Wypadki potoczyły się bardzo szybko. Nie minęło pół godziny, gdy zaroїło się od policji i wyjątkowo agresywnej Garde Mobile. Najpierw otoczyli lasek, a następnie przeszli tyralierą i zepchnęli tych, którzy próbowali uciekać do brzegu morskiego. Notatnik mój podaje, że nałożono nam kajdanki, ale tego nie bardzo pamiętam. Następnie załadowano nas na ciężarówki i odstawiono na komisariat w Mostaganem. Tam dostaliśmy coś do zjedzenia i nastąpiły długie pertraktacje z prefekturą w Algierze. Wydaje mi się, że nie wiedzieli, co z nami zrobić, bo nie mieli dostatecznie dużego więzienia, by zamknąć 300 ludzi. Sala, w której nas umieścili, była doskonale strzeżona, ale w pewnym momencie zniknął porucznik Władek Galica. Nikt nie wiedział jak on to zrobił. Ukrywał się potem przez wiele miesięcy w Algierze.

Wreszcie decyzja zapadła i odwieziono nas pod eskortą do hoteli w Mascarze. Nie mieliśmy prawa do swobodnego poruszania się po mieście i *de facto*, byliśmy pod domowym aresztem. Żołnierze wrócili do Saïdy.

Teraz, gdy patrzę z odległości lat, muszę stwierdzić, że

ucieczka była wyjątkowo dobrze zorganizowana i gdyby nie zła pogoda, byłibyśmy wszyscy następnego dnia w Gibraltarze. Do tej pory nie mogę zrozumieć, jak Francuzi nie mogli nie zauważyć braku tak dużej liczby ludzi, którzy zniknęli przy bardzo ograniczonych możliwościach transportowych. W latach 50. spotkałem w Londynie maszynistę Filipkowskiego. Gdy wspominałem w rozmowie o nieudanej ucieczce z Afryki, powiedział mi, że on był właśnie na tym kutrze jako członek załogi. Pamiętał dobrze nazwę miejscowości La Macta i tę fatalną pogodę, która nie pozwoliła im podejść pod brzeg.

Chyba po dwóch tygodniach otrzymaliśmy z Algieru wyjaśnienie wypadków, które doprowadziły do naszego zaarrestowania. Naturalnie, władze francuskie zostały zaalarmowane, ale dopiero drugiego dnia. Nie mieli jednak pojęcia, co się z nami stało i pewnie udałooby się nam dostać na statek, gdyby nie prawie operetkowy zbieg okoliczności. Mianowicie, burmistrz Oranu urządził w tym dniu polowanie w naszym lasku. Ponieważ, jak już powiedziałem, nie było tam zwierzyny, przeto wszystkie tego rodzaju eskapady kończyły się strzelaniem do rzutków i dobrym piknikiem. Gdy więc zauważono większą ilość ludzi w tym odludnym miejscu, natychmiast poinformowano policję.

Od samego początku było wiadomo, że władze planowały umieszczenie nas w bardziej odległym miejscu. Pobyt w Mascarze uważaliśmy za tymczasowy, kilka dni potem, 7 grudnia, wywieźli nas na południe do miejscowości Méchéria, jakieś 180 km od wybrzeża. Chociaż odległość nie była tak duża, zajęło nam prawie 24 godziny zanim przybyliśmy na miejsce.

Méchéria była już poza cywilizacją. Z jednej strony toru mała osada arabska, a z drugiej fort, zbudowany w latach wojen kolonialnych. Pamiętam, u wejścia był duży, biały kamień z datą założenia fortu 1863, również datą powstania styczniowego. Wszystko to otaczał bezkresny *bled*, porośnięty *alfą alfą*. Tylko w niektórych miejscach wyrastały z płaszczyzny *bledu* łańcuchy dość wysokich wzgórz, które nie robiły sensownej całości z otaczającym nas krajobrazem. Przy pełnym oświetleniu, szczególnie rano, wyglądało to jak wyspy wynurzające się z bezkresnego oceanu. Były to resztki gór Atlas, rzucone przez przypadek geologiczny w ten przedśrodek Sahary.

Fort miał sekcję szpitalną, oddzieloną od reszty obozu wysokim murem i tam nas umieszczono. Naturalnie, żadnych chorých nie było i budynki były w stanie zupełnego zaniedbania. Dookoła małego placyku stało sześć parterowych baraków. Fort w tym czasie nie miał garnizonu Legii Cudzoziemskiej i był strzeżony tylko przez oddział nieumundurowanych Arabów, którzy dumnie nosili karabiny z I wojny światowej. Przyniesiono nam kolację, która była niejadalna. Wszystko wymieszane było z piaskiem i można było znaleźć drobne kamyczki. Zdaje się, że tego samego wieczoru dowiedzieliśmy się o wybuchu wojny amerykańsko-japońskiej. To podniosło bardzo nasze morale i zmniejszyło uczucie depresji i beznadziei. Następných kilka dni było wypełnionych organizacją naszego nowego życia. Początkowo zajęliśmy największy barak, a brak łóżek zastąpiła nam podściółka z *alfy alfy*.

Kuchnia w dalszym ciągu była nie do przyjęcia. Względnie dobre produkty były konsekwentnie niszczone przez niekompetentnych kucharzy, którzy też gotowali dla naszych strażników. Wreszcie, po licznych protestach, otrzymaliśmy zgodę komendanta obozu na zorganizowanie własnej kuchni. W tym momencie powstał bardzo poważny problem znalezienia kucharza. Nikt z nas nie miał umiejętności ani praktyki w gotowaniu, szczególnie, że chodziło tu o stosunkowo dużą ilość ludzi. Sprawę rozwiązał Miecio Rózański, który zgłosił się na ochotnika. Byliśmy wszyscy zaskoczeni jego decyzją, gdyż praca była ciężka. Zapytany przez nas o jego umiejętności kulinarne, obrzucił nas pogardliwym spojrzeniem i powiedział:

– Gdy bywałem w Warszawie, to zawsze jadałem u Bukieta i w innych dobrych knajpach, więc muszę chyba dobrze gotować.

Uznaliśmy ten argument za wystarczający. Odtąd Miecio gotował i robił to dobrze. Często można było go spotkać na progu bardzo prymitywnej kuchni. Spowity w kłębach dymu, z zażawionymi oczyma, wymyślał na czym świat stoi, ale gotował. Złośliwi, chociaż doceniali jego pracę, twierdzili, że powody, dla których Miecio to robił, nie były całkiem altruistyczne, gdyż miał on pod swoim zarządem nasze racje wina. Później, gdy został zwolniony z tego ciężkiego obowiązku przez zawodowego kucharza, oddał się z całym zapałem swemu właściwemu powo-

łaniu – architekturze. Owocem tego była brama w stylu mauretańskim przy wejściu do obozu, która upamiętniać tam będzie przez długie lata nasz pobyt.

Ponieważ byliśmy skoszarowani, łatwiej było zaprowadzić podstawową dyscyplinę, która polegała głównie na apelach porannych i wieczornych, na których odśpiewywaliśmy mniej lub bardziej fałszując *Kiedy ranne wstają zorze* i wieczorem *Wszystkie nasze dzienne sprawy*. Był też drażek do gimnastyki i od czasu do czasu pozwalano nam, naturalnie pod eskortą, wychodzić poza mury na wycieczki w sąsiednie góry.

Po naszej porażce pod La Macta, dowództwo nad nami przejął kapitan Dworakowski. W jakiś czas po przybyciu do Méchérii, potworzyły się na terenie obozu rozmaite koterie, bazowane na przynależności do takiej czy innej jednostki wojskowej lub grupy politycznej. Gdy po dwóch miesiącach komenda obozu umożliwiła nam rozlokowanie się w przyległych barakach, nastąpiło to zgodnie z przynależnością do poszczególnych grup. Ja nie należałem do żadnej. Byłem jeszcze bardzo młody, a polityka uprawiana na terenie obozu, zupełnie mnie nie interesowała. Po upadku Francji, znajomość języka francuskiego oddała mi duże usługi i zdawałem sobie sprawę z tego, że następny język, jakiego będę potrzebował, to będzie język angielski. Stosunkowo prędko dogadałem się w tej sprawie z porucznik lotnictwa Stasiem Wujastykiem. Bez większych trudności dostaliśmy osobny pokój. Ponieważ był dosyć duży, przyjęliśmy jeszcze na współlokatorów dwóch podchorążych: Miecia Chana i Dala Krahelskiego. Między łóżkiem Stasia a moim był stół, który stał się naszym warsztatem pracy w następnych kilku miesiącach. Nasze biuro w Algierze przysłało nam samouczki i język angielski stał się naszą obsesją. Kuliśmy od rana do wieczora, nie zwracając uwagi na to, co się naokoło nas działo. Noc w tym okresie zapadała wcześniej i musieliśmy palić lampy karbidowe, które niemiłosiernie śmierdziały. Trudno się było w tych warunkach uczyć, więc gadaliśmy o wojnie, kraju i nadziejach na przyszłość. Staś miał ambicje pisarskie, no i ciągle mówił o młodej żonie – Polce, którą zostawił we Francji. Miał nadzieję połączyć się z nią w Anglii. Łóżka Miecia Chana i Krahelskiego były ustawione prostopadle do naszych, w drugiej części pokoju. Pamiętam Miecia, wyciągniętego na łóżku i ćmiącego fajkę. Ta krótka fajka,

której nigdy nie wyjmował z ust, stała się jednym z jego charakterystycznych rysów. Drugą cechą był długi, kapiszonowaty nos, nieomal przykrywający wylot fajki. Nos i fajka były przedmiotem drwin i docinków, ale Miecio nie przejmował się tym. Miał jeszcze jedną pasję; tak jak inni pili, grali w karty lub uczyli się, tak on szył i wkładał w to szycie całą swoją energię i zapał. By móc uprawiać ten proceder, Miecio nawiązał sekretne stosunki z krawcem i szewcem, którzy pracowali dla obozu. Gdy ktoś przychodził do niego w sprawie jakiejś przeróbki, robił poważną minę, jakby chciał odmówić, ale wiadomo było, że go to cieszyło i robotę przyjmował bez zastrzeżeń. Mimo, że nie mieliśmy wspólnych zainteresowań, to jednak żyliśmy w harmonii i stosunkowo szybko dostosowywaliśmy się do nowego rytmu życia.

Zima w tamtym roku była wyjątkowo przykra i chociaż znajdowaliśmy się na progu Sahary, to odczuwaliśmy zimne noce i w pewnym okresie dokuczyły nam nawet deszcze. Nieco później, chyba w marcu, zaczęło wiać *sirocco*, wiatr z Sahary unoszący drobny pył, który przenikał wszystko. Trudno to było nawet nazwać wiatrem, bo ciężkie, gorące powietrze stało prawie w miejscu a całe niebo pokryte było czerwoną chmurą piaskowego pyłu. Były to chyba, pod względem psychicznym, najgorsze dni.

Żołnierze i oficerowie zostali natychmiast po złapaniu oddzieleni od naszej grupy i wszelki kontakt został zabroniony. Odjechali do obozu karnego w Behar, na granicy Sahary, gdzie byli zmuszeni do budowania kolei transsaharyjskiej. Traktowanie ich przez władze obozowe nie różniło się wiele od tego, jakie było stosowane w obozach niemieckich. Wszelkie niedociągnięcia były surowo karane, a specjalnie sadystyczną karą, stosowaną w wielu wypadkach, było pozostawianie nagiej ofiary na noc w bunkrze, wypełnionym częściowo wodą. Noce, nawet w tej części kraju, były wyjątkowo zimne.

Początkowo mieliśmy bardzo powierzchowny kontakt ze światem zewnętrznym, bo nawet trudno było o gazety. Wiedzieliśmy, że sytuacja w Libii się poprawiła i że wojska alianckie zajęły Syrię i Madagaskar, ale wszystko to było jeszcze bardzo odległe od nas. Po kilku tygodniach, nasi specjaliści od radia zdołali zbudować odbiornik, który pozwalał chwytac audy-

cje polskie z Londynu, przekazywane przez Gibraltar. Części odbiornika mieli zawsze ze sobą. Nasz bagaż nigdy nie był specjalnie rewidowany. Brakowało nam jednak baterii, a tych nie można było lokalnie kupić. Trzeba było zatem zbudować baterie własnym przemysłem, a do tego potrzebowaliśmy około 100 szklanek, które mogły być zakupione tylko za zgodą komendanta obozu. Jego francuskie pochodzenie pomogło nam przekonać go, że picie wina z blaszanych kubków było swoistego rodzaju barbarzyństwem. Otrzymane szklanki powędrowały natychmiast pod łóżko „inżyniera”, który po paru dniach zbudował z nich dostatecznie silną baterię, by uruchomić radio. Odtąd mieliśmy regularne wiadomości ze wszystkich frontów. Naturalnie, odbiór nie był najlepszej jakości i trzeba było dobrze wsłuchiwać się, by wszystko zrozumieć.

Chyba w połowie marca poinformowano nas, że do obozu przybędzie duża partia marynarzy z marynarki handlowej. W tamtym czasie wiele statków próbowało przedostać się na Maltę. Wiele konwojów rozbijało lotnictwo niemieckie. Niektóre statki próbowały przebić się, płynąc blisko brzegów Algierii. Tu, byli alianci nie bardzo się popisali. Ustawili w wielu punktach ciężkie działa i ostrzeliwali niemiłosiernie zbłąkane trampy alianckie. Rezultatem tego były dwa czy trzy zatopione frachtowce. Na szczęście załogi się uratowały i zostały internowane. W końcu podzielili nasz los i odesłano ich do Méchérii. Niestety, nie mieliśmy prawa widywania się z nimi. Nawiązanie kontaktu było jeszcze dodatkowo utrudnione z powodu niedostatecznej znajomości języka.

Już poprzednio wspominałem o mojej i Stasia Wujastyka intensywnej nauce, której rezultatem była pewna znajomość angielskiego, nie tyle w słowie, ile w piśmie. Postanowiliśmy to wykorzystać i przekazywać wiadomości z radia w formie pisemnej. Staś, który był bardziej zaawansowany, został głównym redaktorem. Gotowy komunikat zawijaliśmy dookoła małego kamyka i przrzucaliśmy za dosyć wysoki mur, który nas dzielił.

Któregoś dnia odwiedziło nas dwóch Białych Ojców. Byli to księża zakonnicy, którzy pracowali wśród Arabów. O ile pamiętam, zakon bazował w Irlandii i obaj księża mówili naturalnie po angielsku. Tutaj doszło do raczej zabawnego incydentu. Gdy chciałem wypróbować moją znajomość języka, a uważałem się

wtedy za dosyć zaawansowanego, ku memu przerażeniu stwierdziłem, że nie mogłem ich zrozumieć. Widząc z kolei ich zdziwienie domyśliłem się, że nie bardzo wiedzieli jakim językiem do nich przemawiam. Praca, którą włożyłem w nauczanie się języka nie poszła na marne, gdyż nawet w tamtym czasie mogłem już względnie dobrze czytać i pisać. Francuski samouczek podawał wprawdzie wymowę, ale nie mogło to nigdy zastąpić słowa mówionego, szczególnie jeśli chodzi o język angielski.

Rok 1942 nie przyniósł nic nowego, ale już na początku lata zaczęliśmy sobie zdawać sprawę z tego, że postęp armii niemieckiej został zahamowany na wszystkich frontach i że szala losów wojny przechylała się powoli na naszą korzyść. Lato było bardzo upalne, bez wiatru i trudno było coś robić w ciągu dnia. Dopiero pod wieczór robiło się chłodno i można było wyjść na nasz placyk.

Na początku sierpnia zostałem wezwany do kapitana Dworakowskiego, który powiadomił mnie, że biuro w Algierze dostało pozwolenie od władz francuskich na zatrudnienie mnie w ich urzędzie. Miałem pomagać w administracji, jak również wypełniać różne funkcje opiekuńcze nad Polakami, którzy walczyli w Hiszpanii przeciwko gen. Franco a teraz, razem z innymi Republikanami, pozostawali internowani w rozmaitych obozach w Algierii. Gdy to usłyszałem, zaniemówiłem. Dlaczego właśnie ja, a nie ktoś ze starszych wiekiem i rangą? Nigdy wyjaśnienia w tej sprawie nie otrzymałem, przypuszczam, że moją kwalifikacją był częściowo fakt, że znałem trochę język francuski, ale głównym powodem było to, że nie miałem politycznej przynależności i nie związałem się z żadną koterią obozową. Naturalnie, radość moja była ogromna, chociaż odczuwałem pewien smutek z powodu rozstania z kolegami, z którymi się już bardzo żyłem. Po chyba dwóch dniach dostałem rozkaz wyjazdu i odjechałem z Méchérii pierwszym rannym pociągiem. Był 10 sierpnia 1942 roku. Nie bardzo wiedziałem, co mnie tam czeka, ale wszystko było lepsze od izolacji i beznadziejności życia obozowego. Do Algierii dojechałem dopiero następnego dnia i zameldowałem się w biurze na rue Maréchal Soult. Powitali mnie tam Tadeusz Sokolnicki – szef biura i jego sekretarka Nuna Raczyńska, żona oficera, internowanego razem ze mną w Méchérii. W drugim

pokoju, zakonspirowany Konsulat prowadził niejaki Friedrich, były sekretarz osobisty ministra Becka. Nie był on z tego powodu bardzo popularny w naszych sferach rządowych i generał Sikorski wysłał go jeszcze z Francji na tę mało znaczącą placówkę w Algierze. Tadeusz Sokolnicki wraz z Nuną Raczyńską zajęli się mną bardzo i wprowadzili do pracy, która zresztą nie była wcale trudna. Pobory moje wynosiły 2300 fr. miesięcznie, co było bardzo mało i tylko z trudnością można było z tego żyć. Zamieszkałem w tym samym pensjonacie, w którym rezydowali Sokolnicki i Raczyńska.

Śródmieście Algieru otoczone jest wzgórzami i wygląda trochę jak przecięta miska, zwrócona otwartą stroną ku morzu. Pensjonat nasz na rue Telemly znajdował się w połowie wysokości okalających wzgórz, co dawało piękny widok na całą zatokę.

Osobą najważniejszą, o której już wspomniałem, był Emeryk Hutten-Czapski. Miał on swoje biuro we własnym mieszkaniu, w reprezentacyjnym Hôtel George. Był on zawsze zainteresowany wszystkim, co nas dotyczyło i odwiedzał biuro prawie codziennie, ale czasami znikał na kilka dni. Zabawną historię opowiedział mi raz jego szofer. Otóż pojechali samochodem do Casablanki i zatrzymali się tam w małym hoteliku. W pewnym momencie, zjawił się tam oficer francuski i poprosił w recepcji, czy mógłby się zobaczyć z Hutten-Czapskim. Gdy wskazano mu pokój, zapukał, wszedł i zasalutował. Przedstawił się jako adiutant generała Juin, który był przedstawicielem rządu Vichy na całą Afrykę Północną. Tenże generał prosił *comte* Hutten-Czapskiego o udzielenie mu audiencji. Raczej zabawne *qui pro quo*. Okazało się, że obaj panowie byli ustawieni wysoko w hierarchii Zakonu Kawalerów Maltańskich, z tym jednak, że nasz *comte* należał do najwyższej egzekutywy, podczas gdy Juin był o jeden czy dwa stopnie niżej. Innym przykładem powiązań międzynarodowych Hutten-Czapskiego był następujący wypadek. Pewnego dnia, było to chyba we wrześniu, przyszedł do biura i wręczył mi kartkę papieru, na której napisany był telegram i prosił o wysłanie go z najbliższej poczty. Gdy przepisywałem tekst na oficjalny blankiet, zobaczyłem ku memu zdumieniu, że były to kondolencje zaadresowane do regenta Horthy'ego, dyktatora Węgier. Horthy stracił w tamtym czasie syna, który został

zastrzelony w walce powietrznej. Ciekawe jak lojalność do organizacji stała ponad konstelacjami politycznymi czy wojennymi. Przy tym wszystkim był on całkowicie oddany sprawie polskiej i prawie na pewno brał czynny udział w przygotowaniu inwazji aliantów na Afrykę Północną.

Wypada tu jeszcze wspomnieć *Monsieur Rigollet*, który przed upadkiem Francji był przez wiele lat Honorowym Konsulem Polskim. Chociaż tej funkcji nie mógł dalej pełnić, to jednak utrzymywał ścisły kontakt z nami i gdzie mógł, starał się być pomocnym...

Moja praca polegała głównie na podtrzymywaniu kontaktu z Polakami w rozmaitych obozach, robieniu sprawunków dla moich kolegów z Méchérii i zajmowanie się kilkoma byłymi żołnierzami, którzy zostali oficjalnie zwolnieni do pracy w Algierze. Jednym z nich był Soboszczyk. Pochodził ze Śląska i prawie nie mówił po francusku. Powiedział mi, że pływał na „Sobieskim”. Tak jak i ja, znalazł się po wybuchu wojny w wojsku, we Francji, a potem jako marynarz został przerzucony przez naszą organizację do Algieru. Ponieważ był też wykwalifikowanym kowalem, wyreklamował go mały warsztat, który produkował pługi. Jego zadaniem było kuć lemiesz. Był całkiem zaprzędany swej pracy mimo, że jego patron płacił mu grosze. Musiałem czasami interweniować, gdyż wymagania tegoż patrona stawały się niewspółmierne z możliwościami fizycznymi Soboszczyka. Spotykaliśmy się zazwyczaj raz na tydzień. To dawało mu możliwość wygadania się po polsku. Ciągłe mówił o swej pracy na „Sobieskim” i o tym, jak bardzo chciałby wrócić na morze.

We wrześniu pojawił się na naszym terenie Paweł Zdziechowski. Był on bliskim krewnym Emeryka Hutten-Czapskiego. Przyjechał z Francji, dobrze władał językiem francuskim i Emeryk zaangażował go jako swego prywatnego sekretarza. Obaj byliśmy w tym samym wieku z tym, że Paweł był bardziej otrząskany jeśli chodzi o życie. Jak już powiedziałem, nasze pensje były bardzo skromne i musieliśmy żyć oszczędnie. Możliwe, że to było powodem naszego zbliżenia.

W Algierze, jeszcze przed wojną, otworzono wielkie kasyno w Hôtel l'Aletti, uczęszczane głównie przez bardzo bogatych Arabów, jak również zamożnych farmerów francuskich. Pamiętam z czasów szkolnych, że dużo rencistów jeździło do kasyna w So-

potach i grą uzupełniało swoją skromną egzystencję. Pamiętam, raz zapytałem jednego z nich, jak to się robi? Uśmiechnął się i powiedział: „Jest dużo dobrych i prostych metod, ale najważniejsze to to, że potrafisz odejść od stołu, gdy wykażesz zysk 10% od zainwestowanych pieniędzy. Jeśli natomiast chcesz się szybko wzbogacić, to wszystko przegrasz.”

Powiedziałem o tym Pawłowi, który bardzo zapalił się do możliwości dorobienia pieniędzy. Odłożyliśmy więc po 300 fr. do osobnej kieszeni i nonszalancko weszliśmy do kasyna. Spędziliśmy jakiś czas przypatrując się grze, zanim zdecydowaliśmy się postawić na kolory, bo była to ruletka. W pewnym momencie, gdy kolor szedł długo, postawiłem 10 fr. na przeciwny kolor. Przegrałem i podwoiłem stawkę. Tym razem szczęście dopisało i znalazłem się w posiadaniu 40 fr. Jeszcze raz postawiłem na ten sam kolor i wygrałem 20 fr. W sumie, na czysto, wygrałem 40 fr. W tym momencie przypominałem sobie radę starego emeryta z ulicy Morskiej w Gdyni i wiedziałem, że tu powinienem być się zatrzymać. Paweł też miał kilkadziesiąt franków w kieszeni, a ponieważ żaden z nas nie miał żyłki do hazardu, więc wymieniliśmy nasze żetony i wyszliśmy z kasyna. Mieliliśmy w sumie ok. 80 fr., co było dostatecznie dużą kwotą, by odwiedzić świetną restaurację Wolańskiego i zamówić doskonałą kolację. Wolański, z pochodzenia Polak, był emerytowanym kucharzem ambasadora Stanów Zjednoczonych w Paryżu. W czasie wojny uciekł do Algieru i założył restaurację, która była odwiedzana przez największych smakoszy w mieście. Od tej pory zachodziliśmy od czasu do czasu do kasyna, zawsze jednak pamiętając o nauce, danej mi przez gdyńskiego emeryta.

Jeśli chodzi o inne osobistości, które przebywały w tamtym czasie na terenie Algieru, to trzeba wymienić generała Stachewicza, byłego szefa sztabu. Naturalnie, po przegranej w 1939 r., przedostał się na Zachód, ale rząd Sikorskiego skazał go na polityczne zesłanie do Algieru. Spotkałem go kilkakrotnie. Był to bardzo ciekawy człowiek. Świetnie mówił po francusku i doskonale orientował się w sytuacji międzynarodowej.

Oprócz naszej grupy pracowników, była w Algierze kolonia polska. Składała się prawie wyłącznie z kobiet i dzieci, które przyjechały z Rumunii. Przeważnie były to żony oficerów. Na samym szczycie wzgórz, które dominowały nad Algierem, rozło-

żyło się przedmieście El Biar i tam właśnie władze francuskie umieściły uciekinierów z Polski. Obowiązki duszpasterskie sprawował nad nimi, bodajże jedyny tam mężczyzna, ksiądz Sołowiej. Rząd francuski, nawet po upadku Francji, płacił za ich utrzymanie, ale biuro nasze też musiało, w wielu wypadkach, pomagać i podpierać moralnie.

Tak minął wrzesień i październik. Pod koniec zaczęło się wyczuwać, szczególnie w biurze, pewne napięcie. „Emeryk” zniknął na dłuższe okresy a generał Stachiewicz mówił tajemniczo o zmianach, które mają nastąpić. Wreszcie przyszedł dzień 7 listopada. Jak zwykle, poszedłem spać ok. 11-ej w nocy. O 3-ej rano obudziła nas wszystkich strzelanina. Wyskoczyłem szybko na ulicę, ale z powodu ciemności niewiele mogłem zobaczyć. Dopiero gdy się trochę rozjaśniło, zobaczyłem długą sylwetkę niszczyciela, stojącego nieruchomo na redzie. Z odległości nie widać było flagi, a strzelanina dawno ustała. Gdy się rozjaśniło, okręt odpłynął i zapanował względny spokój. Zeszliśmy do biura i dowiedzieliśmy się, że była to jednostka amerykańska. Około 50 amerykańskich *marines* zajęło w nocy port, ale gdy natrafili na opór ze strony Francuzów, to szybko się poddali obrońcom. Przez większą część dnia przychodziły sprzeczne wiadomości odnośnie tej akcji, która była dla nas zupełnie niezrozumiała. Dopiero o 5-ej popołudniu zdaliśmy sobie sprawę z tego, że była to akcja dywersyjna, dla odwrócenia uwagi dowództwa francuskiego. Pod wieczór, zupełnie niespodziewanie, wkroczyły wojska amerykańskie, równocześnie ze wschodu i zachodu, nie napotykając praktycznie na żaden opór. Port został zajęty bez walki. Nie minęły dwie godziny, a cały Algier był pełen mundurów amerykańskich. Byliśmy wszyscy nieprzytomni z radości i mało kto spał tej nocy.

Następnego dnia, na redzie zaroilo się od statków. Wszystkie nabrzeża były zajęte i wyładunek sprzętu wojskowego szedł dzień i noc. Wkrótce potem nastąpił pierwszy nalot niemiecki na Algier, ale zapora ogniowa, zarówno ze statków, jak i z lądu, była tak silna, że samoloty nie mogły dotrzeć do portu. Następnego dnia Niemcy zmienili taktykę i okrążając Algier, wylatywali od strony lądu, tuż ponad wzgórzami przedmieścia El Biar. Zapora ogniowa też działała, ale dawało to lotnikom niemieckim możliwość pewnego zaskoczenia i zbliżenia się do portu. Dnie na

ogół były spokojniejsze, noce natomiast naszpikowane były ogniem *tracerów*, jazgotem Oerlikonów i miarowym *stacatto* działek przeciwlotniczych. Niemcy albo tracili nerwy, albo mieli trudności celownicze tak, że właściwie wszystkie bomby lądowały w morzu, poza portem i dzięki temu ani miasto, ani port, nie doznały poważnych zniszczeń.

Kilka dni po inwazji ktoś przyniósł wiadomość do biura, że polski statek jest wyładowywany w porcie. Rzuciłem wszystko i poleciałem na nadbrzeże. Nie zajęło mi dużo czasu, by odnaleźć m/s „Lewant”. Chyba wtedy, na molo spotkałem 2-go oficera Ryszarda Jedyńskiego, który parę lat wcześniej był moim instruktorem na „Darze Pomorza”. Wziął mnie na pokład, gdzie poznałem kapitana Stefana Ciundziewickiego. Zbliżając się do statku, poczułem silny zapach benzyny. Na pokładzie, nad otwartą ładownią, unosiła się chmura opadu benzynowego. Dowiedziałem się, że m/s „Lewant” przywiózł wysokooktanową benzynę lotniczą w puszkach. Były one zrobione z dość cienkiego metalu i wiele z nich popękało pod własnym ciężarem i zawartość spłynęła do zenz. Spojrzałem do ładowni i ku memu zdziwieniu zauważyłem chyba pół tuzina żołnierzy, którzy zachowywali się jak gdyby byli pijani. Słaniali się i przewracali, a niektórzy śmiali się do siebie i podśpiewywali. W tym momencie siatka ładunkowa, wypełniona nowymi żołnierzami z nadbrzeża, zjechała do ładowni. Trzeźwi żołnierze, tak szybko jak było to możliwe, powrzucali swoich zupełnie już zdezorientowanych kolegów do tejże siatki, która natychmiast wyniosła ich na brzeg, gdzie położono ich pokotem na ziemi, by wytrzeźwiali. Nowa szychta pracowała sprawnie przez 20 minut, ale stopniowo i oni ulegali trującym wyziewom z dna statku i musieli być wymienieni przez nowy zespół.

Nie wiem czy w tamtym czasie, w podnieceniu wojennym, ktokolwiek z nas zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które groziło nie tylko tym, którzy zajęci byli wyładunkiem, ale też i miastu. W wypadku eksplozji straty byłyby nieobliczalne. Powiedzenie „Siedzenie na beczce z prochem” było bardzo blady porównaniem do tego, co się działo na m/s „Lewant”. Nie mówię już o bombach niemieckich czy odłamkach z artylerii przeciwlotniczej, ale nawet najmniejsza iskra mogła w jednej sekundzie zamienić całe nadbrzeże w morze płomieni i nieobli-

czalny w skutkach wybuch. Nikt w tamtym czasie nie zwracał na to uwagi. Wyładunek szedł dzień i noc, a euforia wojenna nie pozwalała zastanawiać się nad tym.

Wracając do biura, postanowiłem dać wypowiedzenie w pracy, o ile kapitan Ciundziewicki zgodzi się zamustrować mnie na „Lewant” w jakimkolwiek charakterze. Wiedziałem, że statek prawdopodobnie będzie wracał do Anglii i ja chciałem się tam jak najprędzej dostać. Tadeusz Sokolnicki nie robił żadnych trudności i obiecał sprawę mego zwolnienia załatwić z „Emerykiem”. Na drugi dzień pobiegłem znowu na statek, by zobaczyć kapitana. Miał wprawdzie załogę w komplecie, ale zgodził się przyjmując mnie w charakterze bezpłatnego praktykanta. Moje marzenia zostały spełnione i tylko trzeba było załatwić kilka formalności w związku z moim odejściem z biura.

Byłem wolny i będąc dobrze obeznany z terenem, stałem się przewodnikiem po Algierze dla moich nowych kolegów. Pamiętam, że starszym oficerem był Kazimierz Rembowski, a trzecim Bolesław Zieliński. Z praktykantem Rukściem dzieliłem kabinę. Pokazałem im wszystko, co było ciekawego do zobaczenia w Algierze, no i naturalnie zaprowadziłem do El-Biar. Nasze panie powitały radośnie towarzystwo męskie i spędziliśmy tam kilka przyjemnych wieczorów mimo, że czasami samoloty niemieckie przelatywały tuż nad dachami, a pociski Oerlikonów spadały na domy i ulice. Zawiązało się tam kilka romansów, a jeden zakończył się nawet małżeństwem.

15 listopada nastąpiło oficjalne otwarcie konsulatu polskiego przez *Monsieur* Rigolleta i ja byłem pierwszym, który otrzymał polski paszport. 21-go zostałem zamustrowany na m/s „Lewant” w charakterze praktykanta.

Ze względu na trudności, opisane poprzednio, wyładunek szedł bardzo niemrawo i został ukończony dopiero w ostatnich dniach miesiąca. Po pierwszych dziesięciu dniach, oddziały alianckie prawie że znikły z miasta. Odeszły na wschód, do Tunisu, by tam zamknąć worek, w którym znalazło się Afrika-korps.

Ostateczne pożegnanie z Algierem nastąpiło 1 grudnia. Wyszliśmy z portu na redę i wzięliśmy kurs na wschód do Bougi, gdzie miano nas załadować rudą żelazną z przeznaczeniem do Anglii.

Trzy lata minęły, kiedy opuściłem pokład „Korabia IV” w Dunkierce. Musiałem się na nowo oswoić z morzem i tak odmiennym trybem życia, szczególnie, że na wachtę wychodziłem z 2-gim oficerem Ryszardem Jedyńskim, od północy do 4-tej rano. W czasie tych nocnych godzin na mostku, opowiadał mi o tym, co się działo w Anglii, o moich kolegach ze Szkoły Morskiej, rozsypanych po rozmaitych statkach i ogólnie o pracy na morzu, która była tak odmienna w warunkach wojennych. Słowem, zamknął do pewnego stopnia lukę, która dzieliła mnie od czasu, gdy wstąpiłem w 1939 r. do wojska we Francji. Po kilkudniowym postoju w Gibraltarze, w oczekiwaniu na konwój, ruszyliśmy w dalszą drogę. Atlantyk o tej porze nie był bardzo życzliwy i m/s „Lewant”, załadowany rudą, zachowywał się jak wielka „Wańka Wstańka”. Ocean w tamtym czasie został prawie oczyszczony z niemieckich łodzi podwodnych. Mieliśmy wprowadzić jeden alarm, ale o ile pamiętam, nie było to nic poważnego. Po okrążeniu Portugalii poszliśmy kursem na północ, do Kanału Bristolskiego, gdzie konwój się częściowo rozwiązał. My mieliśmy wyładować rudę w Swansea.

19 grudnia weszliśmy do portu. Mżył drobny deszcz, było chłodno, mglisto, a miasto spoczywało pod przykrywą sadzy i pyłu węglowego. Byłem raczej zdeorientowany. W ciągu kilkunastu dni zmieniłem klimat, tryb życia i nie bardzo wiedziałem, co mnie czeka w najbliższej przyszłości. Moje rozstanie z kolegami z wojska było praktycznie biorąc ostateczne. Tylko dwóch czy trzech spotkałem w Anglii. Z Mieciem dzieliłem mieszkanie w Londynie w pierwszym roku po wojnie, ale jednego dnia spałował manatki i wyjechał do Argentyny, by budować słupy wysokiego napięcia w Patagonii. Nie wiedziałem, co spowodowało tę decyzję, ale niektórzy wtajemniczeni twierdzili, że zasmałował w argentyńskim winie. Nigdy nie napisał i słuch o nim zaginął. Moja nowa rzeczywistość była znowu na morzu, ale to już inna historia.

Londyn, 22 lutego 1988

Jerzy KRAIŃSKI



PS Po przyjeździe do Anglii ukończyłem szkołę morską w Southampton i w sierpniu 1943 zamustrowałem na s/s „Białystok”, gdzie pozostałem przez przeszło rok. Pod sam koniec wojny wróciłem do rybołówstwa dalekomorskiego i prawie sześć miesięcy spędziłem na s/t „Podole” koło Islandii. Warunki były więcej niż prymitywne.

Po wojnie spotkałem kolegę ze Szkoły Morskiej w Gdyni, Tadeusza Sulatyckiego i zaczęliśmy razem interes drukarski, ale po roku wróciłem na morze. Zamustrowałem w Southampton na żaglowy jacht „Panda” w charakterze nawigatora i zrobiliśmy roczną podróż do Indii Zachodnich. Po powrocie, osiadłem na stałe w Londynie. Przez 5 lat prowadziłem Sekretariat Związku Oficerów Polskiej Marynarki Handlowej.

W tamtym czasie zainteresowałem się sprawami socjologicznymi i psychologią a w szczególności problemami chorób umysłowych. Po krótkiej praktyce w szpitalach psychiatrycznych, ukończyłem studia w Liverpoolu, które dały mi kwalifikacje *social worker* i pracowałem w tym zawodzie przez 21 lat aż do przejścia na emeryturę.

Mimo, że odszedłem od morza, raz na rok odnawiam kontakt z wodą, wprawdzie nie morską, ale śródlądową. Już od siedmiu lat prowadzę każdego października wyprawę po Tamizie. Korzystając z poparcia rozmaitych organizacji charytatywnych, wynajmuję piętnastometrowy jacht motorowy i zabieram osiem umysłowo chorych osób na cały tydzień wakacji na rzece.

Towarzystwo Historyczno-Literackie / Biblioteka Polska
w Paryżu
6, quai d'Orléans – 75004 PARIS – tel. 01 55 42 83 83
fax 01 46 33 36 31
e-mail: w.zahorski@bplp.fr

KOMUNIKAT KOMISJI STYPENDIALNEJ FUNDUSZU IM. STANISŁAWA LAMA

Informujemy, że termin nadsyłania podań o stypendia na 2010 r. upływa z dniem 29 lutego 2010 roku (decyduje data stempla pocztowego).

Zgodnie z założeniem Funduszu, o stypendia ubiegać się mogą osoby specjalizujące się w historii literatury polskiej i w krytyce literackiej. Chodzi o kandydatów, którym dla kontynuowania pracy, niezbędny jest krótki pobyt w Paryżu i korzystanie z tutejszych bibliotek i archiwów, m.in. ze zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu.

Wymagana jest znajomość języka francuskiego.

O stypendia im. Stanisława Lama nie mogą ubiegać się mieszkańcy Paryża i regionu paryskiego.

Do umotywowanego podania należy dołączyć życiorys, wykaz publikacji lub opinie osób kompetentnych.

Stypendium wynosi 1000 euro. Fundusz nie pokrywa kosztów podróży oraz nie zapewnia mieszkania w Paryżu. Przed przyjazdem do Francji, stypendyści muszą ubezpieczyć się na wypadek choroby.

Podania prosimy przysyłać na adres:

Komisja Stypendialna Funduszu im. Stanisława Lama
Société Historique et Littéraire Polonaise
6, quai d'Orléans
75004 PARIS

LISTY DO REDAKCJI

Lublin, sierpień 2009

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule autorstwa Wiesława Hładkiewicza i Daniela Koteluka, poświęconym – skądinąd bardzo ważnej i ciekawej postaci – Jerzemu Gawendzie („Zeszyty Historyczne” 2009, z. 168), zakradły się dwie pomyłki, które chciałbym zasygnalizować.

Data powstania Związku Polskich Federalistów to październik, ale roku 1949, a nie 1952 (s. 159), jak podają autorzy. Centrala pierwotnie mieściła się w Paryżu, lecz została następnie przeniesiona do Londynu – w Paryżu pozostał jedynie oddział. Latem 1950 roku powstał Związek Polskich Federalistów w Stanach Zjednoczonych i chociaż ze względu na wymogi prawa amerykańskiego stanowił zupełnie odrębny byt prawny, to w dużej mierze nawiązywał do organizacji europejskiej. Na łamach „Zeszytów Historycznych” pisałem już na ten temat w numerze 143 z 2003 roku – *Dzieje Związku Polskich Federalistów w Stanach Zjednoczonych*.

Na s. 157 chodzi zapewne o prof. Wacława Komarnickiego (a nie Komornickiego), podobnie jak na s. 159 chodzi o prof. Tytusa Komarnickiego (a nie Komornickiego).

Łączę wyrazy szacunku,

Sławomir ŁUKASIEWICZ

Warszawa, 17 sierpnia 2009

Szanowny Panie Redaktorze,

Czytając, jak zawsze z dużym zainteresowaniem, „Zeszyty Historyczne”, przejrzałem artykuł Przemysława M. Żukowskiego *Pracownicy i absolwenci Uniwersytetu Jagiellońskiego w polskiej służbie zagranicznej, 1918-1945* w numerze 165.

Na stronie 44 znajduję biogram bardzo ciekawej postaci – Karola Dubicza-Penthera. Mało kto wie, że mianowany w lutym 1937 r. posłem w Lizbonie, jednocześnie stał na czele placówki wywiadowczej „Anitra”; placówką o tej samej nazwie kierował wcześniej w Turcji. W biogram wkradł się drobny błąd – Dubicz zmarł na raka nie w 1944, ale 15 stycznia 1945 r., w lizbońskiej dzielnicy Lumiar. Pochowany został na Cmentarzu Angielskim w stolicy Portugalii, gdzie jakieś pięć lat temu odnalazłem jego grób.

Serdecznie pozdrawiam,

Jan Stanisław CIECHANOWSKI



Tamarac, FL, 31 sierpnia 2009

Szanowna Redakcjo,

W związku z artykułem Krzysztofa Tarki pt. *Pawła Zaremby „gra” z wywiadem PRL* zamieszczonym w numerze 168 „Zeszytów Historycznych” (s. 140-152) chciałam autorowi serdecznie podziękować za tak szczegółowe opisanie kontaktów i spotkań Pawła Zaremby, mojego męża, z jego bratem Piotrem.

Muszę jednak sprostować kilka nieścisłości.

Matka Pawła uciekła z Petersburga, w czasie rewolucji, z synami Piotrem i Pawłem, przez Warszawę do Bormouth w Anglii, gdzie mieszkali jeszcze po wojnie (przypis 3, s. 142). Ojciec Pawła był w tym czasie w Armii Hallera we Francji. Po rewolucji bolszewickiej Zarembowie przenieśli się do Francji, a następnie do Polski.

W Warszawie mieszkała pierwsza żona Pawła – Zofia a nie Joanna (s. 141). Joanna, czyli ja, byłam jego drugą żoną, poznaliśmy się i pobraliśmy się w Londynie.

Stosunki z Bolesławem Świderskim miały charakter czysto zawodowy (s. 140-141), Świderski drukował swoje publikacje w drukarni „Gryf”, gdzie Paweł był dyrektorem.

Paweł nie był antysemitą (s. 141 – wg Świderskiego „nastawiony był «antyniemiecko i antysyjonistycznie»”), mieliśmy wielu przyjaciół Żydów.

Paweł Zaremba zmarł na rozdemę płuc (s. 152).

Jestem w posiadaniu czterech raportów, pisanych przez mojego męża, wysyłanych do Jana Nowaka-Jeziorańskiego oraz do amerykańskiej *security*. Na kopercie z raportami jest napis: „bez potrzeby nie otwierać”.

Pierwszy raport (10 stron) dotyczy spotkania Pawła Zarembę z „close family relationship with me”, w grudniu 1969 r. („shortly before Christmas, by arrangement initiated by the source. No intermediaries. Conversation lasted approximately 14 hours”) w Wiedniu (s. 143-145 w „Zeszytach”).

Raport potwierdza relację Jana Nowaka, „że Paweł Zaremba prowadził rozmowy z bratem za jego pełną wiedzą i zgodą. Razem układali też pytania, «które miały służyć uzyskaniu informacji o zamierzeniach drugiej strony»” (s. 146 w „Zeszytach”).

Drugi raport (11 stron) dotyczy spotkania z Piotrem Zarembą w dniach 11-12 czerwca 1970 r. w Paryżu (s. 145-146 w „Zeszytach”).

Trzeci raport (4 strony) dotyczy spotkania 26 i 27 września 1970 r. w Salzburgu (s. 146-147 w „Zeszytach”). W spotkaniu brała udział trzecia osoba. „My source was at pain to emphasize that his «friend» was not a «laps» (Polish for «informer» or «plant») [...] The case of my source being accompanied by a «friend» seems to follow a certain pattern. I cannot say whether it was thrust upon my source all of a sudden or whether the previous meetings served as a build-up”.

Pojechaliśmy wszyscy razem, Piotr chciał poznać mnie i nasze dzieci. Paweł nie chciał mu tego odmówić. Pretekstem spotkania było poinformowanie Pawła o rozwoju gospodarczym w Polsce. W Salzburgu byliśmy 2 dni, ja w spotkaniu udziału nie brałam. Mąż opowiedział mi o wszystkim dość dokładnie.

Czwarty raport (2 strony) dotyczy spotkania w Innsbrucku 27 czerwca 1972 r. (w „Zeszytach” – s. 148, mowa o kwietniu 1972). „Report on a meeting when proposals were made suggesting my return to Poland at a time chosen by myself”.

Byliśmy tym razem oboje, bez dzieci. Piotr dał znać, że wraca z jakiejś konferencji naukowej i chce się zobaczyć z Pawłem w sprawach rodzinnych. Spotkanie odbyło się w restauracji. Piotr usilnie namawiał nas do powrotu do kraju, obiecywane były rozmaite wynagrodzenia i korzyści materialne, tu mamy niepewną przyszłość, dwoje dzieci, no i Paweł nie jest zdrowy. Zgodnie odpowiedzieliśmy, że powrót do Polski nie wchodzi w rachubę. Powiedzieliśmy, że zawsze możemy wrócić do Londynu, gdzie Paweł mógł pisać swobodnie swoje książki. Miał również propozycję pracy na stanowisku dyrektora drukarni Polskiej Fundacji Kulturalnej w Brighton.

Paweł jednak zdecydował, że jest najbardziej użyteczny w Radio. Nasz powrót do kraju nigdy nie był rozważany, obojętnie w jakiej sytuacji materialnej byśmy się znaleźli.

Po śmierci Pawła utrzymywałam całkiem serdeczne stosunki z Piotrem, na tematy polityczne nigdy nie rozmawialiśmy.

W roku 2000, na zamówienie Telewizji Polskiej, został zrealizowany przez Studio Filmowe WIR film pt. *Piotr i Paweł*. Film nie został wówczas pokazany, bo spadkobiercy Piotra Zarembę mieli zastrzeżenia. Był jakoby „tendencyjny”. Kwestionowano m.in. moją wypowiedź „sugerującą wręcz, że prof. Zaremba przy pierwszym spotkaniu braci

na Zachodzie, przy współudziale 2 funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa, nakłaniał brata do powrotu do Polski, co jest faktem niczym nie potwierdzonym, a wysoce szkodliwym i godzi w dobre imię prof. Zaremby”.

Po paru latach Telewizja Polska film pokazała, ale w porze niskiej oglądalności.

Łączę pozdrowienia,

Joanna ZAREMBA

PS Załączam pismo dyrektora Radia Wolna Europa Ralpha E. Waltera do mojego męża.

●
RADIO FREE EUROPE
MEMORANDUM

TO: Mr. Pawel Zaremba
SUBJECT: Your recent report
FROM: Ralph E. Walter
REFERENCE:

DATE: 13 April 1972

Mr. Nowak has forwarded a copy of your recent report to me. I found it most interesting and very much appreciate that you volunteered to give us the benefit of this information. I realize that you wrote the report in your free time, and this is to assure you that your effort was worthwhile and helpful.

REW: lks
cc: Mr. Nowak

SPIS TREŚCI

Anna Zofia Cichocka: «Trzeba wytworzyć iskrę...» Kraj w dyskusji Giedroyc–Mieroszewski, 1959-1973 ...	3
Jan Skórzyński: Dojrzewanie. U źródeł opozycji demokratycznej	64
Jerzy Borzęcki: Rozpoznanie zamiarów i działań wojsk sowieckich w bitwie warszawskiej 1920 r.	104

DOKUMENTY

Hiroaki Kuromiya, Paweł Libera: Notatka Włodzimierza Bączkowskiego na temat współpracy polsko-japońskiej wobec ruchu prometejskiego (1938)	114
Bartłomiej Noszczak: Spotkanie Kierownika Urzędu Do Spraw Wyznań Kazimierza Kąkola z Prymasem Wyszyńskim (Choszczówka, 12 X 1979 r.)	136

POLEMIKI

Bolesław Taborski: Zacharski, James Bond czy fikcje?	154
Franciszek Grabowski: W obronie pułkownika pilota Romana Rudkowskiego (1898-1954)	159

KSIAŻKI

Tomasz Lenczewski: Album zaprzepaszczonej szansy	169
Marek Kornat: Nowe kłamstwa o Polsce międzywojennej. W sprawie książki Roberta Michulca	182

Przemysław Waingertner: <i>Z drugiego szeregu. Karol Li- lienfeld-Krzewski, czyli zwykłego pilsudczyka żywot pocziwy</i>	196
--	-----

CI, CO ODESZLI

Marek Kornat: <i>Paweł Wieczorkiewicz (1948-2009)</i> ..	203
--	-----

OKRUCHY HISTORII

Piotr Wandycz: <i>Spotkanie z Markiem Hłaską</i>	208
Krystyna J. Przyborowska-Orłowska: « <i>Verboten, verbo- ten</i> ». <i>Nie wolno, to trzeba szybko</i>	210

WSPOMNIENIA

Jerzy Kraiński: <i>Afryka, wojna i morze</i>	212
--	-----



<i>Komunikat Komisji Stypendialnej Funduszu im. Stani- sława Lama</i>	250
---	-----

LISTY DO REDAKCJI

Sławomir Łukasiewicz	251
Jan S. Ciechanowski	251
Joanna Zaremba	252

ZESZYTY HISTORYCZNE

ASSOCIATION INSTITUT LITTÉRAIRE KULTURA
Adres Redakcji: 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04
Fax: 01-39-62-57-52
e-mail: kultura@club-internet.fr

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egzemplarz pojedynczy	Cena prenumeraty rocznej
Ceny na rok 2009		
AUSTRIA: Księgarnia Polska , 1070 Wien, Burggasse 22, tel.: (1) 526-31-14	€ 22,00	€ 80,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji i w księgarniach polskich w Paryżu	€ 22,00	€ 80,00
KANADA: Maciej Głodowski , 6025, Boul. Langelier, Montréal Québec H1M 2B6, tel. (514) 255-48-84, e-mail: mglodowski@gmail.com ; Księgarnia Polska w Ottawie , Andrzej Lifschies , 7986 Parkway Rd., Metcalfe, ON K0A 2P0, tel./fax: (613) 821-33-09, www.polishbookstore.com	€ 22,00	€ 80,00
NIEMCY: Kubon & Sagner , Buchexport-Import, Hessesstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Janusz Łatka , Polnische Buchhandlung, Franz-Marc-Str. 36, 50374 Erfstadt, www.polbuch.de , e-mail: J.Latka@t-online.de , tel. (223) 598-93-73	€ 22,00	€ 80,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung , 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE, tel.: (22) 343-05-84	€ 22,00	€ 80,00
SZWECJA: Wojciech Luterek , PostGiro konto 614 8710-4	€ 22,00	€ 80,00
USA: Ada Dziwanowska , 2462 North Prospect Avenue # 425, Milwaukee, WI 53211; POLONIA Bookstore , 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Szwede Slavic Books , 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541, tel.: (650) 327-55-90 & (650) 851-07-48; Księgarnia «Nowego Dziennika» , 333, West 38th Street, New York, NY 10018, tel.: (212) 594-22-66	€ 22,00	€ 80,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books Ltd. , 206 Blythe Road, London W14 OHH, tel.: (020) 7602-55-41	€ 22,00	€ 80,00

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konta:

– pocztowe: La Poste, SCE 4797689V033

IBAN: FR 51 20041 01012 4797689V033 49

BIC: PSSTFRPPSCE

– bankowe: Credit Lyonnais, 2, Avenue de Longueil,

78600 Maisons-Laffitte, Agence 023 32, nr konta 79595 P.

IBAN: FR 13 3000 2023 3200 0007 9595 P53

BIC: CRLYFRPP

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 01 OCTOBRE 2009
SUR LES PRESSES DE
ART GRAPHIQUE IMPRESSION
16 bis, AVENUE GABRIEL PÉRI
93400 SAINT-OUEN

Dépôt légal : 4^{ème} trim. 2009

€ 22